

KOWALSKI TADEUSZ

II/730



Ostatnia podchorążówka II ej Rzeczpospolitej

Wszystkim poległym, zakatowanym
i zmarłym -kolegom poświęcam

Auter

Wstęp

Kilka lat temu, przy którejś z kolei przeprowadzce wpadł mi w ręce mój pamiętnik z czasów drugiej wojny światowej. Obejmował on lata 1939-1941 i zawierał wojenne perypetie moje oraz moich kolegów. Odtwarzał związane z tym przeżycia i młodzieńcze emocje, ale przede wszystkim był dokładnym zapisem faktów i zdarzeń, o których już dawno zapomniałem.

Nasunęła mi się w związku z tym pewna refleksja. Może nikt poza nami, to znaczy poza stu pięćdziesięcioma lub stu sześćdziesięcioma młodymi chłopcami i naszymi bezpośrednimi dowódcami, nie wie, że głęboko na tyłach, walczących w 1939 roku frontów, utworzono we wrześniu, przy 19 Dywizji Piechoty, normalny Dywizyjny Kurs Podchorążych Piechoty. ^{został on} Jakby na przekór niemieckiej propagandzie, że cała nasza armia rozpadła się zaraz po pierwszym uderzeniu, szykujących się już od wielu lat do wojny, dywizji niemieckich. Dlatego postanowiłem utrwalić losy tej grupy maturzystów, którzy swe pierwsze kroki w dorosłe życie stawiali w obliczu wojny, w odmiennych warunkach. Gdyby nie ona, jak zawsze w październiku każdego roku, przy wszystkich dywizjach piechoty w całym kraju zostałyby otwarte Kursy Podchorążych. Ta forma szkolenia maturzystów była stosowana od powstania II Rzeczypospolitej. Tyle tylko, że od roku 1935 zmieniono sposób naboru kandydatów. Każdy bowiem absolwent szkoły średniej w Polsce, oczywiście płci męskiej, zaraz po otrzymaniu świadectwa maturalnego, niezależnie od wieku, stawał przed Komisją Poborową, która kwalifikowała go do odbycia skróconej służby wojskowej w Dywizyjnych Kursach Podchorążych. Kurs taki poprzedzony był jeszcze obowiązkowym stażem w Junackich Hufcach Pracy /JHP/.

Piszę o tym dlatego że, gdyby nasza lubelska grupa i podobna częstochowsko-zawierciańska, od 15 sierpnia 1939 roku nie znalazły się na turnusie JIR w Sanipądzu pod Groowcem, w 12 batalionie, to prawdopodobnie nasze losy potoczyłyby się inaczej. I tak w okoliczności tych i wypływających z wybuchu drugiej wojny światowej powstała w Lidzie ostatnia podchorążówka II Rzeczypospolitej. Następstwem tego był nasz udział w wojnie sowiecko-polskiej w 1939 roku, internowanie w obozach na Litwie, a w końcu wywóz na roboty do Prus Wschodnich lub w nieznaną na terytorium Związku Radzieckiego.

Przedstawione w tej książce wspomnienia jedynie fragmentarycznie ukazują losy poszczególnych grup strzelców z cenzusem z lidzkiej podchorążówki. Brakuje w nich jeszcze wielu ogniw, które nie są mi znane. Duża luka istnieje też w Spisie imiennym strzelców z cenzusem, zamieszczonym na końcu książki. Niestety, tutaj głównie polegałem na moim pamiętniku i pamięci kolegów z Lublina. Ta zaś niejednokrotnie okazała się zawodna.

Odwołując się do rąk czytelników te wspomnienia chciałbym zapewnić, że kierowała mną przede wszystkim chęć ukazania jeszcze jednego, a przy tym mniej znanego, odcinka wysiłku zbrojnego młodych Polaków we wrześniu 1939 roku, ich walk z wojskami sowieckimi. Fakty te, dotyczące przede wszystkim, a niejednokrotnie skutecznie wyrażone, z naszej historii lub wypracowane mentalnością epoki poststalinowskiej, teraz trafiają na śródlatko dzieł. Mam nadzieję, że książka znajdzie odbiorców i zyska w ich oczach przychylność.

Tadeusz Kowalski

Ostatnie lato - pobór

Tyle razy w swoim dziewiętnastoletnim życiu przechodzi-
liśmy obok budynku na rogu ulicy Lipowej i Krakowskiego Przed-
mieścia i nigdy nie wzbudzał on w nas specjalnego zaintere-
sowania, chociaż dobrze wiedzieliśmy, że mieści się w nim
Powiatowa Komenda Uzupelnien. Właściwie nie można było wejść
do śródmieścia nie przechodząc obok niego. Nikt z nas w to
sacznające się upalne lato 1939 roku nie zdawał sobie sprawy,
że budynek ten, a raczej czynności, które wkrótce z nami, lu-
belskimi maturzystami Anno Domini 1939, zostaną w nim dokonane,
wpłyną decydująco na dalsze nasze życie, a niejednokrotnie
również na życie naszych najbliższych..

W czerwcu przez budynek ten przewinęli się wszyscy ma-
turzyści lubelscy rocznika 1939. Pobór odbywał się kolejno
poszczególnymi gimnazjami. ²³ ^{stak} czerwca stanęło do poboru Gim-
nazjum im. St. Batoro, tak zwane Lubelskie. Pierwszy raz
wszedłem do wnętrza tego budynku, który wewnątrz przypomi-
nał trochę świetlicę żołnierską. Ściany obwieszane patrio-
tycznymi haskami, obrazami i portretami, czysto, ale już tro-
chę pachniało kozarami. Badanie lekarskie były raczej po-
wierzchnowe, za stołem siedziało kilku oficerów. Dryl wojsko-
wy, bo przecież mieliśmy już za sobą trzy lata Przystosobie-
nia Wojskowego. Krótka rozmowa o zdrowiu, natomiast nie o
przyszłym przydziale. Odeszliśmy do świetlicy na śniadanie.

Moim marzeniem było dostać się do Szkoły Podchorążych
Broni Pancernych, a potem zostać oficerem zawodowym. Nie wie-
co o tym zdecydowało, czy korzik zamiast szabli lub bag-
netu, jaki nosiły inne podchorążówki, czy też pomarańczowy
otok na czapce. Wiedzieliśmy, że istnieje w Lublinie od lat
ustalony porządek co do przydziału do poszczególnych rodzajów

broni. Jedynie maturzyści z Gimnazjum im. J. Zamojskiego szli w większości do podchorążówki artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. Inni, w olbrzymiej większości, do podchorążówki piechoty w Równem. Nieliczne, tylko byli przydzieleni do łączności, lotnictwa, broni pancernych, kawalerii. Zamojski to przecież były kierunki matematyczno-fizyczne, więc artyleria, inne gimnazja w większości humanistyczne szły do piechoty, tam matematyka niepotrzebna. Tak było do 1939 roku, ale teraz wychodził ze szkół pierwszy rocznik po generalnej reformie szkolnictwa i w Gimnazjum im. St. Staszica liceum miało dwa kierunki, jeden matematyczno-fizyczny, drugi humanistyczny. Ponadto już niestety pachniało wszędzie prochem, wojnę, widać było różne pociągnięcia zmierzające do powiększenia liczebności naszych wojsk. Mogło to mieć wpływ na przydziały. Wszyscy z niecierpliwością więc oczekaliśmy na nie. Niestety, nigdy ich nie poznaliśmy, gdyż zdarzenie, które nastąpiło poczawszy od pierwszego września inaczej pokierowały naszymi losami.

Na komisję przyszedłem z przygotowanymi już podaniem do broni pancernej. Wcześniej poinformowałem się o tym, co trzeba dołączyć. Na podaniu uzyskałem poparcie Kapelana Lubelskiego - k. Józefa Nowaka oraz Komendanta Garnizonu - p. Emila Wojciecha Czaplńskiego. Załączyłem świadectwo naturalne i tak stanąłem przed komisją. Miałem też pisemną zgodę rodziców na kształcenie się na żołnierza zawodowego, poświadczoną notarialnie. Zgoda ta była konieczna dla niepełnoletnich, a takim to jeszcze byłem ze swoimi dziewiętna. ~~tu~~ latami. Przyrzeczono mi rozpatrzenie podania, ale do dzisiaj nie wiem, czy zostałem przyjęty do tej broni pancernej, czy też nie. Decydującym chyba momentem, który mnie pchał do służby zawodowej w wojsku był stan najętkowy

rodziców. Nie mogłem liczyć na otrzymanie od nich pieniędzy na studia, korporanckie ściegi, stancje i ubranie. W wojsku te kwestie przynajmniej na początku odpadały, gdyż tam otrzymywało się wikt i opierunek, a o tym, że po promocji trzeba było wpłacić sporą sumę pieniędzy na wyprawę oficerską jeszcze wtedy nie wiedziałem. Drugim motywem pobudzającym mnie do wojska była w jakiejś mierze domowa tradycja. Ojciec był podoficerem zawodowym. Urodziłem się na terenie koszar i część życia, tego przedwojennego, spędziłem w sąsiedztwie koszar 8 pułku piechoty legionów. Tak to więc, kordzik i czarny skórzany płaszcz w dużej mierze zadecydowały o mojej skłonności do służby wojskowej w broniach pancernych.

Mój kolega gimnazjalny, Polek Reps składał podanie do lotnictwa. Wiedzieliśmy o tym, gdyż starania rozpoczął już dużo wcześniej. Ukończył kurs szybowcowy i był w trakcie załatwiania *sobu przyjęcia* na kurs motorowo-lotniczy.

Godziny biegły, a my ciągle siedzieliśmy w świetlicy, czytaliśmy książki, śpiewaliśmy. Wreszcie do naszej sali wszedł oficer i ogłosił, że za chwilę otrzymamy zaświadczenia z Komisji Rezerwowej. Poinformował nas również, że służbę w wojsku rozpoczniemy od ^{lekt} tygodniowego turnusu w Junackich Hufcach Pracy /JHP/, na które będziemy dostawać powołania stopniowo w różnych terminach w ciągu wakacji. Turnusy dla maturzystów rozpoczynały się od 15 lipca i 15 sierpnia 1939 roku i organizowane były w miejscowościach nadgranicznych. W międzyczasie miał rozstrzygnąć się nasz przydział do poszczególnych rodzajów broni. Powołanie do odbycia skróconej służby wojskowej otrzymamy we wrześniu, już ze skierowaniem do właściwych podchorążówek. Maturzyści, którzy składali podanie o przyjęcie do służby stałej, przechodzą, jak wszyscy,

kurs unifikacyjny we właściwej dla danej broni podchorążówce rezerwy, a dopiero z niej kierowani będą do podchorążówek zawodowych, po spełnieniu oczywiście przewidzianych wymagań. Po tych informacjach, kolejno otrzymywaliśmy zaświadczenia z jednakową treścią, a więc że Konrad Poborowa, starsze tute Pow. w Lublinie uważa się za zdolnego do zasadniczej służby wojskowej kategorii... W moim przypadku była to kategoria A. Strasznie byłem dumny z tego powodu i jako dowód pokazywałem wszystkim swoje zaświadczenie. Tymczasem okazało się, że wszyscy z nielicznymi wyjątkami z Polkiem włącznie, otrzymaliśmy wyznaczoną kategorię A.

Właściwie można by powiedzieć, że koniec z budą, profesorami. Wreszcie staliśmy się dorośli, dojrzały, jak to stwierdzało świadectwo maturalne. Ale tylko od formalnej strony. Trzeba było odbyć jeszcze ostatnią galówkę w gimnazjum, czyli zakończenie roku szkolnego, gdzie rocznik maturalny przekazywał sztandar następcom z I klasy liceum, wspólne zdjęcie maturzystów, bal maturalny, kupno pierwszego ubrania cywilnego, no i przede wszystkim oblanie dojrzałości w wyższym, dobranym "męskim" gronie.

Na zakończenie roku wypadło mi maszerować w poczie sztandarowym. W upalną niedzielę maszerowaliśmy Krakowskim Przedmieściem. Towarzystwem mi w tym dniu Wittek Kulczyński i jeszcze jeden maturzysta. Białe rękawiczki, czapka z poprzecinany denkiem poszywanym jasno-niebieskimi nićmi przez Irenę.

Cywilny garnitur za całe 20 złotych kupowaliśmy wspólnie z kolegami. Nie było to nic specjalnego, w każdym bądź razie w kilka dni potem, kiedy na ulicy spotkał mnie profesor od niemieckiego, zamawiał ocsyma krótkowłóza i do dzisiaj nie wiem, czy to z zachęty, pobłażenia, czy też ze zgrozy.



Na balu naturalnym nie byłem, natomiast większą grupę wybraliśmy się na zabawę do Liceum Budowlanego przy ulicy Długosza. Po zabawie i przez następnych parę dni oblewaliśmy naszą dorosłość chodząc po jadalniach i restauracjach. Musieliśmy jednak wyglądać niezbyt poważnie, skoro jedynym napojem wysokokowym, jaki nam zaproponowano, było ciemne piwo.

Byliśmy jeszcze w kilku miejscach na lodach i ciastkach i tak, wyglądało to szawetne pijaństwo aż do upadku.

Ponieważ obaj z Polkiem postanowiliśmy zostać żołnierzami zawodowymi, połączył nas wspólny los - brak pieniędzy na pierwszy mundur wyjściowy. Szukaliśmy więc pracy na okres wakacji, aby móc coś odłożyć. Najpierw udaliśmy się do Ubezpieczalni przy ulicy Hipotecznej, potem do Magistratu. I tu i tam odnoszono się do nas grzecznie, ale bez oczekiwanego efektu. Wszystkie miejsca były zajęte. Robiono nam nadzieję, bo mężczyźni byli powoływani do wojska i $\leftarrow \rightarrow$ proszono nas o adresy i personalia. W rzeczywistości w pierwszej dekadzie sierpnia otrzymałem powiadomienie z Ubezpieczalni, że mogę rozpocząć pracę, ale zbyt późno, gdyż byłem już w trakcie przygotowań do wyjazdu do JHP.

Lato ukazywało się w całej pełni. Chodziliśmy kupą na Czuby do Zemborzyc, Starego Lasu. Stałe towarzystwo obok mnie stanowiła Olga, Zenka, Irena, czasami Lutek i jeszcze ktoś. Było wesoło, zdrowo, przyjaźnie. Nikt, ale to absolutnie nikt z nas nie przewidywał tej tragedii, która stała u wrót kraju, chociaż w kinach wyświetlano filmy o treści wojskowej i wojennej, a jako dodatki pokazywano ciągle ćwiczenia i defilady naszej armii. Z murów patrzył na nas Śmigły-Rydz jeszcze "ze wszystkimi guzikami" w aureoli samolotów na niebie. Wojsko śpiewało nie znaną mi przedtem piosenkę, którą o ile dobrze pamiętam, brzmiała:

"Marszałek Śmigły-Rydz
nasz drogi dzielny wódz
pokaże jak najefektów tłum.
Nikt nam nie zrobi nic,
nikt nam nie ruszy nic,
bo z nami, z nami, z nami Śmigły-Rydz."

Na ulicach było dużo polowych mundurów. Ciągłe odbywały się uroczystości przekazywania przez ludność i zakłady pracy, broni zakupowanej z dobrowolnych składek dla wojska. Ale z drugiej strony 2 pułk piechoty legionów poszedł normalnie na swoje letnie manewry w swój stały rejon koło Żepiennika, żegnany z entuzjazmem przez całą ludność Lublina. W teatrze grano bliżej nieznaną sztukę "Mobilizacja", a za reklamę posłużyły oklejone plakatami auta ciężarowe, 
w Dowborczykami w malowniczych mundurach, sznurach i przy szablach. Śmiano się trochę z tych dziadków z szabłami, których mobilizacja powinna ominąć.  Natomiast podlubelscy Krakusi, czego przedtem nigdy nie było, pojechali konno na manewry z 3 pułkiem piechoty legionów. Wszystko raczej odbywało się na wesole, piknikowo, przynajmniej w moim kręgu znajomych i jeśli mówiko się o wojnie, to raczej jak o jakiejś wesołej eskapadzie, czy też o wycieczce.

Telek pojechał na te swoje kursy lotnicze. Zbyszek był w trakcie przeprowadzki do Krakowa, gdyż jeszcze wiosną jego matka i przyrodnia siostra wyjechały tam na stałe. Właśnie następował u niego pierwszy akt tragedii osobistej, której kurtyna została podniesiona dopiero po pierwszym wrześniu. Ojciec jego był pochodzenia niemieckiego, a ściśle austriackiego, i czasie I wojny światowej walczył jako oficer austriacki i zmienił nazwisko. Nieraz zastanawiałem się, czy on coś

już wtedy wiedział lub przeczuwał, bo wcale się z tym nie krył.

Po wyjeździe matki Zbyszek został w Iablinie tylko ze względu na maturę. Wybierał się do kawalerii.

Lutek pojechał na pierwszy turmie JHP na Śląsk. Obiecał mi solennie wszystko opisać, jak tam jest, co robi, a tymczasem otrzymałem od niego lakoniczną kartkę i nic więcej. Po powrocie ogólnikowo tylko powiedział, że budowali fortyfikację, ale gdzie, jakie? Nie. Była to tajemnicą wojskową i mogiła.

Czasami spotykałem "Wandę" /Władek Skugecki/, ale przeletnie, on też coś przebąkał o Krakowie. Mordarscy już dawno wyjechali do Nadowie i zostali sam z tak zwanej męskiej pięci, a tu lato jakiego nigdy chyba już później nie było.

Nimo upałów dawałem jeszcze trochę korepetycji, ale przede wszystkim korzystałem z wody i lasu. Jak woda, to Czuby, jak las, to Zemborzyce. Chodziliśmy tam najpierw z Olgą i Ireną, potem doszła jeszcze Zenka, czasami /po powrocie z JHP/ Lutek i inni, ale już dorywczo. Siedzieliśmy do późnego popołudnia, potem szliśmy do domu, a wieczorem apotykaliliśmy się w Saskim Ogrodzie. Ulubionym naszym miejscem był tam placyk z jedną prowadzącą do niego dróżką zwany przez nas "rondelek". I tak ^{mijał} tydzień za tygodniem bez żadnych przeczuć o zbliżającym się kataklizmie. Nadchodził wrzesień. Oczekiwałem przede wszystkim na skierowanie do JHP, a potem już do podchorążówki.

W Junackich Mufcach Pracy

W sierpniu wrócił ~~już~~ Lutek z JHP i Polek ze swoich kursów. Rozpoczął się już na tępy turnus junaków, a u mnie nic. Zdegustowany tym wybrałem się sam do PKU po wiadomości. Tu bez trudności dowiedziałem się, że zostałem przydzielony na drugi turnus, to jest od 15 sierpnia, tak jak większość maturzystów z Batorego. Co do podchorążówki broni pancernych, to jeszcze nic nie było wiadomo. Około 10 sierpnia dowiedziałem się od kilku kolegów, że dostali już wezwania oraz rozkazy wyjazdu do Osowca na 15 sierpnia, a ja znowu nic. Pobiegłem do PKU. Tam okazało się, że wezwanie do mnie zostało wysłane, ale nie pod mój adres, lecz do Gminy Konopnica przy ulicy Leszczyńskiego, a to dlatego, że druga połowa ulicy Puławskiej należy już do Gminy, a nie do miasta. W Gminie jeszcze nic nie otrzymali. A pewna "życzliwa" koleżanka zaczęła już rozgłaszać, że wezwania nie otrzymałem, ponieważ nie nadają się do wojska. Takie to były wtedy te nasze ambicje.

Rano 13 lub nawet 14 sierpnia dowiedzieliśmy się, że 8 pułk w nocy po cichu, bez orkiestry, powrócił nagle z letnich manewrów. Wokół koszar pułku panowała kompletna cisza, wojsko jak nigdy dotąd w biały dzień spało. Ten cichy powrót wojska do koszar dał ludziom najwięcej do myślenia. Lublinianie pamiętali coroczne uroczystości powitania żołnierzy przez ludność i młodzież, gdyż 8 pułk wracał z manewrów. Zwykle odbywało się to późnym wieczorem. Krakowskie Przedmieście zapchane było ludźmi, pełno kwiatów, muzyki, dostojnych pań i panów. Ludzie obdarowywali żołnierzy kwiatami, słodyczkami i papierosami, a szara brata żołnierska płynęła Krakowkin. Przedmieściem i Alejami Racławickimi w kierunku koszar. Było dużo serdeczności, uśmiechów i okrzyków powitalnych.

Dzień 15 sierpnia święto Matki Boskiej, zawsze obchodzony był uroczystie z udziałem wojska, z masą polową i orkiestrą. Tym razem uszczono skromnie i bardzo krótko. Masę odprawiono na placu katedralnym, a 8 pułk wystawił tylko jedną kompanię honorową, która zaraz po mszy wróciła do koszar. Ludzie mówili, że mimo święta policjanci biegali po ulicach i mieszkańcom roznosili imienne kartki powołania do wojska. Atmosfera nerwowości wzrastała.

Dłużej nie wytrzymałem w tej niepewności. Pobiegłem znów do gminy - nareszcie było wezwanie. Wręczył mi je sam wójt gminy Konopnica - Ridiger, używając przy tym napuszczonych słów. Prosto stamtąd pojechałem na dworzec, żeby dowiedzieć się, o której odchodzi najbliższy pociąg do Osowca. Nawet nie wiedziałem, gdzie leży ten Osowiec. Pociąg odjeżdżał o dziewiętnastej przez Brześć Litewski.

Ojarnieja miał ogromną radość. Czasu było tak mało, a miałem jeszcze tyle spraw do załatwienia. Na szczęście w domu już wszystko czekało przygotowane. Jakoś podświadomie czułem, że coś się kończy i coś nowego się zaczyna, ale co? Wojsko? Wojna? Czy jeszcze coś innego? Zamiast do domu pobiegłem na Czuby, z dworca było niedaleko. Wpadłem ziajany na nasze stare miejsce. Był 16 sierpnia, pochmurno, kąpiących się jak na lekarstwo. Usiadłem, popatrzyłem na rzekę, młyn, tor wysięgowy i nagle poczułem, że to takie bliskie i przyjemne. Tyle tu spędziłem godzin i dni, przez te miodziencze lata. Ktoże to przeczucie dorosłości i pożegnania lat dziecińczych? Znów spojrzałem na to całe otoczenie.

Czas gonii. Z Czubów pobiegłem na Narutowicza do Polka, aby mu powiedzieć o odjeździe. Wyznaczyliśmy spotkanie na dworcu o osiemnastej. Polek miał wszystkich powiadomić.

Jeszcze wpadłem do Iry na Snopkowską, do Oli i Zenki - nie zastałem ich, ale była matka. Pożegnałem się, mówiąc o spotkaniu na dworcu, i prędko wróciłem do domu. Zastałem tylko matkę. Czasu nie zostało za wiele. Zjadłem obiad i kończyłem pakowanie. Nie wiedziałem tylko, gdzie schować pistolet. Miałem szóstkę i trochę naboju. Na szóstkę zamieniłem się ze Zbyszkiem Olszowakiem za oryginalnego Colta, lekko uszkodzonego. W ostatniej chwili wsadziłem to małenstwo między książki do szuflady. Przy okazji natknąłem się na swój album ze zdjęciami, które pieczokowicie wklejałem, gdy tylko poznałem ich wartość. Włożyłem go do walizki, bo przecież za ^{całe} tydzień planowałem powrót do domu, a na obozie będzie na co popatrzeć. Pożegnałem się tylko z matką, bo ani ojca, ani sióstr nie było w domu - nikt przecież, łącznie ze mną, nie wiedział, że wreszcie tego ranka, wyjadę na obóz junacki.

Koko koszar wsiadłem do autobusu.

Dworzec był pełen ludzi. Panował gwar i krzyk. Cała nasza paczka stawiła się w komplecie. Ira, Ola, Zenka, Lutek, Polek i Janusz. Zbierało się na burzę, pierwszą chyba tego lata. Niebo stawało się coraz ciemniejsze. Pożegnaliśmy się szybko. Pociąg już stał. Wszedłem do przedziału. Perajna przeskoczyła na drugą stronę torów, pod jakiś daszek. Powoli ruszaliśmy już, gdy niebo rozdarł straszny grzmot - nomen omen. Lnął deszcz a za strugami wody, na tle budynku, ta kochana pachka wymachiwała rękami i posyłała ucałowania. Tak się skończyły moje ostatnie wakacje. Tak wzruszająco zakończyła się moja sztubacka młodość. Po drodze już zastanawiałem się, czy te grzmoty i ta wielka burza miały zapowiadać charakter mojej najbliższej przyszłości? Co miała ona przynieść?

Zmierzech gapiadł jakos szybko, może przez tę burzę. Poczulem gżód tak po prostu. W przedziale nie było nikogo, a w wagonie zaledwie kilkoro ludzi. Po chwili wsedł konduktor, podałem mu rozkaz wyjazdu wraz z biletem. Spojrzał na mnie uważnie, a oddając bilet, zasalutował tak jakos dzianecko. Tak to przynajmniej widziałem - poczulem się dorosłym. Powiedział, że w Brześciu nastąpi przesiadka.

Późnym wieczorem dojechaliśmy do Brześcia. W przeszłości dużo nasłuchałem się o tym leżącym nad Bugiem mieście. Była to duża twierdza i duży garnizon. Przerwa w podróży dawała możliwość zobaczenia miasta. Szybko jednak wróciłem na dworzec, była noc i wszystko pozamykane. Wkrótce zresztą miałem pociąg.

Jechałem dalej. Nie wiem, kiedy to było, ale obudził mnie policjant z paskiem pod brodą i zapowiedział, że mam zasunąć firanki w oknach i nie wyglądać. Znowu byłem sam w przedziale. Zdziwiłem się, ale bez słowa wypełniłem polecenie. Było już rano. Między firankami migaly tylko pola i drzewa. Po jakimś czasie przyszedł znowu policjant i pozwolił odsłonić firanki. Gdy spytałem go, co to było, odpowiedział, że to tajemnica wojskowa.

Koło południa zakończyła się moja podróż koleją. Wsiadłem na nałej stacyjie, Grajewo. Stał tam krótki skład towarowo-osobowy bez lokomotywy, zamieniony na ko zary. W nich zgromadzone było wojsko, broń pancerna, sporo żołnierzy z pomarańczowymi otokami. Grajewo leżało przy granicy pruskiej i było stacją, a raczej stacyjką graniczną. Spytałem o Osowiec. Policjant grzecznie zapytał o powód mojego przyjazdu i poinformował mnie, że do Osowca nie ma kolei, a chcąc dojechać tam, trzeba wyjść na drogę, które dość

często jeżdżą samochody wojskowe. I rzeczywiście. Przy niedalekiej drodze dostrzegłem kilka znajomych postaci z Lublina - Perdek Falkiewicz, Lis, Goldanowski. Wszyscy jechali do JHP. Okazało się, że nie stacjonował on w Osowcu, a niedaleko stamtąd w Gonigdzie. Byłem już spóźniony o dwa dni. To już 17^{tego} sierpnia. Jechaliśmy inną drogą.

Po krótkim czasie nadjechało auto ciężarowe, na nim żołnierz w rogatywce z czarnym otokiem. Wpakowaliśmy się szybko na wierzch i w drogę. Nie była ona zbyt odległa i wkrótce wylądowaliśmy przed dużym budynkiem z nieotynkowanej czerwonej cegły. Z tyłu duże namioty, jakieś budynki parterowe, boisko sportowe, stoły, ławy powbijane w ziemię - jednym słowem obóz z charakteru i otoczenia raczej tymczasowy. Była to niewykończona szkoła. Wokoło raczej cicho i pusto. Dyżurny junak w śmiesznych kapeluszu i mundurze drellichowym, skierował nas na I piętro do kancelarii.

Wchodziliśmy pojedynczo ze swoimi rozkazami wyjazdu. Ze środka słychać było podniesiony głos, stukanie obcasów i za chwilę wyskakiwał na korytarz czerwony delikwent. Wszedłem i ja. Przed stołem stał mężczyzna w mundurze wojskowym. Miał około trzydziestu pięciu lat. Był elegancko ubrany z dziwną czteroramienną gwiazdką na patce drellichowej bluzy. Był to przodownik, według nazewnictwa JHP - Skowronek. Zameldował się przepiślowo jako starszy junak. Powstał wielki krzyk z powodu mojego dwudniowego spóźnienia. Całe szczęście, przypomniałem sobie, że na odwrocie rozkazu wyjazdu miałem odnotowaną przez sekretarza gminy datę wręczenia mi dokumentu. Pokazałem i to go trochę uspokoiło. Zaczęła się prawie normalna rozmowa. Dowiedziałem się, że nie jestem żaden starszy junak, a tylko młodszy z cenzusem, że jestem w 36-tej kompanii 12 batalionu JHP, że miejscowość nazywa

się Gonieda i leży w pobliżu twierdzy Osowiec. Dalej, że kompania już od dwóch dni ciężko pracuje, aby wyrobić swoją normę a także za mnie i mnie podobnych. Był on dowódcą tejże kompanii, która składała się po połowie z junaków z cenzusem i bez cenzusu. Miałem natychmiast zgło się do szefa i do magazynu po umundurowanie tak, aby po obiedzie stanąć do pracy i zapracować na ten chleb, który mi państwo dawako. Wyszedłem na korytarz. Było już pusto. Szukałem szefa magazynu, a śmiechy moich kompanów pokazywały mi drogę. Gdzieś w końcu budynku moi poranni kompani przy mierzali już mundury, zwyczajne wojskowe dreluchy, trochę już zniszczone. Buciory, lekka bielizna, kąpielówki, sweter i, co najważniejsze, ten komiczny kapelusz, który już widzieliśmy. Przy mierzaliśmy i pasowaliśmy. Największe kłopoty miał Lis, bo obkropisko było duże, raczej tegie, a przy tym szef nie dał za dużo grymasiów. W innym budynku wydano nam junacką "broń", którą były łopaty czyste i zakonserwowane jak najlepszy karabin. W końcu doszliśmy do sypialni. Tam, w dużych szkolnych salach, stały drewniane piętrowe prycze. Własne rzeczy spakowane w worki zdaliśmy do magazynu.

Do miejsca zakwaterowania zbliżała się kompania kapeluszników z błyszczącymi łopatami na ramieniu. Z początku nikogo nie poznawaliśmy. Mundur i kapelusze poznieniały ludzi. Byli to nasi lubliniacy, razem z junakami bez cenzusu, sto kilkadziesiąt osób. Wtedy to po raz pierwszy usłyszałem śpiewaną przez kompanię pieśń "Przyśledź nam rozkaz ruszyć do boju..." Mimo naiwności słów miała ładną chwytliwą, a najważniejszą, że marsezową melodię. Śpiewaliśmy ją chętnie jako junacy a potem jeczose w podchorążówce. Nazywaliśmy ją "o wpół do drugiej godzinie" i stała się synonimem

czegoś, co się szybko zaczyna, ale źle kończy. Jako "zapiewajko" wystąpił Stasiak Mikowski.

Junacy z cenzusem szli na czele, Junacy bez cenzusu byli w naszym wieku lub młodszy, gdyż starsze roczniki odbywały już normalną czynną służbę wojskową. Tak się złożyło, że ostatni normalny pobór do wojska dokonano w 1938 roku i poszedł wtedy rocznik 1918.

Kompania przedefilowała przed nami ze swoimi kapatkami na plac ćwiczeń i rozpoczęła musztrę w szyku zwartym. Chwyty bronią, zwroty, marsz, marsz defiladowy, aż murawa jęczała. Nie wiedzieliśmy, czy dowódca kompanii popisowywał się przed naszą gromadą, czy też były to normalne ćwiczenia.

Wyglądało na to, że cała ta musztra przeznaczona była przede wszystkim dla cenzusowców, którzy powinni wiedzieć, po co przyjechali. Ci bez cenzusu w tym wypadku odwalali swoją robotę na trójkę, oglądając się raczej na kuchnię, skąd dochodziły charakterystyczne zapachy.

Musztra wreszcie się skończyła i wszyscy zbieżeni, z płamami potu na mundurach, biegli w naszym kierunku do koszar. Nikt specjalnie z nami się nie witał, mimo że tyle razy mieliśmy ze sobą już do czynienia w tym szkoleniu wojskowym, czy to na obozie przysposobienia Wojskowego /PW/ pod Puławami, sgrubowaniu PW, czy na nocnych ćwiczeniach. Wszyscy biegli w jednym kierunku, poszliśmy i my wolno za nimi. Okazało się, że ten galop prowadził w kierunku kantyny, która teraz otwierала swoje podwoje. Każdy zasławił to samo - lemoniadę jedną lub dwie butelki. No w tym upale to nic dziwnego. Co to była za lemoniada, jakaś zielona o specyficznym zapachu, inna od tych w Lublinie, wspaniała. Nie wiem, czy to słodko sprawiała, czy ciężka robota, czy też brak czegoś innego.

coś że całe kieszonkowe szło na tę lemoniadę. Przez cały czas pobytu nigdy nie byliśmy nigdzie w miasteczku, z wyjątkiem przemarszów do pracy nad Biebrzą oraz na mszę do kościoła.

Zaraz poznałem swego sąsiada na prycy. Chyba był to Felek Dremnowski, a może Łdziałek Polakowski. Potem zbiórka i wyruszyliśmy dwójkami po obiad. Kuchnia mieściła się za placem ćwiczeń, w jakimś prymitywnym budynku. Obok niej rozmieszczono długie stoły i ławy grubociosane. Porcje były duże, mięsa też było sporo, ale niestety ani jedno, ani drugie praktycznie nie nadawało się do jedzenia. Mimo naszych skarg, do dowództwa i dyżurów w czasie służby w kuchni, wyżywienie nie zmieniło się do końca turnusu. Kucharzami byli junacy bez cenzusu, stale wykonujący tę funkcję, ale niestety źle. Nie widać było też żadnej troski ze strony dowództwa o te sprawy. W regularnym wojsku tego rodzaju sytuacja była nie do pomyślenia. Przypomniałem sobie zaraz o moim smalcu, który na razie wstydliwie ukrywałem w walizce. Po obiedzie obowiązkowo była godzina spania, potem zbiórka i do pracy. I ja szybko dołączyłem ze swoją łopatą. Wszyscy byli jacyś inni, bardziej poważni. Nie było też żartów i pokpiwań, tak normalnych przedtem. Moje pytania o pracy, nastrojach i kadry sbywano jednym określeniem - zobaczymy, z takim ważnym podtekstem, że nie ma z czego się cieszyć.

Ruszyliśmy ze śpiewem. I jak zwykle na pierwszy ogień nieśmiertelna Sawsierra

Z ciekawości przyglądałem się trasie przemarszu, chociaż nie były to żadne Pola Miłzejskie, ale zawsze nowość. Miasteczko mijaliśmy bokiem zaraz obok kapliczki i kościoła. Tu zaintonowaliśmy pieśńkę: "Rano, rano, raniusieńko..." Po chwili byliśmy już za miasteczkiem między stodołami. Spoj

rzeker na wprost. Przede mną leżała szeroka, bardzo szeroka dolina Biebrzy. My staliśmy na wysokiej górze. Nie wiem, ile wynosiła różnica wysokości między doliną i górą - ale minimum 20 metrów. Materiał góry stanowiła glina ze ściełkami wśród murawy i chwastów, wypisz wysaluj, jak na strzelnicy garnizonowej w Lublinie. Z góry rozciągał się widok na rzekę i hen na lasy już po stronie niemieckiej, czy też pruskiej. Tam, poza lasami, nie było nic widać, żadnego ruchu. Mieliśmy całkowity wgląd na całą stronę. Udział daleko, dopiero na skraju horyzontu, widać było wieżyczkę kościoła.

Koledzy, którzy byli tu już dłużej ode mnie, ujawnili mi plany co do doliny Biebrzy i naszej pracy tutaj. Otóż dolina leżąca w całości po stronie polskiej przygotowywano do zalania. Dzięki temu bowiem stanowiłaby dla nieprzyjaciela trudną do przebycia bez środków przeprawowych przeszkodę. Na uskoku wysokiego prastarego brzegu Biebrzy, czyli pod opisywaną przeze mnie górą, budowano linię obronną składającą się z jednolitych żelazobetonowych bunkrów z wieżami nieobrotowymi, ze strzelnicami dla fortecznych, najcięższych karabinów maszynowych umieszczonych na stałych podstawach.

Linia tych bunkrów nazwana została linią "P" od nazw poszczególnych bunkrów, a więc Piotr, Paweł itd. W lewo dochodziła ona aż do twierdzy Osowiec. Siłą roboczą tej linii stanowił 12 batalion JHP oraz cała masa cywilnych robotników i specjalistów. Komendę nad całością sprawował wojsko nasz odcinek prowadził kapitan saperów, który swoje biuro miał w naszej szkole - koszarach. Z cywilnymi robotnikami spotykaliśmy się tylko na budowie. Cały materiał dowożony był wielkimi ciężarowymi samochodami, jakich nigdy przedtem nie widziałem. Szczególnie ciężką rzeczą było dowożenie po tych glinach i piaskach wielobetonowych stalowych wież, aż na

miejsce budowy.

My junacy wykonywaliśmy w zasadzie tylko prace ziemne z pomocą łopaty i taczki. Codziennie wyznaczano każdemu lub całej grupie dwóch trzech junaków, datując do wykopania i wywiezienia ziemi. Jeśli była to robota grupowa, to dopieraliśmy się po znajomości, aby pracy szła dobrze, szybko i bez leserowania. Muszę powiedzieć, że nigdy nie miałem trudności z dobraniem sobie towarzyszy, może dlatego, że praca z łopatą i taczka nie była dla mnie niczym nowym. Przecież i koło domu stale coś się kopało. Wyznaczoną normę wykonywałem więc zawsze przed czasem. Ani razu nie miałem bąbli na rękach, które były powszechnym zjawiskiem u innych. Cała tajemnica polegała na umiętnym trzymaniu łopaty, czego już dawno nauczył mnie ojciec. Pracując łopatą należało trzonkiem trzymać lekko, elastycznie, więcej palcami niżeli dłonią nie przesuwac bez potrzeby dłoni po trzonku, aby nie wytwarzać nadmiernego tarcia i często słuwać w dłonie, co ochładzało je i dawało lepszy poślizg.

Dla nie przyzwyczajonego do pracy fizycznej, a takich była większość, niełatwo było wykonać nakazaną normę, zwłaszcza jeśli wywóz ziemi był daleko, a do tego to słońce. Takiego prążenia nie doznałem nigdy potem. Pot lał się z nas. Tu dopiero docenialiśmy białe osławienie kapeluszy, zwłaszcza że nasze stanowiska na stoku góry stanowiły niesłą patelnię. Tu nie było już śpiewów, ani zbyt wielkich śmiechów, chyba że komus wywróciła się taczka, albo gdy przy podrzucaniu jej w górę i przy wysypywaniu ziemi - sam leciał twarzą w dół po stoku góry. Na szczęście dawałem sobie radę i miałem czas na buszowanie po wiosce w poszukiwaniu mleka czy pomidorów.

Cała góra była zabudowana zagrodami chłopskimi w ten sposób, że stodoły stały na jej skraju wrotami w dół a wjazd do zagrodzi był po przeciwnej stronie i wraz zabudowaniami mieszkalnymi tworzył naturalną uliczkę. Biegając po zagrodach nagle stwierdziłem, że w tych stodołach stoje zamaskowane działa polowe i wystarczyło tylko otworzyć wierzaje od strony doliny, aby ich paszczę groźnie spojrzęły na drugi brzeg. W obejściach nie widać było wcale wojska, czasem po podwórzu przechodził sobie ktoś tylko w koszuli i bez czapki. Jedynie po butach z cholewami można było rozpoznać, że to wojak i artylerzysta. Tam, na skłonie góry przy bunkrach, nie miało się pojęcia, że ktoś czuwa i przez lornetki patrzy na drugi brzeg. W wiosce, ani w miasteczku nie odczuwało się żadnych nastrojów wojennych i gdyby nie te działa, to nasza robota na dole wyglądałaby jak każda inna.

W dniu mojego przyjazdu stan budowy bunkra, przy którym pracowała 36 kompania, był zaawansowany. Z głębokiego dołu wystawały drewniane oszalowania fundamentu. Między te oszalowanie przez dwie zmiany lało beton, czyli mieszaninę cementu i grubego żwiru. W miarę postępu prac oszalowanie podnoszono starannie w górę, tak że wgląd w to, co robiono między tymi drewnianymi płotami był tylko z góry. Z niemieckiego brzegu na pewno widać było tylko elementy płotu, zresztą zasłaniały go też wysokie, stare topole rosnące wokół. Nasz bunkier, o ile dobrze pamiętam, miał nazwę Piotr.

Pracami junaków kierowali podoficerowie z JHP oraz czasami nasz dowódca z tą czteroznakową gwiazdką. Czasami podjeżdżał z nami san komendant budowy, kapitan saperów, rozmawiał z nami, ale jakoś tak nie po wojskowemu. Innych wojskowych nie widzieliśmy, ani tutaj, ani w koszarach. Mimo

wielkiego pośpiechu, robota szła sprawnie i raczej cicho, nie było żadnych pokrzykiwań i hałasów, a wyjątkiem amochodów ciężarowych. Z początku trudno było się zorientować, jaką część budowy wytwarzają junacy. Rozstawieni byliśmy w dwóch grupach po obu stronach bunkra. Na razie pracowaliśmy osobno naturzyści i junacy bez cenzusu. Od razu widać było, gdzie są cenzusowcy, a gdzie pozostali junacy. Oni umieli się obchodzić z ziemią, taczką i łopatą i częściej odpoczywali. U nas, aby wyrobić normę, przynajmniej na początku, była szarpanina. Trwało to niedługo, potem te różnice się zatarły.

Właściwą jednak pracę przy bunkrze wykonywali robotnicy cywilni, którzy już pracowali, gdy my przychodziliśmy, jeszcze pracowali gdy my odchodziliśmy. Potem całą noc kobiety polewały wodą korpus bunkra, aby secht wolno, jednolicie, a beton nie pękał. Robotnicy w większości byli ludźmi pozamiejscowymi. Główną ich pracą było wyrabianie i wylanie betonu w drewniane oszalowania oraz jednoczesne wmontowywanie części stalowych w beton, jak drzwi, ramy, czy konstrukcje stalowe. Nas nawet nie wpuszczano za parkan. Bunkier, już gotowy, zobaczyliśmy dopiero po zdjęciu drewnianego płota. Ja jeden widziałem z góry tę mroźną współpracę. Nawet, gdy wspomniany kapitan saperów podjeżdżał swoim żakikiem, tempo pracy nie wzrastało. Zawaze było równe. My, junacy, zatrudniani byliśmy przeważnie na jedną zmianę, od godziny siódmej do trzynastej, potem maraz, obiad i inne zajęcia. Później dopiero pracowaliśmy również na zmianie popołudniowej. Dzień mieliśmy wypełniony po brzegi. Pobudka była o szóstej rano. Potem biegłem do naszego strażnika, który płynął w pobliżu koszar na sydzie, gimnastyka, śniadanie

i wymarsz na robotę, powrót na obiad. Po obiedzie, jeśli nie było roboty przy bunkrze, zajęcia w koszarach. Pranie mundurów, porządki i msztra z łopatami. Żadnych kontaktów, żadnych wycieczek, żadnych przepustek. Może na wcześniejszych turnusach mieli lepiej, ale ten nasz, już "wojenny", był taki.

Junaków z innych kompanii 12 batalionu JHP nie widywaliśmy. Pracowali przy wielu bunkrach. Mętne zarysy tych budowli zobaczyliśmy dopiero we wrześniu. U nas robota szła żywo. Bunkier rósł w oczach i powoli zaczynał się wyłaniać sens naszej roboty.

Mimo upałów nie wolno nam było chociaż kąpać się do Biebrzy.

Powoli zauważaliśmy, że z naszego kopania i wywołania wyłania się zarys rowu strzelniczego, który zaczynał się przy oknie bunkra i rozszerzając się coraz bardziej, wychodził ukosem aż na dolinę. Po usunięciu topól i innych nierówności terenowych, zobaczyliśmy taki sam rów idący w naszym kierunku od innego bunkra. Układ bunkrów i ognia broni maszynowej w naturalny sposób wiązał się ze sobą. Bronią doliny Biebrzy i dostępu do bunkrów, tworząc jedną linię obronną. Na górze zaś, na razie drzewały wytropione przeze mnie działa.

Życie nasze biegło od pobudki do capstrzyku bez żadnych emocji. Zaczęły przychodzić pierwsze listy z Lublina, również my wysyłailiśmy. Byliśmy dumni, że za znaczek przeliciliśmy mniej niż normalny obywatel, gdyż na kopercie nasza

x/ Fakt budowy linii uroczeni nad Biebrzą, na granicy prusko-polskiej potwierdził Felicjan Majorkiewicz w "Dane nam było przeżył", Pax, 1972. W czasie kampanii 1939 roku był on oficerem Sztabu Samodzielnej Grupy Operacyjnej /SGO/ "Narew".

kancelaria przystawiało stempel "Junackie Hufce Pracy".
36 Kompania Pracy" oraz "Ulga wg poz. 16 taryfy pocztowej"

Pod koniec sierpnia, po dwóch tygodniach, zgodnie z przyjętą praktyką w JHP, junaków z cenzurem, czyli maturzystów, wymieszano z kolegami bez tegoż cenzuru, jak ja ich nazywałem - zawodowymi.

Nie wywodziłem się z arystokracji, ani wysoko postawionej rodziny urzędniczej, a ciągłe bywanie u rodziny ojca, czy też matki na wai, pozwoliło mi szybko nawiązać kontakt z kolegą obok. Okazał się nim bardzo sympatyczny Józef Osiek, również jak ja rocznik 1919. Pochodził z jakiejś wioski z kieleckiego i jego największym marzeniem było dostać się do regularnego wojska i do szkoły podoficerskiej. Taka była \leftarrow większość tej młodzieży junackiej, wywodzącej się w *dużej części* \rightarrow z przeludnionych wsi. Tutaj do JHP, przyszła za chlebem, a potem za zawodem, którego w wojsku łatwiej było się nauczyć. Mój sąsiad otworzył mi oczna szereg rzeczy w kompanii, na które dotąd nie zwracałem uwagi, szczególnie na kuchnię. Oni też widzieli, że nie było dobrego nadzoru ze strony dowództwa kompanii. Od tego dnia razem maszerowaliśmy do pracy i po posiłki. Tylko przy formacji tak jakoś się układało, że każdy z nich wolał mieć za współnika do normy swojego, niżeli nas cenzusowców. Nie uważałem, aby któryś z nas, lubliniaków, był niezadowolony z tej organizacji lub miał jakieś uwagi. Ta demokracja nikomu nie zaszkodziła, a wręcz wyszła na dobre.

A tymczasem nasz fort rósł jak na drożdżach. Któregoś ranka po przybyciu na miejsce stwierdziliśmy, że wieża została już osadzona i zatopiona w betonie, a samochody zaczęły zwozić całe pryzmy kamieni polnych. Po wrzuceniu ogrodza

nia między bunkrem a wykopen ukazała się parometrowa, pusta przestrzeń, którą zasypywaliśmy tymi kamieniami. Kamienie odciągnęły wysokość bunkra, a potem sypało je na jego okrągły dach, na grubość około jednego metra. Dopiero to przykrywano ziemią i darnią. Z terenu wystawała tylko wieża bunkra i to nie za wysoko, gdyż samo jego położenie było wyższe aniżeli pole ostrzału, to znaczy dolina Biebrzy. Gruba stalowe nieobrotowe wieże były wbetonowane na stałe, a wąziutkie szczeliny służyły tylko dla celów obserwacyjnych. Wejścia do bunkra broniły ciężkie stalowe drzwi oraz skośne strzelnice po obydwu ich stronach. Drzwi były ponadto zasłonięte skłonem góry od strony Goniądza, na górze - artylerię. Z punktu widzenia obronności i konstrukcji bunkry były zabezpieczone nawet przed ciężkim ostrzałem artyleryjskim, czy też bombardowaniem lotniczym. Konstrukcja i położenie były ich głównymi atutami.

W rejonie "Osowca" były przynajmniej dwa ukończone całkowicie bunkry na odcinku miejscowości Goniądz. Były to bunkry "Piotr" i "Paweł" /ten drugi nie miał zdjętego tylko płotu ochronnego/.

- 1.IX. 39 - Wybuch wojny.
- 2.IX. 39 - Spowiedź.
- 3.IX. 39 - Komunia św.; praca.

Przed 1 września nie wiedzieliśmy nic więcej aniżeli to, co przywieźliśmy z Lublina. Nie było ~~ani~~ radio, ani żadnych gazet, ~~ani~~ żadnych pogadarek, ani przyjezdnych osób. Jak w każdy inny dzień rano, 1 września, kolunę, ozwórkami z łopatkami na ramieniu pomaszerowaliśmy do naszego bunkra. Jak co dzień do obiedu odwalaliśmy swoją normę i jak co

dzień wróciliśmy do koszar. W czasie normalnego przemarszu skrajem Goniądza zwróciliśmy jednak uwagę na niecodzienny widok policjantów ubranych w czapki policyjne, ale mundury wojskowe z długimi francuskimi karabinami na ramieniu, przedłużonymi długimi trójgraniastymi bagnietami. Po obiedzie, jak zwykle, szenie, potem pranie i suszenie mundurów na słońcu, pisanie listów i rozmowy. Dopiero o dwudziestej pierwszej na apelu wieczornym między "Ojciec nasz" a "Wszystkie nasze" dowiedzieliśmy się od kadry, że wybuchła wojna. Nikt w to oczywiście od razu nie uwierzył, więcej było po wątpiewań niż pewności. Od razu też jako przytyk i prześmiewanie naszych informatorów, ktoś z nas, chyba Felek Dremnowski, przypomniał, jak to nasz znakomity sprawozdawca radiowy i sportowy Trojanowski z relacji z meczu piłki nożnej Polska - Niemcy w Warszawie w 1939 roku wykrzyknął rozpaczliwie do mikrofonu: "O Boże, Niemcy atakują". Głos poszedł w eter i w Polskę. Jego rozpaczliwe zawołanie miało jakoby sprawić, że w wielu wsiach chłopki zaczęły zaprzęgać konie, aby zawczasu wywieźć dobytek do lasu i ukryć przed wojną i nadejście-jącymi Niemcami.

Rano 2 września mało kto już pamiętał o tym, co mówił przełożeni. Jak zwykle ponaszerowaliśmy do naszego bunkra. Tym razem, oprócz śmiesznych policjantów, zobaczyliśmy na płotech olbrzymie afisze ogłaszające powszechną mobilizację. Kilku podskoczyło i szybko przeczytało je. Słowo stało się ciałem, fakt zaistniał. Pracy robociej było dużo gadaniny raczej radosnej i beztroskiej. Spoglądaliśmy teraz w stronę Osowca. a tam nic, żadnych odgłosów dział ani kanonady a i nasze działa na górze też spakły w stodołach. Wokół południa wzdłuż naszej linii bunkrów wysoko przeleciał jakiś srebrny

ty samolot. Zadarliśmy wszyscy głowy, na chwilę robota zamierała. Gdy samolot zanurzył się w mały punkcik, usłyszeliśmy lub chcieliśmy usłyszeć, jakie karabinów maszynowych od strony Osowa. Było trochę komentarzy, czy to nasz, czy niemiecki, co on tu chce i czy to do niego strzelano? Ale wkrótce stanęliśmy na zbiórce i wróciliśmy na obiad do koszar. Po obiedzie gruchnęła sensacja, zamiast do pracy, czy na musztrę, mieliśmy iść całą kompanią do spowiedzi do Goniądza. Teraz uwierzyliśmy, że wybuchła wojna. Zaraz znaleźli się znawcy, którzy wiedzieli, że przed bitwą każdy jest w stanie udzielić rozgrzeszenia bez spowiedzi, a po zakończeniu brzmiało ono: "absolutio in articulo mortis." W kościele w Goniądzu nastrój był poważny bez żadnych kawałów. Jeszcze raz przeczytaliśmy plakaty o mobilizacji. Nas nie dotyczyły. My czekaliśmy na zakończenie formalności związanych z powołaniem do podchorążówek. Nikt nie przewidywał skrócenia turnusu, ani tego, co za parę dni miało nastąpić. W tym zaciszu, w którym wiadomość o wybuchu wojny dotarła właściwie dopiero 2 września. W niedzielę 3 września rano, po pobudce, poszliśmy wszyscy do kościoła na mszę św. i do komunii. Po powrocie dostaliśmy dopiero śniadania, takie samo jak zawsze, białą kawę i coś do chleba.

Po śniadaniu stanęliśmy na placu apelowym. Nasz znajomy kapitan saper, po odebraniu raportu od naszego dowódcy kompanii, stanął przed frontem i wygłosił krótkie przemówienie, mniej więcej tej treści: "Junacy, Niemcy napadli na nasz kraj w dniu 1 września o świcie. Nasze armie bohatercko odpierają wszystkie ataki, kawaleria nasza wdarła się nawet na jednym odcinku do Prus Wschodnich i tam goni wroga /Pruski/. Junacy, naszym obowiązkiem tu na ty od-

cinku frontu jest jak najszybciej ukończyć budowaną linię obronną i dlatego jest konieczność pracy również i dzisiaj, mimo że jest to niedziela. Proponuję, abyśmy razem wszyscy pomaszzerowali do naszych zajęć. Junacy, ci co idą dzisiaj do roboty - trzy kroki występ."

Cała kompania jak jeden mąż wystąpiła trzy kroki naprzód. Nikt nie oglądał się za siebie. Do dzisiaj nie wiem, czy ktoś nie wystąpił. My, lubliniacy, poszliśmy wszyscy, a i junacy bez cenzusu, nie byli gorsi. Szybko zamieniliśmy furazerkę na kapłusze, wzięliśmy łopaty w ręce i pomaszzerowaliśmy na budowę. Tam już byli robotnicy cywilni. Nie kopaliśmy ziemi, nie wozili jej taczkami, lecz wykonywaliśmy roboty porządkowe przy rowach strzelniczych. Dzień zleciał szybko. W miasteczku zauważyliśmy trochę większy ruch. Więcej dziewcząt na ulicach, ludzie świętecznie ubrani. Nic nie świadczyło o tym, że gdzieś tam biją się armie i giną żołnierze.

7.IX.39 - Wyjazd z Osowca, Białystok, Wołkowysk.

9.IX.39 - Przyjazd do Lidy, Koniec z cywilem.

Po niedzieli nic się nie zmieniło. Znowu pobudka, wymarsz, bunkier i praca. Słońce prażyło dalej i łopaty też błyszczały na musztrze jak dotychczas.

Jak każdego ranka, 7 września, znaleźliśmy się przy bunkrze. Tego dnia moja działka wypadła obok Lisa. Nieraz biegaliśmy razem na różnych zawodach, ale zawsze z nim przegrywałem. Wiedział o tym cały turnus i trochę nas podpuszczał na siebie. Chłop był jak niedźwiedź. Nieraz dla Bartów zapalciliśmy się ze sobą, ale to wyglądało mniej więcej tak, jakby antylopa chciała nagle pokonać słonia. Tego dnia wespół

zawoźnictwo poszło poszło o to, kto pierwszy wyrobi swoją normę w wywożeniu ziemi. Warunki mieliśmy jednakowe: wywieźć ostatnią kupkę ziemi, zakopać ją i ubić stopami. Był pierwszy

Tymczasem zauważyliśmy, że nasz saper podjechał łazikiem na pełnym gazie. Przy bunkrze powstało jakieś zamieszanie i wkrótce robotnicy cywilni szybko zaczęli opuszczać plac budowy. Wkrótce po tym nadjechała ciężarówka z oddziałem wojska w pełnym uzbrojeniu w mundurach polowych, ~~którzy~~ Część z nich została, część pojechała dalej. Niedługo potem zabrzmiała seria z broni maszynowej. Pobiegliśmy w tamtą stronę. To żołnierze pod komendą oficera przestrzeliwali swoje erkaemy. Teraz wszystko szło szybciej. Zdążyliśmy się ledwie zorientować, że to przybyła załoga bunkru, gdy do naszej grupy zbliżył się dowódca kompanii z zapytaniem, kto wykonał już swoją normę. Podniosłem ~~nią~~ rękę ja, podniosł ~~liś~~ i chyba jeszcze dwóch lub trzech innych. Kazano nam się zebrać na drodze i pod komendę podoficera naszej kompanii pomaszzerowaliśmy do koszar. Było południe, ale jeszcze nie pora naszego obiadu.

W koszarach zastaliśmy niecodzienny widok. Były obleżone robotnikami cywilnymi. Z rozmów zorientowaliśmy się, że wypłacają im należność za dotychczasową pracę i zwalniamy ich z miejsca do domu.

Na polecenie oficera pobiegliśmy zmienić kapelusze na furazerki i zgłosiliśmy się do magazynu. Tam już czekał podoficer mundurowy. Każdy z nas otrzymał karabinek, ładownicę i kilka paczek amunicji. Spoglądaliśmy na siebie trochę nieswojo. Tak jakoś nieregularnie zarzuciliśmy karabinki na pas i podążyliśmy za podoficerem. Po drodze dopiero, nieco osmieleni, zaczęliśmy go, wypytując dokładnie o wszystko.

Dowiedzieliśmy się, że idziemy na wartę do następnych bunkrów, bo kierownictwo budowy już zaczęło, a wojska jeszcze nie było.

Dokrzepieni duchowo, ścieżkami posuwaliśmy się w kierunku najbliższego bunkra. Nasz budaj nazywał się "Piotr", a zbliżaliśmy się do "Pawła". Ten "Paweł" był rzeczywiście niedaleko, to jego zarysy widzieliśmy ze strzelnic naszego "Piotra". Tutaj cały teren był jeszcze ogrodzony i wszędzie leżały te gązdy polne, którymi umacniało się, zwłaszcza przedpiersie każdego bunkra. "Paweł" nie był tak zasłonięty górą jak nasz, leżał na bardziej płaskim terenie na skraju wioski. Podoficer zaprowadził nas do jakiejś chałupki na skraju wsi, którą okazała się wartownią. Była pusta, otwarta i brudna. W pokoiku stały dwie drewniane prycze i stolik cały porożnięty kozikiem, a na ścianie wisiała ramka regularnego wartowniczego. Podoficer wyznaczył mnie na dowódcę warty przy tym bunkrze, dał mi do pomocy jednego kompana i poszedł dalej do następnego bunkra.

Sam nie wierzyłem, że można tak szybko, bez instruktażu, przeglądu obiektu, sprawdzenia posterunków załatwić sprawę. Podeszliśmy do płotu. Brama była zamknięta na kłódkę. Obeszliśmy bunkier, a raczej płot naokoło. Nie było ani żywej duszy, ani żadnej dziury, żeby wejść do środka. Wróciliśmy do furtki. Była otwarta. Stała w niej niepozorna dziewczynina z konewką w ręku. Okazało się, że po odejściu kierownictwa budowy i robotników - wartowników została ta dziewczyna. Należała ona do stałej obsługi bunkra. We trzy na zmianę polewały go dzień i noc wodą z tychże konewek.

Pozostawiłem kolegę przy bramie, a sam obleciałem bunkier dookoła. Wszystko było takie jak u nas, tylko roboty ziemne były jeszcze nie wykonane. Porozrzucany dok

za sprzęt potwierdził słowa dziewczyny o pośpiechu i popłochu opuszczających teren budowy. Nagle przypomniałem sobie, że wartownia została pusta. Postawiłem kolegę na warcie przy bunkrze i nakazałem mu pilnować, a w razie czego ma strzelać. Sam wróciłem do wartowni. Było pusto. Przeczytałem regulamin służby wartowniczej na ścianie, raz i drugi. Chciało mi się jeść. Po słońcu widziałem, że to już pora obiadowa. Niedaleko był sklepik. Na szczęście miałem przy sobie złotówkę, poszedłem i kupiłem kilo białego chleba. Sklepiarka wydała mi resztę, 50 groszy, grube, kanciaste i łakko zardzewiałe. Gdy oglądałem zdziwiony, uświadomiła mi, że to wojenne. I w ten sposób zobaczyłem pierwsze wojenne pieniądze. Chleb był niezłym placek świąteczny, już od miesiąca czegoś takiego nie miałem w ustach. Słońce przechodziło już na zachodnią stronę, poszedłem więc zmienić kolegę. Teraz on poszedł do wartowni, a ja do bunkra. Dziewczyna zaoferowała się pokazać mi wnętrze bunkra. Był jote w jotę podobny do naszego, klapy strzelnicze pozamykane, wilgoć, mokro, zimno. Na betonie leżało trochę skóry dla żołnierzy.

Wyszedłem na dwór, słońce już dobrze chowało się za horyzont. Zaczęłem sobie wyobrażać, jak ni stąd ni zowąd przez płot skacze Niemiec, ja do niego strzelam i po chwili w pełni chwaty okazuje się jedynym prawdziwym obrońcą bunkra. Nagle przy bramie usłyszałem głosy i trzaskania - teraz na serio. Już krzychałem stój, kto jest, stój, bo strzelam". Ni stąd ni zowąd przyleciała dziewczyna, trząkała się jak galareta. Za płotem trochę ucichło, ale zaraz zawołał: otwieraj, tu wojsko przyszło obsadzić bunkier. Odpowiedziałem, że: "bez rozprowadzającego nie wpuszczę!" Noż mi latały

i na wszelki wypadek schowałem się za jakąś kupę kamieni, a broń skierowałem na bramę. Dziewczyna gdzieś znikła, chyba uciekła do bunkra. Przy płocie uciekło. Ktoś wrtaż, gdzie ta wartownia? Już lepiej, pomyślałem błyskawicznie. Było ciicho. Słyszałem tylko jakieś kroki i przyciszone rozmowy. Nie wiedziałem co robić. Może to wojsko, przecież "Piotra" też już obsadziło wojsko. Dlaczego nie było nikogo z kompanii? Wszędzie ciemno, nawet gwiazd jak na szosie nie ma. Jeśli to obcy, a może dywersanci. Na szczęście płot mocny i wysoki. Takie myśli latały mi po głowie niczym błyskawice.

Znów zrobił się większy ruch koło bramy i nagle usłyszałem głos mojego kompana: "Tadek, otwieraj, wszystko o'key to nasze wojsko!" Poczujęm się, jakby mi ktoś skrzydła przypiął. Podbiegłem do bramy. Po chwili w furcie, mimo ciemności, zauważyłem nasze polówki i nawet jakąś gwiazdkę na ramieniu, oraz mojego kolegę na czele. Rzeczywiście przyszło chyba ośmiu czy dwunastu żołnierzy, wszyscy rocznik poborowy, wszyscy w operządzeniu. Ich dowódca, młody podporucznik wypytywał o bunkier i jego wyposażenie. Ogarnął mnie pusty śmiech, bo przypomniałem sobie o garstce słomy, które tam widziałem. Zaprowadziłem go jednak do wejścia. W bunkrze nie było czego oglądać. Wyszliśmy więc na dwór. W otwartej furcie stała kupa dzieci, bab, słychać była głosy chłopów. Jakiś podoficer wyaniał ludzi, po czym wydał komendę nawołującą do zbiórki. W chwilę później był już dwuszerog. Podporucznik obciągnął pas z dyndającymi olbrzymimi pistoletami od którego biegł cienki pleciony rzemyk, zakończony pętelką na szyi. Po raz pierwszy zobaczyłem naszego bojowego Visa. W tej sytuacji stałem obcasami i zameldowałem swoje odejście do koszar. On teraz spojrzał na mnie tak na serio,

wyciągnął rękę i już całkiem ludzkim głosem powiedział:
"dziękuję, walcie do koszar panie podchorąży, bo tu może być
jeszcze niedługo ciepło. Oddałem mu uścisk dłoni, zrobiłem
w tyż zwrot. Znaleźliśmy się w tłumie ludzi przed bramą.
Zawszęd zasypywano nas pytaniami. Czy to już idą Niemcy?
Dlaczego przyszło wojsko skoro bunkier jeszcze niewykonańczo-
ny? I nagle uzmysłowilem sobie, że naprawdę była wojna.
Nie miał już kto nas nadzorować; żaden profesor. Pozostawio-
no nas samym sobie.

Niebo zrobiło się całkiem czarne, jak to zaraz po za-
chodzie. Ludzie pokazali nam drogę do koszar. Mimo ciemności
pomknęliśmy jak jelenie. Po drodze nawet dużo nie rozmawia-
liśmy ze sobą, tylko mój kompan był wdzięczny losowi, że
nie jemu przypadło w udziale to zdarzenie z wojskiem przy
bramie. Zaraz przeleciało mi przez głowę, co ja tam mogłem
zrobić nie przepisowo. Zrobiło mi się nagle gorąco i pomyś-
lałem sobie, że ta słona, to tam się może teraz przydać...

Koszary zastaaliśmy pogrążone w mroku. Jak wszystko
tego dnia, okazały się nie takie, jakie opuściliśmy w po-
łudnie. Zwykle słabo oświetlone teraz były prawie ciemne.
Znikli robotnicy cywilni, natomiast przy wejściu na kory-
tarz zauważyliśmy nowych cywilów. Okazali się nimi nasi ko-
ledzy poprzebierani już w swoje cywilne ubrania. Nie było
też junaków bez cenzusu. Korytarze oświetlały jakieś smut-
ne kaganiki. Ni stąd ni zowąd natknąłem się na kupkę swoich
cywilnych rzeczy. Kuch, harmider, nie nie wiadomo. Z trudem
dogadaliśmy się, że jeszcze dzisiaj, już zaraz, będziemy
ewakuowani, gdyż nadciągali Niemcy. Wszyscy patrzyli się
na mnie, jak na głupiego, bo jeszcze stałem w mundurze ju-
nackim z tym wielgachnym karabinem.

Pobiegłem do magazynu zdać rzeczy, ale podoficerowie, mimo całego rozgardiaszu, szczegółowo sprawdzali zdawane sorty. Kombinowałem, jakby tu ich wykiwać i zamienić mój pulawerek na ciepły sweter. Dzięki ciemności jakoś się udało. Szybko przebrałem się, spakowałem rzeczy. Byłem głodny, ale w kuchni panował jeszcze większy bałagan. Udało mi się, dostałem bochenek chleba. Do koszar już podjeżdżały zaciemnione samochody. Naszym zakadowaniem dyrygował tylko nasz dowódca kompanii żadnych innych szarż nie widziałem, zresztą było ciemno. Powoli wyjeżdżaliśmy z koszar na drogę. W świetle księżycy mijaliśmy artyleryjskie zaprzęgi. To chyba te z Goniądza. Wynikało z tego, że Goniędz, a może i Osowice, były ewakuowane. Innego wojska nie widzieliśmy. Dojechaliśmy do stacji, chyba było to Grajewo. Tam już czekał tłum ludzi, wśród nich znajdowali się również cenzusowcy z innych kompanii JHP. Nasz dowódca zebrał dużą grupę i wyjaśnił, że wszyscy jedziemy do podchorążówki do Białegostoku. Należy się trzymać wszyscy razem, nie dać się rozzerwać, nie pogubić, bo on nie jest w stanie zapewnić nam specjalnych wagonów.

Wkrótce w ciemnościach podjechał pociąg już wypełniony cywilami i wojskiem. Pakowaliśmy się na siłę. Trzymaliśmy się we trójkę - Felek Drewnowski, Zdzisiek Polakowski i ja. Zaczęła się podróż w nieznane. W pociągu panował niesamowity tłok. Na szczęście był to stary wagon bez przedziałów, Nad głowami widzieliśmy gdzieś tam naszych. Większość z nas miała mandury PW, ale byli i cywile. Ranek zastał nas na jakiejś stacji, przesiadka. Wydawało się nam, że już tu zostaniemy i nie pojedziemy dalej. Pochyliliśmy się do pociągu, każda grupa na swoją rękę. Przy naszym wagonie w drzwiach stanął jakiś gruby plutonowy i nie chciał nas wpuścić do środka. Zaczęła

się szamotanina. Na peronie nie było już nikogo. Wszyscy weszli. Zostaliśmy tylko my i on. Nagle grubas wyjął olbrzymiego naganą i skoczył do Felka. Uwziął się specjalnie na niego. Felk rozdzierającym, rozpaczliwym już głosem krzycał "my musimy dojechać do podchorążówki do wojska". Ludzie przypatrujący się tej scenie, dotąd obojętni, nagle się Okywili i zrobiko się zamieszanie. Skorzystaliśmy z okazji i wszyscy trzej energicznie wepchnęliśmy się do środka razem z nim. Maszynista chyba tylko na to czekał, bo pociąg ruszył. Plutonowy spojrzął się na nas przekrwionymi oczyma, jeszcze coś mamrotał, ale ludzie już nie dawali mu dojść do słowa. ~~W~~ Usadowiliśmy się obok toalety. Przyszko zmęczenie. Widocznie nerwy i kłótnie wzięły górę nad młodością, bo osunęliśmy się najpierw na pięty, a potem położyliśmy się na tej zaplutej i brudnej podłodze. Nie wiem, ile spałem, czy pociąg szedł czy stał, dość, że nagle półprzytomny znalazłem się na peronie, wokół mnie stali lubliniacy jeszcze jacyś inni. To był Białystok.

Znalazł się nasz podporucznik i wyprowadził nas przed stację. Zrobiliśmy zbiorke. Okazało się, że mimo takich trudności, wszyscy dojechali szczęśliwie. Przyglądaliśmy się sobie wzajemnie, bo po pierwsze, teraz byliśmy we własnych ubraniach, a od dawna nie widzieliśmy się tak wszyscy naraz, a po drugie dołączono do nas drugą grupę junaków z innych kompanii JHP. Jak zorientowaliśmy się, byli oni z Opatowu i Warszawy. W zasadzie nie różnili się niczym od nas, jedynie tym, że między nimi mniej było mundurków PW, a więcej ubrań cywilnych.

Szliśmy czwórkami. Tak w grupie wyglądaliśmy trochę wojskowo, każdy z walizką lub pakunkiem. Na pierwszy raz

oka widać było, że to młodzież idąca do wojska. Tyle, że nie rekruci. Przystosowanie wojskowe, obozy - zwłaszcza ostatni - już wyrobiły w nas pewne cechy żołnierskie, postawę zwłaszcza krok czwórkowy. Marszerowaliśmy śpiewając Samosierrę. Szło nawet dobrze, tylko refrenu Częstochowiacy nie mogli śpąć, bo my w Lublinie opracowaliśmy własny tekst i po każdej zwrotce Samosierry dodawaliśmy refren od Szyldawcha, również kawaleryjskiej piosenki. Brzmiał on tak:

"Barwny ich strój...

amaranty zapięte pod szyję,

ach, Boże mój, jak to polscy ukani bije,

ziemia aż drga, młody szyldawch swe oczy przeciera,

wszak on ich zna -

to ukani spod Samosierra."

Widocznie nie było źle, skoro nasz komendant, dotąd idący chodnikiem, wyszedł na czoło. Było nas około sto pięćdziesiąt osób. Nasz śpiew wywabił na ulicę ludzi, tak że marszerowaliśmy jak na defiladzie. Na chodnikach stały przeważnie kobiety i młodzież. Machali nam rękami i pozdrawiali. Czuliśmy się jak bohaterowie ciągnący na bitwę. W tej części Polski wszystko, co było związane z wojskiem, poszło na front i przemarsz takiej grupy młodych, zdrowych - opalonych chłopaków z wyraźnym celem, wywoływał entuzjazm i patriotyzm. A czego jak czego, ale patriotyzmu to na pewno w tej wojnie nie brakowało.

Podeszliśmy pod białostockie PKU. Mieściło się ono w stylowym pałacyku z żelazną bramą i podwórzem, niedaleko nowoczesnego kościoła garnizonowego. Na wieży kościoła odezwały się karabiny przeciwlotnicze do gdańskich tan szumiących samolotów. Wszyscy rozpięrzeli się, ale na szczęście bom-

bardowania nie było. Za chwilę znów gospodarzyliśmy na podwórzu PKU. Nasz dowódca gdzieś zniknął, ale wkrótce wrócił i to z prowiantem. Wymiesiano olej oraz blaszane puszki ze stalcem. Jedliśmy i z ciekawością czekaliśmy, co będzie dalej. Dowódca zarządził czas wolny. Sam poszedł zakatwiać dla nas przydział wojskowy. Towarzystwo rozeszło się po mieście, poszliśmy i my. Nie byliśmy nigdy tutaj, porównywaliśmy Białystok z Lublinem, dużej różnicy nie było. W Białymstoku główny punkt miasta stanowił pałac Branickich. U nas w Lublinie ozdobą Krakowskiego Przedmieścia i Placu Litewskiego był również pałac, ale Radziwiłłów. Mieściło się tam dowództwo DOK II oraz władze wojewódzkie.

Felek przypomniał sobie, że jego zmobilizowany brat znajdował się w Białymstoku. Postanowiliśmy go szukać. Po nitce do kłębka doszliśmy do niego, gdzieś w pobliżu dworca towarowego. Był akurat na kwaterze. Zdaje się, że miał do czynienia z inżynierią wojskową. Przyjął nas serdecznie i posłał zaraz żołnierza do kuchni po obiad. Jak zobaczyliśmy menażkę z gulaszem, dopiero poczuliśmy głód, zwłaszcza ja, który już dwa dni nie jadłem nic ciepłego. Brat Felka /był chyba w stopniu kapitana/ zaprowadził nas do koszar 12 pułku piechoty, aby pokazać nam Niemców. Dziwnie wyglądały ich mundury o takim zgnitym kolorze. Byli to już mężczyźni po czterdziestce i wcale nie wyglądali groźnie. Wartownicy obchodzili się z nimi dobrze. Jeńcy byli chyba jedyną liczącą się grupą w koszarach, bo wydawały się ogólnie puste. Wszystko pociągnęło na front.

Pożegnaliśmy się z bratem Felka i wróciliśmy do siebie. Tam już ustawiano się w czwórki i wkrótce ruszyliśmy na stację. Dowiedzieliśmy się, że ostatecznie jedziemy do

podchorążówki do Lidy przez Wołkowysk. Wczesnym wieczorem, bez wielkich przygód wyładowaliśmy w Wołkowysku. Teraz mieliśmy okazję poznać wchodnie rubieże naszego kraju.

Tutaj zastaliśmy pełną galę. Dworzec i poczekalnie były odświętnie udekorowane. W sali restauracyjnej bufet, wszędzie umiechnięte kobiety w mundurkach z Przysposobienia Wojskowego Kobiet. Przyjmowani byliśmy jak bohaterowie. Stoły pełne jedzenia. Wędlina, pomidory, bułki, owoce, a nawet czekolada. Okazało się, że nie tylko na naszą cześć ta wystawność, że kobiety pełniły tu służbę dzień i noc. Zawsze gotowe usłużyć przejeżdżającym transportom wojskowym.

Cały ten poczęstunek nie trwał zbyt długo, pod wieczór podstawiono pociąg osobowy i zbieraliśmy się do odjazdu. Pożegnaniem i całusom nie było końca. Wreszcie wpakowaliśmy się do wagonów i pociąg ruzył.

Mimo emocji i wrażeń powoli cichły głosy i zmęczenie brało górę. To już była druga taka cygańska noc tyle, że bardziej komfortowa niż poprzednia. Równomierny stukot kół kołysał nas do snu. Było jeszcze ciemno, gdy pociąg stanął. Jak przez mgłę usłyszeliśmy głos naszego komendanta: "junacy, wysiadać". Wygramoliliśmy się na peron. Na budynku widniał napis - Lida. Nie było już śpiewów ani szpalerów. Tylko kilku brodatych Żydów kiwano się na kozłach dorożek pod stacją. Dorożki miały śmieszne grube koła gumowe z opon samochodowych, nieznanne u nas w Lublinie. Swym przybyciem nie wzbudzały ciekawości wśród mieszkańców. Widocznie takie przyjazdy należały do rzeczy codziennych, zresztą było ciemno. Szliśmy długo przedmieściami aż wreszcie stanęliśmy przed bramą, nad którą napis głosił: "Witajcie przyjezdnych." Debilibyśmy do domu naszego półcywilnego dywizyjnego

W podchorążówce - w 1933 r.

Pierwszym naszym schronieniem stały się stare rosyjskie koszary, z piętrowymi budynkami z czerwonej cegły. Takie koszary były dobrze znane w całej dawnej kongresówce. Podobne miał w Lublinie 8 pułk piechoty legionów. Tylko to już nie były te koszary, które oglądaliśmy w czasie pokoju. Wszędzie walała się słoma, szmaty, łachy jak po trzęsieniu ziemi. Takie same zostawiliśmy w Goniądzu, ale to nas tak nie dziwiło, tam uciekaliśmy. Tutaj panował spokój, cisza, a nawet była elektryczność.

W jednym z budynków w olbrzymiej sali na podłodze leżało mnóstwo sienników wypchanych słomą, tam przespaliśmy się do rana, w czym kto miał. Teraz dopiero poczułem, co to jest brak czegoś ciepłego. Spodenki gimnastyczne były dobre, ale nie grzały. Odwieszając siennik i wlażłem cały w słomę, inni zrobili to samo. Obudził mnie jeden wielki krzyk. Wszyscy biegali i drapali się. Całe nasze ubranie, sienniki pokryte były pchłami, jak konie. Pchły siedziały na nas i nie można było się ich pozbyć zdejmowaliśmy z siebie wszystko i trzepaliśmy o słupy. Trochę pomagało.

Wkrótce podjechała pod blok kuchnia polowa z zapachem grochówki i mienakami. Można sobie wyobrazić, co to była za rozkosz dla podniebienia po dwóch dniach jazdy na przypadkowym chlebie i po fatalnym jedzeniu w Goniądzu. Dolewkom nie było końca.

Na zbiórce nasz dotychczasowy dowódca z JHP, który z takim trudem dowiódł nas do Lidy, potęgnał się z nami i oddał nas jakiemuś porucznikowi. To przecież dzięki jego energii nie pogubiliśmy się po drodze i w całości znaleźliśmy się w Lidzie. Jak mówią, wracał do Goniądza, czyli jesz-

cze nie wszystko było stracone.

Blok, w którym spędziliśmy noc na szczęście okazał się tymczasowy. Czekały na nas już inne koszary. Przeszliśmy do jednopiętrowego budynku przy innej bracie, blisko magazynu MOE. Były to koszary pułkowej artylerii, budynek już nowoczesny, dużo czystszy, w umywalkach leżała wykładzina, z bieżącą wodą, więc jak na koszary to warunki luksusowe. Odetchnęliśmy. Tutaj też pełno było szony. Zaczęło się pasowanie mundurów i zdawanie swoich rzeczy. Wzięliśmy się też do roboty. Wymieniliśmy całą szonę w siennikach. Nowością były zwyczajne niepiętrowe łóżka. ~~Kom~~ Podzielono nas na plutony. Nasza paczka znalazła się w 1-szym plutonie. Dzień upłynął nam na porządkowaniu koszar. Pierwszy apel wieczorny w wojsku przeszedł bez wrzasków, za to noc była urozmaicona. Coraz to któryś ledownik na podłodze. Spadali ci, którzy napchali do sienników zbyt dużo szony. No, ale przynajmniej spaliliśmy rozebrani i pod kocami, choć od mokrej strony jeszcze ciągnęło.

Nadszedł ranek. Ciągłe nas poganiano. Wszystko trzeba było robić w tempie. Nie widzieliśmy tego w JHP. Po ^{dobrym} ~~śniadaniu~~ i obfitym śniadaniu zarządzono zbiórkę. Wśród szarzy było trzech oficerów, reszta to podchorążowie i podoficerowie. Podchorążowie mieli niespotykane dotychczas na szytki na naramiennikach srebrne naszytki bez czerwonych obrzebiń, takie jak podoficerowie i podchorążowie rezerwy. Okazało się że wszyscy oni zgłosili się do służby stałej i wkrótce mieli być mianowani podporucznikami. Stąd te naszytki, odróżniające ich od podoficerów i podchorążych rezerwy. W 1939 roku umobiliono wielu podchorążych rezerwy zgłoszenie się na skrócony półroczny kurs oficerski, po ukończeniu którego zostawali podporucznikami służby stałej.

Podział na plutony był już dokonany. Komendę objął energiczny krępy porucznik służby stałej - porucznik Jezierski, który zastępował równocześnie komendanta kursu. Główna obsada kursu przedstawiała się następująco:

Komendant kursu - kapitan Alfred Kruczyński z 77 pułku piechoty służby stałej;

Dowódca 1 plutonu - porucznik Jezierski z 77 pułku piechoty służby stałej,

Dowódca 2 plutonu - porucznik rezerwy /nazwisko nieznane, z zawodu nauczyciel/.

Dowódca 3 plutonu - podporucznik Piasecki, ze służby stałej.

Między innymi był również sierżant podchorąży Sawicki. Całą paczkę, a więc Felek, Zdzisiek, Tadek Respond trafiliśmy do 1 plutonu i 2 drużyny.

Po uporządkowaniu kompanii zjawił się komendant kursu kapitan Alfred Kruczyński. Był to wymuskany, elegancki oficer. Z każdego ruchu widać było, że to oficer zawodowy. Na jego wartościach moralnych i wojskowych nie zdążyliśmy się poznać, gdyż po tym krótkim zapoznaniu widzieliśmy go jeszcze tylko raz na koniu, jak z daleka sprawdzał prowadzenie ćwiczeń. W momencie naszego wyjazdu komendę oddał porucznikowi Jezierskiemu, a sam został przeniesiony do sztabu grupy bojowej, która 17 września wyruszyła z Lidy do Grupy Operacyjnej "Grodno" /G.O. "Grodno"/.

Z zaciekawieniem przyglądaliśmy się naszej szarzy, a oni nam. Kowzgd słyszeliśmy opinie o sobie, jako o zaangażowanej w służbie zwartej jednostce, którą trzeba tylko wyzłifować. Trochę z zaciekawieniem przyglądaliśmy się na zmiennikom oficerów zawodowych, na których, oprócz gwiazdek,

i cyfr 77, doczepiony był białszany niedźwiadek wielkości 1,5-2 cm. Tu dopiero dowiedzieliśmy się, do jakich sławnych koszar trafiliśmy. 77 pułk piechoty powstał bowiem na bazie oddziałów sformowanych przez generała Lucjana Żeligowskiego w Rosji po rewolucji w 1917 roku z Rosji przybył do Polski z Murmańska i przywiózł ze sobą odwołanego białego niedźwiedzia. Ten, a raczej ta, bo była to samica, chodziła swobodnie po całym koszarach i jako maskotka była nietykalna. Występowała również na defiladach. Szła na czele z orkiestrą, od czasu do czasu stawiała na dwie nogi i wtedy wywalała swój długi czerwony jezer na białe futro, co miało uchodzić za biało-czerwoną flagę. Nazywała się Baśka Murmańska. Aż któregoś dnia zawędrowała na wieś, gdzie chłopci zatkali ją widłami między opłotkami i zanim przyleciał patrol z pułku, było już po wszystkim. Białszany niedźwiadek noszony był na naramiennikach jako pamiątka tej historii. W czasie wojny 1920 - 21 77 pułk piechoty^x wchodził w skład dywizji litewsko-białoruskiej. Pułk ten określany był potocznie: "siem-siem, niedźwiadki".

No więc przy takim sławnym pułku w 1939 roku utworzono naszą podchorążówkę, która otrzymała oficjalną nazwę: Dywizyjny Kurs Podchorążych Piechoty Rezerwy przy 19- tej Dywizji Piechoty - Lida. Była to ostatnia podchorążówka II Rzeczypospolitej.

Po wilnie, Lida była chyba największym w tej części Polski ośrodkiem i garnizonem wojskowym. Oprócz 77 pułku piechoty stacjonował tu pułk lotniczy, artyleria i inne od-

^x W czasie okupacji 77 pułk piechoty odtworzony został przez Armię Krajową, pod tą samą nazwą i wchodził w skład zgrupowania Nadniemeńskiego pod dowództwem podpułkownika Macieja Kalenkiewicza.

dzieliły dywizyjnie. Same koszary pułku miały imponujące rozmiary. Były z pewnością więk ze aniżeli u pułku piechoty lechionów w Lublinie. Po ogólnych prezentacjach i uśmiejach zaczął się cyrk, jakiego jeszcze dotąd nie znaliśmy. Urabiano nas naszymi plasteliną i starano się zaimponować nam w maszyny zdolne jedynie do wykonywania rozkazów. Odchylenie od wyznaczonej normy były niewskazane, a czasami nawet karane i biada temu, kto nie mógł sprostać wymaganiom.

Tak minął ten dzień, w którym otrzymaliśmy swoich nowych dowódców. Powoli tworzył się oddział.

Żołnierze nie mogli różnić się od siebie musieli tak samo odpowiadać, chodzić, robić chwytty bronią, śpiewać, wszystko równo i zgodnie. To było tak, jak ze stadem gołębi. Leciutko na czele leciał przewodnik, za nim reszta, każdy jego ruch był natychmiast płynnie podchwytywany przez całe stadko, a ewolucje i spirale trwały w nieskończoność - równo i zgodnie. To już był oddział. A ten gołąb, który nie mógł nadążyć, albo zawsze się spóźniał czy gubił byłofierne.

Szkolenie zaczęło się, oczywiście, od łóżek, leciały sienniki i koce. W międzyczasie grupami chodziliśmy do fryzjera gdzie pod elektryczną maszynką leciały na ziemię nasze włosy. Dopiero teraz wyglądaliśmy jednakowo - było to marzenie każdego dowódcy. Wszyscy w jednej chwili staliśmy się ofiarami. Nasze polówki przy każdym kroku ślizgały się po głowach.

W ciągu tych pierwszych dni pobytu dołączyli do naszej poachorążówki jeszcze jacyś naturzyści i kadeci. Mimo że mieli mundury, różnili się od nas, a z powodu nie obciętych włosów.

Mundury dostaliśmy wprawdzie nie nowe, ale w dobrym stanie, bez łatek i dziur. Natomiast polówki, białizna, koce

i pościel były nowe. Z butami bywało u mnie różnie. Ja, jak zwykle, nie mogłem dobrać odpowiednich, mimo że podoficer mundurowy cierpliwie mi wybierał. Zarządzono przy zycie do na ramienników biało-czerwonych sznurków cenzusowców. Nie-galiśmy po nie do kantyny w rejonie pułku. Trzeba było kupić je za własne pieniądze, podobnie jak pastę do butów. Skąd tu brać pieniądze? Z domu wyjechaliśmy przed miesiącem i zapasy już dawno wyczerpały się. Zresztą nigdy nie miałem ich za dużo, jedynie to, co z korepetycji. Starczyło mi tylko na sznurki do munduru, do płaszczy już ich nie przyszyłem. Trochę oszczędzałem na tym, że nie paliłem. Poszły w ruch listy z prośbami o pieniądze - ale nikt z nas nie dostał w Łódzku ani listu ani pieniędzy. Przecież w tym czasie Niemcy przekroczyli już Wisłę, a także i Narew.

Staliśmy się strzelcami z cenzusem. Do podchorążych była jeszcze bardzo daleka droga. Zaraz na drugi dzień wydano nam z magazynu uzbrojenie. Dostaliśmy karabiny mauzery dobrze zakonserwowane, niemieckie, długie, jeszcze z I wojny. Łopatkę, maski, plecaki starego typu sportowe, ale pakowne. Mieściła się w nich miana i wszystko inne.

W rejonie koszar przebywaliśmy mało. Mieliliśmy niewielki kontakt z resztą otoczenia w pułku, a z ludnością cywilną wcale. Widać było, że podobnie, jak w JHP, specjalnie się o to troszczono, Koszary nasze położone były blisko boi nej bramy, a za bramą poligon i lasy. Wracaliśmy stamtąd tylko na posiłki i spanie. Tok szkolenia był odmienny od normalnego. Nie ćwiczyliśmy musztry indywidualnej i zwartej zacsynaliśmy od razu od ćwiczeń polowych z bronią. Dowiedzieliśmy się, że kurs nasz ma być przyrządzony i może trwać tylko trzy miesiące. Nie znaczyło to, że musztry nie

było, była, ale tam, pod lasem. Karabiny w kozły, a my po polu. Nieraz mieliśmy jej się po dziurki w nosie. Nasz dowódca 2-ej drużyny podchorąży Duliniec, porządnie dawał nam w kość. Chyba jeszcze lepiej niż podchorąży Bajko w 1-ej. Nieraz zazdrościliśmy tym z 1-ej drużyny, że ich drużynowy swoim miłym basem, spokojem, ale stanowczością osiągnął to samo, jeśli nie więcej, niż imi krzykiem i przyczepianiem się. Duliniec natomiast ciągle wrzeszczał, przyczepiał się do byle czego i ciągle szukał dziury w całym. U niego na porządku dziennym było meldowanie się na 20 kroków i sakramentalne: "nie słyszę" jak również lotnik, czy to w polu, czy w koszarach. Już z wyglądu był niesympatyczny, stale nerwowo podskakujący, lekko dziobaty. Jedno mu trzeba przyznać - chciał dobrze, starał się, ile mógł. Wyczuwaliśmy w nim pewne niezaspokojone ambicje i chyba chęć rywalizacji z Bajko, który "szefował" całej kompanii, a jednocześnie był zastępcą dowódcy 1 plutonu, porucznika Jezierskiego. Trzecią drużyną dowodził bodajże doświadczony plutonowy służby staczej, tam też wszystko szło jak w zegarku, a zarząd bardziej praktycznie, choć krzyku było co niemiara. Na ćwiczenia chodziliśmy wyłącznie plutonami, z całą kompanią spotykaliśmy się tylko na apelach.

Z koszar do tej bocznej bramy mieliśmy niedaleko i w rejon właściwych koszar zapu szaliśmy się rzadko, chyba że do kantyny, ale tam nie było z czym chodzić, bo nie mieliśmy pieniędzy. Wkrótce wypłacili nam żołd aż 60 czy 90 groszy i od razu znalazły się wydatki. Trzeba było kupić pastę do butów, do zębów i znaczek, a kosztował aż 10 groszy /normalny 20 groszy/.

Na poli onie rządził już bez konkurencji porucznik

Jezierski. Zaraz przystąpiono z nami do zasadniczych ćwiczeń: wyszukiwanie dobrych stanowisk ogniowych, ich zajmowanie, okopywanie się, wyszukiwanie punktów w terenie, tyraliera, czolganie się - no jednym słowem - wszystko, co należy do podstawowego wyszkolenia strzelca.

Za kilka dni mieliśmy już ostre strzelanie i odtąd chodziliśmy na ćwiczenia z ostrą amunicją, bo w międzyczasie wyćwiczyliśmy strzelanie plutonem i kompanią do samolotów. Na komendę oddział kładł się na plecach, obojętnie, gdzie go samolot spotkał. Karabin przyciskał do ramienia, normalnie jak na strzelaniu wyprowadzał nabój do komory i celował najpierw w samolot, a potem wyprzedzał go na trzy długości i na komendę - naciskał spust. My nie mieliśmy wypadku ostrzelania samolotu niemieckiego i sprawdzenia skuteczności naszego ognia, ale należy przypuszczać, że do niego lecących samolotów metoda ta mogła być skuteczna ze względu na znaczny rozrzut pocisków, podobnie jak przy strzelaniu strumem z dubeltówki.

Raz wprawdzie mogło się to źle skończyć, bo niespodziewanie na skraju lasu usłyszeliśmy warkot samolotu. Porucznik Jezierski natychmiast wydał komendę, naboje wprowadzono do komory, a tu z lasu nad drzewami wyskoczył nagle samolot i wszyscy jako pierwsze, zobaczyliśmy biało-czerwone szachownice na skrzydłach. Nikt nie dał więcej żadnej komendy, nikt nie strzelił, tylko tak nieregularnie powstaaliśmy z ziemi z uśmiechami na twarzach. Znaemy, a także mieliśmy po kursach szybowcowych i motorowych, jak Heniek Iutz-Nierski, twierdzili, że był to "Karaś" lecący dla bezpieczeństwa nad samym lasem. W każdym bądź razie lepiej, że nie był to inny "kosiak". Do tego zdarzenia poc

liśmy się pewniejsi z naszymi kadownicami. Wiedzieliśmy, że w Lidzie stał park lotniczy, to i o samolot nietrudno.

Wszystkie ćwiczenia polowe szły mi dobrze i nieraz porucznik Janierski wyróżniał mnie z tego powodu. Okazało się, że te nasze niewinne ćwiczenia na PW dały nam już pewien szlif, a teraz następowało tylko ich pogłębienie i rozszerzenie. Byliśmy przecież tak według wymogów szkolnych, jak i wszystkich ogólnych, tym pierwszemu rocznikiem po reformie, który ukończył liceum z jego przyniotami i wadami. Pod względem wyszkolenia wojskowego, mogliśmy być zadowoleni, jak zadowoleni byli nasi obecni zwierzchnicy. Nieraz dawali temu wyraz. Dochodziło do tego jeszcze nasze zgranie na ostatnim kursie w JHP.

Pewnego dnia w czasie obiadu przyszła do nas grupa podchorążych z żółtymi naramiennikami. Okazało się, że byli oni z Centralnej Szkoły oficerów Zawodowych piechoty w Ostrowi Mazowieckiej. Między nimi był również nasz starszy o dwa lata kolega ze Staszica, ale zachował się w sposób pyszałkowaty, zwłaszcza w stosunku do mnie, mimo że znaliśmy się od dziecka i razem ćwiczyliśmy boks w Domu Żołnierza. Wraz z wybuchem wojny rozdzielono ich po wszystkich garnizonach na zapleczu frontu dla zasilenia kadry szkoleniowej. Zwłaszcza dużo znalazło się w S.O. "Karew".

Tak mijały dni. Najgorsze było codzienne poranne golenie - kranów mało, a golili się wszyscy. Każdego ranka drużynowi sprawdzali stan brody i biada temu, kto był nieogolony. Śniadania mógł nie zjeść, ale ogolony musiał być. W czasie obiadu natomiast skrupulatnie kontrolowano paznokcie.

W dalszym ciągu nie przychodziły listy i prawdopodobnie nikt w Lublinie nie wiedział, że anajdujemy się tutaj.

Wiadomości z frontu nie mieliśmy właściwie żadnych, a w każdym razie żadnych oficjalnych. Nie było też gazet, zresztą nie mieliśmy czasu myśleć o czytaniu. Regulaminów nie otrzymaliśmy i cała nasza wiedza, czy to szkoleniowa, czy informacyjna, ograniczała się do tego, co powiedziak ten czy inny podchorąży. Z koszar też nic nie docierało. Oczywiście słyszeliśmy o Westerplatte, o Helu, ale o tym, że wojska nasze już zostały pobite w głównej bitwie i te, co ocalało, cofało się za Wisłę, to przypuszczam, że nie wiedział nawet kapitan Kruczyński.

Nie chodziliśmy do kościoła i nie widywaliśmy w ogóle ludności cywilnej. Oszczędzano nas, a nawet wręcz izolowano pod każdym względem. Już zresztą samo położenie naszego budynku na uboczu 77 pułku piechoty stwarzało tę naturalną izolację. Podchorążowie, nasi dowódcy, kwaterowali razem z nami w małych pokojkach, toteż nie mogli wiedzieć dużo więcej od nas. Na ćwiczeniach widzieliśmy maszerujące różne oddziały piechoty, jedne z bronią, drugie bez i to było wszystko. Teren naszych ćwiczeń nie był stałym poligonem pułku, dlatego nie mieliśmy kontaktów z innymi oddziałami.

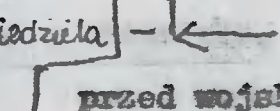
Zaraz po śniadaniu 17 września zarządzono zbiórkę i wyjście do kościoła. Dopiero wtedy uznaliśmy sobie, że to niedziela. Prowadził nas podchorąży Bajko. Zdziwiliśmy się, że zamiast w kierunku koszar wyprowadzono nas boczną bramą, znowu na te pola i lasy. Maszerowaliśmy, ale przed nami był ciągle las i to coraz większy. Nie widzieliśmy ani kościoła, ani żadnych zabudowań. Dzień był pochmurny, i po raz pierwszy raz byliśmy w płaszczech. Minęła już dobra godzina, zanim okazało się, że salimy bez celu. Ni stąd ni zowąd zawróciliśmy i tą samą drogą wróciliśmy do koszar.

Podeszliśmy do muru, brama była otwarta. Przed bramą stał tłum cywilnej ludności, a za nią panował niecodzienny ruch. Z magazynu MOB wyrzucano, na specjalnie wyłożone zsy-py, wszystko, co w nich było: mundury, buty, onuce, koce, bele wojskowego materiału. Furmankami, zarekwirowanymi świe-że od chłopów, powozili żołnierze, wszędzie rzadzili podofi-cerowie. W koszarach, bez żadnych odpraw, a jedynie jeden od drugiego dowiedzieliśmy się wreszcie, o co chodzi. Wojska sowieckie 17 września przekroczyły granicę Polski i posuwały się w głąb naszego terytorium, w celu zajęcia wszystkich garnizonów. Na lotnisku w Lidzie wylądowały ciężkie duże samoloty radzieckie i zajęły całe lotnisko.

Padł rozkaz: - "pakować się." Nie było wiele do pako-wania. Jedynie koc i menażkę, resztę mieliśmy na sobie. Po obiedzie zakadaliśmy pełne ładownice amunicji potem jesz-cze chleb i suchary - każdy brał, ile tylko mógł. Przypomnia-łem sobie o swoich butach. Pod magazynem zdążyłem jeszcze złapać jakiegoś podoficera. Z zakamarka wyciągnął buty, jak dla mnie, nowe zelówki i nowe przyszwyy. Przymierzyłem. Były trochę ciasne, ale wzięłem. Nowe buty, jak wszystko, co nowe, trzeba stopniowo dopasowywać do nogi. Niestety dla mnie to była tylko teoria. Buty trzeba było natychmiast założyć i już w nich biegać. Dalej nie wiedzieliśmy, co się dzieje w innych koszarach, ale z daleka było już widać, że to samo, co u nas. Dostaliśmy jeszcze zapasową bieliznę i wcześniej niż zwykle kolację.

Wczesnym wieczorem zarządzono zbiórkę, a potem wymarsz. Ale to porucznik Jeziernski podjechał na olbrzymia siwym ko-niu i dał rozkaz do wymarszu. Od podchorążych dowiedzieliśmy się, że kapitan Kruczyński przeszedł do sztabu zgrupowania

bojowego, które utworzono z jednostek stacjonujących w całej Lidzie, a dowodzenie kursem, a raczej już teraz kompanią, przejął porucznik Jezierski, zaś dowództwo 1 plutonu objął podchorąży Bajko. Jeszcze nie zaczęliśmy wojować, a już drugi raz uciekaliśmy w popłochu, zostawiając wszystko na pastwę losu. W nocy przyjechaliśmy do Lidy i nocą je opuszczaliśmy.

17.IX.39, niedziela -  godz. 7 wieczór, wymarsz z Lidy przed wojskami sowieckimi, marsz całą noc.

18.IX.39 - Postój w Horodence, fałszywy alarm, wymarsz w południe, obiad za wsią w olszynie, dalszy marsz do wieczora. Przymarsz do Ejszyszek. Kolacja. Nocleg.

19.IX.39 - Marsz do Oran, 12 km przed Oranami zabierają nas zmobilizowane autobusy. Nocleg. Suszenie. Fałszywy alarm, śpiemy w ubraniach. Jemy plack z kartofli. Zostaję łącznikiem między 1 plutonem a komendą.

Kompania za kompanię wchodziliśmy w las. Po godzinie do dwu marszu odpoczywaliśmy około 10 minut. Śpiewaliśmy chętnie, chyba do północy, zarówno w marszu jak i na postoj. To samo robiły inne kompanie. Nastrój był raczej wesoły i przypominaliśmy wycieczkowy pochód. Porucznik Jezierski co godzinę schodził z konia i milczący maszerował z nami. Rozeszła się pogłoska, że dzisiaj przed samym wymarszem wziął szybko cichy ślub i zostawił żonę w Lidzie. Nasza zaprawa w JHP teraz procentowała, marsz bowiem nie sprawiał nam trudności. Było ciepło, nawet bardzo ciepło. Maszerowaliśmy całą noc. Nad ranem weszliśmy do wsi Horodenko. Wszyscy rozszedli się po stodołach w poszukiwaniu noclegu. Zmordowani,

szybko zasypialiśmy na słońcu, ale tego szenia nie było zbyt dużo. Zbudził nas alarm. Znowu usiekaliliśmy przed postępującymi wojskami sowieckimi. Szybko zbieraliśmy się plutonami. W stodole pozostało pełno wyrzuconego chleba i sucharów. Nie zastanawiając się, wzięliśmy bochenek chleba, a w boczne kieszenie plecaka napchałem tyle sucharów, ile tylko mogłem. Ruszyliśmy w dalszą drogę. Rozszypaliśmy się w tyralierę na liwierze lasu. Zajęliśmy stanowiska ogniowe i kopaliśmy dosyć głębokie dołki strzeleckie. Robiliśmy to porządnie i bez pośpiechu, bo przecież nie pod ostrzałem, ale plutonowy z 3-ciej drużyny skrytykował nasze stanowiska. Według niego były źle wybrane, bo znajdowały się na skłonie wzniesienia i nieprzyjaciel miał w nie wgląd. Na szczęście alarm okazał się fałszywy. Zebraliśmy się plutonami. Podjechała kuchnia i postój w lesie postanowiliśmy wykorzystać na obiad. Głód był najlepszym kucharzem, a i zawieszona zupa z mięsem swoim zapachem pobudzała nasze apetyty. Tym bardziej, że ostatni raz jedliśmy coś ciepłego wczoraj przed wieczorem, a tu było już południe. Po obiedzie - zaskutona drzemka. Niestety, trwała krótko i znowu szykowaliśmy się do marszu.

Zaczynało mżyć. To był chyba pierwszy deszcz od wyjazdu z Lublina i pierwszy od wybuchu wojny. Teraz już nie śpiewaliśmy, ale i nie skarżyliśmy się. Mijaliśmy lasy i wioski. Nie wiadomo skąd doszła do nas wiadomość, że Berlin został zbombardowany do cna przez nasze bombowce, a alianci wylądowali w Gdańsku. Nowina wprost nie do uwierzenia, szybko okazała się błagą. Szliśmy dalej. Nie wiem, kto i kiedy ją wymyślił. Idąc, rwaliśmy z sadów dojrzałe jabłka, ale nikt na nas nie krzyczał, ani nikt nie zabraniał. Od czasu do czasu jeszcze jakaś gospodyni wyniosła wiadro mleka. Wsie wyglądały raczej zamożnie, mimo że polskie. Żyło w nich

dużo młodzieży, dużo uśmiechów i życzliwości.

Wczesnym wieczorem doszliśmy do miasteczka Łyszyzki. Miasteczko sprawiało wrażenie pustego, sklepy pozamykane, ludzi prawie nie widać, ale wszędzie czyste i doży w rynku murowane. Z nazwy miasteczka wynikałoby, że to już Litwa.

Rozeszliśmy się plutonami po stodołach. Wieczorem na kolację piliśmy kawę. To było coś wspaniałego. Ugotowana w kotle pachniała w drugiej wsi. Prasowaną w suchych kostkach z cukrem, można było pochrupać na sucho, popić wodą. Oczywiście że była to grubo mielona kawa prawdziwa, a nie żadne te "murzynki". Żołnierz na śniadanie dostawał jej pół menażki, zagryzał czarnym chlebem i musiało mu to wystarczyć do obiadu. Układaliśmy się do snu. Pierwszy raz od dwóch dni mogliśmy zdjąć buty. Narzekałem na swoje buty, ale, jak dotąd, naszerowało mi się nieźle. Dopiero gdy ściągnąłem, a właściwie oderwałem onuce, na jednej i na drugiej stopie zobaczyłem jedną ranę, a onuce były czerwone od krwi i garbików. Próbowałem moczyć w zimnej wodzie, ale podchorąży Bajko wysłał kogoś do wozu sanitarnego po masę na odparzenie nóg. Był to tak zwany barani róg. Idealny środek na odparzenie. Gdy kolega przyniósł mi je, wysmarowałem dobrze nogi i założyłem nowe czyste onuce. Obwiązałem stopy sznurkami i spałem jak zabity.

Rano znowu wymarsz. To już nie było wojsko, które wyszło z Łidy. Powoli wynurzaliśmy się z lasów. W miasteczku została straż tylna, a z nią grupa szturmowa z naszej kompanii. Podporucznik Piszecki na ochotnika wybrał około dwudziestu chłopców z 3 plutonu. Każdy z nich dostał butelkę benzyny i 4 zapalniczki. Tworzyli grupę niszczyteli czołgów. Zgłoszili tam się same zabijaki, między innymi: Heniek Luts-

-Niemierski, Kostek Rajnert i Berej. Czołgi nie prayszły, walki nie było, ale grupa pozostała.

Marsz stawał się coraz cięższy, padał deszcz coraz większy. Moje nogi w czystych, nowych, flanelowych onusach szły dalej, tylko od czasu do czasu coś zapiekło. Trzycałmiany się czwórka karczowa, kto bowiem stracił rytm marszu, albo zmienił nogę, ten zostawał. Takiego już nie wpuszczano do czwórki, bo powstawało zamieszanie. Robiło się zimno, plecaki wydawały się coraz cięższe, Jezierski już nie jechał na koniu, tylko szedł równo z nami. Nie było żadnych rozkazów, to ten deszcz sprawił, że ludzie maszerowali źli i ocowiali.

Już trzeci dzień, przemoczeni, niewyspani, szliśmy bez świadomości, dokąd idziemy. Mijałyśmy lasy, w nich najczęściej robiliśmy postoje. Po jednym z nich, gdy spóźniony dołączyłem do plutonu, z tyłu za drzewami zobaczyłem dwóch lubliniaków, którzy zostali i wyczekująco patrzyli na mnie. Nie oglądałem się więcej. Szedłem i myślałem: dezertery, czy tylko spóźnialscy. Jednakże rano nie zobaczyłem ich na zbiórce. Nigdzie nie meldowałem o tym, nawet nie pamiętam, abym mówił coś komuś na ten temat. Dla mnie byli to dezertery.

Gdzieś przed nami nagle pokazało się kilka autobusów jadących w naszą stronę. Zatrzymały się. Kierowcy zapraszali do środka. Skorzystaliśmy z tego zaproszenia. Pakowaliśmy się, gdzie się dało. Deszcz bębnił dalej, ale już nie po naszych kołnierzach tylko po dachu. Co za ulga. Autobus był luksusowy, zmobilizowany na wojnę. Czystuśko, miękkie siedzenia. Z naszego pierwszego plutonu weszła większość, wsiadł również Duliniec i Bajko. Po niedługim czasie byliśmy w Orzechach. Miasteczko wydawało się rozległe, ale czyste

z dużą stacją towarową i osobową. Wszędzie było pełno wojsła. Prowadzono nas do dzielnicy schludnych domków jednorodzinnych, pustych po urzędnikach, którzy pouciekali stąd w obawie przed wojną. Z Oran niedaleko było do miejscowości Marcinkańce, gdzie w 1938 roku miała miejsce znana prowokacja litewska. Zastrzelono naszego kaprała ze służby granicznej. Stało się to pretekstem do interwencji naszego rządu do rządu litewskiego, no a potem nastąpiło to słynne "wodzu prowadź nas na Kowno". W całej Polsce przyjmowano zapisy do legionu interwencyjnego, który miał pomaszerować właśnie na to Kowno. Tak było też w Lublinie. Nawiazano nawet zerwane od wielu lat stosunki dyplomatyczne z Litwą, ale potem nastąpiła cisza. Legionu nie utworzono, interwencji wojakowej nie było, a dla większej pikanterii, czym kończą się czasami "tekie akcje", Niemcy zajęli Kłajpedę.

Byliśmy na miejscu. Pierwszą rzeczą było suszenie dozna przemoczonych mundurów, potem organizowaliśmy spanie i jedzenie. Postanowiliśmy skombinować coś poza zupą z kotła. I za chwilę niosłem już wiadro czerwieniutkich świątecznych pomidorów. Chciałem rozdzielić między swoich, ale Duliniac uparł się, aby rozdzielić pomiędzy cały pluton. Pokłóciliśmy się o to, bo wypadło po dwa pomidorki na głowę, ale chyba miał rację. Wkrótce nadeszła reszta podchorążówki, byli jeszcze bardziej przemoczeni od nas. Znalazło się drewno, paliliśmy więc w piecu i było nas wesoło. Jeszcze trochę i wszyscy zapomnieliśmy o tej trawidniowej mordędze. Nie wie jakim cudem, ale były nawet płacki ziemniaczane, takie jak w domu. Układaliśmy się już do snu na suchych czystych podłogach, gdy nagle weszło alarm. Szybko stanęliśmy na zbitej łyce. Było ciemno, ale deszcz padał znacznie mniejszy. Alarm

odwołano - tym razem to był nalot! Nie słyszeliśmy jeszcze świstu bomb, jedynie hałasowały karabiny maszynowe. Pacior-ki pocisków świetlnych przecinały niebo we wszystkich kie-rukach. Słyszeliśmy przelatujące samoloty, ale nie widzie-liśmy ich. Porucznik Jezierski zarządził rozejście się po kwaterach, ale spanie w mundurach, i z bronią przy sobie. Kazał wyznaczyć łączników między dowództwem kompanii a plu-tonami, gdyż byliśmy rozrzucaeni w kilku domach. Bajko wy-znaczył mnie na łącznika 1-ego plutonu. Praktycznie byłem wartownikiem, tyle że nie stałem na dworze, tylko w cieniu domu. Drużyny rozeszły się, było coraz ciszej, zmęczenie robiło swoje. Większość rozsznurowała buty, niektórzy po ci- chutku nawet je zdjęli. Karabin pod rękę, plecak pod głowę, ale ciepło i czysto, choćby na gołej podłodze. Niektórzy spali po kilku na opuszczonych przez właścicieli łóżkach, bez pościeli, na materacach. Najlepiej mieli ci przy pie-cach i kuchniach.

Początkowo stałem, ale i ja nie mogłem oprzeć się zmęczeniu, siadłem więc w kucki. Z góry po schodach schodzi-ło kilku ludzi. Zerwałem się na równe nogi. Byli to lubli-niacy. Proponowali mi powrót do domu. Wojna przecież była skończona. Z początku mnie zaskakało, aż zaniemówiłem, ale ani chwili nie zgadzałem się z nimi. Nawet nie kłóciliśmy się. Chwila milczenia i nagle usłyszałem swój wyraźny głos: "nie idę. Nie zatrzymywałem ich ani nie pochwalam takiego postę-powania. Oni chyba tylko na to czekali, bo postali chwilkę w ciszy i wrócili na górę. Brakowało im przywódcy.

Drugie nie mogłem zasnąć. Rozpamiętywałem to zdarzenie. Jeśli do szkoły do dotrni, raczyłoby cię na całą naszą lu- balską grupę. Byłem z siebie zadowolony. Mimo serżantowych

restrykcji, wszyscy spali dobrze i długo. Późno w nocy podchorąży Rajko skontrolował rejon zakwaterowania, po terańsk alarmowo-łącznikowe i pozwolił mi iść spać.

Ranek i pogoda zwiastowały zmianę nastrojów. Po spokojnej nocy przyszło dobre, obfite śniadanie. Była też kawa i świeży chleb nie widziany od tyłu dni. Nikt nie wracał do nocnej rozmowy, a toczące się wypadki dały szybko o niej zapomnieć.

Późnym rankiem naszerowaliśmy ze śpiewem na stację. Z różnych uliczek wychodziło wojsko. Wszyscy ze śpiewem, wszyscy w dobrych nastrojach. Jechały cekaemy, kuchnie polowe i wozy ekwipażowe, pełne wojskowego dobytku. Pokazało się słońce. O koszarnej wczorajszej pogodzie już wszyscy zapomnieli. Rozkazy następowały szybko. Ładowaliśmy się do wagonów osobowych. Niektórzy wczesniwcy trafili nawet na wagony drugiej klasy z miękkimi siedzeniami. Pociąg ruszył. Dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Grodna, a tam zobaczymy, co dalej. Mieliśmy przebiegać się na południe, albo na Warszawę. Stolica jeszcze się broniła. Wszystkie na nowo sformowane armie szły jej na pomoc. Tworzyła się nowa armia "Polesie". My stanowiliśmy część nowej armii "Grodno". Dowodził ją generał Józef Konstanty Olszyna-Wilczyński. Skupiała ona pod sobą wszystkie jednostki z tego rejonu, z ośrodków zapasowych oraz zbierała wszystkie inne, które wycofały się lub ocalały z frontu zachodniego. Gdzieś niedaleko od nas miały być poważne jednostki kawaleryjskie.

Okolo południa pociąg zatrzymywał się kilkakrotnie. Kazano nam być w pogotowiu. Do czego? Podobno na przedzie stały już inne pociągi, z których wyładowywało się wojsko. Pociąg wreszcie stanął, patrzyliśmy przez okna. Widać

pociągu ciągnę po obu stronach ciągnęły się sznurem inne kompanie. Na przedzie poszczególnych kolumn szali groźnie niszczyciele czołgów z butelkami benzyny w rękach Nagle przypomniał mi się o grupie wydzielonej z naszej kompanii jeszcze w Byszczakach. Nigdzie ich nie widzieliśmy. Dotychczas uszko to naszej uwadze, bo w większości składała się z chłopców z trzeciego plutonu. Pociąg stanął, wyskakivaliśmy z wagonów w pole. Daleko przed nami było miasto Grodno. Nie zauważyliśmy na razie czołgów ani wojsk sowieckich. Dużym kłopotem okazało się nam ładować broń. Posuwaliśmy się drużynami z powolnością w kierunku miasta. Na przedmieściu przycupnęliśmy grupkami pod płotami. Po chwili ruszyliśmy dalej w głąb miasta z bronią gotową do strzału. Gdzieś na przedzie terkotały karabiny maszynowe, ale było to daleko przed nami. Artylerii nie słychać. Doszliśmy do jakiegoś większego obiektu ogrodzonego murem z czerwonej cegły. Zabudowania te okazały się fabryką. Była pusta. Otoczona dużym częściowo zadaszonym podwórzem. Świetnie nadawała się na postój. Tu już rzędził porucznik Jezierski. Plutonami rozkładaliśmy się na trawie. Kilku ludzi z trzeciego plutonu wraz z podoficerami wyszło poza zabudowania. Szeroka brama została zamknięta. Wystawiony wartownik. Wyszukaliśmy po fabryczce. Chłopcy znaleźli w piwnicach kilka beczek kiszonych ogórków. Jedliśmy je ze smakiem a minęły dwie godziny i w bramie pojawiły się wozy. To był nasz tabor, a na końcu dymiąca kuchnia. Nasi koleśki, wczesniej odkomenderowani, teraz wrócili w charakterze woźniców. Nasi domorośli miejscy furmani ledwie dawali sobie radę z koniami. Furmanki ustawiono pod płotem. Komendantem taboru był jakiś plutonowy zawodowy. Wkrótce nasza kompanijna kuchnia zaczęła wydawać zapach. Wspaniały krupnik z dużą ilością mięsa wołowe-

go. Na deser była szkodka, wojskowa, czarna kawa z dolewką.

Podwórko powoli ucichło. Myśleliśmy już o jakiejś rozrywce, gdy, ni stąd ni zowąd, na środku podwórza ustawiono kilka skrzyń w dwóch grupach, w środku był Bajko. Zebraliśmy się drużynami. Skrzynie wypełnione były granatami. Podchodziliśmy i każdy brał dwa granaty. Jeden szarepny zielony, drugi czarny obronny. Podchorążowie po kolei wzięli zapalniki. Dowódca drużyna udał się na odprawę, a wieczorem, po kolacji, zrobiono zbiórkę całej kompanii. Porucznik Jezierski wziął ode mnie łopatkę i zrobił wykład o jej przydatności i ważności dla piechoty. Jednocześnie rozkazał mi pilnować taboru i opiekować się jego rowerem, gdyż cała kompania miała bronić miasta. Zrobiko mi się głupio, gdyż do tej pory w moim życiu tam, gdzie się bili, zawsze byłem i ja, a tu? Odpowiedziałem tylko: "tak jest" - i nawet nie zdążyłem odmeldować się u Bajki, gdyż cała kolumna wychodziła już z bramy i tylko nieliczni zobaczyli, że zostaje z taborem.

Poszli! Na naszym podwórku zrobiko się pusto i cicho, a przez to jakoś nieswojo. Zostało tylko kilku z podchorążówki, którzy powozili furmankami, kuchnia z dwoma kucharzami i ja sam sobie dowódca na rowerze. Nie podlegałem plutonowemu - dowódca taboru. Był on ponadto spoza naszego kursu i nie miał nic do mnie.

Brama była zamknięta, a przy niej stał nasz wartownik. Budynki wysokie, czerwony gruby mur, całość wyglądała jak twierdza.

Tymczasem w mieście toczyła się bitwa. Słychać było artylerię i karabiny maszynowe. Ogień raz cichł a raz się wzręgał. I tak z przerwami przez całą noc. Wyglądało to na walkę patroli i rozpoznawanie obozów. U nas panowała cisza. Wszędzie na mur, żeby zobaczyć, co dzieje się z tyłu. Na

rozciągały się ogrody i wolnostojące domki. Za ogrodami padał deszcz szybko w dół. Nasze konie mimo wybuchów i towarzyszących im brykawic, zachowywały się spokojnie.

Było już dobrze rano, gdy i w naszej okolicy rozpułtał się ogień, dochodził gdzieś w z kierunku, z którego wczoraj przyszliśmy. Kuchnia już dymiła. Plutonowy biegł i wydawał rozkazy. Koledzy zaprzęgali konie. Za bramą, jeszcze wciąż zamkniętą, stale coś się przemieszczało i huczało. Ponad murem widzieliśmy hełmy przemykających oddziałów naszej kawalerii. Plutonowy rozkazał trzymać konie za uzdy i czekać w kolumnie marszowej przy bramie. Kiwnął na mnie. Wysaliśmy za bramę. Rozkazał mi rozpoznać i skontrolować ulicę w lewo, a on to samo miał zrobić w prawo. Chybkim karabin w garść i posuwaliśmy się naprzód, najpierw pod naszymi, potem pod innymi płotami.

W odległości około 200 metrów od naszego miejsca postoju na środku ulicy stało działko przeciwpancerne, a za płytą pancerną trzech naszych kawalerzystów. Z tyłu kilka skrzynek z amunicją i pełno porozrzucanych kulek po wystrzelonych pociskach. Z przodu 300 - 400 metrów przed nami dymiał dopalający się czołg i cisza. Nagle w okolicach ogrodów zaczęły rozrywać się pociski artyleryjskie. Zrobił się ruch i dopiero wtedy zauważyłem kawalerzystów. Wszyscy w hełmach francuskich, bo takie nosiła nasza kawaleria w 1939 roku /piechota miała już nasze hełmy z grubej, odpornej stali/. Kawalerzyści byli ludźmi młodymi. Mieli porządne jednolite uzbrojenie i umundurowanie, a w dziurkach od guzików przy płaszczach pozatykane żyłkami granaty. Wyglądali bardzo bojowo. Pokazywali na mnie, śmiali się i coś do siebie gadali. Dostrzegłem podporucznika. Zameldowałem się przepisowo na

baczność, ale w tej scenerii musiało to wyglądać śmiesznie, bo podporucznik machnął tylko ręką i ogarnął się ode mnie jak od muchy. Gdy dobiegłem w swoim meldunku do taboru i podchorążowski zwrócił na mnie uwagę i radził uciekać razem z taborem. Za chwilę mogły tu być nowe czołgi sowieckie, a z pewnością i piechota, ponieważ ludzie wrócili właśnie z rozpoznania i wiadomości były z pierwszej ręki.

Odmeldowałem się i wracałem do siebie biegiem, już nie bardzo się pochylając. Za tyłu słyszałem tylko głośnie śmiechy i krzyki. Strzelanina była coraz większa. Na szczęście dla mnie karabiny maszynowe łuskały tylko okoliczne mury i płoty. Dobiegłem do naszej fabryki. Przekazałem wszystko plutonowemu. Teraz szybko następowały rozkazy. Otworzyliśmy bramę. Jako pierwsza wytoczyła się kuchnia. Plutonowy na środku ulicy kierował wozy w prawo. Koledzy, trzymając lejce, biegli przy furach. Nagle gdzieś w sąsiednim ogrodzie rąbnął granat. To był mocny wybuch, odłamki rozpryski się po dachach i trawie jak ulęgalki. Jakiś koń kwiknął rozdzierającym głosem. Wpadłem na podwórko po rower. Zobaczyłem Jurka Patkowskiego wiszącego u mordy konia, który stanął dęba. W chwilę później koń przysiadł na zadzie, dostał, z boku leciała struga krwi, a na brzuchu robiła się coraz większa gula. /Mieliśmy cholerne szczęście, bo, jak później dowiedziałem się od plutonowego, część ładunku stanowiły skrzynie z granatami/. W międzyczasie już wszystkie fury zniknęły za bramą. Na podwórzu zostałem tylko ja, rower, fura, pokładający się koń i Patkowski. Jurek ciągle jeszcze stał przy zdychającym koniu.

Teraz nakoło słychać było już jeden grzmot i świst odłamków w koronach drzew. Jeszcze obroniły nas mury i tu-

dynki. Ostroca? artyleryjski kierowano na jakieś obiekty w pobliżu naszego schronienia. Pierwszy lepszy granat mógł lada chwila spaść na nasze podwórko.

Oglądając się na Jurka, on na mnie i bez słów chwyciliśmy karabiny, plecaki i w nogi. Zostawiliśmy rannego konia i furę na łasce losu. W ostatniej chwili przypomniałem sobie o rowerze. Po plutonowym i pozostałym taborze nie było ani śladu. Na ulicy pusto, nie mieliśmy kogo spytać się o naszą kolumnę. Pobiegliśmy w prawo, bo tam poszedł tabor. Wszędzie kocie łby. Wyszliśmy na jakiś plac, na którym stał niewysoki dworzec. Z dachu pruły karabiny maszynowe. Obok dworca biegali harcerze i piechota. Wszyscy nosili worki z piaskiem, umacniali pozycję dworca i rozmieszczali nowe karabiny maszynowe. Od czasu do czasu na plac padał jakiś pocisk artyleryjski. Naprzeciw dworca była widoczna uliczka, która prowadziła w dół. Skierowaliśmy się w tę stronę. Tutaj było ciszej, dostrzeżliśmy ludzi. Spytałem o tabor. Niestety, nie widzieli, ale radzili kierować się w prawo. Wsiadłem więc na rower. Droga była lepsza. Jurka wziętem na ramię. Przeszkadzał mi jego plecak i karabin, ale jechaliśmy. Zawaze to szybciej. Minęliśmy szwadron kawalerzystów, potem drugi, już bardzo uszczuplony. Ich płaszcze zakrywały końskie zady, w dziurkach od guzików mieli pozatykane granaty. Śmiało się z nas piechociarzy. Dobrze chociaż, że żaden z nas nie miał na narasiennikach płaszczy naszytych sznurków cenzurowskich, bo wtedy ucieszoną mieliby jeszcze więkaszę. Może to były właśnie te oddziały kawalerii, o których słyszeliśmy jako o nowych formowanych jednostkach.^x

x/ Oddziały kawalerii, spotkane w Grodnie, należały do Rezerwowej Brygady Kawalerii, w której tak znaczącą rolę później odegrał major Hubal. Były to 101 i 102 pułki ułanów.

Droga łagodnie spadała, widzieliśmy już z daleka szeroką niby wielką wąską Nienon. Po lewej stronie, wysoko, był most żelazny. Na nim na samym środku działko przeciwpancerne z obsługą. I snów kawalerzyści. Nad brzegiem rzeki stał piękno furmanek. Nie było żadnych zwartych formacji wojskowych, jedynie same tabory. Szukaliśmy naszych. Byli. Nie wiem, dlaczego, ale ja, a nie Pathowski, meldowałem plutonowemu o tej furmance i o koniu. Popatrz! tylko nanaś jakos niezbyt groźnie i na tym się skończyło.

Wszyscy czekali na prom, który partiami przewoził furmanki na drugi, już bardziej strony brzeg. Czekaliśmy i my na naszą kolej. Liczba furmanek nie rosła, nasze przybyły jako jedne z ostatnich. Na moście panowała jeszcze cisza, nie widać było ani pieszych ani konnych, tylko działko i obsługa ciągle tkwiły na swoim miejscu. Bitwa w Grodnie trwała dalej, chociaż tu, na dole, nad rzeką, jej odgłosy cichły. W tłumie czekających nie słyszało się zwykłych krzyków i swarów, przekleństw. Wszyscy byli dobrzy, pomagali sobie wzajemnie, zwłaszcza przy wjeździe na prom i na samym promie. Obywało się to bez żadnej paniki. Furmanki ustawiały się w porządku jedna obok drugiej, woźnice trzymali konie za uzdy. Wszyscy raz po raz spoglądali na miasto z jakąś nadzieją i z niepokojem. Za każdym ostrzejszym wybuchem konie tupią o deski promu. Na szczęście to w zystko działko się daleko od nas. Obsługa działka na razie nie miała nic do roboty. Dowództwo celowo kierowało tabory na prom, aby most mógł w każdej chwili przepuścić oddziały liniowe. Gdzie była nasza kompania? Bieliśmy trochę żalu do Jezierskiego, że on tam w ogniu, a my tu przy taborze. Byli oczywiście i tacy, którzy uważają, że właśnie my wygraliśmy i oszliśmy, a nie reszta kompanii. Przesła nasza kole

Rządowania się na prom. Płutonowy wlnował, aby na promie nasze wozy stały jeden za drugim. Staliśmy więc przy uń przy wozie, tak że trudno było nawet przejść. Tylko przewodnik miał dostatecznie dużo miejsca, aby sięgnąć za linę specjalną drewnianą łapkę, maszerując wzdłuż niej po całym promie w kierunku drugiego brzegu.

Gdy tylko prom ruszył, zaczęły się rozmowy, okrzyki i śmiechy. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Oddalaliśmy się od bitwy i ognia. Mimo wszystko, stale patrzyliśmy za siebie. Niemen był co najmniej tak szeroki jak Wisła pod Warszawą, sądząc po brzegach i murcie, o wiele głębszy od niej. Pierwszy raz widzieliśmy tę sławną rzekę, ale nikt nie miał ochoty zanucić "Za Niemen, Za Niemen, ach po cóż za Niemen, czy kraj tam piękniejszy..." Nie ta sceneria i nie te czasy. Dobijaliśmy do drugiego brzegu. Przyjaźnie machaliśmy pracownikowi. Kto co miał wtykał mu do ręki. Władza to sami podoficerowie. Tabory były mieszane z różnych pododdziałów, najwięcej jednak z kawalerii. Nie wiedzieliśmy, dokąd maszerujemy i kiedy spotkamy się z kompanią. Płutonowy też nie był zorientowany. Kazali mu dołączyć, to dołączył.

Od czoła kolumny podjechał na koniu chorąży. Ocenił, ile taboru zostało jeszcze na tamym brzegu. Posuwaliśmy się pełną drogą, byle szybciej i byle dalej od Niema.

Kreszcie zatrzymaliśmy się w jakimś wozie na obiad.

Wysoko w górze Sowiecki samolot obserwował naszą kolumnę. Kilku z naszych mierzyło do niego z karabinów, ale zrezygnowali. Komu mogło pomóc kilka takich strzałów na wiat? Jedliśmy więc, ale ciągle patrzyliśmy w górę, czy przypadkiem coś na nas nie leci.

Po chwili nadjechał chorąży, tym razem skierował się

do naszego plutonowego. Plutonowy zawołał mnie i wyznaczył na patrol. Dodał mi jednego z naszych kucharzy i jeszcze jeden rower. Miałem sprawdzić, czy wszystkie wozy już się przeprawiły. Co dzieje się z promem, co na moście, czy przypadkiem nie przeprawiali się za nami Sowieci. Jednym słowem pełne rozpoznanie sytuacji na tyłach naszej kolumny. Moim podkomendnym był młody chłopak ze służby zasadniczej. Poleciłem mu wziąć bagnety i granaty.

Jechaliśmy wolno do tyłu wzdłuż naszej kolumny. Wróciliśmy tą samą drogą, co dwie godziny temu posuwaliśmy się do przodu. Bliżej Niemna zeskoczyliśmy z rowerów i prowadziliśmy je. Tu również panowała cisza. Na brzegu po naszej stronie grupka żołdaków wojskowych i cywilów, paliła ognisko i piekła kartofle. Patrząc i oczom nie wierzyłem. Byli to nasi "bezcensurowcy" z JHP z Ceniądza. Początkowo ich nie poznałem. Byli bowiem w długich płaszczach wojskowych. Spytałem ostro, czy zdezerterowali. Tłumaczyli się, że zaraz na drugi dzień po naszym wyjeździe rozwiązano wszystkie kompanie junackie. Wydano im sorty mundurowe wojskowe i pieniądze. Po prostu zwolniono ich do cywila. Na koniec dostali ustne polecenie, aby wędrowali grupkami na własną rękę do centralnej Polski i tam zgłaszali się do wojska. I tak, kto czym mógł, tym jechał. Oni przyjechali pociegiem do Grodna, gdyż po drodze powiedziano im, że tutaj tworzy się nowa armia. W Grodnie zgłaszali się wszędzie, ale nigdzie ich nie przyjęto, byli bez broni, bez dowództwa wędrowali więc dalej za wojskiem.

Spojrzeliliśmy na rzekę - pusto. Na drugim brzegu zostaje tylko trochę porzucanych szrajmów. Jedynie w miasteczku w dalszym ciągu słychać było walkę. Junacy z znacznym pat-

li na nasze granaty po kawaleryjsku zaczepione za guziki płaszczy. Od nich dowiedzieliśmy się też, że prom, po ostatnim kursie, spłynął w dół rzeki. Nie mieliśmy tu już nic do roboty. Pożegnaliśmy się z junakami. Z zazdrością patrzyli na nas, ale zostali.

Spojrzeliliśmy jeszcze na most. Tam też była cisza. Stało tam chyba jedno działko, ale na samym moście ani śladu pojazdów czy kolumn wojskowych. Znaczyło to, że bitwa jeszcze ciągle trwała, a nasi się nie wycofywali.

Po powrocie już nie zastaliśmy naszej kolumny na danym miejscu. Zostały puste pusaki po konserwach, różne szmaty i puste skrzynki. Ruszyliśmy za nimi. Odjechali niedaleko, bo wkrótce dopędziliśmy ich i zameldowałem plutonowemu wykonanie zadania. Ten odesłał mnie dalej do chorążego, aby również jemu przekazać swoje obserwacje. Kucharz już wrócił do swojej kuchni, a ja znowu kręcikiem pedałem wzdłuż kolumny. Chorążego znalazłem przy czole kolumny. Rozparty na taborowym wozie wysłuchał raportu, podziękował i polecił wrócić do swojej grupy. Wróciłem. Rower rzuciłem na wóz. Jechaliśmy wolno, ale stale naprzód. Konie były wypoczęte, nakarmione i dobrze ciągnęły. Przejżdżaliśmy właśnie przez jakąś wioskę, gdy z rozległego wąwozu po bokach którego rozłożyły się domy chłopskie, wynurzył się dworek i sad. Kiedyś musiała to być wieś pańszczyźniana, a w dworku mógł mieszkać właściciel, albo rządcą. Moją uwagę swróciło zabiegowisko. Przed dworkiem. Usiadłem na rower i po chwili oglądałem już scenę taką jak z Sienkiewicza.

Dworek był nieduży, drewniany, w każdym bądź razie ganek z balustradami i schodkami świadczył o pewnych aspiracjach jego właściciela. Na ganek, skromnie, ale schludnie

ubrana, wysoka starsza pani, ubrana w długą grubą spódnicę buty z cholewami, na piersiach miała spory rygraf z Matką Boską. Po obydwu jej bokach stały dwa ogromne wyśliwaki wyżyły. Jeden głośno szczekał. Obydwoma rękami przytrzymywała psy, a z tyłu, w głębi ganek, stłoczyło się kilka kobiet, służby czy też domowników. Przed gankiem stał niewysoki porucznik w furażerce z fasonem przesuniętej na prawe ucho. Za nim grupa ułanów na koniach.

Stanąłem skromnie z boku akurat w tym momencie, gdy porucznik zakrzyknął: "proszę zaprać psy, bo je zastrzelę" I rzeczywiście zaczął trząść rękami po kaburze. Zza płóców stojącej dziedziczki, wyskoczyła jakaś kobieta i zabrała psy. Nagle zrobiło się cicho, słychać było tylko przestępowanie koni, chrzęst uprzęży i ekwipunku. Porucznik wszedł na ganek, zastukał obcasami aż zadźwięczały ostrogi i zamaszycie ucałował dziedziczkę w rękę. Atmosfera wyraźnie zmieniła się. Konie zaczęły parskać, ułani rozmawiali między sobą, a pani domu zapraszała porucznika do środka. Jednym słowem "już po sytuacji". Słyszałem jak porucznik przeproszał i tłumaczył, że jest na patrolu i bada ją okolicę. Dziedziczka wydała dyspozycje kobietom, a potem opowiadała trochę chaotycznie o mężu, który był gdzieś w wojsku, w kawalerii. Jeszcze latem wyruszył na zachód ze swoim pułkiem. Jeden syn też służył w wojsku, a drugi młodszy, uciekł z domu do Grodna, bo tam miała tworzyć się nowa armia polska. Porucznik dał jej do zrozumienia, że w Grodnie nie ma już co szukać, gdyż oni właśnie stamtąd prężyli, a nasze wojsko powoli wycofuje się z miasta. Po chwili wróciły kobiety, niosące całe naręczce suchych kiełbas i bochenki chleba. Porucznik machnął ręką na podoficera. Na mnie nikt nie zwró-

cał uwagi. Wycofałem się i po mnie. Dopędziłem tabor i zameldowałem plutonowemu to, co słyszałem o Grodnie. Nasi to przycichli. Plutonowy znów wysłał mnie do chorążego. Przekazałem mu więc tę informację. Wyglądało na to, że stałem się etatowym świadocą.

Jechaliśmy do późnego wieczora, znów padał deszcz. Już nocą dobiliśmy do wsi Kodziowce. Ustawiliśmy wozy w ciasną grupę, ale nastroje były minorowe. To wszystko z powodu tych wiadomości przywiezionych przeze mnie. Na szczęście nie brakowało nam jedzenia. Wybrałem się na poszukiwanie noclegu w wiosce. Koledzy, niestety, muszą zostać przy taborze pilnować koni i wozów. W wiosce było pełno wojska, przeważnie kawaleria, wszystkie kwatery zajęte. W jakiejś chałupie zobaczyłem płomyk światła i drzwi uchylone. Wszedłem. Na podłodze pokotem na słomie i bez leżeli żołnierze. Od chrapania aż się chałupa trzęsie. Na łożku spała skulona grupka gospodarzy. Pod stołem mała lampka naftowa z przykręcanym knotem dawała trochę światła. Wlazłem w środek i szukałem dla siebie trochę wolnego miejsca. Śmród z onuc i niemytych ciał bił jak obuchem w twarz, ale to nic, najważniejsze że ciepło i nie pada. Nie zdążyłem jednak zdjąć butów, gdy usłyszałem. "Alarm!" Rozległ się tupot wybiegających z domu żołnierzy, za oknami huk wystrzałów. Wprawione już ucho wychwycało, że były one chaotyczne i pochodziły z różnych miejsc. Natomiast nie słychać było wybuchów.

Dobiegłem do naszych wozów, nasi już byli na miejscu, plutonowy też. Zaprzęgaliśmy konie, a sami schowaliśmy się pod wozy, żeby uchronić się od rykoszetów i odłamków. Strzelanina oddalała się i cichła. Do rana siedzieliśmy już przy

wozach. Wojsko gwałtownie znikło.

O pierwszych świcie drgnęła nasza kolumna taborowa. Prowadziłem rower obok wozów. Wyjeżdżaliśmy tak jakoś pod górkę, gdy nagle startnął pelociał w naszą stronę seria karabinów maszynowych. Kolumna zwinęła się jak uderzony węże. Wozy leciały przez pola na łeb na szyję, niektóre wywracały się, inne woźnice zostawiali, a sami uciekali. Jeden z batem, drugi z karabinem, co który miał w danej chwili w ręku to zmykał na prawo w stronę lasu. Nasza część kolumny na szczęście nie wyjechała jeszcze z za górki na płaszczyznę, to kośba z karabinów maszynowych nas nie tknęła, przeszła górą. Tylko gałązki od przydrożnych drzew posypały się na nas. Nagle jednak jakiś koń zwałił się z kwikiem na bożobłostek i to w sam łeb, na szczęście żaden z naszych. Chłopcy zeskoczyli z wozów, ale posypała się nowa seria. W pewnym momencie kierownica mojego roweru dziwnie zakręciła się w miejscu, rower podskoczył jak żywy, wyrwał mi się z rąk, a mnie coś zapiekło w okolicy palców wskazującego i kciuka. Zapałem rower. Kierownica była przestrzelona, a moja ^{lewa} ręką wyraźnie krwawiła. Na szczęście ruszyłem wszystkimi palcami. Nie miałem czasu na rozczulanie się, zaciągnąłem tylko mocniej lewą dłoń. Wozy skręcały na prawo. My akurat znaleźliśmy się w niskim wąwozie. Z całej siły wszystkimi siłami wypychaliśmy wozy pod górę. Teraz nad głowami leciały całe sznury pocisków, słychać było wyraźny gwizd ich lotu, inne znów padały na ziemię niedaleko nas. Jakie to szczęście, że nie siedzieliśmy na wozach, bo byoby po nas. Ręka krwawiła coraz gorzej. Wyjąłem opatrunek osobisty, rozdarłem szelki i zabandażowałem dłoń. Teraz dopiero zobaczyłem porozrywaną skórę na palcu wskazującym i na dużym

widocznie dostatem rykoszetem. Jurek Patkowski pomógł mi zawieźć wózki. Zranione palce trochę zesstywniały, ale ruszać nimi, to znaczy, że ścigną były całe, a to przecież najważniejsze.

Strzelanina trwała dalej, ale serie były krótsze i kierowane gdzieś w bok od nas. Właśnie stamtąd, nagle na przełaj, przejechała taczanka z karabinem maszynowym, to nasza. Przed pagórkami zateczyła półkole i już słychać z naszej strony gulgotanie maksyna, du, du, dudu. Kawaleria spokojnie prowadziła ogień, równiutko z małymi przerwami, do widocznych dla nich celów.

Ogień taczanki w każdej chwili mógł ścignąć na nas nowe serie, a może i wybuchy. Gnailiśmy do zbawczego lasu. Oglądałem się, taczanka również pędziła po polu, ale nie uciekała, jedynie zmieniała stanowisko i grzała dalej. My już byliśmy w lesie.

Teraz już w spokoju analizowaliśmy to nasze spotkanie z nieprzyjacielem. Było ono nie do porównania z flegmatyczną obsługą działka przeciwpancernego w Grodnie. Szarżowanie taczanki po polu pod ogniem nieprzyjaciela niewątpliwie ochroniło cały tabor, jeśli już nie od całkowitego zniszczenia, to przynajmniej od rozproszenia. Tutaj byli to żołnierze dobrze wyszkoleni i już ostrzelani.²

23.IX.39, sobota

← Przekraczamy granicę litewką, na wysokości wsi Studziska, a po litewskiej stronie miasteczko Kapciamiestis /Kopciowo/

W czasie tej strzelaniny straciliśmy kontakt z naszymi

2/ W bitwie zapasowej pod Kędziowcami wziął udział 101 Pułk Ułanów z Rezerwowej Brygady Kawalerii, formowanej w Wojsku Litewskim.

plutonowym, innych kolegów z podchorążówki też nie było widać. Trzymamy się teraz tylko z Henkiem Kopicem, jego wozu i moim rowerem. Obejrzałem wreszcie mój rower. Uważało się, że pociąg rozdarł lekko kierownicę w okolicy rączki i widocznie rykoszetem ugodził mnie w dłoń.

Przykleił się do nas wóz pełen sztubaków, poprzebieranych trochę za wojskowych. Jedni w płaszczach wojskowych, inni w gimnazjalnych z błyszczącymi guzikami. Jedni mieli karabiny, inni łopatki lub maski gazowe, tylko czapki u wszystkich były gimnazjalne. Takie gimnazjalne pospolite ruszenie, większość jeszcze przed liceum. Gdy zbliżali się do jakiejś wsi, krzyczeli, hałasowali i biegli po prowiant. Po chwili wracali i każdy coś niósł z sobą. Najczęściej było to chleb i jabłko. Kiedy zobaczyli na naszych naramiennikach biało-czerwone sznurki, stali się rozmowniejsi i śmiali się. Byli z Grodna. Wycofali się wraz ze wszystkimi. Jeszcze tam skombinowali broń, potem wóz. Jechali bez konkretnego celu. Tam, gdzie wojsko, tam i oni. Brali udział w walkach na wszelkie możliwe sposoby. Najczęściej jako tragarze i gońcy.

W pewnym momencie znowu usłyszeliśmy strzał, niezbyt głośny, ale nie karabinowy. Kolumna drgnęła, ale posuwała się dalej. Po chwili zobaczyliśmy grupkę ludzi. Na ziemi leżał człowiek, ubrany w połówce po cywilnemu. Z głowy ciekła mu krew. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, że od niedawna w naszej kolumnie pokazało się dużo policjantów. Jedni w mundurach i płaszczach policyjnych, inni z rezerwy policji. Teraz stali koło zwłok. ^{przejechała} Wkrótce żandarmeria w mundurach polowych z oficerem na czele. Wówczas raz zobaczyłem żandarmerię w tej wojnie. Porucznik szedł

z roweru i podszedł do cista. Przeszukał kieszenie. Przymglądający się zdjęli czapki. Okazało się, że samobójca, bo było to samobójstwo, był nadkomisarzem policji w Grodnie. Porucznik zabrał wszystkie dokumenty, skinął ręką na swoich. W chwilę później odjechali na swoich rowerach tak cicho jak się zjawili. Otrząsnąłem się z zamyślenia, siadłem na rower i pomyślałem, że czas odnaleźć swojego dowódcę. Podjechałem do sztubaków, zostawiłem na ich wozie swój plecak i postanowiłem znaleźć naszego plutonowego.

Długo jechałem do przodu, wyprzedzając wiele furmanek do czoła kolumny jednak nie dotarłem i plutonowego, ani naszej grupy śladem nie znalazłem. Furmanek nie liczyłem, ale było ich setki. W pewnym momencie schodziły się dwie drogi i stamtąd wiał się w naszą kolumnę sznur furmanek. Postanowiłem wracać. Na próżno jednak szukałem wozu sztubaków. Zginał bez śladu, a z nim plecak, wszystkie moje dokumenty, przybory i album ze zdjęciami, które zbierałem od najmłodszych lat. To była duża strata i nie do odtworzenia.

Kończył się następny dzień, dojeżdżaliśmy przezliczną drogę do Sejnu. W Sejnach miał być całonocny postój. W dalszym ciągu nie wiedzieliśmy zwartych jednostek wojskowych, tylko same tabory. Teraz już otwarcie mówiło się o przejściu na Litwę. Skombinowałem coś do jedzenia i szukałem spania. Niestety, znowu był alarm i strzelanina. Tym razem maza i chaotyczna, ale noclegu już nie było. Dalej wlekliśmy się wolno, z postojami, przez całą noc.

Nad ranem rozpadał się deszcz. Mijaliśmy wioskę, gdy na rozstaju, na wzgórzu zobaczyłem wycelowany na drogę erkaem. Obok niego leżał pas parolany z ładownicami i ani jednego żołnierza. Dalej hoła i żółciutkie skórzana mobil

sacyjne ładownice piechoty. Sądząc po położeniu, miejsce to wybrano na placówkę. Była broń a nie były żołnierzy? Takiej sytuacji jeszcze nie widzieliśmy. A wieś przecież była około dwustu metrów stąd. Nawiele myśląc, zabrałem się do ładowania wszystkiego na wóz. Przecież przy wymarszu z Lidy na całą naszą kompanię dostaliśmy tylko jeden erkae i przydzielono go zaraz w Sufajdzie. Spojrzałem jeszcze raz na wioskę i nagle zobaczyłem kilku żołnierzy, zbliżających się w stronę pagórka. Była to najprawdopodobniej obsługa erkaemu. Z żalem postawiłem go na dawne miejsce, ale hełmu i nowych ładownic nie oddałem. Nie miałem czasu na zbyt długie rozmyślenia, ruszyliśmy dalej.

Założyłem nowe ładownice i hełm. W całym taborze ja jeden wyglądałem jak "frontowiec". Ale deszcz tak bębnił w hełm, że czułem się, jakbym zanosił głowy niały pusty kuchający garnek. Po paru kilometrach hełm zdjęłem i założyłem z powrotem poczciwą polówkę. Nowe ładownice również podobały mi się krótko. Przekonałem się po prostu, że są za grube, na trzy kódkie, nieporęczne, sztywne. Wyobrażałem sobie co za męki musiał przechodzić żołnierz, gdy przyszło mu się czołgać z takim pakunkiem na brzuchu. Skoro trudno było schylić się do zasznurowania bata.

Wzdłuż kolumny rozeszły się wtedy pogłoski, że dowódca U.O. "Grodno" generał Józef Olszyna-Wileczyński zginął przy wyjściu z "Grodna".² Cała Grupa Operacyjna opuściła Grodno

2/ Według pogłosek jadącego samochodem osobowym generała w miejscowości Sapołkinie zaskoczyła kolumna sowieckich czołgów. W samochodzie znajdował się generał w swoim generałskim mundurze, adiutant również w mundurze, syn w mundurze kadeta, usmundurowany szofer oraz żona generała. Po zatrzymaniu samochodu wyprowadzono generała za najbliższą stodołę i tam zastrzelono. Pozostających puszczono wolno.

na rozkaz generała różnymi drogami kierowała się na Litwę. Resztki lotnictwa z Lidy i Wilna miały już być też na Litwie, a części na Łotwie. Jeśli to wszystko miało być prawdą, to oddziały bojowe musiały naszerować innymi drogami, gdyż my ich nie spotykaliśmy, jeżeli to sporadycznie maszyny oddziały kawalerii, które z daleka mogły nas osłaniać. To dla tego nie widzieliśmy ani naszej kompanii, ani naszego dowództwa. Pytani furmani i podoficerowie z naszego konwoju szli w większości z Grodna, a tabory też należały do jednostek kawaleryjskich.

Do rana był postój, a potem znowu las i znowu piach. Z naprzeciwka szła ku nam grupa żołnierzy. Jedni w pasach, większość jednak bez. Jedni mieli krótkie płaszcze piechoty drudzy długie kawalerii. Niektórzy nawet w hełmach, ale nie wyglądali jak wojsko. Wśród nich nie było ani jednego podoficera, a nawet kaprała. Patrzyliśmy zdumieni. Wymiana zdań z nimi w marszu była chaotyczna, ale niestety oszałamiająca i smutna zarazem. Wracali z Litwy do domu. We wsi Studzianki już przy samej granicy litewskiej, nastąpiło rozbrajanie i przekraczanie granicy. Po paru kilometrach spotkaliśmy jeszcze jedną podobną grupę, ale już znacznie mniejszą. Przyglądałem się ich twarzom, były to same starsze oblicza - rezerwiści i to już ci nie najmłodszy.

A nasza kolumna parła dalej naprzód. Wyglądało to tak jakby ktoś nas pociągał. Może była to ciekawość, może lek przed nieprzyjaciółem, lub pragnienie, żeby mieć "to" wreszcie za sobą. Naciągłem na siebie i wyprzedziłem kolumnę, Trzymaliśmy się z Haskiem razem, reszty na razie nie analizowaliśmy. Po lewej stronie resztki zostały po zabudowaniach. Była to strażnica NKWD. Podobno spalili ją Litwini. Ślad

po szlabanie i budce wartowniczej uzupełniał obraz. Nikt nie przechodził za damy szlaban, nikt nie wydawał żadnych rozkazów, ani się nie pchał. Grupki stały i rozmawiały, raczej cicho bez śmiechu.

Zostawiłem rower pod opieką Heńka, a sam poszedłem zasięgnąć języka. Podeszedłem do grupki stojących na boku oficerów. Wyjaśniłem, skąd jestem, i pytałem, co robić dalej. Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na boki i unikali mego wzroku. Wreszcie jakiś starszy wiekiem porucznik stwierdził że widział podchorążówkę jak "cała i zdrowa" wymaszerowała z Grodna, albowiem cała G.O. "Grodno" otrzymała rozkaz przejścia na Litwę. Uważałem, że po spotkaniu z nimi łatwiej będzie mi podjąć decyzję, co robić dalej. Była bowiem szansa dostania się z Litwy do Francji i możliwość dalszej walki. Tutaj w każdej chwili mogli zjawić się Sowieci i w najlepszym wypadku można było dostać się do niewoli. Swymi pytaniami wywołałem ogólną dyskusję. Gdy obejrzałem się za siebie, wokół naszej grupki zobaczyłem spory krąg, zwłaszcza oficerów. Przeważał pogląd, że trzeba iść na Litwę, trzymać się swoich jednostek, gdyż ambasada polska w Kownie, ma pewno już robi starania o przerzucenie naszego wojska do Francji.

Droga rozszerzała się, wyjechaliśmy na ubity trakt, z lewej strony zobaczyłem wieś. Skrzyłem więc w lewo. Była to wieś Studzianka. Trafiliśmy na bazar. Za kubek mleka żołnierze dawali nowe zielone wojskowe kocy. Sprzedawali także swoje zapasowe sorty mundurów. Wioska mała, kupujących mało, a oferujących bez liku. Pomyślałem, że to już koniec, jeśli żołnierze handluje mundurami. Byli też i tacy, którzy oferowali całe wozy z koniami i zaprzęgami. Oni też mieli wi

cej kupców. To przecież te same chłopackie wozy i konie, które zostały zmobilizowane na wojnę. Mobilizacja wyczyściła wioski z koni i wozów, a może te sprzedawane obecnie pochodzą właśnie z tej wioski? Patrzymy na to ze zgrozą.

Wróciłem na trakt do kolumny. Powoli, ale zbliżaliśmy się do granicy. Las przechodził w dużą polanę lub wycinkę. Na niej stały dziesiątki wozów i małe grupki wojskowych. Dalej nie widać było żadnych jednolitych jednostek wojskowych, tylko same tabory.

Byli jednakże i tacy, którzy uważali, że nie ma po co iść na Litwę i udawać się na tukaczkę. Można próbować wracać do domu, jak to już sporymi grupkami, samorzutnie robili żołnierze, którzy przekraczali granicę, składali broń i wracali. Byli to przeważnie rezerwiści z terenów wschodnich.

Rozejrzałem się po polanie. Odbywał się tam prawie zorganizowany szaber. Widocznie już wcześniej to czyniono, gdyż wszędzie walały się rozbite skrzynie, puszki, słoma i papiery. Pod nogami miałem rozbebeszoną walizkę. Wypadło z niej cywilne ubranie, bielizna, listy, fotografie. Znalazłem jeszcze jednego amatora fotografii na wojnie. Podobnie jak on też już więcej nie zobaczy swojego albumu. Nie miałem na nic ochoty, ani na cywilny garnitur, który niedługo mógł się przydać, ani na kangarną bluzę wojskową z galenami podchorążego kawalerii. Żał mi było tylko moich zdjęć.

Zaczęło się porządkowanie wozów pod komendą ^{pod} oficerów. Żołnierze przeładowywali skrzynie. Oddzielali amunicję od żywności. Obaj z Heńkiem właściwie nic nie robiliśmy. Ręka miliśmy jedynie konie.

Na granicy zauważyliśmy jakiś ruch. To z tamtej strony wracała grupa żołnierzy ubranych w połowię po cywilnemu. Ni

stąd ni zowad podbiegł do mnie jakiś starszy żołnierz i natarczywie prosił mnie, aby mu sprzedać rower. Dumaczył, że wraca do domu, więc rower będzie mu potrzebny, a mnie Litwini i tak zabiorą go zaraz po przekroczeniu granicy. Nie wiedziałem, ale nagle odwróciłem się i dałem mu bez słowa ten rower. Może dlatego, że co drugie słowo, jakim mnie tytułowali było słowo "podchorąży", może, że miał taką zwyczajną poczciwą chłopską twarz, a najprawdopodobniej dlatego, że podjął za mnie decyzję. Powiedział mi, że ja idę na Litwę. Do tego momentu, to nikt ani nie nie pchało mnie na tą stronę Chłop zbaraniak. Właściwie to chyba nie liczył, że ktoś mu, ot tak, bez uzasadnienia, da taką cenną rzecz, jak rower. Ale stało się, trzymał go w ręku, może jeszcze nie wierzył, ale trzymał. Ja jakoś głupio patrzyłem na Heńka, a on na mnie. Żołnierz gorączkowo szukał czegoś po kieszeniach i z jednej z nich wyciągnął srebrną dziesięciozłotówkę. Dał mi bez słowa, zdjął nawet na chwilę polówkę i... uciekł, a za nim jego kompani. Widocznie bał się biedak, że się jeszcze rozmyślę. Jeszcze przez chwilę stałem milcząc.

W ten sposób prosty żołnierz podjął za mnie decyzję, a chyba i za Heńka. Jechaliśmy na Litwę. Pokazali się i inni nasi koledzy z taboru, przeważnie z Częstochowy. Ci nie wahali się. Byli zdecydowani jechać dalej, licząc na kąt szczęścia. Do domu nie mieliśmy po co wracać - tam już rządził Hitler! Ustawiliśmy nasze wozy jeden za drugim, grupę zawsze raźniej.

Teraz dopiero zorientowałem się, że "jestem goły i bosy". Oprócz karabina i oprzyrządowania nie miałem nic na tę drogę w nieznane. Na placu w dalszym ciągu przeglądano wozy i usuwano niepotrzebne rzeczy. Zajeżdżały coraz to

nowe furmanki, ale regularnego wojska dalej brak. Może jeszcze walczyło i oszłaniało nasze przejście na Litwę? Nie słychać było jednak nigdzie, koniecznej w takim wypadku, kanonady. Mówiło się wokół, że po rozbrojeniu, kolumna otoczona przez szaulisów, skierowana zostanie do miejscowości Kopciowo, po litewsku Kapciamiestis.

Trzeba było szybko uzupełniać braki osobiste. Plecak, koc, menażka. Na szczęście tego towaru nie brakowało, przeciwnie, wszędzie go pełno.

Z jakiegoś wozu wzięłem plecak, tym razem był to już najnowszy polski model, częściowo parciany z usztywnionymi bokami; mógł służyć również na poduszkę. Koc nie taki miękki, jakie dostaliśmy na wymarszu w Lidzie, ale był. Nawet przybory do golenia gdzieś zgarnąłem z wozu.

Przełknęliśmy dokładnie z Henkiem wóz. Cały załadowany był skrzyniami. Jedne jeszcze zamknięte, inne już otwarte, a w nich konserwy, kawa wojskowa w kostkach. Była też skrzynia amunicji karabinowej i skrzynia granatów obronnych, ale bez zapalników. Ktoś mądry i z głową to żądował, każdy wóz bowiem stanowił sam w sobie potrzebny na wojnie całość.

Naradzaliśmy się gromadką, co zostawić, a co brać. Wokół tworzyła się kolumna. Wśród podoficerów wytworzyła się wspólnota interesów, a może nawet majątkowa?! Żołnierze mieli taką masę pieniędzy i to w banknotach, jakich w życiu nie widziałem.

Zrobił się ruch. Usiadłem na wóz Henka, a nasi sznurami posuwali się za nami, Heniek zaciął lekko konia. Włączyliśmy się w kolumnę. Powoli zbliżaliśmy się do stಾನanego szlabanu. Oglądaliśmy się na naszych. Każdy zdjął z głó-

wy połówkę i żegnał się zamaszycie i długo. Wszyscy mieli szklane oczy. Nikt się nie śmiał, nikt nie stał przy szlabanie, ani po tamtej stronie. Dla niejednego było to pożegnanie z ojczyzną na zawsze.

Koń pierwszy przestąpił granicę - nie parsknął na dobry znak.

Na Litwie

Pierwszy Litwin nie zrobił na nas najlepszego wrażenia. Był w starym, z I wojny światowej hełmie, w którym boczne, spore, wyraźnie odstające wentylatorki sprawiały wrażenie rogów, jak na starych rycinach przedstawiających Germanów. Kilku jego kolegów nosiło na głowach czapki polow w kształcie dzokejek, tyle że z sukna z klapkami bocznymi do opuszczenia na uszy. Strasznie to nas rozśmieszyło. Jednemu z nich było już znamo, że opuścić te klapki przy czapeczce, a na to nałożył hełm i od razu zmieniliśmy zdanie, co do tej polówki. Była bardzo dobra. Spodobało nam się godło litewskie. Była to dobrze nam znana "Pogoń" na małej tarczy. Tu "Pogoń" była wszędzie, u nas tylko na historycznych obrazach

Po drugiej stronie granicy las był taki sam i nie nie wskazywało na to, poza "dzokejami", że opuściliśmy już kraj. Niestety, w odległości około kilometra od granicy stało się to faktem. Na polanie lub rozszerzonym gościńcu stała znowa gromada furmanek i Grupy Litwinów w hełmach i bez oraz dużo uzbrojonych w karabiny cywilów, tak zwanych szaulisów.^x Widocznie rząd litewski zmobilizował tych swoich strzelców do pomocy wojsku i policji, bo przecież przez granicę od strony polskiej dzień i noc szło uzbrojone wojsko, a ponadto jeszcze tłumy ludności cywilnej z tobołkami. Szaulisi zachowywali się spokojnie, podobnie jak wojsko i straż graniczna. Szaulisi uzbrojeni byli w polskie karabiny i bagnety i, o zgrozo, mieli również polskie rowery "Łuczniczki",

x/ Szaulisi - organizacja paramilitarna litewska, złożona z nacjonalistów litewskich. Z nich rekrutowali się głównie podczas hitlerowskiej okupacji kolaboranci, z nich też głównie rekrutowały się oddziały litewskie tzw. "czarni" będące w Generalnej Guberni na służbie hitlerowskiej.

niektóre pomalowane były na niełono. Znaczyło to, że żołnierze, któremu oddałem swój rower, mówią prawdę - rowery też zabierali.

Cała polana była obstawiona tymże litewskim wojakiem i odbywało się na niej rozbrajanie. Na placu znajdowało się już sporo karabinów, kopatek, ładownic i bagnatów. Innej broni, jak karabiny maszynowe, czy też działa, nie widziałem. Wynikałoby z tego, że jednostki bojowe jeszcze tutaj nie dotarły lub przechodziły innym przejściem granicznym.

Furmanki z naszego taboru podjeżdżały na plac, wyrzucały z wozów skrzynie z amunicją i granatami, woźnicy zdejmowali karabiny i oprzyrządowanie, rzucali na stertę i zaraz odjeżdżali, robiąc miejsce innym furmankom. Nie było krzyku czy hałasu. Litwini nie wtręcali się do niczego. Nie kontrolowali, nie zglądali do wozów, wykazywali kompletną obojętność. Co kto chciał, to rzucił, resztę zostawiał na wozie i jechał dalej. Przy tym systemie można było przemycić wszystko, co nie rzucało się w oczy, nawet kaemy czy moździerz. Trzeba przyznać, że nikt się nie spodziewał, że nasi sąsiedzi będą zachowywali się tak obojętnie przy tej smutnej ceremonii. Przyszła i na nas kolej. Zrzuciliśmy z Heńkiem skrzynie z granatami i z amunicją i położyliśmy nasze karabiny na stos. I wtedy przypomniały mi się słowa piosenki legionowej: "na stos rzuciliśmy nasz życia los, na stos, na stos." Nasze pożegnanie z bronią wyglądało tak samo. To był bardzo żałosny widok.

Coś mnie znów podkusiło. Włożyłem swój hełm na głowę, wziąłem jeszcze raz karabin do ręki i wymierzyłem w duży sęk na najbliższej sosnie. Padł strzał. Sęk się rozleciał. Uciekło. Wszyscy obrócili się w moją stronę, a ja z narasz-

ozeniem powolutku odpiąłem ładownicę, zaczepiłem o lufę karabinu i położyłem na stosie. Na to wszystko z rozmachem rzuciłem swój hełm. Na polanie poweselało. Nikt nie spodziewał się takiego zakończenia. Heniek machnął łatem, koni postąpił do przodu, wskoczyłem na furmankę i pojechaliśmy dalej.

Po paru kilometrach jazdy wjechaliśmy na ładnie utrzymaną asfaltową szosę. Przed nami było małe miasteczko. Z daleka już zobaczyłem kilka chorągwi z naszytym czerwonym krzyżem. Przed budynkiem kręciło się kilka sióstr czerwonego krzyża w białych fartuchach. Wraz z lekarzem wypatrywali rannych. Na szczęście między nami ich nie było. Siostry machały nam życzliwie rękami. Dostrzegły moją obandażowaną rękę. Jedną z nich podbiegła do wozu. Najczystsza polszczyzną zaproponowała mi zrobienie opatrunku. Bandaż miałem jeszcze biały, gdyż zmieniłem go tuż przed granicą, ale lepiej byłoby, gdyby lekarz obejrzał ranę, mimo że goiła się dobrze. Z drugiej strony bałem się, że odbijemy od kolumny i zostaniemy już całkiem sami z obcymi. Zrezygnowałem, ale zaraz przyszła druga sanitariuszka i również po polsku poinformowała nas, że za rogiem jest punkt żywnościowy oraz że w Kopciewie, dokąd jedziemy, będzie nocleg i gorące pożywienie. Gdzieś byli ci Litwini, skoro na prostej drodze wszyscy mówili swobodnie po polsku.

Ta informacja o noclegu i gorącym pożywieniu ostatecznie zdecydowała, że nie zatrzymaliśmy się. Pięknie podziękowaliśmy dziewczynom i pojechaliśmy dalej. W mijaliśmy stojących przed domami ludzi, którzy uśmiechali się do nas i zagadywali oczywiście po polsku.

Istotnie za rogiem ruch furmanek uległ zaharowaniu. Każda z nich zatrzymała się przy stołach, na których leżały rozłożone bochenki czarnego chleba i duże kawałki obsuszone,

grubej słoniny. Do każdego wozu podchodziła siostra i każdy żołnierz dostawał bochenek chleba i jeden kawałek słoniny. W czasie naszego pobytu tam nie spotkaliśmy ani jednej osoby, która nie rozmawiałaby po polsku, natomiast bywały takie, co przyznawały się do tego dopiero zmuszone okolicznościami albo koniecznością porozumienia się z nami.

Każda furmanka przystawała na ćwierć minuty, brała prowiant i jechała dalej. Dostaliśmy i my to jadło. Śmieliśmy się z Henkiem, bo w życiu swoim nie jedliśmy jeszcze słoniny jak kiełbasy. W domu, owszem, była ona specjalnie topiona ze skwarkami i używana do smarowania chleba, ale nie tak na żywo. Kto to wtedy przypuszczał, że słonina wkrótce urośnie do rangi symbolu dostatku, nie tylko zresztą w Polsce.

Przez całą drogę po bokach, na polskich rowerach, towarzyszyli nam szaulisi. Czasami któryś przysiadł się na wóz. Wyglądało to na konwój. Byli w różnym wieku, ale przeważał wiek poborowy. Oczywiście mówili i rozumieli po polsku, chociaż się z tym kryli. Nie robili nam żadnych uwag ani nie wtrącali się do niczego. Właściwie nie wiadomo, po co z nami jechali. Nikt przecież nie uciekał. Furmanki zgoła nie posuwały się naprzód. Pomyślałem sobie, że rower można było jednak przemycić. Odłączyłem koła oraz ramę i wtedy można by go ukryć na dnie wozu.

Na razie jadąc upajaliśmy się poczuciem bezpieczeństwa i swobody oraz ładną pogodą. Mijały kilometry. Przy drogach ludzie wylegli z okolicznych wiosek, częstowali nas czyr kto miak, najwięcej jabłkami i gruszkami, jak w Polsce wiosek było raczej mało. Te, które mijaliśmy, miały duże, bogate, porządnie zagospodarowane, domy i obejścia. Ludzie

ubrani dostatnio, wszędzie czysto, a przy drogach, tak jak u nas, stały kapliczki. W krajobrazie też nie zauważyliśmy żadnej zmiany, podobny jak w okolicach Sejn.

24.IX.39 - rano dostajemy pierwszy raz jeść. Spotykam kompanię. Tadek Responda i Felka Dremnowskiego. kombinujemy własny wóz i jedziemy nim do Olity /Alytus/. Całodzienna jazda do Serej /Strijai/. Postój.

25.IX.39 - Jazda do Olity. Przybywamy tu po południu. Przyłącza się do nas Zdzisiek Polakowski.

Szaulisi co raz częściej zagadywali do nas i twierdzili, że już niedługo będziemy w Kopciowie. Kończył się ten niezwykły dzień. Już po cieniu podjechaaliśmy chyba do jakiegoś dworu. W bramie zobaczyłem chorągwie czerwonego krzyża. Teraz postanowiłem wykorzystać wreszcie okazję i zrobić sobie porządny opatrunek. Wszyscy się ożywili, a najbardziej szaulisi. Biegali i zapraszali na nocleg do dworu. Rzeczy radzili zostawić na wozach, ręczyli za ich bezpieczeństwo. Na placu stały setki furmanek, przeważnie jednokonnych. Wzięliśmy z wozu najpotrzebniejsze rzeczy i, jak wszyscy, skierowaliśmy się do dworu. Obaj z Henkiem wzięliśmy po koserwie ze skrzyni, po kawałku kawy na kolację, plecak, koc, a resztę dobrze przykryliśmy. Zaobrokowaliśmy konia, napiliśmy, jak dobrzy gospodarze po dobrze przepracowanym dniu, udaliśmy się na nocleg. Znaleźliśmy kawałek miejsca na podkoździe. Pobiegłem poszukać punktu sanitarnego. W jednym z pokoi na parterze znalazłem lekarza i młode siostry. Było wszystko co trzeba. Z przesadną ostrożnością odwinęli moją dłoń. Raczej trochę obrznięta, ale nie ropiała. Lekarz obejrzał ją i zadowolony. Zalecił świeży opatrunek, kazał mi zwrócić ten

peraturę. Ze wstydem rozpiąłem bluzę i koszulę. Były czarne i przepecone. W końcu od tyłu dni byliśmy w drodze. Gorączki nie miałem więc doktor zadowolony wpisał tylko moje personalia do książki i dał mi opatrunek osobisty, oczywiście polski, i wyszedłem. Heniek już leżał na podłodze w naszym kącie. Gdy mu opowiedziałem, z jakimi ceremoniami się ze mną obchodzili, to tylko westchnął: "szkoda, że ich nie było w Grodnie, tam mieliby trochę więcej roboty".

Rozłożyliśmy się na podłodze. Szczególną rzeczą wydało się nam to światło elektryczne, lampy świecące w nocy i niezaciemnione okna. Od tego właśnie już zdążyliśmy się odzwyczaić. Zjedliśmy konserwy, zagryźliśmy kawę, wodą popiliśmy i spać, ach spać. Koc na podłodze, sucho, plecak pod głowę. Zdjęliśmy buty i onuce. Ta noc, pierwsza na Litwie, była wspaniała.

Zbudził nas hałas. Od jakiegoś już czasu wydawano zupę. A robiła to ta poczciwa polska kuchnia polowa z polskim kucharzem Przed dworem ruch, kolejka szła szybko.

Nagle dwór opróżnił się. Wszyscy biegli na plac do wozów. Ruszyliśmy i my. Tu dopiero rozpacz! Litwini, no przede wszystkim szaulisi, okradli nas. To dlatego wieczorem byli dla nas tacy mili, że aż język polski sobie przypomnieli. Do dworu nas tak zapraszali, aby potem obrabować nasze furmanki. Byli żołnierze, którzy spali na furmankach. Ci mówili, że na placu w nocy odbywały się istne czarcie gody. Całe okoliczne wsie zleciały się na szaber. Co tylko było do uniesienia to wynosili z furmanek. Uprawdzili też dużo koni. Rzeczywiście plac wyglądał jak jedno pobojuisko. Potwierane skrzynie, worki, porozrzucana uprząż, a między tym błękały się bezpieckie konie.

Szukaliśmy swojego konia! Gdzie tam! Gdzie go szukać w tym bałaganie. Zypaliśmy pierwszego z brzegu i kombinowaliśmy dla niego uprzęż. Każda jej część była inna. Pod wozem leżało jeszcze trochę obroku, nakarmiliśmy więc konia. Pobiegłem po wodę. To, co zobaczyłem po drugiej stronie podwórza, to była dopiero rozpacz! Niedługo po nas, już w nocy, przyszło wojsko i rozlokowało się w budynkach gospodarczych tego dworu. Odprężenie po tych wszystkich przeżyciach, pierwszy raz po tylu nocach spaliśmy tak spokojnie i głęboko, że nic nie słyszeliśmy.

Przyszła też jednostka kawalerii. Swoje konie uwiązał przy płotach, a sami poszli spać. Konie, słabo zaobrokowane były tak głodne, że szarpały cały drewniany gruby płot. Jak nadszedłem, to ze sztachet i drążków nie zostało już nic. Teraz wzięły się, za szupy, które jeszcze stały w ziemi. Straszny to był widok, straszny, a jednocześnie żałosny. Wkrótce zlecieli się kawalerzyści. Zaczęli taszczyć siano, wodę, ale widok tych koni został mi na całe życie. Głód dla zamkniętego czy związanego zwierzęcia był gorszy niż dla człowieka.

Wśród żołnierzy znalazłem swoich kolegów z podchorążówki. Był Tadek Respond i Felek Drewnowski. Zaprosiłem ich do wozu. Przybiegli, przedtem jeszcze zameldowali podchorążemu Bajko, gdzie będą. Heniek czekał tylko na mnie i na wodę dla konia.

Kolumna powoli ruszyła. Po powitaniach nastąpiły wzajemne opowiadania. Okazało się, że oni szli mniej więcej tą samą drogą, tyle tylko, że nie mieli potyczki w Kodziowcach. Nawet chyba tam nie stali. Pierwszy to raz chyba wojsko szło z tyłu, za taborem. Wyprzedzaliśmy ich tylko o jeden

dzień marszu, ale po tej samej osi. Do Kopciowa przyszli po nas, już w nocy. W Grodnie też się nie nawojowali, a ja im tak zazdrościłem. Cała noc byli rozciągnięci jako obrona za jakimś długim murem. Ukołali się, ale Sowieci nie atakowali. Dopiero rano, prawie o świcie, zaczęły się jakies ruchy na przedpolu. Nieprzyjaciel nacierał, ale nieprawo i niezdecydowanie. Ostrzału artylerii nie mieli, ogień karabinów maszynowych też ich jakoś oszczędzał. Poprowadzili trochę ognia do prawie niewidocznego nieprzyjaciela i przed południem dowództwo zwinęło na tym odcinku obronę. Mniej więcej w tym czasie dołączyła do nich grupa szturmowa z podporucznikiem Piaseckim, która swego czasu została w Ejszyszkach. Kompania znova była w całości, tylko bez tabo-ru, który przeprowadzał się przez Niemen.

Porucznik Jezierski i wszyscy podchorążowie, nasi dowódcy, okazali się dobrymi wodzami. W kompanii aż do przybycia do Kopciowa, pod względem dyscypliny, nie się nie znizko od czasów Lidy. Jezierski nie poszedł na Litwę, wszyscy się śmieli, że stesknili się do swojej świeżo poślubionej żony.

Nikt z kompanii też nie zginął, nikt nie został rann. Na Litwę przeszli chyba wszyscy. W kompanii rozeszła się pogłoska, że ja zginęłam. Chyba stał, że Jezierski zostawił mnie w tych zabudowaniach w Grodnie i nikt nie widział, gdzie się nagle podziałam.

Nasze losy okazały się bardziej "bohaterskie". Byliśmy więcej pod ogniem, wbrew temu, co można sądzić o służbie w taborach. Ja sam byłem na dwóch patrolach bojowych, a wtedy w Grodnie, uszliśmy z Patkowskim z życiem, chyba w ostatniej chwili i to tylko przez "ponykie". Dzieńka sowiec

kie już się przecież wystrzelały w nasz obiekt, w przekonaniu, że jest tam wojsko. A Kozłowiec? Ta kosa na wzgórzu? Skarżyliśmy się na Litwinów za tę nocną grabież. Ogołocili nas ze wszystkiego. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jedziemy gdzieś do jakiegoś obozu. Ten prowiant, który mieliśmy na furce, wystarczyłby na długo dla naszej grupy, czy plutonu, a przecież takich wozów naszej podchorążówki było pięć, czy też sześć. Przy porządnym, oszczędnym dzieleniu starczyłoby na jakiś czas. Teraz zaczęliśmy się zastanawiać, co to był za majątek. Dwie skrzynie konserw, skrzynia kawy, dwie skrzynie sucharów, a ile takich skrzyń mieli pozostali nasi koledzy? Obaj z Heńkiem nie wzięliśmy dla siebie nic na zapas. Trudno, ale zamiar wyjazdu do Francji pozostał.

Całonocny postój w Serejach spędziliśmy na wozie, mimo że było zimno.

Rano, po zjedzeniu zupy z polskiej kuchni ruszyliśmy do Olity. Tam miał być nasz obóz i nasze lokum po tej wojnie. Oficerów wśród nas nie było. Odłączono ich zaraz na granicy i samochodem pojechali do innego obozu. Po południu dojechaliśmy do Olity, ale miasta nie widzieliśmy, bo od razu wjechaliśmy na plac koszarowy. Tu nastąpiło rozwiązanie taborów. Konie i furmanki zostawiliśmy na placu, a wojsko z osobistym ekwipunkiem zebrało się przed budynkami koszarowymi. Byli już dowódcy, sami brzuchaci polscy sierżanci i sierżanci sztabowi. To towarzystwo już z niejednego pieca chleb jadło pod różnymi rządami, jeszcze w czasach saborów. Mówiło się, że właśnie ci, rozkazujący, już ułożeni z Litwinami, przekroczyli granicę już 17 września. Mieli więc ~~zostać~~ do 25 września czas na zagospodarowanie się i zorientowanie się w sytuacji. Oby tylko z pożytkiem dla

tej masy żołnierskiej.

Rozkładu koszar, ich budowy i ich charakteru nie było potrzeby poznawać. Poznaliśmy je z daleka na pierwszy rzut oka po czerwonej cegle i stylu budowy. Takie same opuściliśmy w Lidzie, takie same były w Lublinie i w całym zaborze rosyjskim, gdzie tylko sięgała władza cara. Przynajmniej tak było "swojskie".

Z daleka już zobaczyliśmy wysoką sylwetkę podchorążego Bajko. Wokół jego osoby zebrał się cały dywizyjny kurs wraz z wszystkimi pozostałymi dowódcami drużyn. Ponieważ oficerów nie było, on automatycznie został dowódcą i komendantem kursu tytułem starszeństwa. Ostatnio był przecież dowódcą plutonu, a inni tylko dowódcami drużyn. Koledzy dziwili się, widząc mnie żywym. Może dlatego, że tak nieoczekiwanie zniknąłem na kilka dni w Grodnie z rozkazu porucznika Jezierskiego, a przecież zawsze wszędzie było mi tak dobrze. Podchorąży Bajko też przywitał się ze mną serdecznie. W gruncie rzeczy byłem zadowolony, że nie ma Jezierskiego i że nikt nie zapyta mnie o rower!

Padła komenda od podchorążego Bajko. Zajęliśmy swoje miejsca w 2-jej drużynie. Równanie, liczenie, tak jakby się nic nie zmieniło, jakby nie było tych dziewięciu dni, jakby nie było tej mordęgi, tych kilometrów w nogach. Twarze ścienne, poważne, obrosnięte, schudzone, ale mimo wszystko wesole, tylko w prawej ręce nic nie było, nic nie stało przy nodze!

Na placu już biegali "wyfraczeni" sierżanci. Buty szklanki wyglansowane na wysoki połysk, niektórzy w ostrogach. Mundury, płaszcze od najlepszych krawców, broń Boże polowe, pasy garnizonowe. Ich mundury, nie miały ani plam na łokciach po dołkach strzeleckich, ani szony po ostatnim

"letnim" noclegu. Energia była od nich na kilometr, a po dokładnie wygolonych policzkach spływało pełne zadowolenie z siebie, ze spełnienia obowiązków już zaraz po 17 wrześniu. Znowu było wojsko, znowu można rozkazywać. Władza należała do nich. Zwierzchnikami ich byli Litwini, a tych na razie nie było widać. Nie wszyscy starsi podoficerowie tak się zachowywali, ale, niestety, część z nich zachowa się w naszej pamięci właśnie w ten sposób.

Po jakiejś godzinie jeden z nich podszedł do podehorążego Bajko i poprowadził nas do pobliskiego budynku. Obejrzałem się do tyłu. Na placu stało kilka batalionów naszego wojska. Po szerokich mocnych schodach weszliśmy na pierwsze piętro najbliższego stojącego czerwonego budynku. Otrzymaliśmy całe lewe skrzydło zakończone małymi pokojkami przeznaczonymi dla podchorążych, naszych dowódców. Podzieliliśmy sale kolejno plutonami, a więc nasza była pierwsza od schodów. Część została, a część pobiegła po słomę. Zobaczyłem stajnię. Wszedłem. Była pusta. Obok żłobu leżał koc, więc wziąłem go jako przykrycie na słomę. Była to gruba i krótka derka końska. W tym samym budynku mieściła się też kuchnia, tyle że z drugiej strony placu. Na kolację dostaliśmy gorącą dosyć gęstą zupę zrobioną tak już po litewaku, trochę kapusty, białej, świeżej, zabieleną mlekiem. Ot taka jarzynowa, tyle że z płatkami ugotowanej kapusty na wierzchu. Na powierzchni też pływały duże kawałki gotowanej białej słoniny. Każdy patrzył na nie z obrzydzeniem. Z reguły wszyscy je wyrzucali /na razie, bo już po kilku dniach nikt nią nie gardził/. Do tego każdy miał po pół bochenka chleba. Było tego dużo i tłusto.

W dalszym ciągu nie zauważyliśmy jeszcze żadnych li-

towskich mundurów, żadnego ogrodzenia, żadnych wartowników. Zwiedzanie obozu odłożyliśmy do jutra. Ledwie zdążyliśmy usłyszeć męszki, a już była zbiórka, tym razem na apel wieczorny. Przed budynkiem zebrały się już po ciemku wszystkie kompanie z tego bloku. Padła komenda do modlitwy. Taka sama jak zwykle, potem Ojcze nasz i Wszystkie nasze, jak w Lidzie.

W umywalni był tłok, woda ciekła w takie same korytka jak w Lidzie. Zmęczeni padliśmy na słomę. Drugi raz od wyjazdu z Lidy, rozebraliśmy się do bielizny. Przykrywaliśmy się tym czym kto miał. Obaj z Felkiem mieliśmy ten dodatkowy, znaleziony przeze mnie koc. Niejeden przeżegnał się ukradkiem, westchnął i jak tylko przyłożył głowę do posłania to więcej już nic nie pamiętał. Ja próbowałem walczyć ze snem, wpaść wążem się uporczywie w lampę, ale nawet nie wiem, kiedy zasnąłem i jak przeszła ta pierwsza noc na obczyźnie.

Rano zamiast pobudki rozległ się jeden wielki kaszel. Nasze ciała wciągający całą wilgoć z mokrej słomy, a kaszel był tego najlepszym dowodem.

Na śniadanie dostaliśmy pełną męszkę mlecznej zupy, gęstej od makaronu i skwarek, oraz bochenek chleba. Tego w naszej armii nie widziałem. Ni stąd ni zowąd pokazało się kilku żołnierzy litewskich. Wzięli śniadanie z tej samej kuchni co i my, jedynie męszki mieli dwa razy większe od naszych.

Po śniadaniu robiliśmy generalne porządki i golenie. Bajko wyjaśniał, że koniec z brodami. Od jutra na porannym apelu musieliśmy być normalnie ogoleni. Byliśmy przecież podchorążówka, a to zobowiązywało. Po zbiórce pomaszzerowaliśmy do lasu. Całe koszarzy, plac i inne zabudowania były

otoczone starym rzadkim lasem który ciągnął się prawie do miasta.

20.IX.39 - Zaczyna się monotoność obozu internowanych. Wybierają mnie drużynowym.

Dzień 20 września można uznać za początek tego, co dla jednych trwało pół roku, dla innych znacznie dłużej i to z różnymi urozmaïceniami. W lesie w odosobnieniu dowódcy zrobili odprawę. Tak, bardziej po koleżeńsku. Byli wszyscy nasi dowódcy drużyn z Lidy. Bajko rozkazywał. W dalszym ciągu czuliśmy się Dywizyjnym Kursem. Z braku innych możliwości kurs mieli prowadzić podchorążowie. Oczywiście, o ile nadal będzie taka swoboda. Dyscyplina obowiązywała jak w Lidzie.

Dla celów wewnętrznych i dla zmylenia Litwinów mieliśmy wybrać drużynowych spośród siebie, ale podległość służbowa pozostawała taka jak na kursie. Mieliśmy dawać przykład całym koszarom, a zacząć trzeba było od porządków na sali i przy umundurowaniu. Zostałem wybrany na drużynowego w 2(→) drużynie. Pośpiewaliśmy trochę i czwórkami wróciliśmy do koszar.

Na placu apelowym Bajko, chyba tak dla dodania ducha całemu obozowi, no i nam też, przeprowadził musztrę. Od naszego stukania obcasami po twardym placu, od tych komend, czwórki w prawo, odliczanie, od kroku defiladowego aż poweselało wokół koszar, a przecież o to podchorążemu chodziło. Całe wojsko wyległo z koszar, pokazali się też Litwini. Stali z otwartymi ustami, bo nigdy dotąd nie widzieli polskiej musztry w szyku zwartym. Wyszła również i szarża, a jakże! Dałem komendę - no i na cały las gruchnęła kombi-

nacja "Samosierzy z Szylówachem". Czwórki idealnie wyrównane, połówki na prawe ucho, ręce do pasa. Czuliśmy od razu, że pomysł z tą musztrą był dobry dla obozu i dla naszego kursu. Mimo wszystko przez cały pobyt na Litwie traktowali nas jakoś bardziej uprzejmie od innych.

Czas było zapoznać się z koszarami. Po obiedzie wyszliśmy naszą grupą poznać otoczenie. Zaraz od pierwszego dnia ustalono taki porządek, że popołudnia mieliśmy wolne tak dla drużyny, jak i dla siebie. Otoczenie to kilka budynków takich jak nasz, stajnie, budynki gospodarcze. Nic ciekawego, chyba tylko to, że nigdzie nie było żadnego płotu ogrodzenia. Dookoła las i to stary. Spomiędzy tych sosen unosił się dym. Podeszliśmy bliżej, a tam grupa ośmiu czy dziesięciu sierżantów paliła ognisko. Dostyć szczelnie je ochowali. Mimo to śmiało zbliżyliśmy się do nich. Oczom naszym ukazał się zaskakujący widok. W ognisku płonęła sterta polskich pieniędzy. Zaskoczeni naszym przybyciem sierżanci odganiali nas, wygrażając przy tym. Oniemieliśmy, ale już grane wąsy "a la Wilhelm", czy też "a la Franz Jozef, a może prosto "Mikołajewskie", z groźnym pomrukiem gonią nas precz. Jeszcze im zaszalutowaliśmy i w nogi.

O tym incydencie powiadomiliśmy Bajko i Dulińca. Poruszenie było olbrzymie. Podchorążowie obiecali wszystko wyjaśnić. My na oczek wojnę dostaliśmy 50 czy też 80 złotych a tam taka sterta palących się banknotów. Za kilka dni otrzymaliśmy prawie oficjalne wyjaśnienie, że istotnie, to prawda, ale były to drobne wojenne pieniądze, których Litwini nie chcieli brać. Wymieniali jedynie banknoty stuszkotowe, tak zwane "dęby", nazywane tak od rysunku wielkiego dęba. Szum zrobił się w kompanii i na tym się skończyło.

Teraz dopiero dowiedzieliśmy się, że wymiana pieniędzy kwitka na całego. Ci pierwsi, którzy przekroczyli granicę 17 i 18 września wymieniali 100 złotych na 200 litów /litewskiej waluty/. Teraz, gdy przybyło tyle wojska kurs gwałtownie spadł i można było otrzymać jedynie 30 litów za 100 złotych. Jednym słowem, przez samą tylko swoją obecność przez swoje nędzne złotówki, zbiliśmy kurs wymienny sierżantom i płatnikom z różnych oddziałów.

Cały czas, gdy przebywaliśmy na Litwie, można było wymienić złote na lity, jeśli ktoś je oczywiście miał. Szło to falami. Raz nie wymieniano, drugi raz brano na gwałt. Nawet jeszcze w lutym 1940 roku można było za 100 złotych dostać 5 litów. Rządziła tym jakaś mafia w obozie i poza obozem, nie raz odwoływano się do "patriotyzmu", żeby nie wymienić. Innym razem znów patriotą był ten, który wymieniał za byle co. Mówiono też, że maczali w tym palce Żydzi, których całe cymary mieszkali na Litwie.

Również polonia litewska skupowała złotówki tak dla tezauryzacji, jak i traktując to jako czyn patriotyczny, jako formę pomocy dla wojska i cywilnych uciekinierów. Ponoc to granice przecież były jeszcze otwarte i z pewnością większość skupionych tu złotówek wracała za pośrednictwem handlarzy do kraju, który przecież jeszcze walczył i miał jako taką, choćby szczątkową, administrację. W każdym bądź razie sierżanci, paląc drobniaki, nie dopuszczali w ten sposób do obniżenia kursu wymiennego, bo przecież oni mieli pieniądze i kasy - a nie my.

Dowiedzieliśmy się, że w naszych koszarach w Olicie stał litewski pułk kawalerii imienia Wielkiego Księcia Witolda. Pułk ten wymaszerował, żeby wraz z innymi jednostkami litewskimi, zająć Wilno oraz ochraniać granicę od

strony Polski. Podobno nie było tam łatwo, gdyż, według krążących informacji, polski generał Dąbrowski^x bronił im dostępu i daje wojakom litewskim porządne kupnia. Były to oczywiście wiadomości zaskysane. Widzieliśmy czasem tych ułanów od Księcia Witolda w innej części koszar. Nosili białe otoki na swych okrągłych czapkach i z daleka można było ich wziąć za Polaków z 2-go pułku szwoleżerów, którzy również nosili okrągłe czapki i mieli białe otoki. Tylko postawa ich była już inna, nie taka szwoleżerska. Przede wszystkim były to ogromne i grube chłopiska. Konie też mieli ogromne i opasłe. Zaraz skojarzyło mi się to z ich podwójnymi menażkami. Kursowała u nas w tym czasie już anegdota o wojsku litewskim, chyba z powodu tego Wilna. Premier litewski rozkazał naczelnemu wodzowi, aby do Wilna wysłać wszystkie czołgi. Naczelny wódz zameldował: "wszystkie trzy zostały natychmiast wysłane zgodnie z rozkazem". "A ten jeden zepsuty też? - spytał premier. "Ten też" - pociągnęły go woły" - padła sprężyta odpowiedź. Widzieliśmy ich kolumnę samochodową, też chyba szła na Wilno. Były to stare graty z I wojny, pomalowane w żaty tak, że wojska afrykańskie nie powstydzilyby się tego maskowania. Drugiego dnia zwiedziliśmy nasz blok. Tak jakoś bez rozkazu pozdejmowaliśmy swoje sznurki z naramienników od płaszczy. Zostawiliśmy je tylko przy mundurach. Nie wiadomo dokładnie, czym kierowaliśmy się, ale nie było czym imponować, skoro w kieszeni i na grzbiecie pusto. Weszliśmy do sali po drugiej stronie naszego bloku. Nagle wpadł jakiś plutonowy w butach z cholewami i zarządził zbiórkę. Kawalerzyści ustawili się w dwuszeręgu i odmaszerowali do obierania ziemniaków. Komenda była tak przekonany-

x/ J. Ślaski w "Polsce walczącej", PAX 1986, podaje, że tym generałem był podpułkownik Jerzy Dąbrowski, słynny zagonec z lat 1918-20.

wajaca, że o naszy włos i my nie dołączylibyśmy do szeregu, chociaż nas nie dotyczyła.

W rogu sali urzędował fryzjer. Prawdziwy fryzjer ze wszystkimi swymi narzędziami, z tej właśnie jednostki kawaleryjskiej. Jako pierwszy stawikiem się do strzyżenia i golenia. Zrobił to chętnie, bo sala na chwilę opustoszała. W czasie strzyżenia opowiedziałem mu o tych koniach, co zjadły płot. Potwierdził, że tak było. Granicę przekroczyli konno zwartymi oddziałami. Potem na postoju Litwini kazali im zdać konie, a sami nie zatroszczyli się jeszcze o furaz dla nich. Resztę drogi odbyli różnie - część na furmenkach. Tak więc za ten karygodny obraz śmiertelnie zgłodniałych koni to już nie oni odpowiadają. Zresztą, który ukan dopuściłby do tego, aby koń, który go nosił nieraz przez całą wojnę, został na koniec tak nagrodzony.

Dołączyło do nas kilku "ochotników". Wszyscy z cenzusem. W różny sposób znaleźli się w wojsku w 1939 roku. Stąd znaleźli się w obozie internowanych wojskowych, a nie wśród ludności. Na Litwie miało być kilka obozów internowanych wojskowych. Oprócz Olity słyszeliśmy ~~niektórzy~~ o takich miejscowościach jak Wiłkomierz i Połoga. Ta ostatnia leżała nad morzem i była miejscowością letniskową. Tam w jednym obozie mieli przebywać polscy oficerowie z całej Litwy. Mieszkali w domkach letniskowych.

Między ochotnikami byli też i starsi wiekiem. Większość miała mundury i sznurki cenzusowców przy naramiennikach takie jak my. Byli między nimi mężczyźni po odbytej służbie wojskowej, ale bez ukończonej podchorążówki. Byli też maturzyści, którym wojna tak jak nam, nie pozwoliła na normalny pobór.

W najbliższą niedzielę poszliśmy do kościoła na mszę sw. Nie szliśmy daleko, gdyż kościół garnizonowy, podobnie jak w Lublinie, mieścił się w obrębie koszar. Wewnątrz nie byliśmy, była to msza polowa. Odprawiał ją jeden z polskich kapelanów. Mszy tej nie zapomnę do końca życia. Na olbrzymim placu przed kościołem zgromadził się cały obóz. Do dzisiaj nie wiem, ilu nas było w Olicie, ale chyba około 2000. Staliśmy w zwartych sztykach kompaniami. Pokazało się też dowództwo litewskie w mundurach. Ci zasiedli w krzesłach w pierwszym rzędzie. Dużo żołnierzy klęczało na placu prawie przez całą mszę. Po zakończeniu mszy ksiądz zaintonował "Boże coś Polskę". Gruchnęło na placu tak, że w całym lesie zerwały się wrony z drzew i ze strasznym szumem wzbiły się w niebo. Śpiewali wszyscy, całą pierśią, zapatrzeni w ołtarz ze łzami w oczach i na policzkach. Zbliżał się refren i tu w pewnym momencie przy pierwszym śpiewaniu głosy się zakłamały. Zatrzymałem się i ja, gdyż nagle usłyszałem, że inną kompanie śpiewały go inaczej aniżeli ja i wszyscy moi koledzy, rówieśnicy. Rozbieżność ta zresztą przez ułamek sekundy powstała przy słowach "Ojczyznę wolną pobłogosław Panie". Wszyscy starsi wiekiem żołnierze i podoficerowie wrócili do wersji śpiewanej za ich młodzieńczych lat, a mianowicie "Ojczyznę wolną, racz nam wrócić Panie". Oczywiście przy powtórce refrenu wszyscy śpiewali już jedną wersję. To był nieoczekiwany wybuch. Po mszy przez chwilę maszerowaliśmy do koszar milcząc. Każdy z nas trawił dopiero uświadomioną sobie rzeczywistość. Potem posypały się oczywiście komentarze o narodzie, w którym duch wolności nie ginie. Podobnie z powodu tego refrenu nie byliśmy więcej na tym placu, na mszy. Władza litewska mówiąca tak samo dobrze po polsku,

Jak i my, poczuła się nagle zagrożona. A może chociaż "aby ta zaraza" nie dostała się do polonii litewskiej?

Jak w każdym obozie, tak i u nas rozwijał się handel. Niektórzy nasi starsi podoficerowie nie potrzebowali handlować, a jeśli handlowali, to towar szedł do nich, a nie od nich. Mieli przecież w bród litewskich pieniędzy wymienionych za stówki, choćby nawet po najniższym kursie. A my? Na razie nie było żadnej straży, ludzie włóczyli się po całym lesie i po całej Olicie. Przynosili różne wieści i kupowali różne frykasy, oczywiście tylko ci, którzy mieli litewskie pieniądze. Mnożyły się powroty do Polski. Masowe uciekali przede wszystkim starsi rezerwiści. Dużo rozmawialiśmy na ten temat. Ciągłe mieliśmy nadzieję na wyjazd do Francji i kontynuację dalszej walki w armii polskiej. Dowiedzieliśmy się wreszcie o kapitulacji Warszawy, ale bronili się jeszcze Hel, a Francja i Anglia nadawały jeszcze przez radiokomunikaty o nowo organizowanych w Polsce armiach, zwłaszcza o Armii "Polesie". Zaczynały się pokazywać zagraniczne pisma francuskie i angielskie. kolorowe tygodniki pełne zdjęć z wojny w Polsce i szawiające męstwo żołnierza polskiego.

W dalszym ciągu przed południem mieliśmy regularne wykłady, trochę taktyki, trochę terenoznawstwa, dużo musztrowania - i to nas trzymało. Któregoś dnia zaszliśmy do sklepiku towarowego, oczywiście litewskiego. Zaskoczyły nas śmieszne ceny. Masło, miód, biały chleb kosztował grosze. Postanowiłem sprzedać swój zegarek, który i tak chodził tylko jak się nim potrząsnęło.

Po wielu trudnościach z ubiciegiem targu, sprzedałem go za 5,50 lita.

Po obiedzie poszliśmy do sklepiku oblewać udaną transakcję. Kupiłem kilogram miodu tak twardego że sklepowi m...

siała kroić go nożem. Utkroiła dużą kostkę i podała dużą bielutką bułkę. Wszystko za 1 lita! Co to była za frajda!

O Francji nadal cisza. Nasi dowódcy też nic nie wiedzieli. Coraz częściej rozmawialiśmy o powrocie do Polski, ale nie potrafiliśmy zająć jednolitego stanowiska. W końcu ustaliliśmy, że uciekniemy we trzech, Tadek, Zdzisiek i ja. Jednak pod wpływem Felka zrezygnowaliśmy. Głównie przeważały poglądy o formowaniu wojska we Francji. Tak nas to już rozgniewało, że postanowiliśmy chociaż zobaczyć Olitę i Liwinów żyjących poza obozem. Ruszyliśmy całą grupą przez las. Do miasta było może 1,5 a może 2 kilometry. Miasteczko okazało się nieduże, ale czyste. Kwadratowy rynek, ludzi racz mało, gdzieś tam przemykała jakaś postać w polskim mundurze i zniknęła. My się nie kryliśmy. Chodziliśmy wolno i zdarzało się, że ktoś raz ciszej, raz głośniejszym pozdrowił nas po polsku. Nagle zobaczyliśmy, wypisz wymaluj, lubelską sodówkę. Drewniana, pięknie wycinana i boazerie jeszcze z rosyjskich czasów. Taka sama stała u nas w Lublinie przed wojną na Krakowskim Przedmieściu niedaleko sądu okręgowego. Jak sodówka to i Żyd - właściciel. Tym razem to Żyd był już nowoczesny w mundurze Szaulisa w okrągłej czapce wojskowej w zielonej koszuli i zielonym krawacie. Taki wojak od święta do procesji. Weszliśmy. Była woda sodowa z sokiem. Smaczna, dawno nie piliśmy normalnego napoju. Wywiązała się rozmowa. Właściciel mówił po polsku ze śmiesznym akcentem, trochę mylił rodzaje i końcówki. Mówiliśmy oczywiście o wojnie. O Niemcach, którzy mieli podpalać domy, bombardować ludność cywilną, mordować Żydów. Wyznawało się w tym wszystkim nutę powątpiewania, ale i tak był nasz Szaulis mocno wystraszony. Wprawdzie mówił, że u nich wojny nie

bydźcie, bo mają mądry rząd. On z Biencami się nie kłóci. Chcieli Kłajpedę - proszę, bierzcie Kłajpedę. Grunt to spokój. Zrobiło się nam smutno i nieswoje. Tak jakoś odruchowo zbieraliśmy się do wyjścia. Żyd nie chciał wziąć pieniędzy, a gdzieś z zaplecza wyszła jego cała rodzina i serdecznie nas pozdrowiała. Gdy wychodziłem, wetknął mi jeszcze w rękę dużą torebkę cukierków. Zasalutowaliśmy, obcasy stuknęły, nie za te cukierki, oczywiście, tylko tak dla fasonu, aby wiedział on i jemu podobni, że my Kłajpedy nie oddaliśmy!

Wracaliśmy tą samą drogą i właśnie krytykowaliśmy Żyda i Kłajpedę, gdy zza drzewa wyszedł litewski patrol z karabinami. Rozmowa była krótka, kazali nam maszerować prosto przed siebie, bo w przeciwnym razie będą strzelać. Wrócić byliśmy już w naszych koszarach, ale w tej części litewskiej. Poprowadzono nas na pierwsze piętro. Weszliśmy do jakiegoś pokoju biurowego. Wartownik został z nami. Po chwili wszedł litewski major. Z miejsca zaczął krzywość po litewsku i wymachiwać rękami. Staliśmy na baczność i milczeliśmy. Po chwili już najczystszą polszczyzną stwierdził, że pójdziemy do aresztu i wyszedł. Sprowadzili nas po schodach w dół do piwnicy i zapakowali do małego pokoiku z jeszcze mniejszym okienkiem bez szyby. Jeszcze słyszeliśmy, jak wartownik zamykał drzwi na rygle i kłódki, po czym odszedł. Nie spisywano naszych personaliów, nigdzie nie widzieliśmy też żadnej ewidencji, nie próbowano też nas bić, ani znieważać.

Rozglądaliśmy się po piwniczce. Sam beton! Króć leciał bieżący, od podłogi i ze ścian! Za umeblowanie służyła jedynie rama regału, ale bez desek. Podbiegliśmy do okna.

Na zewnątrz chodzili nasi żołnierze. Rozmawialiśmy, ale bezskutecznie. Wreszcie podszedł jakiś Polonus. Prosimy, żeby poszedł do naszej kompanii i dał znać, gdzie jesteśmy i żeby zaraz przynieśli koce. Za małe półgodzinki była cała granadka, ale bez koców. Przyszli obejrzyć Kozaków, którzy wybrali się na lemoniadę aż do Olity. Ustaliliśmy jednak, że przyniosą koce, mianażki i coś do jedzenia. Mieli też zameldować o nas podchorążemu Bajko. Za drzwiami zrobiło się cicho. Zbliżał się wieczór, w piwnicy było już ciemno. Myśleliśmy o wyłamaniu przez naszych chłopców kłódki, ale w budynku tym mieszkali przecież Litwini, więc nie było możliwości wejścia do piwnicy, a co dopiero z łomami. Koledzy przynieśli koce i kolację. Najważniejsze, że nie czuliśmy się opuszczeni w tym grobie. Zapadła noc. Próbowaliśmy spać na regałach, a właściwie na ramach, bo na betonie nie można było nawet stać. Ciągnęło przez nasze, podkute gwoździami, buciska. Był to już październik! Regał, oprócz czterech nóg, miał dwie podłużne listwy, ale bez desek. Ostatecznie chcieliśmy siedzieć po dwóch na zmianę. Jeden miał siedzieć z jednego końca opierając nogi na listwach, drugi z drugiego końca miał robić to samo. Obydwaj musieli odpychać się stopami, gdyż nie było innego sposobu utrzymania się na wąskiej listwie. Najpierw ja z Felkiem poszliśmy na regał, Tadek i Zdzisiek drzemali w kucki na podłodze. O siedzeniu nie mogło być mowy. Kocami okryliśmy nogi, zwłaszcza kolana, i próbowaliśmy spać. Nogi to sztywniały, to znów wiotczały. Po chwili spadłem głową na beton. Nie wyszło więc nic z tym regałem. Próbowaliśmy tak, jak koledzy, w kucki na betonie. Po chwili jednak zmiotłem pleców czułym tafię lodu, a nogi w kolanach były tak zdrtwiające, że miałem

trudności ze wstaniem. Postanowiliśmy biegać naokoło tego kojca. Trochę lepiej, ale ile można biegać. Za drzwiami, ani za oknem żadnego ruchu, żadnego głosu. Zmęczeni, skrzyżowaliśmy ręce na regale, płasy przykryliśmy kocami i jak złoczyńcy na krzyżach Golgoty, kuczowo trzymając się regał próbowaliśmy drzeć. Od czasu do czasu ktoś się obsuwał na podłogę, przeklinał i starał się wymyślić inną pozycję, po chwili jednak wracał do regału i tak bez końca. Z zimna coraz bardziej dawał o sobie znać pecherz. Poświęciliśmy jedną przykrywkę od mianażki. Uryny wylewaliśmy za okno. Koszmarne noc. Wszystko jednak miało swój koniec. Rano pod oknem panował już ruch. Zobaczyliśmy też gromadkę naszych. Przyniesli nam śniadania. Interweniowali u Bajko, a ten u komendanta bloku. Coś z tego będzie. Od gorącej zupy ciepło rozeszło się po całym ciele. Byliśmy skostniałi. Za godzinę, może dwie, coś zgrzytnęło przy drzwiach. Jakiś żaknierz litewski otworzył drzwi, śmiejąc się, kazał zabrać nasze rzeczy i wyprowadził nas z bloku. Tak po prostu kazał nam odejść do swojego bloku.

W koszarach byli tylko służbowi, kompania, jak zwykle przed południem, była na zajęciach. Rzuciliśmy się na posłania, zdjęliśmy tylko buty. Śatrzało mnie raz i drugi, chwycił kaszel, potem dreszcze, ale zasnąłem.

13.X.39 - Angina. 39 stopni gorączki, aż do 17 października

19.X.39 - Znow areszt, kłótnia z Dulicem o słomę, siedzimy z Felkiem.

Ten areszt nie wyszedł mi na zdrowie, z kaszlu rozwinęła się angina i to taka klasyczna, z zamaniem w kościach, urzędami w przełyku, a o leków był tylko paszcz,

koc i trochę staroszonej słomy między krzyżem a betonem. Leżałem, pocikiem się, nawet nie rozmyślałem.

Od czasu naszego aresztu rozpoczęły się ~~tak~~ ucieczki do Polski. Pierwsi poszli Juszcakowski i Freiberg. Słuch o nich zaginął. Potem zniknęła trójka muszkieterów: Lutz-Niemierski, Berej i Kostek Reinert. Kilka dni ich nie było. Niestety, złapano ich i wrócili do kompanii. Co to był za widok. Boki można było zrywać. Gdzieś znaleźli "cywilne" ubrania. Były to właściwie łachy, jak z balu gałganiarzy. Jedne za duże, drugie za małe. Ponieważ wszyscy byliśmy ostrzyżeni na krótko i dopiero zaczynały nam odrastać włosy, uciekinierzy wyglądali jak katorżnicy lub burżacy z nad Wołgi.

Moja choroba wreszcie się skończyła. Któregoś popołudnia wybraliśmy się małą grupą na spacer do lasu, niezbyt daleko. Wśród drzew ujrzelismy mały, skromny, drewniany domek. Obok była jeszcze skromniejsza komóreczka. Przeszliśmy obok. Na ganek wyszła jeszcze niestara kobieta i zaprosiła nas do środka. Weszliśmy do małej kuchni, za nią był trochę większy, ale również nieduży pokój. W kącie siedziało dwóch chłopców około 12-14 lat. Włosy mieli białe jak len. Na ścianach wisiły obrazy świętych, a między nimi na naczelnym miejscu Tadeusz Kościuszko i obok drugi obraz tym razem - słynna przysięga Kościuszki na Bynku w Krakowie. Nie trzeba było słów, wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Kobieta mówiła najczystszą polszczyzną. Wcisnęła do rozmowy swoich blondasów, a sama znikła w kuchni. Dziewięć też mówiły po polsku, były jednak bardzo oniesmielone, patrzyły na nasze mundury i orzełki. Najwięcej ich dziwiło to, że na guzikach też były orzełki. Po chwili wróciła mama z herbatą ale taką własnej roboty - ziołową, z pokrajanymi owocami

chlebem i garzkiem powideł. Jedliśmy ze smakiem. Było skromnie, ale serdecznie i swojsko. Na życzenie kobiety zaśpiewaliśmy parę piosenek polskich, długo nie trzeba było nas prosić. Był wtedy z nami Jurek Paszkowski, też dobry śpiewak i inni. Jako pierwsze zaśpiewaliśmy "Za Niemen, ach po coż za Niemen". Nie bardzo znaliśmy słowa, ale posiadało, najważniejsze, że było to okolicznościowe. Bo na Litwie - Niemen to tak jak u nas Wisła. Potem były jeszcze inne pieśni.

Kobieta stała i słuchała, a łzy ciekły jej po twarzy jak groch. Wcale nie wstydziała się ich i nie ocierała, tylko coraz silniej przyciskała do siebie swoich małeć. Ci z otwartymi buziami słuchali, a patrzyli na nas, jak na ołtarz. To był ich wieczór, to był nasz wieczór. Tu, pod tą zwykłą strzechą, daleko od Warszawy, czuło się, że "Jeszcze nie zginęła".

Dla odprężenia rozmowę sprowadziliśmy na tematy o Polonii i języku. Dowiedzieliśmy się, że tu, na południu i wokół Kowna, to w zasadzie wszyscy mówili po polsku i to w domu na co dzień. Dopiero tak dalej w kierunku morza i granicy z Prusami jest mniej mówiących naszym językiem lub więcej nie przyznających się do niego. W kościele też śpiewano tylko po polsku. Ksiądz na jednej mszy mówił kazanie po polsku, na drugiej po litewsku. Tylko ten dziad, który siedział tam na rogu, bliżej Olity, podobno nie rozumiał po polsku, bo przywędrował tu kiedyś.

Znaleźliśmy też i tego dziadka, o którym mówiła ta kobieta. Czystą polszczyzną mówił "Ojciec nasz" i "Zdrowaś Mario", ale, gdy zagadaliśmy go po polsku, mówił, że nie rozumie.

Gdy wróciliśmy, w obozie panowała wielka radość. Dotaliśmy żołąd, każdy po 2,20 lita. Dla nas nie palących i nie pijących była to duża suma. Zaraz pobiegliśmy do sklepu po miód i bułki. Mieliśmy też za co kupić kartki pocztowe, gdyż zaczęliśmy myśleć o rodzicach i znajomych.

Dalej robiliśmy dalekie marsze aż nad Niemen. Przy okazji jednego z nich Bajko zrobił odprawę dla całej kompanii. Była mowa o przeprowadzce do innego obozu w innym mieście. Tutaj, w Olicie, miał stać garnizon radziecki. Było w tym coś z prawdy, gdyż Litwini zawozili deski, z których miały być robione prycze. Zaczynali też grodzić oboz. Bajko znów uroczyście przypomniał o dyscyplinie, a potem zapoznał nas z rozkładem całych koszar, ~~na terenie~~
~~na terenie~~

Niemen płynął spokojnie między polodowcowymi wzgórzami. Brzegi miał kamieniste pełne głazów. Dzień był wyjątko piękny, słoneczny, chociaż powietrze już ostre. I nagle, tak bez powodu, postanowiłem popływać, może żeby mieć jeszcze jedną rzekę zaliczoną na swym koncie. Szybko rozebrałem się i wskoczyłem do wody. To nie była woda, to był ukrop. Woda parzyła ciało, ale swoim zimnem. Nie zamarzała, bo mimo wszystko, miała jeszcze temperaturę dodatnią, ale tych plusów nie było zbyt dużo. Pomyślałem o mojej niedawnej anginie, pomoczyłem więc tylko nogi i wyszedłem na brzeg. Więcej śmiechów nie było. Mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że kąpałem się w Niemnie i to na Litwie 23 października 1939 roku.

Wróciliśmy do koszar. Akurat wydawano nową szonę. Całą kompanią poszliśmy ją pozbierać. Nie wiem, dlaczego powstał spór o tę szonę między Bajko i Dulińcem z jednej

strony, a mną i Felkiem z drugiej. Ze sporu zrobiła się kłótnia. Rezultat był taki, że wsadzili nas z Felkiem do aresztu na jedną noc.

Pod koniec października dni biegnęły szybko i sensacja gonila sensacje. Którejś nocy wartownik litewski zastrzelił chorego, który późnym wieczorem wyszedł z obozu przez ten jeden dróg. Już od paru dni Litwini wystawiali posterunki przy tym płocie. W obozie zrobił się ogromny szum. Wszyscy byli oburzeni tym faktem i na znak protestu podjęli głodówkę, Litwini zgłupieli. Całe kotły zupy z tą ich skłonnością stały na dworze, chleb, masło, jednakże nikt nic nie brał. "Polska władza" namawiała do przerwania głodówki, ale nie z tego. Litwini zupełnie wycofali się z naszych koszar. Było spokojnie, ale groźnie.

Korzystając z wolnego popołudnia postanowiłem odwiedzić w szpitalu Piwowarczyka, który zawodował tam przed paroma dniami. Nie wiem, co mu było, według mnie był wyraźnie wycieńczony. Młodszy od nas, wyrosnięty i szczupły, miał tylko 17 lat i, aby móc zdać maturę, musiał uzyskać specjalną zgodę z kuratorium. Nikt nie usłyszał od niego jakiegokolwiek skargi. Wszystko wykonywał tak jak inni, a może lepiej. W gimnazjum był jednym z najzdolniejszych w klasie, zwłaszcza z przedmiotów humanistycznych, a przy tym nie by zarozumiały. No, a teraz, ni stąd ni zowąd, ten szpital. Tu, w szpitalu, też słyszeli o głodówce. Dostałem od nich chleb. Wziąłem więc, ile tylko mogłem ukryć pod mundurem. Szpital był odgradzony od obozu, miał swojego specjalnego wartownika i wstyd mi było przed nim, że w czasie głodówki wnoszę coś z żywności do obozu. Ale chleb przydał się bardzo, zaraz podzieliłem go pomiędzy kolegów. Opowiedziałem

łem im o Piusie. Żalowali go wszyscy.^x Piwowarscyk był z Gimnazjum Hatorego z Lublina. Razem zdawaliśmy maturę.

Późnym wieczorem przyszedł do mnie jakiś kapral podchorąży na rozmowę. Wybrał mnie na towarzysza wyprawy do Olity, do tamtejszej Polonii po pomoc w ciągnącej się jeszcze głodówce. Z pewnością wybór podszepnął mi któryś z naszych podchorążych. Wyprawa była przecież połączona z ryzykiem. Zgodziłem się. Po kolacji przyszedł na salę. Powiedziałem kolegom, dokąd idę, i tak jak stałem, poszedłem z nim.

Widać było, że znał dobrze drogę, bo najpierw przez druty, a potem przez las prowadził nieomylnie. Po ciemku doszliśmy do jakiegoś domku. Otworzono nam i otoczyła nas atmosfera opiekuńczej rodziny. Zdjęto z nas płaszcze i zaraz posadzono za stołem. Widać było, że mój towarzysz był tu już nieraz. Polonia tu mieszkająca miała kontakty z obozem i zaraz wiedziała o ogłoszonej przez dowództwo obozu głodówce i o jej przyczynie. Rozmowa toczyła się wokół spraw obozu. Padały różne nie znane mi nazwiska. W pewnej chwili jeden z panów po cichu zapytał się mnie, czy nie wystarczyłbym się mu o pistolet. Twierdził, że tak jemu, jak i każdemu Polakowi tutaj potrzebna jest broń, bo nikt nie wie, co tu może się jeszcze dziać. Niestety, nie mogłem uczynić zadość jego prośbie. Przez moment przypomniałem sobie granicę i tego "Solbrzyma", którego mi dawał pewien major. Wtedy był mi niepotrzebny, a tutaj przydałby się. Szkoda!

Rozmowa toczyła się na temat prowiantu i lepszego wyżywienia chorych, którzy byli w koszarach. Poganiaken już

x/ Niestety, z Olity nie wyjechał z nami do innego obozu. Pozostał w szpitalu, gdzie, niestety, zmarł. Była to pierwsza ofiara z naszej podchorążówki.

swego towarzysza, ale jemu wcale się nie spieszyło. Dressując się objuczeni paczkami wyszliśmy. Powrotna droga minęła bez komplikacji, ale i bez rozmów. Lekko odchylił się drut i byliśmy już w obozie. Podchodząc już do budynku, gdy nagle zauważyli nas Litwini. Rozprysnęliśmy się na dwie strony. Ja spadłem do swojej klatki schodowej. W koszarach była już cisza, wszyscy spali. Biegłem po trzy stopnie, jednak Litwini gonili mnie. Wpadłem na salę, zerwałem koc i tak, jak stałem rzuciłem się na posłanie i przykryłem kocem. Za chwilę wpadli Litwini, chodzili cicho po sali i rozglądali się po posłaniach. Nagle poczułem, że zatrzymali się przy moim, a po chwili ściągnęli mi koc z głowy. Spod koca wychyliła się głowa w połówce, a dalej wystawały nogi w butach. Nie było o czym dyskutować. Zbudzili się koledzy, powstał rumor i docinki skierowane do Litwinów. Ci denerwowali się i lekko popychali mnie do wyjścia. Pomyślałem, że mój upór spowoduje interwencję Litwinów, to znów mogłoby wpłynąć na postawę kolegów i mogłaby wybuchnąć porządna awantura ze skutkami dla całej kompanii, a może nawet dla całego obozu. Nie mogłem do tego dopuścić. Dałem się więc wyprowadzić bez żadnego oporu.

Żołnierze zaprowadzili mnie do znanego mi już budynku, do komendantury. Dyżurnym oficerem był jakiś porucznik. Z miejsca zaczął głośno krzyżeć na mnie. Oczywiście, nic mi rozumiałem. Żołnierze stali na baczność, ale kazał im wyjść i wtedy nagle nastąpiła metamorfoza. Porucznik uśmiechnął się do mnie i poprosił, żebym usiadł. Rozmawialiśmy jak dwaj rodacy, oczywiście po polsku. Swoje srogie postępowanie w stosunku do mnie tłumaczył strachem, który wywołała wśród Litwinów głodówka. Wypytywał mnie jeszcze o to, jak

długo będzie ona trwała i po co schodziłem do Olity. Odpowiedziałem, zgodnie z prawdą, o wielkim rozgoryczeniu z powodu śmierci polskiego chorążego i o swojej wyprawie do Olity po lekarstwa, których w obozie brakowało. Porucznik zrezygnował z zamknięcia mnie w areszcie. Dostałbym, wedłu niego, minimum pięć dni. Ciarki przeszły mi po plecach na wspomnienie tych lochów i to już trzeci raz w ciągu tego miesiąca. Porucznik wstał, podał mi rękę i wypowiedział jakieś bardzo popularne w Polsce nazwisko, chyba Górski. Spodziewałem na niego pytająco, a on tylko dodał, że dla świętego spokoju tu, na Litwie, trzeba dodać do nazwiska litewską końcówkę "ius" przy nazwiskach kończących się na "wicz", na przykład Domaniewicz-ius, a przy nazwiskach kończących się na "ski" albo "cki" jedno tylko "s", jak Górski-s i już było się pełnym Litwinem. W końcu zawołał żołnierzy. Stałem na baczność, a on coś do mnie mówił, a raczej krzyczał, po czym wydał żołnierzom jakiś rozkaz. Jeden z nich trącił mnie. Zrozumiałem, że już koniec raportu. Zasalutowałem porządnie i energicznie. W tym momencie porucznik, zdawało mi się, puścił do mnie "oko", zrobiłem w tył zwrot i wyszedłem. Żołnierze podprowadzili mnie pod moją klatkę schodową i po prostu przestali się mną interesować. Poszedłem na górę.

Na schodach biegłem, jak na schodkach. Wpadłem na salę, nikt nie spał. Wszyscy oczekiwali dalszego rozwoju wypadków, a widząc mnie, zasypali mnie pytaniami. Pamiętałem, by zbytnie nie zdradzać postawy porucznika. Zbytek więc wszystkich stwierdzeniem, że uznali mnie za chorego i dlatego nie zamknęli. Widocznie było to przekonujące, bo uwierzyli. Dopiero pod kocem, po ciemku, odpowiedziałem

swoim najbliższym, jak było naprawdę. Miałem nawet ochotę rozpakować którąś z tych przemyconych paczek, ale do tego nie doszło.

Rano przyszedł ~~mój~~ po paczki mój wczorajszy towarzysz eskapady. Jemu udało się uciec. Żołnierze, pobiegli za mną a jego zostawili w spokoju. Pożegnaliśmy się oschle. Nie przypadliśmy sobie do gustu. *

Zaraz po nim wezwał mnie na rozmowę Bajko. Okazało się, że to on właśnie wskazał na mnie, jako na nadającego się na tę eskapadę. Podziakował mi za postawę i dodał, że do wczoraj nic im nie było wiadomo o warcie wewnętrznej, którą zaciągnęli Litwini już po apelu wieczornym. Na skutek naszej głodówki zastrzyli oni po prostu dyscyplinę, bojąc się dalszych ekscesów i od tego wieczoru nie można było po apelu wychodzić z budynków. O tym niestety przedtem nic nie wiedział. Obecni w pokoiku podchorążowie z naszej kompanii ucieszyli się, że Litwini nie użyli broni. Chwalili mnie za to, że nie dopuściłem do awantury, gdy żołnierze wyprowadzali mnie z sali. Stałem się na krótko takim małym bohaterem kompanii. Dzisiaj też skończyła się głodówka.

28.X.39 - Boże imieniny, nowina, na obiad były zacierki.

29.X.39, *środa* - Do kościoła nie poszliśmy, prawdopodobnie za ostatnie "Boże coś Polsko". Zabroniono w ogóle śpiewać tę pieśń.

31.X.39, *wtorek* - wyjazd do Wilkomierza. Około godz. 5⁰⁰ wymaszerowaliśmy na dworzec. Godz. 8⁰⁰ odjazd. W wagonie jedzie trzech Litwinów z cirkusem.

W naszej kompanii mieliśmy trzech Tadeuszów. Z same-

go rana zaczęły się wdrówki z życzeniami. Było to waraszące mimo pewnego beensensu w życzeniach. Bo jakież to były życzenia? Powrotu do domu, albo szybkiego wyjazdu do Francji do wojska. Jedno przeplatało się z drugim. Ostatnio to dużo mówiło się o Francji, że zacząłem uczyć się francuskiego.

Od pewnego już czasu robiliśmy też przygotowania do wieczornicy. Cały ciężar spadł na mnie, gdyż trzonem programu były dwa moje numery. Płynny długi wiersz "Sanosierra" którego nauczyłem się dwa lata przedtem oraz deklamacja zbiorowa "Szarża ułańska", którą wystawiałem w Gimnazjum Staszica i u Batorego.

Zapadło postanowienie zorganizowania tego wieczoru 29 października, jako że była to niedziela i na złość Litwinom, którzy nie puszczali nas do kościoła, gdyż nasze "Boże coś Polsko" źle wpływało na samopoczucie tej mniejszości nie mówiącej po polsku.

Do współudziału zgłosili się inni, których włączono swego czasu do kompanii. Po obiedzie zaraz robiliśmy przygotowania i ściągaliśmy rekwizyty. Z damami nie było kłopotu, gdyż menażki starego typu, te okrągłe, znakomicie imitowały dobrze rozwinięte piersi. Był więc rycerz średnio-wieczny w zbroi, mieliśmy bowiem kilka hełmów/, były i tańce zespołowe z "damami". Całość prezentowała się bardzo dobrze. Przyszedł chyba cały blok. Gdy rozległy się oklaski to zadrżały szyby w oknach. Wtedy dopiero zobaczyliśmy, że zabawa przeobraziła się w bardzo pożyteczną akcję, która była tak potrzebna setkom ludzi spędzających czas beczynnie, ciągle myślących tylko o domu i o tym, co dalej będzie.

Balko podziękował "artystom", a także mnie za organizację całej imprezy i za konferansjerkę.

Słyszane od pewnego czasu pogłoski o naszym wyjeździe i likwidacji obozu w Olicie miały się potwierdzić już 30 października. Z samego rana oznajmiono nam oficjalnie, że wynaszerowujemy z Olicy już 31 bardzo rano.

Porankę zrobiono jeszcze przed świtem. Przez okna widziałem, jak wychodziły już inne kompanie. Przyszła i na nas kolej. Około piątej wynaszerowaliśmy z koszar w kierunku Olicy. Kolumna była obstawiona gęsto wartownikami, często z erkaemami. Widać było, że nie mieli w tym wprawy. Często pokazywali się też kawalerzyści na swych ogromnych koniach. Dobiliśmy do stacji kolejowej. Tu pakowano nas do wagonów towarowych. Był już króć. Jednego z naszych, Jasińskiego o Zamojskiego, koledzy nieśli na noszach. Zachorował w ostatniej chwili i koledzy nie chcieli go zostawić w szpitalu. W ten sposób pojechał z nami i po pewnym czasie wylizał się z choroby.

W wagonie było nas chyba czterdziestu i trzech Litwinów z erkaemami. Nie wiem, czy dąliby nam radę. Litwini jednak rozmawiali z nami przyjaźnie. Jeden z nich mówił po polsku, inni rozumieci dobrze, a znali tylko poszczególne słowa. Wcale nie przejmowali się swoją funkcją, ani bronią, która stała gdzieś w kącie. Byli przecież między młodymi życzliwymi im ludźmi.

Dojechaliśmy do Janowa, tu przesiadaliśmy się na wąskotorówkę. Miasteczko było małe i stacja nieduża. Czekaliśmy na krowie około sześciu godzin. To już nie była radosna wycieczka. Wreszcie podjechał "sanowarek" i zapakowano nas do miniaturowych wagoników. W Lublinie widzieliśmy podobne skrzyżki one do przewożenia buraków cukrowych do cukrowni.

Wieczorem dobiliśmy do Wikkomiernu. Zaprowadzono nas do nowego obozu. Ze względu na nas i zagrożenie nie widzieli-

liśmy nie po za tym, że był to nowoczesny budynek z centralnym ogrzewaniem i bieżącą wodą. Rano odbyły się przydziały pomieszczeń. W dalszym ciągu byliśmy zwartym oddziałem pod wodzą naszych podchorążych Bajki i Dulilca. Przydzielono pierwszej oraz drugiej drużynie małe pokoiki na poddaszu. Kłóciliśmy się o lepsze, ale nie pomagało. Koniec końców poszliśmy tam. Dopiero po paru dniach zobaczyliśmy, że dzięki temu przydziałowi, wygraliśmy los na loterii. Byliśmy w małych grupach, rodzinie, i najważniejsze, poza całym kompanijnym hałasem. Z początku było zimno, ale swolna ograliśmy swoich ciałami jeszcze jedno pomieszczenie i jeszcze jedną podłogę w tej wojnie. Tym razem, na szczęście dla nas, była ona drewniana.

Była to duża zmiana na lepsze, dla nas wszystkich. Mieszkaliśmy w koszarach jednostki artyleryjskiej. Budynki były nowoczesne, piętrowe z centralnym ogrzewaniem, bieżącą wodą, ubikacjami na korytarzach, sale widne i duże okien. My na poddaszu mieliśmy trochę inaczej, ale za to znacznie swobodniej. Obok koszar/rozpościerał się olbrzymi plac, w dali stajnie, wozownie i zbrojownie. Obecnie wszędzie było puste. Całe wojsko, jak w Olicie, pociągnęło na Wilno, a tam ~~guz~~ podobno stale jeszcze działał generał Dąbrowski. Wielką atrakcją całych koszar jest olbrzymi baran. Rogi miał jak u olbrzymiej antylopy afrykańskiej. Była to maskotka koszar, która nie pociągnęła w pole za wojśkiem. Jednostka litewska chowała ją i karmiła, gdyż, według naszych koniarzy, zapach barana dobrze i pobudzająco działał na konie. No, a teraz nie konie, ale cały obóz mi z niego usłucha i rozrywka.

Dzień 7 listopada oraz Dzień Zaduszny minęły właściwie bez żadnych emocji. Byliśmy zajęci przeprowadzką i

urządzaniem się w nowym miejscu. Dopiero wieczorem pierwszego, po całej bieganiu trochę rozmawialiśmy, jak to z okazji święta.

Nie wykluczone, że wyjeździemy z Litwy i będziemy dalej walczyć. Nie przypominam sobie okoliczności, w jakich zanotowałem ten fakt, ale przyznać trzeba, że mimo szeregu różnych opowieści, ta o wyjeździe i dalszym kontynuowaniu walki była pierwszą od znalezienia się na Litwie.

Wielka bomba! 9 listopada przyszło do nas aż siedem listów z Lublina. Okazało się, że Juszczański i Freiberg doszli z Litwy do Lublina, dali znać naszym rodzinom o naszych losach i przekazali aktualne adresy.

Do Jeruzalskiego napisała matka, że powiadomiła wszystkich naszych rodziców w Lublinie o naszym losie. W liście podała nawet nazwiska, kogo powiadomiła. Między nazwiskami było i moje. Był to piękny gest, godny podkreślenia. Radość była w obozie wielka. Chłopaki biegały jeden do drugiego, oglądali te listy, jak relikwie. Słuchać po dziesięć razy, co było w nich napisane. Listy były bardzo śmieszne. Jedne były adresowane po polsku, inne po niemiecku. Dla pewności przed cenzurą były nawet pisane po niemiecku. Były one kierowane "über Königsberg" i Prusy Wschodnie. Śmiesznie wyglądały te pierwsze listy z obecnymi stemplami, napisami i panem z wąsikami. Do wszystkiego jednak trzeba było się przyzwyczaić. Nasz obecny adres brzmiak: Umerge, Lietuve, Internutuju Stovykla. Kompania z Umerge to Wilkomierz, Stovykla to obóz spolszczony szybko i przechrzczone na Pierdykle. Ten wszystkich listów był jednakowy: siedzieć i nie wstawać! Ten też musiało być niewesoło.

Jak listy to zaraz i dachy. Wywoływaliśmy je któregoś wieczoru. Był i stolik i świeczka. Duchy powiedziały, że pojedziemy do Szwecji i że Polska będzie wolna około roku 194...., dokładniej widocznie nie mogły się zgodzić.

W przeddzień święta niepodległości, 10 listopada wieczorem, zebraliśmy się na korytarzach i, po okolicznościowej przemowie, odśpiewaliśmy: hymn, Rotę i Boże coś Polsko. Potęga pieśni patriotycznej była olbrzymia. Wszystko jednak zaczęło się ścierać rano, bardzo wcześnie rano 11 listopada. Przy apelu jeszcze się nic nie działo, tylko z entuzjazmem odśpiewaliśmy "Boże coś Polsko". Potem dowiedzieliśmy się, że jednak noc była dla niektórych bardzo niespokojna. W nocy na budynkach wywieszono flagi narodowe. Z tego powodu obudzono starszego sierżanta Staniewicza, komendanta ze strony polskiej całego obozu, który już od jakiegoś czasu kazał nazywać siebie Staniewiczem oraz komendanta bloku - Deszczótkę. Obydwaj należeli do tej zniechęconej grupy, która sprzedawała się dla osobistych korzyści, w zamian za ordynansów, za osobne pokoiki, za wykwintne żarcie, za przepustki do miasta. To oni właśnie poniżyli godność starszego podoficera. Gdy przechodzili obok naszej grupy, odśpiewaliśmy się ostentacyjnie plecami. Najgorsze, że oni o tym wiedzieli i nic sobie z tego nie robili.

Cieszyliśmy się wszyscy, że musieli wstawać w nocy i pakować swoje tkuste ciała na strychy i dachy, aby zdjąć te flagi. Były one umieszczone w zasadzie w niedostępnych miejscach, dobrze trzeba było się natrudzić, aby je zdjąć.

Przypuszczaliśmy, że gdyby tych flag nie zdjęto, to na tym skończyłyby się wypadki tego i następnego dnia. A

Wszystko
prowadzi
na oświadczenie

to na przekór we wszystkich oknach powywieszano nasze, tym razem papierowe chorągiewki. Litwini chodzili po salach i zdejmowali je. W tym czasie, na przekór im, z dachu wywieszono normalną płócianną, oczywiście biało-czerwoną na kr. Litwini szukali do niej dojścia i nie mogli się tam dostać. My w tym czasie pochowaliśmy po salach wszystkie polskie książki. Napięcie rosło. Wśród mieszkańców bloku rosła również chęć drwienia z Litwinów. Przygadywano im i śmiano się z nich. A przy tym, w większości rozumieli o ni wszystko, co mówiliśmy o nich. Dowódcy litewscy byli coraz bardziej zdenerwowani, coraz głośniej komenderowali, a my coraz głośniej śmieliśmy się z nich. Zakazano wreszcie wyglądać przez okna, bo wychodzenie z bloku było już od rana zabronione. Cały nasz blok był obstawiony wojskiem litewskim. Co dwa metry stał jeden Litwin z wycelowanym karabinem w okno. To znowu pobudzało nas do drwin.

Nasze dwie drużyny, jak pisałem już, kwaterowały na poddaszu. Były więc trochę odłączone od głównego nurtu wydarzeń i dużych sal żołnierskich. Zajęliśmy się już swoimi sprawami, gdy nagle rozległa się salwa karabinowa. Dopadliśmy do naszych okienek. W tym czasie nastąpiła druga, a tym razem skierowana do naszych okienek. Zbiegliśmy szybko na dół. Wszyscy w salach leżeli na podłodze w oczekiwaniu co będzie dalej!

Po drodze dowiedzieliśmy się, że salwa spowodowana była wywieszeniem naszej flagi w oknie sali, którą zamieszkiwali policjanci. Skutek tych salw był opłakany. Jeden zбитy na miejscu, dwóch ciężko rannych policjantów. Widziałem, jak ich wynoszono. Jednemu z nich nie dawałem nadziei i tak się też stało. Zmarł jeszcze tego samego dnia. Był to już trzecia ofiara obozu, gdyż pierwsza padła jeszcze

w Olicie. W obozie zapunowało olbrzymie wzburzenie. Na zewnątrz wzmocniono strażę. Teraz już stał żołnierz obok żołnierza, pełno było ich oficerów. Gdy byłko ktoś podszedł do okna, to strzelali już nie salwami, ale pojedynczo. W naszym oknie naliczyliśmy osiem kul wbitych w ramy i futryny okien. Gdyby trafili, to byłaby niezła masakra, gdyż w momencie pierwszych strzałów wyglądało nas aż sześciu.

Wczorajsze wypadki skończyły się rewizją w całym bloku. Litwini rewidowali wszystkie sale. Znaleźli parę kamieni, które służyły do przybijania gwoździ i ogłosili, że Polacy rzucali nimi w żołnierzy litewskich i dlatego żołnierze otworzyli ogień. Była to, oczywiście, bzdura, ale silniejszy miał rację. W jadalni nasz kapelan odprawił mszę św. za poległych. Zbierano na wieńce dla nich. Wyznaczono delegację na pogrzeb. Ksiądz przemawiał za utrzymaniem spokoju, i zachowaniem siły na właściwy czas walki.

Coraz więcej osób uczyło się języków obcych, a zwłaszcza języka francuskiego. Na początku uczyłem się litewskiego i wbrew ogólnym oczekiwaniom szło mi bardzo dobrze. W języku tym dużo jest słów polskich, jedynie poprzekreślonych, np. ponas - pan, paniała - panienia, miedas - miód. Z francuskim też nie miałem kłopotów, widocznie pomagała mi znajomość łaciny, na gramatyce której oparte są przecież języki zachodnioeuropejskie.

Od czasu do czasu dostawaliśmy tygodniki, a nawet gazety w języku polskim. Któregoś wieczoru odbyło się zbiorowe słuchanie wiadomości o walkach w Lublinie. Nie było w nich nic szczególnego, ot takie ogólniki, ale ponieważ było to o Lublinie, cisza panowała jak w kościele, a niektórzy wzruszyli się nawet do łez.

W wyniku wypadków z 11 listopada Litwini postanowili urócić dalszą swobodę naszego wojska i kontakty z miastem. Zwieziono słupy i drut kolczasty do ogrodzenia budynku od placu, i zagęszczenia już istniejącego. W tym celu wyznaczono z poszczególnych kompanii żołnierzy do kopania dołów pod słupy do naciągania drutów kolczastych. Naszą kompanię na razie omijano. Robota była ciężka. Mimo że było to dopiero połowa listopada, ziemia była zamrznięta i nie braka jej żadna łopata. Od czasu do czasu w nocy popadywał nawet śnieżek. Szykowała się chyba wczesna i ostra zima. Z pewnością nie bez znaczenia było położenie geograficzne Wilkomierza. Zawsze to wyżej na północ i tu miał swój wpływ ostrą kontynentalny klimat rosyjski. Wkrótce przekonaliśmy się, że takiej zimy jak w 1939/40 roku nie pamiętali najstarsi ludzie.

To, co później stało się regułą, zaczęło powstawać zaraz na początku okupacji. Polak nigdy nie tracił głowy i, jak nie mógł inaczej, to przeszkody pokonywał sprytem. Tak było z tym płotem i z tą ziemią, zamrzniętą na beton. Z początku całe grupy dziobały łopatami tę zmarzlinę i nie z tej roboty nie wychodziło. Dzień za dniem schodził i jeden pluton potrafił wygrzebać tylko dwa dołki. Aż nagle na placu zapłonęły ogniska. Ogień byle jaki, a roztopiał zamrzniętą ziemię, potem już wystarczyło wygrzebać tylko łopatami błoto z ciągle pogłębiającego się dołka. Następnie szybko należało wkopać słup, póki ziemia i błoto nie zamrzło. Litwini byli zadowoleni i nasi też, bo komu chciało się stać na mrozie. Nasza kompania trafiła już tylko do naciągania drutów. Robiło się to odpowiednią naciętą deską, opierając ją o dobrze wmarznięte już słupy.

Tu, w Wilkomierzu, skończyły się marsze całą szkołą. Musztry całej kompanii też nie było gdzie prowadzić, zresztą Litwini wyraźnie na to źle patrzyli. Wypadki do miasta były zmniejszone i utrudniane, chociaż nie ustały zupełnie. Oprócz wyjść przez druty, były jakieś inne sposoby wydostania się do miasta, ale w tym, jak i we wszystkich podobnych ułatwieniach celowali sierżanci. Nam skromnym strzelcom z cenzusem te sposoby i cele były niedostępne. W każdym bądź razie kontakty z Polonią stale się poszerzały z pozytywnym dla nas skutkiem. Zniknęli nagle lotnicy. Tajemnicą polisznela było, że już znajdowali się w drodze do Francji. Jedyną dotychczasową znaną drogą ucieczki była przeprawa kutrem. Po zebraniu potrzebnej grupy, wynajmowano kutry rybackie i z wybrzeża litewskiego prukały one do Szwecji. Morze Bałtyckie było jednak coraz skrupulatniej kontrolowane przez niemiecką Kriegsmarinę, dlatego też nie wszystkie docierały do Szwecji, gdzie, jak przed wojną, działały polskie konsulatory oraz attachaty wojskowe. Oprócz ucieczek kierowanych przez polskie władze wojskowe rządu we Francji, miały miejsce również ucieczki organizowane z prywatnych funduszy polskich obywateli, którzy znaleźli schronienie na Litwie, ale te akcje były sporadyczne ze względu na coraz większe trudności związane z opuszczeniem Litwy. Na Litwie nie było tylu lotników co w Rumunii i na Węgrzech, jedynie ośrodki naszego lotnictwa w Lidzie i Wilnie ewakuowały się na Litwę i na Łotwę. Znikali tylko lotnicy, o innych broniach nie słyszeliśmy. Kandydat taki różnił się od otoczenia składanką ubraniową. Nagle zaczął tracić umundurowanie lotnicze, które przecież odróżniało się kolorem od innych, przebierał się w cywila i, nie wiadomo

kiedy, znikają z obozu. Niewątpliwie w tej całej akcji wysyłania potrzebnych specjalistów na Zachód jakąś rolę odgrywała Polonia litewska. Widocznym skutkiem kontaktów z nią były czasopisma i tygodniki zagraniczne, pokazujące się stale w obozie, a ponieważ wielu z nas znało języki, wieczorami w salach czytaliśmy je i głośno tłumaczyliśmy. Staraliśmy się nadać za informacjami o sytuacji światowej. Niestety, nie były one pomyślne. Front we Francji zamarł, a dziwna wojna na linii Maginota nie wróżyła nic dobrego. Od czasu do czasu ukazywały się jakieś wzmianki, a nawet foto grafie o tworzącej się armii polskiej we Francji, co tylko pobudzało naszą wyobraźnię, nie dawało jednak większych nadziei na wyjazd z Litwy. Głośnym echem zarówno w prasie, jak i w obozie odbił się fakt osaczenia przy brzegach Ameryki Południowej pancernika "Graff von Spee" i zniszczenie go przez marynarkę angielską. Długo jeszcze rozpisywała się prasa zachodnia na temat tego niewątpliwego sukcesu, w widoczny sposób zamazując tym samym działania wojenne na froncie lądowym.

Tymczasem w obozie ruszyła energicznie akcja szkoleniowa. Teraz warunki lokalowe były lepsze. Uczono się właściwie wszystkiego, ale przede wszystkim języków, a zwłaszcza francuskiego. Polonia dostarczała podręczniki, książki do czytania i słowniki. Powoływano różnorakie kursy, bo w takiej zbiorowości znalazło się wielu wykładowców z różnych dziedzin, zwłaszcza że po zajściu Wilna przywieziono do obozu szeregi osób cywilnych będących jedynie wojskowymi rezerwy. Ostatecznie przerwaliśmy się na francuski, który służył mi, ówczesnemu, czego nie mogłem powiedzieć o matematyce.

Podchorążówka wprowadziła jako zwarta kompania istnia-

za dalej, ale wykładów wojskowych było coraz mniej. Mimo uznawaliśmy w dalszym ciągu naszych dowódców z Lidy. Pisa-
liśmy dużo listów, ale głównie kartki pocztowe, wszystko
"Über Koenigsberg", gdyż z powodu cenzury niemieckiej ist-
niało przekonanie, że kartki dojdą szybciej aniżeli listy.

Któregoś dnia gruchnęła wiadomość niczym bomba. Za-
częto zapisywać na wyjazd do kraju na terytoria zajęte
przez ZSRR. Przy zapisach mówiło się, że po przyjeździe do
ZSRR, niezależnie od stopnia, wojskowi zostaną zwolnieni i
będą mogli wyjechać do swoich miejsc zamieszkania. Z pod-
chorążówki nie zapisał się nikt. Podstawowa przyczyną był
fakt, że wszyscy pochodziliśmy z terenów zajętych obecnie
przez Niemców i nie wiem nawet, czy ktoś miał nawet jakąś
rodzinę za Bugiem. Przez moment pomyślałem o wyjeździe do
Włodzimierza Wołyńskiego, bo przecież do wybuchu wojny
mieszkał tam i pracował mój brat. Jednakże był to tylko
chwilowy zamysł, który nigdy nie został wprowadzony w życie.

Inne kompanie zapisywały się na ten wyjazd, ale wca-
le nie tak masowo, jakby wskazywało miejsce zamieszkania
żołnierzy. Olbrzymia większość internowanych pochodziła
bowiem ze wschodnich terenów, a mimo to na wyjazd zdecydo-
wała się tylko mała część. Nie było żadnego nacisku ani z
strony Litwinów, ani dowódców, ani otoczenia. Ludzie sami
rozważali, co robić, a jeśli na ten temat głośno rozmawia-
li, to tylko między "krajakami", bo to były najmocniejsze
obecnie związki. Nie mieliśmy też żadnych opinii z innych
obozów. I jeszcze w chwili wyjazdu, bo wkrótce on nastąpił,
wiele osób rozmyśliło się i zostało.

Przy okazji rozgorzała, oczywiście i w naszej komp-
nii, gorąca dyskusja. Jedni byli za wyjazdem, inni za so-

stanem w obozie. Przeważała opinia, że nie powinniśmy się nigdzie zapisywać, jedynie czekać na rozwój sytuacji wojennej. Mieliszy nadzieje, że prędzej czy później wywozą nas do wojska do Francji. Początkowo skąpo, ale dochodziły do uszeptane informacje, że już takie wyjazdy zaczęły się z Węgier i Rumunii. Położenie geograficzne Litwy i Łotwy było niekorzystne pod tym względem, gdyż Morze Bałtyckie zostało zablokowane przez Niemców, a o przejeździe przez Związek Radziecki nikt nie wspominał. Z rozmów z Litwinami, tymi, jak to my ich nazywaliśmy, "polskiego pochodzenia", wynikało, że na Litwę przeszło we wrześniu i październiku około 20 000 żołnierzy i oficerów polskich, nie licząc pewnej liczby ludności cywilnej. Liczba ta zmieniała się nieznacznie. Były powroty do kraju lub ucieczki i to zarówno pod zabór niemiecki jak i radziecki. Cyfra ta ulegała też zmianie na przykład gdyż ciągle z Polski lub Wilna dochodzili nowi wojskowi. Nieznaczna część żołnierzy po ucieczce z niewoli niemieckiej przybyła ^z Prus Wschodnich.

Jeszcze jednym źródłem napływu ludności było Wilno. W Wilnie, podobnie jak i we Lwowie, schroniło się wiele ~~rodzin polskich i żydowskich~~ osób z centralnej i zachodniej Polski. W końcowej fazie wojny obronnej w 1939 roku, wielu wojskowych nie przekroczyło granicy, lecz ukryło się w Wilnie i okolicy, chcąc w ten sposób przeczekać. A po zajściu Wilna przez Litwinów zaczęli napływać stamtąd wojskowi do naszych obozów. Litwini wyłapywali ich i po prostu osadzali w obozach dla internowanych.

Dyskutowaliśmy wiele o sytuacji naszych rodzin w kraju. W większości pochodziliśmy z rodzin urzędniczych. Przypuszczaliśmy, że Niemcy z pewnością posamykali urzędy,

a ich pracownicy pozostali bez pracy. Było im ciężko, jeśli wroczyć nie cierpieli nędzy. Nie wiedzieliśmy, oczywiście jeszcze nie o sytuacji pieniężnej i cenowej, o tym na przykład, że 100 złotych nie miało nawet połowy przedwojennej wartości. Te i inne sytuacje kazały siedzieć cierpliwie na Litwie i czekać na dalszą okazję do walki.

Powoli zaczęto gromadzić w osobnym bloku tych, którzy zapisali się na wyjazd na tereny zajęte przez ZSRR.

Wyżywienie w Wilkomierzu było trochę gorsze, niż w Olicie, ale zawsze dostateczne, zwłaszcza nie brakowało chleba. Potrzebowaliśmy natomiast pieniędzy na listy, znaczki, pastę do butów i do zegarów, na mydło. Ponadto trzeba było jakoś odwdziaczyć się wykładowcom za lekcje języka francuskiego.

Listy i kartki wysyłałem wszędzie do domu, do mojej sympatii ireny, i do kolegów. To niestety kosztowało, a żadnych złotych na wymianę nie mieliśmy. To szarża opływała w te dobra, a nie my, wyniószeni na barżogach, strzelcy z cenzusem.

18.XI.39, sobota - wyjazd do karnego obozu do Kowna.

30.XI.39, czwartek - kąpiel w ruskiej bani, czysta bielizna, niektórzy dostali buty z cholewami /litewskie/.

Rozległy się pogłoski, że końcowym wynikiem zajść 11 listopada będzie "zesłanie opornych" z obozu w Wilkomierzu do obozu karnego pod Kownem. Niestety, już 17 listopada pogłoski te sprawdziły się. Ni stąd, ni zowąd komendant obozu, sierżant Staniwicz vel Staniewiczus zarządził zbiórke dwóch kompanii, naszej oraz podchorążych, bo taka

też istniała. Nic nie mówiąc, przeszedł się przed frontem naszej kompanii i nagle zapytał mnie o nazwisko. Oczywiście podałem je, potem wskazał na Felka, następnie na Naduż /Jurka Nadarkiewicza/ i jeszcze innych dwóch, już z Częstochowy. W ten sam sposób wybrał też pięciu podchorążych. Teraz dopiero oświadczył, że wybrani przez niego wyjeżdżają jutro do Kowna i mają rano zgłosić się do komendy obozu. W szeregach rozległ się szum i już głośno posypały się przewiska. Nie zrobiło to widocznie na komendancie większego wrażenia, bo spokojnie odszedł do swoich. Najciekawsze przecież z tej historii było to, że zabici nie należeli do naszej kompanii i nie z naszych okien padła większość strzelców, bo przez zwykły przypadek nasze sale znajdowały się na wyższych piętrach. Niestety, my najwięcej i najgłośniej wyrażaliśmy swoje opinie o postawie pana Staniewicza. A teraz on ~~xxx~~ się na nas odegrał.

Postanowiliśmy ukryć się w obozie i nie wyjeżdżać do Kowna. Zabraliśmy nasze plecaki i rzeczy i we trzech, Fele Naduża i ja ukryliśmy się na strychu w innym bloku. Noc była ciężka, na dworze mróz, a tu nie było tej zbawczej szum. Rano koledzy ostrożnie przynieśli nam jeść, ale również niewesołe wiadomości. Pozostałe z wyznaczonych osób już wyjechały. Nas wykreślono ze stanu osobowego i żywnościowego a dla całej kompanii zapowiedziano represje, jeśli jeszcze dzisiaj nie zgłosimy się do wyjazdu. Koledzy z kompanii różnie ustosunkwali się do naszej sytuacji, ale nasi dowódcy uznali, że nie należy dążyć do dalszych zażrażeń z komendą obozu i, póki sprawa nie dotarza jeszcze do Litwinów, powinniśmy się ujawnić. Dla dobra całej kompanii postanowiliśmy się zgłosić, ale już po obiedzie, gdyż odłączenie się od grupy wyjeżdżającej mogło nam wyjść nawet na dobro. Tak i

zrobiliśmy.

Po południu zgłosiliśmy się do polskiej komendy obozu. Tu nie było zbyt długich rozmów, sierżanci zaprowadzili nas prosto do aresztu litewskiego. Następnego dnia, 15 listopada, o piątej rano zbudzono nas i pomaszzerowaliśmy na stację. Dołączono do nas jeszcze jednego "skazanego" z innej kompanii. Konwojowało nas dwóch żołnierzy litewskich. Jak zwykle na początku, udawali, że nie znają polskiego, potem oczywiście się rozgadali. Pojechaliśmy wąskotorówką do znanego już nam Janowa. Tutaj przesiadliśmy się na kolej szerokotorową w kierunku Kowna. Cała podróż trwała 12 godzin, mimo że odległości między miejscowościami były przecież niewielkie. Podróżowaliśmy pociągiem osobowym, nie było więc to takie przykre. Nikt na nas nie zwracał specjalnej uwagi, bo widok polskich żołnierzy nie należał tutaj do rzadkości. Konwój odnosił się do nas grzecznie. Ze stacji w Kownie pomaszzerowaliśmy jeszcze parę kilometrów w kierunku fortów, które leżały za miastem.

Kowno niczym nas nie zadziwiło z wyjątkiem policjantów. Byli to wysocy mężczyźni w wysokich sztywnych czapkach na głowach, takich, jakie widywaliśmy u żołnierzy armii rosyjskiej i pruskiej na obrazach historycznych z końca osiemnastego wieku. Policjanci wyglądali niezwykle barbarzyńczo, mundury mieli niebiesko-czerwone, a na nogach lakierowane, wysokie czarne buty. Litwini nazywali ich "kałakata", co znaczy indyk. Prezentowali się bardzo okazale jak na Litwie.

Dworzec w Kownie też nie wyglądał zbyt zachwycająco. To, co kiedyś zbudował rosyjski okupant, to zostało. Wszystko z mocnej czerwonej cegły. Ta część miasta, która

widzieliśmy, też nie wyglądała wielkonijsko. Ulice waz-
dzie były pokryte kocimi łbami i zabudowane małymi, drew-
nianymi, parterowymi domkami. Maszerowaliśmy najpierw tymi
uliczkami, potem około polem 8 kilometrów, aż wreszcie do-
staliśmy się do fortu. Pierwsze wrażenie było tragiczne.
Coś między ogrodem zoologicznym a ziemiankami.

Od strony pola cały fort pokryty był ziemią i poroś-
nięty trawą, a przez to niewidoczny dla postronnych i nie-
wtajemniczonych. ~~Wid~~ Od strony miasta natomiast widać by-
ło ścianę z czerwonych cegieł z zakratowanymi małymi o-
kienkami i nielicznymi drzwiami. Małutki placyk około 500
metrów kwadratowych przed tą ścianą, tak zwany wybieg od-
grodzony był od otoczenia żelaznym, wysokim na około 3 met-
ry płotem z jedną, niezbyt szeroką, bramą. Gdy tylko po-
deszliśmy pod ten płot, wysypał się tłum żołnierzy z podzi-
emnych kazemat i mieliśmy wrażenie, że widzimy zwierzęta
w ZOO na wybiegu lub aresztantów ze słynnych więzień ame-
rykańskich, jak w Sing-Sing. Placyk ten był znacznie za-
mały, aby pomieścić wszystkich mieszkańców kazemat jedno-
cześnie, toteż tłok był na nim niesamowity, gdy wszyscy
naram zapragnęli wyjść pospacerować. W środku stała studnia
ssąco-tłocząca, a po lewej stronie nieduży ustep. Budynek
administracji stał już poza płotem, tam też mieściły się
koszary żołnierzy litewskich. Cały ten fort nie był po-
myślany jako schronienie dla tak wielkiej ilości ludzi.

Zobaczyliśmy naszych kolegów, którzy przyjechali tu
dwa dni wcześniej. Po krótkich formalnościach oni właśnie
zaprowadzili nas zaraz do naszej kazematy, a po drodze
pocieszyli nas, że nie jest tak źle, jak to wszystko na
pierwszy rzut oka wygląda.

Gdy znaleźliśmy się już w naszym pomieszczeniu, przeżyliśmy szok. Były to normalne kazamaty bojowe, forteczne, wąskie i długie, ciągnące się gdzieś w głąb ziemi. Grób za życie. Strop półkolisty. Całą salę wypełniały dwupietrowe prycze, które zajmowały cały środek. Dojścia do posłaz były tylko od strony ścian, tak zespaliśmy głowami do siebie. Trochę miejsca było pod jednym oknem, gdzie stał stół na całą szerokość kazamaty. Dwie żarówki świecące się przez cały dzień uzupełniały umeblowanie. Czytać czy pisać można było tylko na górnych pryczach i to w części znajdującej się bliżej okna. Reszta sali pozostawała przez cały dzień w półmroku. Pozytywną stroną tego obozu były sienniki dobrze napchane słomą. Ściany z czerwonej cegły, trochę pobielone, były zawsze wilgotne, a zimą ściekały po nich cieniutkie strużki wody. Pomieszczenie należało żeby ciągle wietrzyć, co było prawie niemożliwe ze względu na zewnętrzną temperaturę. Nie pamiętam, jakie było tam ogrzewanie i czy w ogóle było.

Nas, jako strzelców z cenzusem i przyszłych podchorążych, przydzielono do kazamaty oficerskiej. Było tam już kilkunastu oficerów i drugie tyle podchorążych. Zameldowaliśmy się zaraz u komendanta sali. Oficerowie przyjęli nas serdecznie. Nigdy w czasie pobytu tutaj nie odczuwaliśmy żadnej różnicy w traktowaniu. To był ten drugi pozytywny wynikający ze zmiany obozu i otoczenia. Dopiero teraz zauważyliśmy, jak schamieliśmy przez te parę miesięcy i jak nasz język zmienił się w jakiś prosty i wulgarny żargon, pełny niecenzurowanych słów, przekreśień językowych, stworzonych jakichś strasznych neologizmów, ku naszej radości wraz ze zmianą obozu rozstaliśmy się z naszą dotychczasową obozową

władzą, z tymi Stankiewiczami, Deszczużkami. Odtąd nie musieliśmy już patrzeć na ich fałszywa i sprzedajne goby, na ich kretacką gospodarkę materiałowo-pieniężną.

Komenda obosu inaczej, oczywiście, traktowała oficerów, a inaczej nas, chociaż mieszkaliśmy w jednym pomieszczeniu. Mimo tak małych pomieszczeń w forcie przebywało około 1000 żołnierzy, podoficerów i oficerów. Obóz był znacznie spokojniejszy aniżeli poprzednie. Można to wytłumaczyć zarówno faktem ciągłej styczności z sobą i wspólną ciężką niedolą, jak i brakiem innych kontaktów. Niewątpliwie na atmosferę wpływało też przebywanie w nim oficerów. Cały ten obóz przypominał bardziej więzienie niż poprzednie koszary.

Zaraz zorganizowaliśmy sobie rzeczy dotąd niespotykane. Były to koce, raczniki i prześcieradła. Do tej pory mieliśmy tylko to, co przynieśliśmy ze sobą na plecach z Polski. Cóż to była więc za rozkosz wyciągnąć się na białe prześcieradło. Okazało się, że jedzenie dawano tu lepsze aniżeli w Wilkomierzu. Na śniadanie dostawaliśmy po staremu po kawałeczku słoniny lub boczku, a nawet wędzonego bekonu. Ale kawałek ten był znacznie większy, może nawet dwa razy taki, jak w Wilkomierzu. Biała kawa była słodsza, a do tego czasami dostawaliśmy ogórek kiszony lub konserwowy. Obiady też były pożywniejsze.

Obóz ten istniał już od dawna. Oficjalny jego adres brzmiał: 5 Fort. Kaunas a. Panemunie, co oznaczało 5 fort. Kowno za Niemen. Gdzieś tam dalej był też fort numer 7, również zasiedlony przez polskich żołnierzy. Dziwnie się składało, ale te swoją wojaczkę zaczęłam od fortów. W Polsce je budowałam, a tu przysało mi w nich siedzieć za dru-

tami.

Powoli używaliśmy się z oficerami. Braliśmy udział w ciągłych dyskusjach, ale częściej jako skromni obserwatorzy. Żałowaliśmy bardzo, że nie było wśród nas ani jednego oficera z frontu zachodniego, który opowiedziałby o walce z Niemcami. To interesowało nas przede wszystkim. Przebywający z nami oficerowie w przeważającej mierze pochodzili z garnizonów wschodnich, z administracji wojskowej i należeli w większości do służby stałej.

Najbardziej byliśmy dumni z tego, że o naszej podchorążówce i o specyficznych okolicznościach jej powstania wiadano w garnizonach północno-wschodniej Polski - być może przez fakt przynależności jej do Grupy Operacyjnej "Grodno". Tu też dowiedzieliśmy się więcej o tej grupie bojowej.

A w kazamatach panował wieczny chłód i wilgoć. Wilgotne było wszystko, posłania, mundury, płaszcze a nawet buty. Po wyjściu na ten miniaturowy deptak czuliśmy się zawsze jak po wyjściu z piwnic, bo niczym innym przecież te kazamaty nie były.

Myliśmy się pod studnią. Jeden pompował wodę, a reszta opryskiwała się nią. Mniej wytrzymali nalewali wodę do mienazki, ogrzewali ją w pomieszczeniu a dopiero potem myli się. Nie lepiej było z goleniem. Zimna woda, tępe żyłki nie czyniły z tego przyjemności, ale cóż, trzeba było się golić.

W kazamacie trwały dyskusje i spory, zwłaszcza między oficerami zawodowymi a rezerwa. Można było przekonać się od razu, kto jest kto. Rezerwa miała na wszystko inny punkt widzenia, i nie ma co ukrywać, szersze poglądy na sprawy polityczne. Uwidaczniała się też, oczywiście, róż-

nica między oficerami starszymi i młodszymi. Kapitanowie byli raczej po stronie starszych oficerów. Jeśli kiedykolwiek dyskusja dotyczyła spraw ściśle wojskowych, to często kończyła się skwitowaniem przez starszego oficera, że są to poglądy dowódcy plutonu. Był to podtekst, że taki czy inny oficer nie miał właściwie żadnych poglądów i horyzontów. Denerwowało to rezerwe, bo przecież to byli podporucznicy i porucznicy, a więc przede wszystkim dowódcy plutonów, ale jednocześnie ludzie o różnych już zawodach: nauczyciele, prawnicy, urzędnicy administracji państwowej - nieraz o wysokim wykształceniu i kwalifikacjach. Ale cóż, dowódca plutonu w hierarchii wojskowej był niczym.

Szczególnie silnie w tych dyskusjach była atakowana polityka Becka i te początkowe "czułości" z Niemcami na początku lat trzydziestych. W tych sprawach rezerwa biła w były rząd, a zawodowi robili tylko dyplomatyczne miny, twierdząc przy tym, że rząd musiak lepiej wiedzieć od innych, co trzeba było robić. Do jednego tylko nie dochodziło nigdy, do krytyki Piłsudskiego. Jeśli w dyskusji wplątało się czasami jego nazwisko, to taki czy inny oficer, zwłaszcza starszy stopniem popatrzył tylko na dyskutanta jakoś szczególnie i dyskusja albo się zmieniała, albo była przerywana. "Zawodowi" przy każdym jakimś takim spieciu powoływali się właśnie na nas z podchorążówki, którzy zawsze byliśmy tylko milczącymi, z szacunkiem, obserwatorami. Właśnie kiedyś przy jakimś wplątaniu Piłsudskiego do dyskusji, któryś ze starszych zaproponował, aby dać się wypowiedzieć na ten temat młodzieży. A młodzież stwierdziła, "że marszałek jest bohaterem narodowym, wywalczył dla Polski niepodległość i należy mu się jak największy szacunek".

Nie wiadomo, skąd, ale niedługo innymi dotarła do nas

na Litwę informacja, że Niemcy zaraz po wkroczeniu do Kra-
kowa, postawili przy grobie Piłsudskiego wartę honorową.
Oficerowie odnosili się do nas bardzo dobrze, nie robiąc
żadnej różnicy między nami a nimi.

W forcie mieliśmy za współtowarzyszy między innymi:
~~Szczepanikowski~~ Podpułkownika Tadeusza Krogulskiego -
szefa uzbrojenia DOK III;

Majora Tadeusza Lizowskiego - artylerzystę;

↓
✓ majora Franciszka Kudakowskiego;

↓
✓ kapitana Kamierza Smoleńskiego z OPL 6 Lida;

↓
✓ podporucznika Górskiego - rezerwistę z Grodna;

↓
✓ kapitana Lewandowskiego - PKU - Wilno;

↓
✓ kapitana Stanisława Laurentowskiego - DOK Grodno;

↓
✓ Szewluka;

↓
✓ Stanisława Stycznia - oficera rezerwowego;

↓
✓ porucznika Józefa Szymczyka - rezerwista, nauczy-
ciela z powiatu Puławy;

↓
↓ porucznika Komorka - lekarza, kawalerzystę

↓
✓ porucznika Zemajtisa - rezerwistę;

↓
✓ porucznika Pełkę - rezerwistę;

↓
✓ porucznika Smereczyńskiego - inżyniera;

↓
↓ podporucznika Oberleitnera i wielu innych.

Na razie zaprzestałem nauki francuskiego, gdyż nie
miałem z kim się uczyć. Wprawdzie zgłosił się jeden z żoł-
nierzy, który rzeczywiście mówił płynnie po francusku, ale
gramatyki nie znał. Był to kawalerzysta Żyd, bardzo pewny
siebie, który długo był we Francji. Do Polski przyjechał
dla odbycia służby wojskowej i tu zastała go wojna. Za
jedną lekkością chciał dużo papierosów. Nie pasowaliśmy do
siebie, no i nic z tego nie wyszło. Miedzy mój sąsiad spo-

drugiej ściany, słysząc, jak powtarzam francuskie słowa, zgodził się łączyć ze mną.

Znów chodziły słuchy o wyjeździe do ZSRR. Tylko jeden spośród nas, lekarz, porucznik Komorek, zamierzał wyjechać. Był on Żydem i wiedział, że u Niemców nie ma czego szukać.

Po raz drugi zaskoczyło nas miłe wydarzenie. Dostaliśmy czystą i nową bieliznę. Ponadto można było otrzymać buty. Zgłosiłem się. Dali mi olbrzymie buciska z cholewkami - litewskie. Miały one dziwny kształt, poprzez szew z dwóch boków, ale szybko przyzwyczałem się do tego i było w nich dużo cieplej. Takie buty z cholewkami miałem kiedyś w dzieciństwie. Świetnie nadawały się do chodzenia po śniegu.

Co za rozkosz mieć czystą bieliznę. Nasza z Lidy była już mocno sfatygowana, ponadto pokazywały się wszy. W czwartek, 30 listopada wysłano nas do łaźni. Było to wielkie wydarzenie, gdyż od wymarszu z Lidy nie myliśmy się w całości ani razu. Chodziliśmy na zmianę kompaniami. Łaźnia mieściła się nad przedmieściu Kowna. Mieliśmy więc drugą przyjemność - obowiązkowy spacer po dwóch miesiącach dreptania między ogrodzeniem obozowym. Łaźnia była typowa ruską banią bez pryszniców. Były krany z zimną i gorącą wodą. Każdy dostawał drewniany spory kubek, wlewał do niego gorącą i zimną wodę i mył się w tym wiadrze jak w miednicy. Resztę wody wylewało się na głowę lub inne części ciała. Dostaliśmy też po kawałku mydła. W łaźni było gorąco od kamiennego pieca i parno, a rozgrzane ciało parowało i odświeżało się. Cały zabieg kończył się oblaniem lodowatą wodą. Ciało reagowało na to, jak gdyby było parzone

wrzątkiem. Doznawaliśmy prawdziwej rozkoszy. W międzyczasie ubrania były w odmaszyni. Wszy zabijano, trzymając ubrania w specjalnych komorach, do których wpuszczano bardzo gorące powietrze. Przez dłuższy czas potem mieliśmy spokój.

1.XII.39, piątek - wybuchła wojna między ZSRR z Finlandią.

O tym wydarzeniu dowiedzieliśmy się zaraz rano. U nas w kazamacie słyszało się tylko jeden komentarz "znów się zaczyna". Każdy ruch w tym kierunku mógł nam przynieść zmianę. Zaczęto poważnie mówić o utworzeniu korpusu interwencyjnego, który składałby się z naszych żołnierzy z Litwy. Miał on być wysłany do Finlandii.^x

Ani jedno, ani drugie zdarzenie nie zmieniło naszego życia w obozie. Trzech żołnierzy próbowało uciekać z obozu przez płot. Jednego postrzelił "puskarni rkas" - podoficer litewski, dwóch złapano. W obozie wzrósł niepokój. Mówiło się o przeniesieniu oficerów do 6 fortu. Należało przez to rozumieć, że wtedy ostro wezmą się za pozostałych. Co stałoby się wtedy z nami? Do jakiej grupy zaliczonoby nas? Niestety, pogłoski się sprawdziły. 9 grudnia wyjechało do 6 fortu siedmiu oficerów.

Patkowski dostał list z Lublina. Rodzice radzili mu, aby siedział na Litwie i nie wracał. Również Naduża wysłał kartkę do Lublina, a porucznik Komorek postawił "dłgini", litewską wódkę z okazji otrzymania wiadomości od swojej

x/ Z tej idei powstała później samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich w Norwegii. F. Majorów w książce "Lata ciemne lata ciemne", w-wa 1983, podaje, że w latach 1939/40 przedostało się z Litwy do Finlandii setki żołnierzy polskich, którzy mieli stanowić uzupełnienie dla tej Brygady walczącej w Norwegii.

rodajny, która zamieszkiwała obecnie po stronie Związku Radzieckiego. Było to rzeczywiście wydarzenie, ponieważ w odróżnieniu od obszarów będących pod okupacją niemiecką, korespondencja z terenów zajętych przez ZSRR nie dochodziła jeszcze do obozów. Spędziliśmy czas na wspominkach i dyskusjach, ale tym razem na wesoło. Komorek zdecydowany był wyjechać do rodziny i wierzył, że dotrze do niej. Nikt nie wziąłby go ani z wyglądu, ani z zachowania, za Żyda. Wyglądał jak typowy kawalerzysta. Widać to było zaraz po furaczerce, bo bez zazdrości trzeba powiedzieć, że kawalerzyści mieli jakiś swój własny styl.

Wypłacono nam trochę litów za zdeponowane u Litwinów złotówki. Transakcja okazała się opłacalna, gdyż wymienienie pół na pół, to jest dużo lepiej niżeli przy sprzedaży przez pośredników, gdzie obecnie można najwyżej było osiągnąć 30 litów za 100 złotych, w późniejszym okresie dawano tylko 6 lub 5 litów.

Przybyło parę nowych twarzy do naszego obozu, zmiany te dotyczyły również i naszej kazamaty oficerskiej. Między przybyłymi było dwóch, którzy wzbudzali nasze zainteresowanie. Pierwszy to porucznik służby stałej, który w międzyczasie zdążył się zamienić w całkowitego cywila i od chwili przekroczenia granicy litewskiej za takiego się podawał. Eleganckie cywilne ubranie, jesionka, walizka - wszystko kupił legalnie za wymienione złotówki. Legalnie też starał się przez obce ambasady wyjechać do Francji. Nasza ambasada z początku pomagała w tym, ale podobno, na żądanie Niemców, została zamknięta. Obecny rząd litewski ustępował Niemcom we wszystkich żądaniach. W końcu porucznika schwytali i znalazł się w obozie, podobnie jak u

3 Drugim nowojuzszem był starszy wiekiem podchorąży-plutonowy o nazwisku Poślada. Był to redowity warszawiak. Zbliżył się do naszej grupy i stąd mieliśmy dobrego nauczyciela i mentora. Ze swą już trzymiesięczną rudą brodą, wyglądał bardzo patriarchalnie wśród nas, gozowasów. Jako człowiek żonaty wprowadzał nas w tajniki życia małżeńskiego z detalami. Zgłębiailiśmy te arkana z rozdziawionymi gębami. Mieliśmy odtąd nowe tematy i nowego rozmówcę. Również dobrze grał w brydża oraz w kierki, a przy tym nie onieśmielał nas, tak jak niektórzy oficerowie. Chętnie więc grywaliśmy razem. Dzięki niemu dni biegły trochę szybciej i ciekawiej. Znowu zacząłem się uczyć francuskiego. Naduła wreszcie otrzymał odpowiedź na swoją kartkę, a ja nadal nie miałem żadnej wiadomości z Lublina.

Któregoś dnia Litwini zlitowali się nad nami i otworzyli furtkę na wierzch wzgórza fortowego. Wyległ cały obóz. Mogliśmy pochodzić trochę po większej przestrzeni i po trawie. Cały teren był gęsto obstawiony wartownikami, ale nikt nie uciekał. Jeden z żołnierzy litewskich rozpoczął z nami rozmowę, oczywiście po polsku, na temat naszych stopni i mundurów. Dziwił się jak dziecko, że kawalerzyści mają długie płaszcze i długie buty, a piechota krótkie płaszcze i owijacze, że lotnicy mają niebieski kolor mundurów. Nieraz mówiących po polsku Litwinów pytaliśmy o ich narodowość. Rzadko który dawał jednoznaczna odpowiedź, zazwyczaj nie wypierali się polskości, ani nie szczyli się litewszczyzną. Dowództwo litewskie musiało brać pod uwagę ten fakt i odpowiednio dobierać ludzi do naszej ochrony.

Obóz nawiązał kontakt z Polonią w Kownie. Kilku oficerów chodziło kilkakrotnie do Kowna do dentysty. Tam, w drugim pokoju, starano się ugościć wartownika litewskiego, a

nasz "obozowicz" po załatwieniu spraw dentystycznych miał konferować z litewskimi Polakami. Owocem tego były czasopisma i książki oraz wiadomości z frontów.

Wprawdzie nie tam, z wyjątkiem wojny radziecko-fińskiej, nie działało się. Oczywiście cała opinia i nasza, i Litwy, przynajmniej ta prywatna, była po stronie małego, ale dzielnego narodu fińskiego. Wszystkie magazyny zagraniczne wprost zachłystywały się bohaterstwem Finów. Był to dobry argument do ich własnej bezczynności. Zaczęliśmy już oswajać się z tym, że propaganda to jedno, a rzeczywistość to drugie.

Po raz drugi byliśmy w łaźni. Przy okazji wyjścia złożyliśmy się we czterech na butelkę digitini. Miała być na święta. Zaraz po łaźni ostrzygłem sobie głowę znów do gołej skóry i postanowiłem zapuścić brodę jak Połada. Nie podobano się to moim kolegom i zaraz po ostrzyżeniu mi włosów zapali mnie za ręce i nogi i pozbawili tej ledwie zapuszczonej brody. Szarpałem się, ale gdy doszedł jeszcze Laurentowski ze swoimi argumentami przeciwko brodzie, dałem wreszcie spokój. I tak minął sen o brodzie!

22.XII.39, piątek - otrzymaliśmy paczki świąteczne od litewskiej Polonii.

24.XII.39, niedziela - Wigilia i rewija w kazermach.

25.XII.39 - powrót do Wikomierza do starego obozu.

Wielka niespodzianka! Mieliśmy dziś naradcalny dowód łączności z Polonią. Z samego rana pod bramę obozu podjechał samochód. Wsiadły z niego dwie damy, bo, sądząc po wyglądzie, nie można było ich inaczej określić. Udały się do komendy obozu. Po krótkiej chwili wyszedł komendant i kilku

żołnierzy litewskich. Wszyscy, jakby coś przeczuwali, zgromadzili się przy żelaznym płocie. Po chwili wywołano polskiego konendanta obozu. Z rozmowy wywnioskowaliśmy, że te damy to przedstawicielki Polonii litewskiej, które przywiozły dla naszego wojska podarunki z okazji Świąt Bożego Narodzenia. Zaraz rozpoczęła się ta akcja. Nasi żołnierze nosili paczki do ambulatorium, bo była taka jedna kazemata, która służyła również do nabożeństw i większych zgromadzeń. Odbyła się jeszcze komisja i wreszcie podziak. Panie z Polonii dyrygowały nami i Litwinami. Trzeba przyznać, że, oprócz niesamowitej energii, obdarzone były wysoką kulturą. Gdy zbierały się do odjazdu, do płotu podskoczył jeden z naszych żołnierzy i zaczął prawie płakać, że jest mu źle. Wtedy jedna z kobiet zdjęła nagle swoje palto oraz sweter i podała mu poprzez żelazne sztachety, mimo że był już dobry mróz i popadywał mały śnieg. Żołnierz wziął sweter, damy odjechały, a ogromna część zgromadzonych żołnierzy z oburzeniem patrzyła na tę ofertę. Doszłoby prawdopodobnie do dobrego mordobicia, ale żołnierz nagle zostawił sweter i uciekł do koszar. "Boso, ale w ostrogach", taka była postawa tego żołnierskiego tłumy.

Okazało się, że paczek było dosyć dużo i każdy otrzymał coś dla siebie. Ja otrzymałem wiele potrzebnych rzeczy. Sweter z długim rękawem, rękawiczki, szalik, chusteczkę i do tego jeszcze ciepłe skarpety. Nasi oficerowie pokierowali tymi przydziałami tak, aby, w miarę możliwości, obdzielić wszystkich jak najlepiej. Nie było przecieś tajemnic, że w porównaniu do nich, byliśmy "goli i bosi", a do tego jeszcze bez pieniędzy. Teraz dopiero zdaliśmy sobie sprawę, co

to jest Polonia i jak wielką rolę spełnia ona zagranicą w stosunku do takich "wygnańców", jakimi i my i nasi podobni byliśmy. Zostaliśmy również trochę wiktuałów, które schowaliśmy na wigilię. Wszyscy czekaliśmy na nią z niecierpliwością.

Niestety, wigilia zaczęła się niezbyt wesoło. Litwini przestraszeni za pewne tą akcją Polonii, poczuli się zagrożeni i zorganizowali rewizję w całym forcie. Najpierw przed każdą kazamatą postawili żołnierza z karabinem, a potem systematycznie rewidowali salę po sali. Podobno szukali broni.

Rewizja oczywiście nie przyniosła nic, prócz złości i dalszego rozdźwięku. Ciągnęła się prawie do wieczora i dopiero dobrze po trzeciej Litwini zdjęli wewnętrzne warty. Nastroj wigilijny wprowadził prysk wraz z szykanami, ale okazało się, że tradycje są silniejsze. Dla całego obozu ogłoszono początek wigilii, to znaczy jej część oficjalną, w ambulatorium. Po chwili nikt już nie pamiętał o rewizji, o płocie i o Litwinach. Oficjalną okolicznościową przemowę ze strony polskiego dowództwa wygłosił podporucznik Oberleitner. Wszyscy płakali, nikt nie wstydział się łez. Był to odruch na tę ogólną polską biedę i na tę małą naszą tutaj i za te rodzinne wzruszenia, i wspomnienia z tej tak niedawnej ostatniej, wieczery wigilijnej ze wszystkimi swoimi najbliższymi. Wszak to największe w Polsce święto rodzinne i nawet państwowe.

Wszyscy dzielili się opłatkiem ze wszystkimi i, ze łzami w oczach, życzyli sobie wszystkiego najlepszego. Czuliśmy się, jak w domu, jak w rodzinie. Takiego momentu i nastroju nikt nie zrozumie, kto nie sam był chociaż raz rozdawcą z krajem i rodziną. Oficerowie byli oblężeni przez żoł-

nierzy. Ci z fasonem, ze stulaniem obcasami, składali im życzenia.

Po tej oficjalnej części rozeszliśmy się do swoich kamratów, by świętować dalej. Po drodze zaskoczyły nas odgłosy kołedy "Lalajże Jezuniu" śpiewanej głośno przez wiele męskich głosów. Patrzyliśmy z zaciekawieniem, skąd płynęła ta melodia. Koledę śpiewali w swoich koszarach Litwini. Potem było "Wśród nocnej ciszy" i jeszcze coś.

Słuchaliśmy, ale nie odróżnialiśmy słów? Tak, to po litewsku! Przypomniał się nam ten dziadek w Olicie, co to umiał się modlić po polsku, ale rozmawiać po polsku nie potrafił. Szeroko rozlała się ta nasza kultura w Europie i to nie dzięki zaberozości, a odwrotnie, dzięki tolerancji i poszanowaniu cudzych obyczajów.

Po powrocie z oficjalnej części zaczęło się już zwyczajne świętowanie w naszej kompanii. Popijanie, pojadanie smakołyków najpierw w swoich grupkach, potem w większych, a na koniec wszyscy razem. W naszej grupie mieliśmy kupione w kaźni dwie czterdziestki /jedna czwarta litra/ digitini. Innych zapasów też było sporo: miód, marmolada, smalec, masło, a nawet kawałek białej bułki. Były, oczywiście, wspólne koledy, potem piosenki żołnierskie, a w końcu kawały. Oficerowie matkowali nam znakomicie. Graliśmy z Felkiem w karty do dwunastej w nocy, a po północy zgodnie z pasterkową tradycją, zaczęliśmy z Felkiem śpiewać, a raczej ryczeć głośno koledy. Pobudziliśmy wszystkich, ale nikt nam nie wymyślał.

W pierwszy dzień świąt odbyła się w ambulatorium Msza św. Odprawiał ją ksiądz Litwin, ale ewangelie odczytał po polsku. Było też dobre kazanie apolityczne, również w

doskonalej polszczyźnie.

Porucznik Žemajtis znał litewski. Otrzymywał świeże gazety litewskie, czytał je głośno i tłumaczył na język polski. Mieliśmy więc coś w rodzaju prasówek, najważniejsze świeże wiadomości. Niestety, nie było w nich nic nowego. Wojna między Finlandią a ZSRR trwała nadal, a Japonia protestowała wobec ZSRR z tytułu tej wojny. W prasie zachodniej dominowały pretensje do Związku Radzieckiego, natomiast o Niemczech i froncie zachodnim nie było ani słowa.

Na Sylwestra robiliśmy generalne porządki, to, czego nie mogliśmy zrobić na święta z powodu rewizji. Mogliśmy już prać bieliznę, gdyż od ostatniej kąpieli mieliśmy jej po dwie pary. W tej bieliźnie jeszcze z Lidy, chodziliśmy przecież bez prania, dwa, czy też trzy miesiące.

Z okazji Sylwestra żołnierze urządzili tak, składankę, coś w rodzaju rewii. Przyszli z delegacją do naszej kazematy z prośbą o współuczestnictwo. Nie było chętnych, jak zwykle, koledzy wydelegowali mnie. Ubrali mnie w porządny mundur kangarnowy, pas garnizonowy. Wystąpiłem ze swoją nieśmiertelną "Samosierrą". Było tego ze cztery strony, a zawierała całą historię Legii Nadwiślańskiej w czasie wojny w Hiszpanii. Były różne popisy solowe, ale największą furorę zrobił sierżant z lotnictwa jeszcze z Lidy ze swoim psem, z którym rozmawiał jak z człowiekiem, a ten odpowiadał mu szczekaniem. Był to numer istotnie w pełni cyrkowy.

Większość moich współtowarzyszy niedoła nieźle sobie tej nocy popiła. Jak zwykle przy takiej okazji, były śpiewy, bruderschafty i tańce. Nie miałem nastroju do zabawy, położyłem się więc spać. Nagle wśród nocy obudził mnie ryk. Na górnej przycy, tam gdzie było okno, siedziała "orkiestra"

z menażkami, żyłkami oraz, czym kto miał i starała się stworzyć jakiś rytm. Na dole zaś odbywał się "bal". Tańczyły autentyczne pary, tyle że same męskie. Wskoczyłem szybko w buty i zdążyłem jeszcze wyciąć parę oberków. Na zakończenie zabawy odśpiewaliśmy gromialnie Warszawiankę. To był naprawdę udany wieczór. Nazajutrz prawie wszyscy mieszkańcy kazermy byli z sobą na "ty". Był to wynik sylwestrowych bruderschaftów.

Obóz nasz powiększył się o grupę oficerów przybyłych z obozu w Kalwarii. Wśród nich był podpułkownik, major, paru poruczników i kapitan Smoleński jeszcze z Lidy. Całymi dniami opowiadał on różne wesołe historie i pieprzne kawały. On i podchorąży Poślada byli naszymi nauczycielami w życiowych sprawach. Od kapitana Smoleńskiego dużo dowiedzieliśmy się o garnizonie lidzkim, co nas szczególnie interesowało.

Besskutecznie nadal czekałem na list z domu, wyszło bowiem zarządzenie o wstrzymaniu korespondencji z częścią Polski, zajętą przez Niemców. Cała moja nadzieja w tym, że wcześniej przyszedź na Litwę i tuż się za mną od obozu do obozu. Fort 5 był już trzecim moim obozem po Olicie i Wilkomierzu.

Na dworze był straszny mróz, temperatura spadała do minus 20°C i to tak co dzień. Czasami rano termometr wskazywał nawet minus 30°C i więcej. Mimo to, często widzieliśmy żołnierzy, jak rozebrani do pasa, myli się pod pompą, a wkrótce ochlapywali, bo przecieć o myciu nie mogło być mowy. Nawet mydło się nie mydliło, a opadająca woda, niezależnie od tego, gdzie spadała, natychmiast zamarzała. Bywało tak, że na dźgoniach była jeszcze woda, podczas gdy na szyi lub plecach robił się już kłujący lód. Spróbowałem i ja. Felek

pompował mi wodę. Przy wycieraniu się ręcznikiem wyczuwałem wo włosach i na plecach lód. Prawie wcale nie wychodziliśmy z Kazanaty. Ten fort, jak też i inne zresztą, nie był absolutnie przygotowany do przetrzymywania przez dłuższy czas tak dużej liczby ludzi. Zjadaliśmy śniadanie i znów kładliśmy się na prycze. Tak mijają dni. Na szczęście miałem mentora od francuskiego i wspólnie wykorzystywaliśmy ten czas na naukę. Jedzenie bardzo się pogorszyło. Bochenek chleba był na trzech, a po maśle i smalcu pozostało tylko wspomnienie. W związku z tym był nawet jakiś litewski pułkownik na inspekcji obozu.

Kilka dni temu na tereny zajęte przez ZSRR wyjechała grupa tych, którzy zapisali się na ten wyjazd. Od nas wyjechał jedynie porucznik Komorek. W międzyczasie skombinował już na pół cywilne ubranie. Kozuszek, ale i też nieodłączną zawadiacką furazerkę. Nienagannie wyczyszczone buty z cholewami i ta furazerka zawsze wyróżniały go nawet z największego tłumu.

Pożegnanie było czułe. Komorek rozczulił się a i my jeszcze nie byliśmy przyzwyczajeni do takich sytuacji. Wyjeżdżających nie było wielu. Podobno nie wszyscy zapisani stawili się. Z naszej strony cały płot oblepiło wojsko pozostałe w forcie, wreszcie cała grupa ustawiona czwórkami ruszyła. I wtedy dopiero zaczęły się krzyki pożegnań, żarty na temat niedźwiedzi, a z dopiero co zwartych czwórek i karanych szeregów zrobił się jeden tłum i jarmark. Wszyscy odjeżdżający pozdejmowali czapki i furazerki machali nam. Kolumna ginęła już w oddali, a jeszcze dochodziły stamtąd okrzyki pozdrowień i wywoływanie nazwiskami pozostających kolegów. Szli w nieznaną, każdy jasno zdawał sobie z tego

sprawę. Później już dowiedzieliśmy się, że mniej więcej w tym samym czasie podobne grupy wyjechały też z innych obozów. Do naszego wyjazdu z Litwy nie dostaliśmy żadnej wiadomości czy szczęśliwie dotarli do swoich rodzin i domostw.

I znów teraz wypadki potoczyły się szybciej, jak gdyby te święta i wyjazd tej grupy na wschód otworzyły serie nowych zdarzeń. Ostatnio w obozie było coraz gorzej. Zimno, ciemno i jedzenie też znacznie się pogorszyło. Dawno już skończyła się ta dobra strona naszego tutaj pobytu. Przede wszystkim dawał znać o sobie brak ruchu oraz ta stała ciemność w kazamacie. Rzadko spotykaliśmy się i rozmawialiśmy z żołnierzami, chyba że okazyjnie na spacerze. U nich w kazamatach zagęszczenie było jeszcze większe.

Dnia 24 stycznia 1940 roku, bez żadnych zapowiedzi wszyscy oficerowie wyjechali do Wilkomierza. Był to wynik komisji, która niedawno, wraz z litewskim pułkownikiem, przeprowadziła inspekcję obozu. Żegnaliśmy się z nimi głośno i młodzieńczo. Cała sala śpiewała i biesiadowała do późno w nocy, a zapisywanie adresów nie miało końca. Odprowadziliśmy ich do furtki w płocie. Niebo zaczynało się powoli różnić od wschodu. O siódmej rano oficerowie odjechali autem ciężarowym. Straciliśmy w nich oparcie do lepszego traktowania nas i ojcowskiej opieki.

Po ich odjeździe zaraz poinformowano nas, że i my, to znaczy podchorążowie, również wyjeżdżamy do Wilkomierza. Nie wiem, czy podoficerowie i żołnierze opuścili 5 fort, ale myślę, że tak. Gdzieś tam na górze postanowiono opróżnić forty, bo przecież i w innych fortach były obozy, choćby w forcie nr 6. Po cichu mówiko się, że mają je obsadzić wojskami radzieckimi.

Wszystkiego mogliśmy się spodziewać, ale nie tego, że wrócimy do Wilkomierza. Nadość była więc ogromna. Cieszyliśmy się, że znów połączymy się z naszą gromadą z podchorążówki. Podchorążowie, którzy nie byli w Wilkomierzu, teraz z przejęciem słuchali tego, co opowiadaliśmy im o warunkach sanitarnych tamtego obozu.

Zaraz po obiedzie zapanował wielki ruch. Zdawaliśmy rzeczy do magazynu. Litwini chcieli również przy okazji zabrać nam koce, które przywieźliśmy z Lidy, ale obroniliśmy je. Teraz zaczęła się kombinacja, aby zdać jak najmniej. Pościel zdałem, ale butów i koca nie. Udało się.

Zaraz potem wymaszerowaliśmy z obozu. Tym razem wyjechaliśmy z fasonem, ponieważ i nam podstawiono samochody. Plot znów oblepiony był naszymi żołnierzami, tym razem nas żegnano. Żegnaj VII Interniutuju Stovykla, Kaunas a /Panemunie/^x Przebywaliśmy tutaj od 18 listopada 1939 roku do 25 stycznia 1940 roku. Dość!

x

Wracaliśmy znaną nam już drogą. Może dlatego, że nie było nas zbyt wielu, jechaliśmy z Kowna wagonami osobowymi trzecią klasą. Samochód podwiózł nas, oczywiście, tylko do dworca w Kownie. Z Kowna do Janowa jechaliśmy koleją szerokotorową, a z Janowa do Wilkomierza znów wąskotorówką. Tym razem połączenie mieliśmy dobre i wieczorem byliśmy już w koszarach w Wilkomierzu. W Janowie na stacji przez roztargnienie zostawiłem chlebak, ale, na szczęście, wziął go jeden z podchorążych i oddał mi go w Wilkomierzu. Gdy stanęliśmy przed komendą obozu w Wilkomierzu, zaraz przybiegli nasi lubelscy koledzy, ale straż nie chciała ich do nas do-

x/ Obóz w 5 forcie nosił kolejny numer VII w kolejności pozostałych obozów internowanych Polaków.

puścić. Poszliśmy więc do nich. Wycałowaliśmy się chyba z setką kolegów.

Po krótkim czasie pozwolono nam rozejść się do koszar. Koledzy zabrali mnie do sali, gdzie mieszkała prawie cała druga drużyna, a więc Respond, Polakowski i inni. Oprócz mnie, doszedł jeszcze do tej sali Felek Kędzka. Okazało się, że w międzyczasie naszą drużynę wykwaterowano z tych małych pokojów na górze, gdzie kiedyś walczyliśmy. Okazało się potem, wielkim dobrodziejstwem dla naszego samopoczucia.

Gdy zaczęliśmy się rozpakowywać, na twarzach naszych przyjaciół pojawiło się zdumienie. Zobaczyli przywiezione przez nas "bogactwa". Tutaj nie mieli darów Polonii, nie mieli oficjalnej wymiany złotych na lity po dobrym kursie, a z jedzeniem też nie było najlepiej. Mój oficerski pas kupiony w forcie za grosze, buty z cholewami, a sweter i te inne rzeczy! Widać było, że trochę zazdrościli nam tego nowego wyposażenia i tych "bogactw". Myśleli, że my wyjechalśmy na jakąś katongę, a tu nagle zobaczyli, że nie było znowu tak źle.

Zaraz, mimo całej wesołości i serdeczności, zauważyłem, że z podchorążówką już koniec. Zresztą potwierdzili to koledzy. Litwinom zależało na rozbiciu związków organizacyjnych z września 1939 roku, a w zamian za to potworzyły się grupy związane ze sobą jedynie miejscem zamieszkania, t. jest wspólną salą, połączone znów w przypadkowe kompanie. Tutaj ukazała się, w całej rozciągłości, destrukcyjna i niepatriotyczna postawa panów Staniewiczów, Deszczułek i innych podobnych, którzy nie tylko nie starali się uzyskać od Litwinów jakichś ulg, ale dobrali się do tego "żłoba" tylko dla osobistych korzyści.

W naszej sali mieszkali właściwie wszyscy: policjanci, Kaszubi, podoficerowie i szeregowi, ale tron stanowiła nasza podchorążówka i ona nadawała ton.

Nasi niedawni dowódcy, podchorążowie kwaterowali w innej sali. Poszedłem, oczywiście do Bajki przywitać się z nim. Był równie serdeczny, jak przedtem. Podchorążowie z ciekawością wypytywali o postawę naszych oficerów, o nazwiska. Ponieważ wywiezionych z fortu oficerów nie było w naszym obozie, należało wysnuć wniosek, że w Wilkomierzu istnieje jeszcze jeden obóz, gdyż wyraźnie była mowa, że oficerowie jadą do Wilkomierza lub, że, jak wiele innych, i ta informacja była po prostu nie prawdziwa. Okazało się, że w międzyczasie już po naszym wyjeździe do Kowna, wywieziono również innych kolegów z podchorążówki, ale do Birsztan. Parę dni po naszym powrocie przywieziono ich do nas z powrotem i tak powrócili "Lania", "Kulka" i "Zawisza".

W kilka dni później przyprowadzono na naszą salę dwóch nowych żołnierzy z młodego rocznika. Okazało się, że byli to jeńcy wojenni, którzy uciekli z Prus Wschodnich. Przeszli granicę litewsko-pruską i zgłosili się oficjalnie do Litwinów. Ci obeszli się z nimi bardzo dobrze, ale w końcu zmuszeni byli zamknąć ich razem z nami, w obozie dla internowanych wojskowych.

Ucieczki z Prus Wschodnich nie należały do rzadkości. Jeńcami byli żołnierze, którzy brali udział w obronie Warszawy i tam dostali się do niewoli. Teraz, gdy ci młodzi chłopcy znaleźli się w naszej sali, całymi dniami przesiadywali tu Warszawiaczy i prowadzili rozmowy o tym, które domy i które ulice uległyniszczeniu, a które ocalały. Ludzie w tych ciężkich chwilach chcieli mówić o tym, co dla nich

było drogie. Po kilku dniach żołnierze stali się takimi samymi, jak my. Od nich dowiedzieliśmy się, że w Prusach Wschodnich żołnierze i młodzi podoficerowie nie siedzieli stale za drutami w obozach jenieckich, lecz byli wysyłani na roboty poza obóz, jedni na stałe, inni tylko na dzień. Jako prace przydzielano im najczęściej roboty rolne u indywidualnych gospodarzy lub w majątkach junkierskich. Część z nich wysyłano do fabryk lub do robót publicznych.

Wśród nas byli Kaszubi. Trzymali się hardo i twardo karzem, a wręcz separowali się od innych. Przewodził im starszy wiekiem strzelec. Z jego wypowiedzi wynikało, że był działaczem społecznym i politycznym. On głównie wypowiadał się przeciwko Niemcom. Nasi Kaszubi nienawidzili Niemców Hitlera i wcale się z tym nie kryli. Byli bardzo pobożni, ale tak po purytańsku. Wszyscy już osiągnęli wiek dojrzały, mieli po 40 lat i więcej. Nie przypominam sobie, aby chociaż jeden z nich zapisał się na wyjazd do Niemiec.

Również podoficerowie chodzili w pojedynkę, miłoścy i markotni. Im jako starszym wiekiem, było chyba ciężko. My, jak to młodzi, potrafiliśmy w tym wszystkim jeszcze rozrabiać, śpiewaliśmy. Po podoficerach i po Kaszubach widzieliśmy, że nie bardzo im to było w smak. Z dawnej pochorągówki mało już co zostało. Większość spruła sznurki cenzurowskie. Byliśmy porozbijani po salach. Skończyły się wykłady i zbiórki, a pochorąży Bajko, chyba z przyczyn już czysto moralnych, utrzymywał jeszcze z nami kontakt. Przychodził bowiem do naszej sali, gdzie prowadziliśmy niekończące się rozmowy o tym, co będzie. Inni nasi dowódcy byli raczej niewidoczni. Tylko Bajko kleił nasze grupy.

Zaczęły przychodzić regularnie listy z Lublina. Wyż-

niał się obraz tego, co zaszło w Lublinie. Nie był to obraz wesoły. W większości rodzice byli zadowoleni, z naszego pobytu tutaj. Trudno było nam wtedy zrozumieć tę postawę, ale starsi, a zwłaszcza Kaszubi, mówili, że rodzice nasi mieli rację. Powinniśmy siedzieć spokojnie i nie rwać się do powrotu.

- 6.II.40, wtorek - Ostatki, znowu areszt.
7.II.40, środa - Otrzymałem pierwsze listy z Lublina.
10.II.40, sobota - Zapisalem się na wyjazd do Niemiec.

Szybko zagospodarowałem się na nowo w Wilkomierzu. Trochę zhandlowałem, sprzedawałem bowiem swoje trofea z Kowna. Jako pierwszy poszedł pod młotek sweter. Pieniądze były potrzebne na dokupienie żywności, na listy, na znaczki pocztowe i na grę w karty. Mniej zaradni koledzy nie mieli nawet na znaczki i nie wyszedł od nich żaden znak życia do Polski. Powodem tego był oczywiście brak pieniędzy.

Nasze przebywanie w Wilkomierzu pod względem warunków bytowania było dużo znośniejsze niż w fortach. Poza tym była tu nasza cała zgrana paczka. Zaczęłem gorączkowo nadrabiać akcje wysyłania listów do Lublina, do Ireny, Majstraków, Polka, rodziców. Zrobiłem też dwa pamiętniki. Jako okładki posłużyła mi miska aluminiowa nadająca się do grzewienia. Jeden był dla mnie, drugi był przeznaczony dla Ireny. Dalej uczyłem się francuskiego. Wykładał jeden z podchorążych, a lekcje odbywały się regularnie systemem gimnazjalnym. Było sporo różnych kursów oraz chór, do którego zaraz, oczywiście, wstąpiłem. Do dzisiaj jeszcze pamiętam Pieśń Rycerską Moniuszki, zaczynająca się od słów: Czy w radzie, czy w sądzie, czy w zbrojnej gromadzie... Idtwini nie zgo-

dzili się jednak na żadne oficjalne występy tego chóru, przynajmniej do czasu mojego pobytu na Litwie. A był to potężny chór, liczący chyba ze sto osób.

Coraz częściej chodziły plotki o komisji w związku z zapisywaniem się na wyjazd do Niemiec, a potem do domów. Ożywiły się też kontakty naszych żołnierzy i podoficerów z ludnością zza drutów. Odnajdywali się krewni, zapomniani w przeszłości, przypominały o nich rodziny w swoich listach.

Dowiedzieliśmy się, że 6 lutego, na ostatki w Wilkominierzu zamieszkałym w dużej części przez Polaków, organizowano ostatnią zabawę karnawałową. Bez wielkiego namysłu postanowiliśmy z Felkiem wybrać się na tę zabawę. Tego już dawno w naszej grupie nie było. Od podchorążych pożyczaliśmy piękne kamgarnowe mundury z dystynkcjami i pasy oficerskie. Felk i Zdzich Szymczyk spod Lublina pożyczili jeszcze długie buty /ja miałem własne z Kowma/. Jako wierzchnie okrycia posłużyły nam dla odmiany cywilne paltó i futra oraz futrzane nakrycia głowy. Na naradzie postanowiliśmy, że pójdziemy wprost przez druty, zwłaszcza że posterunki litewskie nie były zbyt gęste, a oświetlenie niezbyt jasne. Po kolacji około godziny szóstej weseli, wystrojeni jak na spacer, zaczęliśmy szukać przejścia w drutach. Niestety, śnieg, mróz i bardzo jasny wieczór, jak to w lutym bywa, uniemożliwiły skryte przejście przez druty, a nie chciało się nam czołgać i kopać w zmarzniętym śniegu. Postanowiliśmy iść przez bramę. Zauważyliśmy, że pod wieczór wychodziły z obozu różne funkcyjne osoby, czystsie ubrane po cywilnemu i nikt ich nie zatrzymywał. Ruszyliśmy i my, równo w nogę. Mamrotaliśmy coś do siebie. Śmieliśmy się, dużo gestykulowaliśmy. Brama była otwarta, dochodziliśmy do posterunku. Zaczęłam

paplać poznane wcześniej różne oderwane słowa po litewsku, paniala /panna./, perdođu /sprzedać/, troba/dom, ponas /pan/, a przy samym już posterunku "o, szauta perkunas", co miało oznaczać "do pioruna, ale zima".

Litwin, zmityłony naszymi ubraniami i naszym swawolnym paplaniem po litewsku, stał z wybałuszonymi oczami i nie zrobił żadnego gestu ani ruchu. Przeszliśmy swobodnie przez bramę nie zatrzymani przez wartownika. Byliśmy już na ulicy, gdy nagle usłyszeliśmy za nami tupot nóg. Nie oglądaliśmy się. Niestety, dobiegł do nas wartownik i zagađnął do nas coś po litewsku. My ani w ząb, bo niby skąd. Nic nie mówiąc, szliśmy dalej. Zdenerwowany wartownik maczał karabinem, szarpał za zamek, w końcu zaczął nas popychać lufą w kierunku bramy. Gdybyśmy chcieli uciekać, to na pewno nie zżapałby nas w tym swoim kozuchu i wielkich filcowych butach. Ale właściwie to robiliśmy wszystko dla żartu i dla drąg! Wrealizaliśmy więc pokornie do obozu. Zaprowadzono nas do komendy obozu. Tu jakiś major wysłuchał meldunku wartownika i powiedział coś srogo po litewsku i zaaplikował nam trzy dni aresztu. W areszcie, na szczęście, było ciepło. Jedzenie dostawaliśmy prosto z kuchni, lepsze niż normalnie. Wkrótce cały obóz dowiedział się, że jesteśmy w areszcie przy wartowni. Rano pod oknem zebrała się grupa kolegów. Trzeba było się pozbyć pożyczonych mundurów i płaszczy. Przez kraty w jedną stronę szły te pożyczone, a w drugą - nasze własne. Po chwili byliśmy znów sobą. Wartownicy nie mogli się nadszwić tej metamorfozie. W większości byli to dobrzy ludzie, ale powolni i mało obrotni. Bez problemów wpuszczali do nas kolegów, z którymi mogliśmy rozmawiać całymi dniami. Pobyt w areszcie uprzyjemniały mi jeszcze listy. Naduła przyniósł

at dwa listy - jeden z domu, drugi od Ireny. Wiadomości były
złe i dobre. We wrześniu, w czasie nalotu została zabita Ir-
ka Szykier, Lutek i Polek nadal przebywali w Lublinie. U Oli
i Zenki też było wszystko w porządku. U mnie w domu bez zmian
Rodzice pisali, że mam siedzieć i nie ruszać się, to samo
co pisano do innych kolegów. List od Ireny był różowy i pach-
nący. Taki jak przed wojną pisały zakochane dziewczyny. Po
powrocie z aresztu musiałem go kilkakrotnie czytać swoim ko-
legom. Wszyscy go wachali, a Tadek odegrał wspaniałą scenę
z omdleniem po jego powachaniu. Ponieważ już wcześniej obie-
cywałem, że jak przyjdzie list, to postawię digitini, musiał-
em więc wywiązać się z tego. Zamiast wódki postawiłem kieł-
base, bułki i jabłka, co, przy naszym monotonnym odżywianiu
i ciągle pogarszającym się pożywieniem, było dużym wydarze-
niem.

Później dostawałem dużo listów, o wiele więcej niż in-
ni. Okazało się, że krąg moich znajomych był szeroki. Pisał
do mnie Zbyszek Olszowski i Długocki, nie mówiąc o innych,
ale najciekawsze były listy od koleżanek. Niewielu chłop-
ków dostawało listy od dziewczyn.

W areszcie wartownicy odnosili się do nas życzliwie.
Wszystkie rozmowy prowadzone były po polsku. Jeden z wartow-
ników któregoś dnia przyszedł do naszej celi z karabinem i
całym oporządzeniem. Rozmawialiśmy o stosunkach panujących
w wojsku. Nie mógł się nadziwić różnorodności naszych mun-
durów i płaszczy. Chętniej wszystko i był dumny z rozmowy z
nami. W końcu rozmowa zeszła na musztre, gdyż litewska była
inna, oparta na musztrze rosyjskiej, podczas gdy nasza wzo-
rowała się na niemieckiej. Ni stąd ni zowąd wziąłem od niego
karabin i zacząłem mu pokazywać nasze chwytły broni. Staro-

żem na pryczy, a Felek wydał komendy. Zgrabnie podrzucałem karabin w takt wydawanych komend. Wprowadziło go to w zupełny zachwyty. Oddając mu karabin, bezczelnie otworzyłem zamek i, bez zdziwienia, stwierdziłem, że cały magazynek miał wypełniony nabojami. Co to byłoby u nas z takim wartownikiem, który dał naładowany nabojami karabin do ręki aresztanta. Ale wszystko można było wytłumaczyć jego życzliwością do nas i łączącą nas wspólną przeszłością...

Po trzech dniach, 9 lutego, wyszliśmy z aresztu i zaraz trafiliśmy na sensacje. Rozpoczęto zbieranie zapisów na wyjazd do Niemiec, jakoby do domów. Dużo dyskutowano w naszym lubelskim środowisku, czy zapisywać się i wyjeżdżać, czy też nie. Zdecydowałem się na wyjazd. Przy zapisie trzeba było podać zawód. Podałem robotnik samochodowy, pozostali inne, ale zawsze z jakiś z zawodów robotniczych. Na początku zapisali się wszyscy lubliniacy, a nikt z Częstochowy. Jednak wkrótce większość naszej lubelskiej grupy zaczęła się wycofywać z tego wyjazdu. Nasze ścisze grono, do którego należeli Felek, Jurek, Zdzisiek, ja i kilku innych, po wielu wahaniach, rozważaniach i wspólnych dyskusjach, utrzymało się jednak przy postanowieniu wyjazdu. W stosunku do całości była to niewielka liczba.

Minął zapis, skończyły się dyskusje i życie wróciło do normy. Trzeba bezwzględnie podkreślić, że komenda litewska absolutnie nie wtrącała się do tej sprawy. Wszystko odbywało się na zasadzie całkowitej dobrowolności. Przed budynkiem, gdzie odbywały się zapisy ciągle stał tłum dyskutujący o wyjeździe. Ludzie biegali od grupki do grupki i wyważali swoją decyzję. Nie zapisał się ani jeden policjant, nie wiem czy ktoś z Kaszubów i bardzo mało starszych podoficerów. Wiek-

szość zdecydowanych na wyjazd stanowili ludzie młodzi i do tego ze wsi. Trudno mi przypomnieć sobie motywy, którymi kierowałem się, decydując się na ten wyjazd. Chyba spowodował to brak perspektyw walki na Zachodzie oraz nadzieja znaleźć się bliżej domu.

Życie toczyło się dalej. Dostawałem listy od Polka, Oli i Zenki i, co najciekawsze, niespodziewanie od Jasi. Jaskę poznałem na jakiejś zabawie szkolnej. Okazało się, że tam w Lublinie młodzież o nas też pamiętała, uważała nas za bohaterów i męczenników. Powstał ruch opiekowania się jeńcami wojennymi i instytucja matek wojennych, do których postanowiła też wciągnąć się Jasia.

Chociaż byliśmy w obozie, to i tu zdarzały się czasami wesołe chwile, intrygi, a nawet zabawy. Tak było między innymi wtedy, gdy z Połagi nad morzem przyjechał jakiś policjant z harmonią. Zakwaterowano go w naszej sali. Całymi wieczorami rozbrzmiewała u nas muzyka i skupiała tłumy ludzi. Pewnego razu, ni stąd ni zowąd, rozpoczęliśmy tańce w takt wygrywanych melodii. Kaszubi, ciągle niezadowoleni, ciągle związani myślami tylko ze swoimi rodzinami, byli oburzeni naszym zachowaniem. ~~Według nich zasłużyliśmy~~ Według nich zasłużyliśmy z Respondem na nazwę bolszewicy.

Przyszła wiadomość, że w Olicie w szpitalu wojskowym zmarł Jędrzek Piwowarczyk. Odszedł jeden z nas i to nawet nie na froncie. Nie dowiedzieliśmy się, co było przyczyną jego zgonu. W normalnym szpitalu przy normalnej opiece było chyba niedopuszczalne, aby osiemnastoletni chłopiec umierał bez poważnej choroby lub porażenia. Jeszcze w gimnazjum był bardzo zdolnym uczniem i dobrze zapowiadającym się humanistą. Pokolenie nasze poniosło niewątpliwie dużą stratę.^X

X/ Po powrocie do Lublina odwiedziłem matkę Piwowarczyka i opowiedziałem o nim wszystko, co wiedziałem. Byłem chyba ostatnim z lubliniaków, którzy widzieli go żywego.

Prawdopodobnie ten tragiczny fakt dał nam impuls do uroczystego zebrania naszej podchorążówki. W czasie tego zebrania postanowiliśmy, że wszyscy lubliniacy spotkają się w Lublinie o godzinie dwunastej dnia 31 grudnia 1944 roku przed Kasą Przemysłowców i że również o tej samej godzinie 31 grudnia 1945 roku zbierze się cała Szkoła Podchorążych przed Dworcem Głównym w Warszawie.^x

Nadchodziły święta. Rozpoczęła się akcja wysyłania pocztówek do kraju z życzeniami wielkanocnymi. Znaleźli się specjaliści od robienia pięknych okolicznościowych kart. Malowane akwarelą miały one przeróżne świąteczne wzory z ba-rankiem, baziarni. Niestety, tak jak znaczki, też kosztowały. Kto nie miał pieniędzy, to nie mógł wysłać ani kartki ani listu.

Ni stąd ni zowąd, rozpoczęła się nagonka na wymianę złotych na lity. Jeszcze wczoraj nikt nie chciał kupować złotych, a dzisiaj - aby dawać. Oczywiście, w rachubę wchodziły tylko banknoty 100 złotych. Inne, mniejsze, służyły jako moneta obiegowa do celów wewnętrznych i do gry w karty. Tak dużych banknotów nigdy nie widziałem, a tutaj byli tacy, co mieli ich całe mnóstwo. Jak wszędzie, tak i tutaj nie było równości. Tych, co nie mieli nic, ten ruch wymiany złotych nie interesował, innych zaś - bardzo. Ja na pośrednictwie w tej wymianie, bo sam miałem tylko 25 złotych, zarobiłem 5 litów, co znacznie wzbogaciło moją ubogą kasę. Razem z tą nagłą i wymuszoną wymianą złotych chodziły plotki, że wkrótce do obozu ma zjechać niemiecka komisja w celu ostatecznego załatwienia spraw związanych z wyjazdem internowanych do Niemiec.

x/ Nie byłem na żadnym z tych spotkań, nie wiem, czy one się odbyły, gdyż notatki te odkryłem ponownie przy pisaniu tej relacji i czytaniu pamiętnika.

Stało się! W środę, 13 marca, zjechała ta zapowiadana komisja. Było tam trzech mężczyzn mówiących doskonale po polsku. Zainstalowali się w budynku komendy obozu, przy którym ustawili się długi rząd naszych żołnierzy. Posiedzeniem i ję wciągnięto mnie na listę. Jako zawód podałem, tak jak uprzednio, robotnik samochodowy, a jako miejsce ostatniej pracy podałem warsztat samochodowy Drewnowskich przy ulicy Chopina /Była to rodzina Felka D./ Dużo było dyskusji, jaki zawód byłoby najlepiej podać, ale to nie miało wpływu na nic, a najbliższa przyszłość miała pokazać, że w ogóle nikt nie brał tej pisaniny pod uwagę.

Mimo że był to już 13 marca 1940 roku, śnieg leżał wszędzie wysoki po kolana, a mróz dochodził do 20 stopni C. Litwini zachowywali się w stosunku do wyjeżdżających całkiem neutralnie, ani nas nie namawiali ani nie zatrzymywali. Nasza obozowa szarża była raczej przeciwna wyjazdowi. Głównie dlatego, że w większości pochodzili z terenów zajętych przez Związek Radziecki, a także z zasady, że trzeba trzymać się wojska póki można, chociaż o wyjeździe do Francji zaprzestano mówić wraz z ustaniem wojny fińsko-radzieckiej.

"Raz kozie śmierć" - może zmieni się na lepsze - to były myśli, z którymi wiązaliśmy nadzieje. Zapisanych na wyjazd nie było wielu w stosunku do całego obozu w Wilkomierzu. "Do domu" mieliśmy wyjechać za kilka dni! Do domu, bo komisja obiecała solennie, że każdy z nas wróci do domu. Nie znaliśmy jeszcze Niemców!

W Prusach Wschodnich

Przede mną była nowa wędrownka. Chodziły słuchy, że za kilka dni nastąpi wymarsz grupy zapisanej na wyjazd do Niemiec. Jeszcze nie minął rok, a ja ciągle wędrowałem.

- 18.III.40, poniedziałek - Wymarsz z obozu w Wiłkomierzu do Niemiec?
- 19.III.40, wtorek - Przekraczamy granicę litewsko-pruska w miejscowości Virbalis.
- 20.III.40, środa - Osadzono nas w obozie jeńców Stalag I A pod miejscowością Deutsche Eilau.

Zaczęło się na wesoło! Jak tylko ogłoszono, że wyjeżdżamy za kilka dni, rozpoczął się sądny dzień w całym Wiłkomierskim obozie. Cały obóz zamienił się w jedno targowisko, handlowano, wszystkim za wszystko. Złotówki wymieniano według nadszerego kursu 5 litów za 100 złotych. Sprzedawano i zamieniano mundury i płaszcze. Następnie szły koce, buty, bielizna itd. Grupa wyjeżdżających zaopatrywała się w żywność. W kantynie obozowej stała stale kolejka. Ja również zamieniłem swój wojskowy zielony płaszcz na policyjny granatowy z myślą, że w domu może zrobić z niego cywilną kurtkę. Sprzedałem buty z cholewami, a za uzyskane lity kupiłem dużą bejkę marmolady i duży chleb. Wróciłem do swoich trzewików z liły, z myślą, że będzie w czym chodzić w domu.

Z naszego obozu wyjeżdżało tylko 507 osób. Była to chyba jedna piąta lub jedna szóstą część naszej wiłkomierskiej społeczności. Z naszej lubelskiej podchorążówkowej grupy wyjeżdżali: Mieczysław Krakowiński, Jerzy Paszkowski, Zdzisław Polakowski, Feliks Dremnowski, Stanisław Leskow,

Roman Szabczyński, Henryk Kopeś, Zdzisław Lasocki, Zbigniew Kamiński, Jerzy Nadarkiewicz, Tadeusz Kowalski, Siekierzyński, Jerzy Sankiewicz, Czesław Miszał. Z grupy czestochowskiej nie wyjeżdżał chyba nikt lub jedna czy dwie osoby. Wyjechało więc nas tylko czteremastu. Jeśli przyjąć, że w pochodźce było z Lublina 66 osób /tak twierdził Heniek Lut Niemierski/, to na wyjazd zdecydowało się 20 procent.

W poniedziałek, 18 marca, rozpoczęła się moja trzecia z kolei wędrówka w tej wojnie. Po południu czwórkami, czołga do bramy, ustawiła się długa kolumna naszych żołnierzy. Po bokach gęsto stali litewscy wartownicy z bronią gotową do strzału. W ochronie tej było też kilka ręcznych karabinów maszynowych. Dowodził nimi litewski porucznik.

Cały obóz wyległ na plac. Na czyjaś komendę otworzono bramę obozu, pierwszy raz od naszego przybycia tak szeroko. Na placu i w oknach budynków byli chyba wszyscy pozostający w obozie. Na komendę porucznika-dowódcy drgnęła nasza kolumna. W jednej chwili na placu powstał ogromny szum, a potem krzyk. W powietrzu rozległ się gwałtowny komot skrzydeł uciekających zewsząd wron i gołębi. Tłum żołnierzy stojących bliżej bramy zaintonował hymn. Pierwsze czwórki przekroczyły bramę. Ogłosy gromadnego, nocnego, męskiego śpiewu rosły, a potem w miarę oddalania się od bramy cichły aż w końcu umilkły. Ocieraliśmy ukradkiem zakzawione oczy. Mróz jak na drugą połowę marca był nie mały, bo sięgał minus 12 stopni. Na polach leżał śnieg po kolana, a na drodze głębokie zmarażone koleiny.

Litwini rozsypali się po polu regulaminowo w szeregi, po obydwóch stronach kolumny. Na przedzie szedł litewski porucznik, kilku wartowników i erkaem. Żołnierze li-

litewscy bracia w śniegu, a ten zapadał się pod ciężarem ich ciąż. Niejeden wpadał po pas razem z karabinem. Zanim się wygrzesolił, kolumna posuwała się już dalej, gdyż droga uszła się o wiele zatwiej. Porucznik parł do przodu, nie oglądając się z początku za siebie. Konwojenci litewscy z każdym kilometrem zbliżali się do drogi, po której maszerowała kolumna. Czerwona duża kula ginącego na horyzoncie słońca zapowiadała zmierzch i mroźną noc.

Na czele kolumny naszego wojska ustawiono się kilka czwórek naszych podoficerów starszych stopniem i wiekiem. Zapadał zmrok i niepostrzeżenie z każdym kilometrem wymijał dobrze obciążonych podoficerów. Razem z litewskim porucznikiem rwała do przodu nasza młodzież. Za cały majątek miała ona, podobnie jak my, tylko chlebak. Plecaki, koce, posprzedaaliśmy lub zostawiliśmy na Litwie. Przydały się tym, którzy przeszli granicę we wrześniu 1939 roku, tak jak stali.

Maszerowaliśmy do Janowca, do znanej już nam stacji kolejowej. Odległość jak na warunki zimowe i nasze zasiedziały od szczęściu miesiąc nogi wydawała się niebagatelna. Mroź był coraz większy i naokoło już noc. Konwojenci litewscy dali ostatecznie za wygraną i, aby nie zostać w tyle, zeszli z pola na drogę, a wkrótce wymieszali się z naszymi żołnierzami.

Kolumna rozciągnęła się i coraz więcej naszych zostawało w tyle. Utworzyła się czołówka. Porucznik, jakiś sierżant, Polek i ja. Z początku trzymał się jeszcze nas Naduła potem i on został w tyle. Na stacji dowiedzieliśmy się, że po drodze mdlał trzy razy, ale szedł dalej, aby nie zostać i nie zamarznąć na śmierć. Zrobiliśmy chyba tylko dwa albo trzy krótkie odpočynki. Kładłem się wtedy na śnieg, nogi

podnosiłem do góry i opierałem je o co tylko było. Cóż to była za ulga dla nóg.

Zapadła już ciemna noc, a te 36 kilometrów ciągnęło się bez końca. Gdzieś z daleka błysnęło światło. Przejęliśmy. Zostało już nas trzech, za nami nie było widać nikogo. Nie daliśmy się pobić jakiemuś porucznikowi, my, którzy w 1939 roku przeszliśmy niejedne 36 kilometrów. Światła się zbliżały jednak nadal panowała kompletna cisza. Zbliżaliśmy się do sporej stacji węzłowej. Weszliśmy do pustej poczekalni, za nami w dalszym ciągu nikogo nie było. Musieliśmy zaimponować porucznikowi, bo zaprosił Felka i mnie do bufetu na herbatę. Upłynęło sporo czasu zanim do poczekalni wszedł pierwszy z naszych żołnierzy.

Nie wiem, czy wszyscy doszli, czy wszyscy się znaleźli bo stłochyli się sznurkiem aż do odjazdu pociągu, do godziny piątej rano. Na ostatku cała wśniegu, przywlokła się litewska obsługa. Niejeden leżało po drodze, niejednemu nasi pomogli iść i niesli za nich karabiny. Ci, co przyszli wcześniej mieli dość czasu na odpoczynek i na stacji nic nie dostaliśmy do jedzenia. Każdy wyciągał to, co miał w chlebaku i wkrótce cała poczekalnia zmieniła się w jadalnię. Wszyscy przeklinali Litwinów za ich organizację, a w szczególności za ten marsz. Wtedy to dowiedzieliśmy się od kolejarzy, że kolejka wąskotorowa z Janowa do Wikkomierza nie kursuje z powodu zasypania torów grubą warstwą śniegu i stąd ten opłakany przez wielu marsz.

Jeszcze tej nocy podstawiono kryte wagony towarowe. W nich dopiero było zimno. Żadnych ławek, żadnych piasek. Wagony obłożone, a w środku leżała gruba warstwa śniegu, który nawiewał przez otwarte drzwi, albo przez szpary. Jed-

nak pchaliśmy się do wagonów po zbawienie i wirótes cała okolica zagrziała od stukotu podkutych butów o deski wagonów. Wartownicy przestraszyli się i odskoczyli od torów, sięgnęli po karabiny. Pokazała się jakaś władza. Właściwie to ten wielki tupot nóg mógł wyglądać jak bunt. Czterdzieści ciał, a osiemdziesiąt rozgrzewających się rąk i stukających nóg wytworzyło jako taką temperaturę w wagonie. Powoli robiło się ciepło i było już całkiem znośnie.

Na krótko przed odjazdem do każdego wagonu Litwini zaczęli dostarczać wszystkim zadrukowane kartki. Dostałem i ja. Poza Pogonią, godłem litewskim, i symbolem czerwonego krzyża, druk oznajmiał, że osoba wyjeżdżająca dobrowolnie zgadza się na wyjazd z Litwy. Kartki podpisaaliśmy, lokomotywa gwizdnęła i na głodniaka jeszcze po cieniu rozpoczęliśmy nowy rozdział naszej tułaczki.

W godzinach południowych przejechaliśmy granicę litewsko-pruską w miejscowości Virbalis. Tu nastąpiło przekazanie nas Niemcom. Większość z nas dopiero na granicy zetknęła się pierwszy raz z żołnierzami niemieckimi. Byli też i tacy, którzy już mieli z nimi do czynienia na froncie, ale ci ze wschodnich garnizonów, zobaczyli ich dopiero tutaj. Belek, Zdzisiek i ja widzieliśmy Niemców w charakterze jeńców w Białymstoku wtedy, gdy odwiedziliśmy brata Felka. Ci, co teraz przejmowali nas od Litwinów, nie byli pierwszej młodości, mieli po 40, 50 lat. Tu nie było frontu i Litwa im nie zagrażała. Umundurowani schludnie, prezentowali się dobrze, zwłaszcza w saperkach. Ich mundury różniły się kolorem i krojem od naszego, ale uzbrojenie było podobne do naszego, karabiny mauzery, ładownice, bagnety, chlebaki były nie lepsze od naszych. Inne są to mieli orkneasy, bo te i z dala były też widoczne.

Szybko przeliczono nas bez wychodzenia z wagonów i znótak, jak w przypadku Litwinów, co drugi żołnierz niemiecki mówił po polsku, a może po mazursku? Widać było sprawną organizację i szybkość w wykonywaniu rozkazów. Bawiło nas trochę śmieszne na pierwszy rzut oka, nadmierne trzaskanie obcasami - i zbyt głośne powtarzanie przez żołnierzy rozkazów. Ale takie były ich zwyczaje. Wkrótce mieliśmy się przekonać, że to ryczenie przy każdej okazji było cechą narodu Niemców.

Na razie obchodzili się z nami dobrze, nie było jeszcze popychań i poszturchiwań, czy też bicia. Głodni ruszyliśmy dalej do Prus Wschodnich. W naszej miejscowości ^{Kawa} Fumbingen, już na terenie Prus, dostaliśmy pierwsze po 24 godzinach pożywienie - chleb i kawa. Nie było tego za dużo. Jak zaraz głoszą fama, była z żołędzi, ale najważniejsze, że rozgrzała nas swoim ciepłem. O dwunastej w nocy wysiedliśmy na stacji Stabile pod miejscowością Deutsche Eilau /Niemiecka Iżawa/. Od momentu wyjścia z wagonu rozpoczęły się już niemieckie, a raczej obozowe, porządki. Ustawiono nas w piatki, a nie w czwórki, gdyż tak naszym "obecnym panom" było wygodniej liczyć. Krzyczeli przy tym i wydawali dziesiątki gardłowych rozkazów. Tesknie spojrzeliśmy ostatni raz na litewskie wagony, na czystą, malutką stację, na otaczający nas zewsząd las i jakby w przeczuciu, że to ostatnie chwile przed drutami, które znów otoczą nas na długo, pomaszczaliśmy "do domu". Nie było orkiestry, nie było widowni, tylko znów konwojenci z bagnietami na karabinach, tyle że tym razem Niemcy.

Po pięciu kilometrach marszu zobaczyliśmy już z daleka las baraków i ogrodzenia z drutu kolczastego. To był nasz "dom", cztery rzędy drutów, między którymi chodził wartownik

- Niemiec w hełmie. Za nimi baraki obozu jenieckiego Stalag IA /Stammlager IA/ czyli po polsku obóz jeńców dla żołnierzy i podoficerów. Trzymaliśmy się prawie kurczowo rękoma jak małe dzieci. Może nie bałiśmy się, ale ta masa obozowa robiła odstrasżające wrażenie. Po krótkich formalnościach, liczeniu, przekraczaliśmy piątkami bramę obozu. Prowadzono nas dalej do, oddzielonych drutami od reszty obozu, dwóch lub trzech nowych baraków. Baraki były czyste i puste. Nie było w nich nic, oprócz drewnianej podłogi. Tu znów dzielono nas na dziesiątki i wpuszczano do baraku. W drzwiach każdy otrzymał dwa czyste koce i aluminiową miskę. Każda dziesiątka zajmowała swoją część podłogi. Po chwili, zdjawszy tylko buty, w mundurach kładliśmy się na podłogę spać. Podłoga to dla nas nie pierwszorzędna, lepsze to aniżeli lodowaty beton. Do takiej filozofii doszliśmy po wypróbowaniu dziesiątków podłóg drewnianych, betonowych, klepisk, ściernisk i trawy. Po chwili w baraku panowała już cisza, a raczej jedno głośne chrapanie umęczonego i głodnego wojska. Tak rozpoczęliśmy pierwszy dzień pobytu w Stalagu I z 19 na 20 marca 1940 roku.

Od rana panował ruch obozowy. Podzielone dziesiątki wybrały swoich drużynowych. W naszej wybrano mnie. Byli w niej sami nasi, lubliniacy, z wyjątkiem jednego, starszego już, strzelca z Pomorza - Piotra lub, jak on sam się nazywał, Petera Szymczaka. Do baraku wkroczył jakiś starszy wiekiem Geireiter /starszy strzelec/. Nieduży, ale już od drzwi było go słychać. Ciało marne, ale za to głos mocny. Ten dopiero ryczał i trząsał kopytami przed każdą władzą. Nie mieliśmy problemów z porozumieniem się z Niemcami, jako że język znaliśmy jedynie z gimnazjum. Geireiter przedstawił

sie nam jako szef tego baraku oraz dodał, że za jego rządów musi być i będzie "Ordnung". Ordnung muss sein" /musi być porządek/ powtarzał co drugie zdanie. Na razie bardzo nas to śmieszyło, gdyż nie znaleźliśmy jeszcze słownego znaczenia tego sloganu i zbrodniczej interpretacji tego słowa.

Okazało się, że nasze oddzielone baraki służyły za miejsce kwarantanny dla świeżo przybyłych do obozu jeńców polskich. Nie mieliśmy żadnej łączności i kontaktu z właściwym obozem.

Podjechała kuchnia polowa ze śniadaniem. Każdy dostał chochlę czarnej gorzkiej, już nam znanej, kawy, bochenek chleba na piaciu oraz nieznamy dla nas dotąd kawałek sera. Głodne to było śniadanie, bo 200 gramów chleba, to nie dla wygłodzonego organizmu. Trociniasty, żylasty, zakalcowaty i poszedł szybko. O zgrozo! Dopiero po zjedzeniu go dowiedzieliśmy się, że to była porcja na cały dzień. Na Litwie, porządny, półtorakilogramowy bochenek chleba mieliśmy na dwóch. Co do sera, to był to topiony produkt z chudego mleka. Niemcy stosowali substytuty. Artykuły zastępcze znane wśród nich jako "Ersatz", ale za to za kieszonkowe z zaszczędzonego masła budowali pancerniki.

Obsługa kuchni, zresztą jak całego obozu, była wyłącznie polska złożona z żołnierzy, podoficerów i podchorążych wziętych do niewoli we wrześniu i październiku 1939 roku. Przeważnie walczyli oni w jednostkach na Froncie Północnym. Nasze baraki nie posiadały kuchni i pożywienie było dowożone z głównego obozu. Jedyny kontakt ze światem zewnętrznym mieliśmy przez jeńców polskich i niemieckich wartowników, tak zwanych wachmanów. Od jeńców dopiero dowiedzieliśmy się coś niecoś o życiu obozowym. Uważali nas za arystokrację,

która dotąd urlopowwała sobie w dobrobycie na Litwie. Później przekonaliśmy się, że może dobrobyt to nie był, ale zawsze na pewno lepiej niż w Stalagu, zwłaszcza z żywnością. Na nasze zapytania o wyjazd do domów, jeńcy śmieli się i kręcili kółka na czole. I ten prosty sposób skończył się nasz sen o domu.

Po śniadaniu zaczął się ruch. Próbowano nas wciągnąć do obozowej społeczności. Najpierw przeprowadzono rewizje niedozwolonych rzeczy przywiezionych przez nas z Litwy. Na stoły trzeba było wyrzucić wszystko, nawet z kieszeni. Zabrano wszystkie złotówki, jakoby do depozytu. To samo stało się z większymi nożami. Szukano materiałów wojennych, jak również jakichś niedozwolonych druków. Mnie zabrano okładki do pamiętnika, które zrobiłem z miski aluminiowej, chyba dlatego, że na czółkowej okładzinie był wyryty żołnierz polski w polskim hełmie i z karabinem w ręku.

Następnie była tak zwana "szwanz parada", powszechna we wszystkich armiach świata, w czasie której starano się wyłowić chorych na choroby weneryczne oraz Żydów! Przed myciem w korytarzu ostrzyżono nam wszystko, co wyglądało na włosy. Nasi jeńcy robili to ze stoickim spokojem. Następnym zabiegiem była dezynfekcja. Na końcu dopiero była kąpiel. Tam dano nam po kawałku podobnego do gliny mydła. To był następny "Ersatz". Z pryszniców leciła letnia woda, a ciało piekło od tej mazi w którą zamieniano się mydło. Ale zawsze było. Wszystko to odbywało się w głównym obozie, bo, jak mówiłem, w naszym, poza pustymi barakami, nie było nic. Wróciliśmy do naszego baraku bardzo wyczerpani, ale w zasadzie zadowoleni, bo kąpiel, nawet najgorsza, zawsze sprawiała zadowolenie.

W naszym podobozie czekała nas sterta czystej skóry. Każda drużyna brała tyle, ile potrzebowała, i robiła sobie legowisko. Po zaścieleniu poskłada kocami, mimo że były na podkocze, poczuliśmy się lepiej i głód dał znać o sobie.

W południe zajęła kuchnia z obiadem. Ustawiliśmy się w kolejke, a kucharz duża chochlą nalewał zupę do misek. Pierwsi wzięli swoją porcję i odeszli próbując po drodze. Zamiast wyrazu zadowolenia, wykazywali obrzydzenie, a niektórzy wręcz wylewali tę pierwszą obozową zupę na ziemię. Ni stąd ni zowąd znalazł się nasz Gefreiter. Krzyczał i wymyślał raz po mazursku, to znów po niemiecku i zaczął okładać pięściami tych, którzy zupę wyleli. Po raz pierwszy zobaczyliśmy niemiecki Ordnung. Nasu pouciekali do baraków, on za nimi, a kucharz dalej nalewał tym, co nadstawiali miski. Kolejka nagle bardzo się zmniejszyła. Kucharz zaczął pogadywać "jesce nie wita, co to jest Stalag, jescze nie wita, co to jest głód, jescze bedzieta te rozlana na ziemi zupę zbierać łyskami". Ponieważ mówił to nie ze złości, a raczej ze smutkiem, tak poważnie po chłopsku i z chłopską filozofią życiową, słuchaliśmy go z nabożeństwem. Podszedłem i ja, nalał mi pełną miszkę. Spojrzałem na tę zupinę. Coś szarego, brudnego, bez jakiegokolwiek wyglądu. Ani kawałeczka nawet najdrobniejszego mięsa, ani oczka tłuszczu, ani kartofelka. Po wierzchu pływało trochę obierzyn z kartofli, to było to, co miało odgrywać rolę suszonych ziemniaków. Po zagarnięciu łyżką można było wyłowić kawałeczki brukwi lub buraków. To była słynna stalagowa zupa z brukwi. Spróbowałem trochę płynu. Niestety, nie miało to żadnego smaku, a śmierdziało jak prawdziwa świńska bryła, tyle że rzadka. Mimo całego obrzydzenia zjadłem trochę. Nie było tego dnia zbyt

wielu takich, co ja jedli. Okazało się, że pierwsza zupa była najgorsza. Następne były trochę lepsze, zwłaszcza gdy wyłowisko się z nich kawałeczek ziemniaka. Ale ten smak przyszedł dopiero później razem z głodem. Chyba nie jakoś, a głód zmienił nasz pogląd na te zupy.

Wieczorem przywieziono znów tę czarną lurę, niby kawa bez kawałeczka chleba, tak że jeśli ktoś, a takich była większość, zjadł rano cały przydział, a nie miał już nic z Litwy, to pochłepał tej czarnej lury i to było wszystko. Na początku ratowały nas zapasy z Litwy. Kto miał to jadł. Ja miałem pudko marmolady, bochenek chleba i kawałek słoniny. Trzeba było się podzielić z niejednym, zwłaszcza tą marmoladą. Gdy zapasy się skończyły, zrobiko się chłodno i głodno. Jeszcze gorzej mieli ci, co palili papierosy. Oni byli bardziej głodni, bo często wymieniali chleb na tytoń i papierosy. Ja, na szczęście, nie paliłem.

Dni pływały. Na razie, w czasie tej kwarantanny, nie brano nas do żadnej roboty, poza sprzątaniem rejonu. Panowała tam idealna czystość. Zaczęto nas szczepić. Stosowano końskie dawki i końskie metody, mimo że wykonywali szczepienia nasi podchorążowie z sanitarki. Spreparowano jakąś mieszaninę złożoną bodajże z pięciu szczepionek, a strzykawka była rozmiarów butelki po setce wódki. Staliśmy w kolejce a podchorąży ze stoickim spokojem brał strzykawkę, wciągał mieszaninę z jakiejś bałki i obejmując z konieczności każdą rękę, wbijał ją delikwentowi pod łopatkę. Patrzyłem się na swojego poprzecznika w kolejce i widziałem, jak podchorąży mocował się z tą igłą, która nie chciała wchodzić w skórę. Wreszcie wbił ją. Kacianek tłoczył i na plecach szczepionego, na moich oczach wyrósł garb wielkości

sporej gruszki. Zawsze bałem się zastrzyków, dostałem więc
gesiej skórki, ale przyszła kolej i na mnie. Sanitariusz
zdezynfekował skórę, a podchorąży wbił te maczuga w moje pl
cy. Trochę jęknąłem, ale już po krzyku. Ubraliśmy się i
wyszliśmy. Idąc wolno do baraków między drutami widziałem
nie, jak zwykle jednego tylko dwóch wartowników. Nagle ja-
kiś niemiecki oficer na koniu wyjechał prosto na mnie, ale
mnie już było wszystko jedno, żołnierz czy dwóch, jeden o-
ficer czy dwa konie, bez różnicy. Powłócząc nogami, dopadłem
do baraku. Tu panowała cisza, nikt nie chodził po baraku,
nikt nie rozmawiał, kto przyszedł po zastrzyku, leżał pra-
wie nieżywy na swoim posłaniu. Pomór, czy też osłabienie po
tym końskim zastrzyku i tych wielu głodnych dniach?

W południe zajechała kuchnia z zupą. Może kto po nią
wyszedł dzisiaj. Dopiero wieczorem wszyscy wylegli gromad-
nie. Pić, pić i jeszcze raz pić! Na szczęście, rano wszyscy
poczuliśmy się lepiej. Oglądaliśmy sobie nawzajem plecy.
"Gruchy" już nie było, ale ślad po tej topej igle był jesz-
cze długo widoczny.

Koledzy napisali zbiorczy list z adresami naszych ro-
dziców i naszymi nazwiskami. Poszedł on szmuglem przez na-
szych kucharzy od kuchni polowej, oczywiście za dobrą opłatą.
Byli tego warci. List doszedł.

24.III.40, niedziela - Wielkanoc, pierwsza w Prusach. Dosta-
liśmy cukier od Brazylijskiego Czer-
wonego Krzyża.

5.IV.40, piątek - Otrzymałyśmy pierwsze kartki pocztowe
z komendy obozu, tzw. Kriegsgefange-
nenpost /poczta jeńców wojennych. Pr
nosimy się na pryce.

7.IV.40, niedziela - Msza Św.

Mineło zaledwie kilka dni od wyjazdu z Litwy, a nam już z głodu zaczęły opadać spodnie. Nikt nie wylewał tej wstretnej zupy, lecz cierpliwie stał w kolejce, a potem szybkim i łapczywie zjadał. Jeden chleb był jednego dnia na pięciu, a drugiego na czterech. Kównało się to porcji 200 lub 250 gramów na jednego człowieka na cały dzień. Większość z nas zjadała cały ten kawałek rano z kawą i miała na cały dzień uczucie względnej sytości. Do chleba dawano na zmianę różne "frykasy", na które w normalnym czasie nikt nie spojrziałby, a więc ser topiony, margaryna, nieznana w Polsce, a także kiełbasę, nazywaną przez nich Metwurst, a przez Poznaniaków i Ślązaków metką. Było tego 2 lub 3 dekagramy na osobę. Powstał dziwny ceremoniał dzielenia chleba i tych dodatków, aby było jak najbardziej sprawiedliwie. Cała drużyna brała w tym udział, a po dzieleniu każdego prowiantu odbywało się losowanie każdej porcji, wszystko po to, aby było bezstronnie i sprawiedliwie. Oczywiście, ten ceremoniał powstał nie od razu, lecz powoli, w miarę kończenia się zapasów z Litwy. Ze smutkiem patrzyłem na puste pudło po marmoladzie, a jeszcze smetniej wybierałem z chlebaka ostatnie okruchy litewskiego chleba.

Nawet nie spostrzegliśmy się, jak 24 marca 1940 roku przyszła Wielkanoc - pierwsza na tułaczce. Nie było dzwonów rezurekcyjnych, nie było pisanek. Do brukwi dodano jedynie trochę kaszy, a chleb był nadprogramowo na osterech. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że u Niemców Wielkanoc, a raczej Wielki Piątek tak zwany Karfreitag był największym świętem w roku, stąd też nadzwyczajne polepszenie pożywienia w tym dniu. Po obiedzie rozeszła się pogłoska, że dostaniemy w podarunku od Brazylijskiego Czerwonego Krzyża cukier. Rzeczy-

wiście podwieszono pod barak worek i zaczęto wydawać po pół kilograma na głowę, a raczej po półtora litrowego garnka. Był to cukier ciemny, mokry i bardzo miękki, ale jak gdyby słodszy od naszego. Z pewnością nasz wygłodzony organizm potrzebował go, a usta chwaliły. Jedliśmy go powolutku z namaszczaniem i przysięgaliśmy każdorazowo, że weźmiemy na raz tylko jedną, jedyną łyżkę dziennie, bo przecież musiał on wystarczyć na długo. Oczywiście z tych przyrzeczeń nic nie wyszło. Po paru dniach u każdego z nas zostało po nim już tylko wspomnienie, ale za to dobre.

Znów nowina! Każdy z nas otrzymał kartkę pocztowo-
-obozową, Kriegsgefangenenpost /poczta jeńców wojennych/.
Zaraz wzięliśmy się więc do pisania. Jedna strona kartki była cała zadrukowana z wolnym miejscem na adres i adresata, a na drugiej zaś kilka linijek na tekst tyle tylko, żeby się zmieściło, że żyje i jestem zdrow. Napisałem zaraz do domu tych parę oklepanych zdań, bo co można na takiej karcie więcej napisać? Było kilka kartek więcej. Zrobiliśmy losowanie i jednym z tych szczęśliwców, którzy ją wylosowali, byłem ja. Wysłałem ją do Ireny. Chodziły plotki o naszym wyjeździe do innego obozu, który miał być obozem rozdzielczym, a stamtąd do domu.

Dni mijały ciągle tak samo. Rano sprzątaaliśmy barak bardzo dokładnie, co do słomki. Potem dyżurna drużyna sprzątała plac koło swojego baraku i to wszystko. Całymi dniami graliśmy w kierki lub brydża. Z braku innych zajęć stale myśleliśmy o jedzeniu. Obaj z Felkiem zostawialiśmy jak najwięcej zapasów na kolację, możliwie dużo chleba i cały dodatek margarynowo-mięsny. Wieczorem zjadaliśmy wszystko, popijając obficie kawą i w ten sposób oszukując żołądek.

Na szczęście, kawy można było dostać trochę więcej.

Znów byliśmy na zastrzyku, ale, na szczęście, nie było już takich niespodzianek, jak poprzednio. Przy okazji przyjrzałem się lepiej drutom, aby wyjaśnić sobie, jak oficer mógł jechać konno pomiędzy drutami i ilu było tych wachmanów. Doszedłem do wniosku, że musiałem być w silnym szoku po tantym pierwszym zastrzyku, jeśli widziałem dwóch wartowników. Było bowiem dwa rzędy drutów wysokości około metrów, a wąską alejką pomiędzy tymi płotami chodził tylko jeden wartownik.

Wyjaśniła się sprawa wyjazdu do ~~XXXXXX~~ innego obozu i do domu. Znów okazało się, że to iluzja. Ogłoszono tylko, że można na ochotnika zapisywać się na roboty. Najpierw zahuczało w baraku od tego oszustwa, a potem zaczęły odbywać się "środowiskowe narady" - co robić? Co będzie, jeśli się ktoś nie zapisze? A co jeśli się zapisze? Ci, co się nie zapiszą, chyba zostaną w obozie, przecież ich nie rozstrzelają. Ci, co wyjadą na roboty, to z pewnością będą mieli trochę więcej jedzenia. Większość wyraziła zdanie, że trzeba zapisać się na roboty. Poza drutami zawsze będzie lżej i ujawnią się inne możliwości. Zapisy rozpoczęto 2 kwietnia. Zapisała się cała nasza grupa, a nawet cały barak, wszyscy, oczywiście, "na ochotnika". Wpisałem się i ja, jako pomocnik ślusarza. Większość z nas zgłosiła się do robót. Powrót do Lublina oddał się. Może z tych robót będzie można swobodnie pisać, a może będzie jakiś krótki urlop? Z tymi myślami podejmowaliśmy te decyzje.

Śnieg już znikł całkowicie, a w południe tak przygrzewało słońce, że można było zdjąć płaszcze. Oblepialiśmy barak od strony słonecznej, jak muchy jesieni ogrzany komin. Wszyscy blade i wszyscy apatyczni. Nie mogliśmy nawet zzyb-

ko chodzić ani szybko powstawać z powodu zawrotów głowy. Po-
dejrzewaliśmy, że Niemcy specjalnie dawali nam tak chudą zu-
pe, aby nas złamać. To samo zauważyli nasi jeńcy z obsługi.

Tędnego dnia do drutów przywołażmnie wachsmann i spytał
"Willst du Brot haben" /chcesz mieć chleb/ "Naturalich gern"
/naturalnie chętnie/ - odpowiedziałem szybko. "So bringe mi
eine gute Lederbrieftasche, aber schnell /to przynieś mi
porządny skórzany portfel, ale szybko/- i pokaż pól bo-
chenka chleba. Bóbiegłem szybko do baraku, a po drodze myśla-
łem, ile wziąć chleba, bo rzeczywiście miałem porządny
portfel z kozłowej skórki. Szybko rozeszża się po baraku
wiadomość o tym handlu. Wyrzuciłem wszystko z portfela na
koc. Koledzy radzili, abym zażądał cztery bochenki. Biegłem
już z powrotem. Niemiec stał dalej przy drutach. Chleb miał
schowany w chlebaku. Zażądałem cztery bochenki, dał mi dwa
i pól, zgodziłem się. Podałem mu przez druty portfel, a on
dał mi chleb. Reszta miał przynieść jutro o tej samej po-
rze. Szybko odskoczyliśmy obydwa od drutów. Wracałem do
baraku jako tryumfator. Podzieliłem się z najbliższymi tym
dodatkowym chlebem. Chociaż porządnie suchy, smakował jak
pączki od Semadinięgo.

Niemcy byli bardzo łasi na wszystko, co było ze skó-
ry i zaraz dodawali "Echt Leder", czyli prawdziwa skóra.
Oczywiście, nie wiedzieliśmy, że całe Niemcy były zalane
artykułami zastępczymi. O maśle, margarynie, serze mieliśmy
się możliwość przekonać, o innych dowiedzieliśmy się później.

Rebba! Przywieziono prycze i sienniki. Po południu
nasi jeńcy rozpoczęli montaż prycze, a my napeżnialiśmy się
niki skona. Nie obyło się bez kłótni, a nawet bójek o miej-
sca. Jedni chcieli na dole /prycze były piętrowe/, bo wy-

godniej, ale za to łatwiej można podpaść za "porządek" na prycezy. Inni znów pobali się na górę, bo tam niżej, można czytać wieczorem, trudniej o kontrolę. W naszej grupie nie było kłótni. Zrobiliśmy losowanie, a dopasowanie sąsiadów z prawej, czy lewej strony, zostawiliśmy każdemu indywidualnie.

Przy pierwszym hałasie wpadł do baraku nasz Gefreiter /szef/. Wyzywał i potraçał ludzi. Jak się okazało, był to zniemczony Mazur, który bardzo dobrze władał dialektem mazurskim. Któregoś dnia pokazał nam mleczne kłosze do lamp i powiedział "wita, to je z mlika, to zrobił nasz Führer", albo "Te baraki widzita, to robi eine Fabrike, tu robi się tylko montaż, jedna Stunda /godzina/ jedna barake, to też zrobił nasz "Führer". Tak wyglądało oddanie tego człowieka sprawie niemieckiej i bezkrytyczna ufność w to, co mu wpoje no. Co do tego ostatniego, to nie mieliśmy żadnych wątpliwości.

Przez kilka dni chodziłem pod druty, ani nie spotkałem Niemca, ani nie zobaczyłem reszty chleba. Drań po prostu mnie oszukał. Felek miał większe szczęście. Za swoją piękna portmonetkę dostał od wachmanna prawie połowę chleba i też przez druty. Zaraz zresztą podzielił się ze mną.

W niedziele byliśmy na Mszy Św. W jednym z baraków w naszej części obozu zrobiono kaplicę i dlatego uczestniczyliśmy w jej otwarciu. Msza nie zrobiła na nas wrażenia, liturgia wprawdzie była ta sama, katolicka i po łacinie tak jak i u nas, to jednak wyczuwało się różnicę w akcencie i nawet my "łacinicy" mało z niej rozumieliśmy. Ewangelie czytano, oczywiście, po niemiecku, nawet bez mazurskiego akcentu. Przyrzekliśmy sobie, że więcej tu nie przyjedziemy.

Nówiono, że mymy wyjechać około 15 kwietnia. Gefreite przynajmniej raz powiedział, że nie jedziemy do żadnego domu, ale na roboty. *

W międzyczasie dostaliśmy gazety obozowe, drukowane w języku polskim. Z ogromną ciekawością rzuciliśmy się na nie, ale szybko okazało się, że było to ~~ta~~ sama niemiecka propaganda, chociaż znajdowali się i tacy, zwłaszcza ze starszej generacji, którzy zaczęli wierzyć w truizmy Niemców.

Felek znowu handlował z wachmannem przez druty. Tym razem sprzedał kożuszek kupiony na Litwie. Dostał za niego paczkę tytoniu oraz trzy bochenki chleba. Nauczeni moim doświadczeniem, teraz twardo stawialiśmy wachmannowi warunek, że od razu musi dać wszystko, inaczej nie będzie handlu. Jego kolega, mając w tym czasie wartę, obojętnie patrzył na tę krzątaninę przy drutach. Po pierwsze dlatego, że sam handlował, po drugie obaj wachmani nie byli już pierwszej młodości a po trzecie nasz podobóz był na innych warunkach, aniżeli pozostałe pola obozowe.

- 22.IV.40, poniedziałek - Dziś o godz. 7⁰⁰ rano odjechała pierwsza grupa na roboty
- 23.IV.40, wtorek - Pożegnałem się z kolegami, wyjeżdżam na roboty na wieś, mamy jechać do Rastenburga /dzisiaj Kętrzyn/.
- 28.IV.40, niedziela - Jestem we wsi Dombenhen /dzisiaj Debowo/ u gospodarza Artura Petera. Jesteśmy w tej samej wsi z Mietkiem Krakowińskim. Razem z nami przyjechało jeszcze kilku Litwinów.

Nagle wynikła sprawa Volksdeutschów. Nie słyszeliśmy jeszcze o czymś takim, zwłaszcza że wszyscy ubrani byliśmy w jednakowe mundury i czapki z orzeźkiem - a jednak! Okazało się, że władze niemieckie pilnie wyszukiwały wszędzie swoich krewniaków. Przez cały czas pobytu nie wiedzieliśmy, aby odbywały się jakieś publiczne zebrania na ten temat, ale widocznie Gefreiter i władza obozowa czuwali nad tym. Ni stąd ni zowąd na rannym apelu Gefreiter wyczytał kilka nazwisk osób z naszego baraku, które były Volksdeutscheami. Dostali oni polecenie zabrania swoich rzeczy i ustawienia się przed barakiem do wymarszu. Dokąd? Nie wiedzieliśmy, ale na pewno nie na roboty. Zaraz po apelu zrobił się ruch i wszyscy wylegli oglądać tę przeprowadzkę. Na ironię między czysto niemieckimi nazwiskami były i takie jak Polok, Poloczek. Z dwóch baraków zebrało się ich około dziesięciu. Stali ze spuszczoneymi głowami jak na cenzurowanym. Gefreiter szwargotał z nimi coś po niemiecku, a potem niemrawo ruszyli dwójkami w kierunku bramy. W obozie zapanowała taka cisza że słychać było ich nierówne kroki i nagle powstał cichutki gwizd przez zaciśnięte zęby i usta. Nikt nie mógł zauważyć, aby ktoś gwizdał, a świst już mocno unosił się nad Volksdeutscheami. Pochylili głowy jeszcze niżej, jeszcze mniej równy stał się ich krok. Gefreiter odwrócił się, jakby zamierzał biec uciszyć ten gwizd, ale widocznie zrezygnował, bo tylko pogroził nam po zbójceku ręką. Wkrótce zniknęły w bramie podobozu. Wtedy wszyscy odzyskali głos i rozległ się jeden potężny śmiech, śmiech zwycięstwa nad tą garstką Volksdeutschów i Gefreiterem. Zastanawialiśmy się, co zrobią z orzeźkami, które mieli jeszcze na czapkach? Zostawią na pamiętkę, czy też będą pluli na nie? Jakimi byli ludźmi? Nie-

stety, nie mieliśmy jeszcze żadnego doświadczenia w tej sprawie i był to bardzo smutny epizod naszej tułaczki.

Od dwóch dni chodziliśmy już na gimnastykę. Ciepła wiosna wynagradzała nam ciężkie zimne dni, a szczególnie ten 36-kilometrowy marsz w mrozie i śniegu. Po gimnastyce czuliśmy się wprawdzie jeszcze gorzej, ale to z powodu wyczerpania. Gimnastyka połączona była z marszem nackoło baraków lub drobnym biegiem. Po takim wymachiwaniu rękami ledwo chodziliśmy, zwłaszcza że Gefreiter ganiał nas na serio, a my jakoś ambicjonalnie poddawaliśmy się jego rozkazom.

Już od paru dni nadchodziły listy z Lublina, a jeden z nas, "Kamisio", dostał nawet paczkę. W baraku zrobił się ruch. Paczka to paczka! Kamisio poszedł po nią. Nie było go bardzo krótko i wrócił bez paczki. Któryś z nas nie wytrzymał i spytał - gdzie paczka? "Kamisio" wyciągnął ze spodni sześciopak wielkości czterech pudełek zapalek. Dowcipów i śmiechów było co niemiara. Przy nas poprzecinał opakowanie. W środku była kostka słoniny. Dopiero później od starszych jeńców dowiedzieliśmy się, że do obozu mogły przychodzić paczki o wadze nie większej aniżeli 250 gramów. Toteż godziny wysyłały liczne paczki po ćwierć kilo. I tak w jednej była słonina, w drugiej sucha kiełbasa, w trzeciej suchary czy cukier. Rodzina wyszukiwała wśród krewnych i znajomych chętnych do firmowania wysyłek, aby nie nadchodziły stale od jednego nadawcy. W ten sposób ludzie radzili sobie wzajemnie a władza obozowa nie reagowała, bo wielkość paczek była zgodna z ich zarządzeniami.

W sobotę, 20 kwietnia, wyczytano w naszym podobozie pierwszą grupę wyjeżdżającą na roboty. Było to 460 żołnierzy. Z naszej lubelskiej paczki wyczytano tylko "śkiekie"

/Siekierzyński/. Mieli oni wyjechać w poniedziałek z samego rana, a następna grupa - we wtorek.

W poniedziałek, o drugiej po południu, wyjechała już druga grupa. Wyczytano w niej Felka, Heńka Kopcia i Jurka Sankiewicza. Rozdzielili nas z Felkiem. Szkoda! Chciałem na ochotnika jechać z tą grupą, ale nikt nie miał ochoty o tym rozmawiać.

Ta grupa jechała do miasta. Felek chciał na wieś, a pojechał do miasta.

Wreszcie wyczytano i mnie. Grupa nasza miała wyjechać następnego dnia rano. W obozie zostali jeszcze: Naduża, Dziedek Lasocki, "Puchała", "Schab" oraz Misztal. My mieliśmy jechać do Rastenburga. Nie wiedzieliśmy nawet, gdzie to jest.

Dnia 23 kwietnia we wtorek, o szóstej rano nastąpił wyjazd.

Zegnaliśmy się ze żkami w oczach. Przeżyliśmy już razem coś niecoś. Wojna nasza może nie była taka, jak na polskim zachodnim froncie, ale też dała nam w kość. Nagrodowaliśmy się i namarziliśmy razem już dosyć.

W południe wyładowano nas z wagonów, gdzieś na bocznym torze, już na stacji w Rastenburgu. Przed wagonami zebrała się długa kolumna naszych żołnierzy. Zewsząd, jak psy, posse szczekiwali wartownicy z gotowymi do strzaku karabinami. Po normalnym przeliczeniu, ustawieni w piętki, ruszyliśmy. Wyszliśmy ze stacji. Z przodu naszerował podoficer niemiecki, a przy chodnikach szli konwojenci. Obejrzałem się do tyłu, za nami ciągnęła się długa kolumna licząca około 200 żołnierzy. Trzymaliśmy się razem, to znaczy resztkę lubelskiej grupy: Mietek Krakowiński, "Kandzio", "Pasztet", "Sender" i ja. Było południe. Roteż na chodnikach stało pełno gapiów.

Drwili z nas, a czasami nawet niejeden kandydat na SS-mana, taki dwunasto- lub czternaścioletek, rzucił w kolumnę kamieniem. Nie zwracaliśmy na to uwagi, tym bardziej wyrównaliśmy krok i mocniej stukaliśmy podkówkami o bruk. "Praydzie i na was kolej" - mrucał niejeden z nas.

Wyszliśmy na przedmieście do hali sportowej. Tutaj mieliśmy być rozdzieleni pomiędzy gospodarzy, którzy już czekali na siłę roboczą. Po kolei ustawiano nas pod ścianą i fotografowano. Do ręki dostaliśmy czarną tablicę z wypisaną kredą cyfrą. Tablicę tę trzeba było trzymać na piersi w chwili robienia zdjęcia. Następnie po kolei, bezwzględnie w tym samym porządku, jak do zdjęcia, podchodziliśmy do stołu, dla spisania danych personalnych.

Poza danymi personalnymi pytano tylko o znajomość języka niemieckiego. Oczywiście, podałem, że znam język. Wreszcie puszczono nas swobodnie na halę. Po dłuższym czasie weszła poprzednia komisja i rozłożyła na stolikach dokumenty. Za nią stał tłum niemieckich cywilów. Że byli to Niemcy, widać było od razu po ubraniu. Takich ubrań, czapek, a zwłaszcza butów z cholewami, u nas nikt nie nosił. Od kolana do kostki cała okrągła cholewka sztywna. W okolicy kostki ta sztywność się kończyła i zaczynała się miękka część buta. Wyglądało to tak, jak gdyby na trzewiki ktoś nałożył czarną rurę. Spodnie też były śmieszne. Ponad tą sztywną cholewą występowały ogromne bufy jak skrzydła od fartki. Po twarzach poznaliśmy że to chłopci. Byli dostatecznie i prosto ubrani, a twarze mieli czerstwe.

Handel nami szedł szybko i był dobrze zorganizowany. Jeden z przedstawicieli komisji miał listę kupców czyli chłopców niemieckich i wyczytywał z niej nazwiska. Wyczytany chłopiec podchodził do stołu. W tym momencie drugi jego kolega z komisji

brał z kupki coś w rodzaju okładek od zeszytu, a przyklejona fotografia jeńca i czytał jego nazwisko. Jeniec podchodził do stolika, dostawał te wkładki ze swoją fotografią, a członek komisji kierował jeńca w stronę tegoż chłopa, najczęściej ze słowami: "bitre, das ist Ihr Mann" /proszę, to jest pański człowiek/. Czasami coś jeszcze zdawkowo dodał, a to, że jeniec pochodzi ze wsi, albo, że rozumie po niemiecku.

Mnie wyczytali gdzieś w środku tego widowiska. Przydzielono mnie do rolnika Artura Petera do wsi Dombekmen. Wyczytany gospodarz podszedł do stolika. Był niski, około pięćdziesiątki. Nóżki w tych sztylpach, brzuszek na przodzie, a wasiki a la Hitler. Wyglądał poczoiwie. Przedstawiciel Arbeitssamtu wręczył mi moje okładki i dodał w kierunku mojego rolnika, że powinien być zadowolony, gdyż dostał zdrowego dwudziestoletniego robotnika, który dodatkowo zna język niemiecki. Ten po swojemu skrzywił usteczka, co miało wyrażać uśmiech zadowolenia, i coś tam podpisał. Wyszliśmy z hali. Spojrzawszy na te moje okładki, na naszelnym miejscu figurowała moja przyklejona, a robiona w hali fotografia, takiego chudego aresztanta z numerem na piersi. To miałem być ja, oczywiście, "uroku" dodawały ostrzyżone na pałę włosy. Ta okładka to był dowód osobisty robotnika rolnego. W środku były kartki na zakup manufaktury, to jest koszuli, bielizny oraz płócienny romb, gdzie na żółtym tle była wydrukowana duża litera "P". To płótno z tą literą "P" miałem odtąd mieć przyszyte na piersi i chodzić stale z tym znaczkiem, gdyż w przeciwnym razie będę ukarany, aż do osadzenia w obozie koncentracyjnym włącznie. Nie wolno mi odtąd oddalać się od wsi, do której zostałem skierowany, nie wolno zadawać się cieleśnie z Niemcami, bo za to groziła już kara śmierci. Nie wolno organizo-

wać zgromadzeń, nie wolno organizować się w żadne związki. Trzeba pilnie pracować ku zadowoleniu pracodawcy, czyli chłopca, do którego zostałem przydzielony. Wtedy będę dobrze traktowany, dobrze żywiony, a w nagrodę dostanę 21 marek miesięcznie.

To wszystko oczywiście powiedział nam w tej sali jeden z przedstawicieli Arbeitsamtu, który po każdym mocniejszym mocniejszym wykrzykniku uśmiechał się do obecnego na sali umundurowanego policjanta, a ten odwzajemniał mu się podobnym, pełnym zrozumienia uśmiechem.

Wyszliśmy z Peterem na plac przed halą. Stało tu pełno zaprzęgów końskich. Gospodarz wyjął z kieszeni kurtki dużą podwójną kanapkę i podał mi. Chleb był posmarowany z kiełbasą w środku. Jadłem zapętytem, rozglądając się dokoła. Po chwili Peter wyjaśnił, że czekamy na brata, który również przyjechał po robotnika i jednym wozem wrócimy do ich wioski.

Przy innych wozach i bryczkach też stali jeńcy i "kupcy". Jeńcy w większości tak jak i ja, jedli kanapki. W tłumie tym zobaczyłem "Kanisia", "Paszteta" i Polakowskiego. Mietka nie widziałem. Pomachaliśmy sobie rękami i wyjaśniliśmy sobie, że będziemy gdzieś niedaleko siebie. Wkrótce przyszedł brat mojego gospodarza i przyprowadził ze sobą nieznanego mi żołnierza. Sądząc z wieku, miał 22 lata, był z młodego rocznika. Po butach, furaczerce i długim płaszczu poznałem, że służył w kawalerii. Pocciwość patrzyła mu z oczu. I on dostał kanapkę, siedliśmy do wozu.

Nie był to klasyczny chłopski wóz, ale taka mała platforma dostawcza. Zraz też dowiedziałem się, że takie używano się do dostaw mleka do mleczarni. Konie wypazione, ciągnęły ostro. Panowie na przódzie, robotnicy z tyłu.

Gospodarz zadał mi kilka pytań, widać było, że bada mój niemiecki. Miałem kłopoty ze zrozumieniem go. Okazało się, o czym dowiedziałem się później, że mówił dialektem, tak zwanym platdeutsch, używanym w Prusach Wschodnich i częściowo na nizinach nadbałtyckich. Różnił się on słownictwem i akcentem, ale te pare prostych słów, niezależnie od dialektu, zawsze były do siebie podobne. Odpowiadałem mu zgrabnie i widać było, że był zadowolony z tego egzaminu.

Mój towarzysz niedzieli, chociaż z poznańskiego, ni w ząb nie rozumiał po niemiecku i był mi wdzięczny, że pomogłem mu się przedstawić.

Dzień był ładny, a droga, choć nie szeroka, dobra. Doganiała nas jakaś bryczka. Gospodarze oglądali się. Spojrzałem i ja, siedział tam Mietek Krakowiński. Okazało się, że przydzielono nas do gospodarzy w tej samej wsi.

Pod wieczór dojechaliśmy do wsi Dombenhnen. Nomen omen pierwszą napotkaną w niej osobą był Polak. Zbliżyliśmy się do pierwszych zabudowań. Jakiś człowiek przechodził drogą i, ni stąd, ni zowąd krzyknął: "co to stójkowych wieziecie tutaj". Miało to być takie pozdrowienie, a jednocześnie aluzja do mojego granatowego, policyjnego płaszcza. Roześmieliśmy się wykrzykując coś z moim towarzyszem na przemian w charakterze odpowiedzi i pozdrowień. Wóz potoczył się dalej. Mietek też gdzieś zniknął.

Skreśliśmy na duże podwórze. Po prawej stronie stał długi parterowy dom mieszkalny, kryty czerwoną dachówką. Po lewej stronie była olbrzymia stodoła z płaskim dachem kryta papą, a naprzeciwko jakiś mały budynek, który okazał się miejscem na parowanie ziemniaków, przy nim psia буда zamykała widok na pole. Była też chlewnia, wczownia i drowutnia, a

na środku podwórza studnia. Chade do niemożliwości psisko ujadalo na kabcuchu za dziesięciu innych. Cały kwadrat podwórza był zabudowany i stwarzał wrażenie jednej całości.

Zeszliśmy z wozu. Brat gospodarza wziął swojego robotnika i poszedł do zabudowań stojących naprzeciwko w identycznym układzie. Ucieszyłem się, że będę miał za sąsiada Polaka i to tak blisko. Zła zabudowań wyszedł jakiś mężczyzna i od razu po ubiorze i po twarzy widać było, że to nie Niemiec. Potwierdził to natychmiast, pozdrawiając odwiecznym: niech będzie pochwalony, dzień dobry. Podaliśmy sobie ręce i zaraz wziął się do wyprzegania koni. Niezrecznie usiłowałem mu pomóc. W ten sposób poznałem drugiego towarzysza niedoli, z którym miałem spędzić następne kilka miesięcy w jednej izbie i na jednym gospodarstwie.

Po umieszczeniu koni w stajni, mój towarzysz zaprowadził mnie na poddasze do mojej samodzielnej izby, czyli szałwy. Stały tam dwa łóżka z pierzynami, mały stolik pod oknem i stołek. Na ścianie wisiał prymitywny wieszak. Był jeszcze nieduży piec kaflowy. Okazało się, że mój nowy kolega Staszek nie śpi u gospodarza, to znaczy na tym drugim łóżku, tylko we wsi. Takich jak on znajdowało się tu dziesięciu. Każdy u innego gospodarza. Byli oni tak zwanymi jeńcami cywilnymi wziętymi do "niewoli" w 1939 roku w czasie wojny polsko-niemieckiej. Pochodzili z jednej wsi w powiecie ciechanowskim. Niemcy po wkroczeniu do Polski po prostu otoczyli wieś i zabrali wszystkich mężczyzn w sile wieku. Pomazali im czerwonym farbą na plecach ubrania i pognali do Prus Wschodnich - na roboty. Po drodze niejedną z nich został zastrzelony jak pies i wrzucony jak zdechłe ścierwo do rowu. Tych, co prze-

x/ Jest to nie fikcyjne, gdyż nie pamiętam jego prawdziwego imienia i nazwiska.

żyli w Prusach z miejsca porządzielano do gospodarzy, którzy byli w wojsku lub na froncie.

Znaczną ich część porozdzielano po majątkach obszar-
niczych. Takich jak on były w Prusach dziesiątki tysięcy.
Niejeden z nich postradał życie przy próbie ucieczki...

W Dombehnen znaleźli się już 15 września 1939 roku, to
znaczy jeszcze na długi czas przed kapitulacją Warszawy i
przed końcem wojny. Z początku byli traktowani jak bydło.
Zakwaterowano ich w jakiejś starej chałupie, krytej jeszcze
skórami, pod strażą wojskową. Rano o piątej wartownicy rozpro-
wadzali ich po gospodarzach do pracy. W ciągu dnia obowiązek
pilnowania ich spoczywał na gospodarzu. Byli tacy, co pilno-
wali ich nawet w ustępach. Wieczorem ci sami wartownicy, już
po kolacji zbierali ich z powrotem do tegoż skomianego aresz-
tu. Z początku spali oni na glinianej podłodze, później gos-
podarze dali im sienniki i pościel. W nocy byli pilnowani
przez wojsko. Stan ten trwał nadal.

Ten, którego jako pierwszego spotkałem na ulicy, też
należał do nich i pracował naprzeciwko, u brata Petera. Zro-
zumiałem, że ten pierwszy spotkany Polak był ich jakimś star-
szym, nazywali go karbowy i zwracali się do niego przez "pan"
Później dowiedziałem się, że istotnie w Polsce był karbowym
a z
w majątku, czytaniem i pisaniem nie było u niego lepiej, a-
niżeli u jego współziomków.

Obecnie nasi "jeńcy cywilni" mieli już znacznie lepiej,
aniżeli na początku. Jedli w kuchni, a niektórzy nawet razem
z gospodarzami. Utrzymywali korespondencje z rodzinami i cze-
kali tylko wiosny.

Wkrótce z dołu usłyszałem wołanie: "Ambrot", co miało
oznaczać "Abendbrot", czyli kolacja. Zeszliśmy na dół. W

kuchni na czystym, przykrytym ceratowym obrusem, stole stała rzeczywiście kolacja i dwa nakrycia, dzbanek czarnej kawy, nie takiej, oczywiście, jak w obozie. Mały dzbanek z mlekiem, kubki i dwa talerzyki. Na talerzykach chyba po sześć kromek chleba posmarowanych masłem i obłożonych jakąś różną wedliną. Takiej kolacji nie widziałem od wyjazdu z domu. Zacząłem szukać możliwości umycia sobie rąk, czym wprawiłem wszystkich, z gospodynią włącznie, w zdumienie. Znalazło się jakieś dziwne mydło, zielonkawe, nie mydlące się, jak gdyby z piasku, ale przyjemnie pachnące, podobne do tego, jakie raz dostaliśmy w Stalagu. Mydliło się jak kamienie wapienne, które często znajdowaliśmy nad Bystrzycą i nazywaliśmy kaczym mydłem. Znalazł się też jakiś ciemny ręcznik. Przy kolacji Staszek objaśnił mi, że trzeba zjadać wszystko i raczej wyrzucić aniżeli zostawić na talerzu, bo jeśli coś zostanie, to na drugi dzień o tyle na talerzu znajdzie mniej. Po kolacji poczułem się znacznie lepiej. Był to pierwszy posiłek tego dnia. Wyszliśmy na dwór. Słońce już zachodziło, a mimo to było ciepło. Staszek czekał na swojego wartownika, aby odprowadził go do wsi. Dziwił się bardzo, że puścili nas od razu spod jego opieki. Wkrótce przyszedł żołnierz niemiecki w pełnym uzbrojeniu tyle, że bez hełmu. Prowadził już kilku podobnych cywilów.

Żołnierz wywołał gospodarza, postawił mnie na baczność głośnym "Hab acht!" i rozpoczął przemowę do mnie.

Z jego gardzkowej gadaniny w dialekcie pruskim, zrozumiałem, że, ponieważ od dziś odpowiada za mnie, zezwala mi na mieszkanie u gospodarza. Wyraziła na to zgodę komendantura obozów jenieckich, a on, we własnej osobie, będzie codziennie sprawdzał moją obecność i zachowanie. Miałem słuchać

gospodarza i dobrze pracować. Po tej całej gadaninie kiwnął na mojego Staszka, ten posłusznie dołączył do grupy, która, chociaż uśmiechała się cały czas życzliwie, to stała cicho. Pomaszerowali w kierunku wsi.

Zostałem po raz pierwszy od tylu miesięcy sam bez kolegów.

Gospodarz pozwolił mi już iść na górę do mojej izby. Dopiero teraz zobaczyłem, że nieduże okno było zakratowane od zewnątrz drutem kolczastym. Wlałem do miednicy wody, umyłem się i wyjąłem z chlebaka swój skromny dobytek. Kleknąłem przy łóżku i pierwszy raz samotny, w ciszy i spokoju, modliłem się długi i z namaszczeniem na intencje mojego nowego etapu życia.

Rano zerwałem się nieprzytomny spod ciepłej pierzyny i uzmysłowiłem sobie, że mój gospodarz z dołu krzyczał już od dobrej chwili: "Tadejas aufstehen! Tadejas aufstehen!" /Tadeusz wstawać/ Zrozumiałem, że to do mnie, chociaż skąd on wytrzesnął tego Tadejasa? Coś odkrzyknąłem mu i bez mycia, ubrałem się szybko i zbiegłem po schodach na dół. Na dwórze był już piękny pogodny dzień. Tak rozpoczął się mój pierwszy dzień pracy.

Po chwili usłyszałem stukot podkutych butów. Wyjrzałem przez drzwi i zdobiałem. Po wybrukowanym podwórzu maszerował żołnierz niemiecki w pełnym uzbrojeniu i prowadził przed sobą cywila. Spojrzałem na cywila. To był Staszek. Ten, zobaczywszy mnie, głośno woła "Mojem", co miało oznaczać "Guten morgen", ale w tym żargonie i on tak mówił jak i jego "chlebodawcy", Staszek wszedł do stajni, powiedział "dzień dobry" i zabrał się do czyszczenia koni. Teraz głos skierował się do mnie: "Kriegsgefangene komm zu mir" /jeniec wojenny, do

mnie/ Wyszedłem. Wachmann znów krzyczał "Still stehen!" /baczność/ Stałem na baczność, a on znów zaczął głośną i groźną przemowę. Kazał mi jeszcze dzisiaj przyszyć do swojego munduru ten żółty znaczek z literą "P", który dostałem w obozie. Zabronił mi opuszczania wsi i zagroził, że jeśli gospodarz będzie się na mnie skarżył, to z powrotem znajdzie się w obozie, gdyż w dalszym ciągu byłem uważany za jeńca wojenny. Stałem jak skamieniały, słuchając tej przemowy. Podobnie oni miały stać mój towarzysz niedoli, a nawet i gospodarze. Nie całkiem zrozumiałem jego dialekt, ale rzucone ciężkie słowa: Stalag, Ordnung, wyraźnie wskazywały, o co mu chodzi. Wreszcie zwolnił mnie i poszedł z gospodarzem na moje poddasze. Tu sprawdził zakratowanie okienka izdebki i kazał gospodarzowi zamknąć drzwi na klucz na noc.

Zanim odszedł kontrolować obecność innych jeńców u innych gospodarzy, kropnął sznapsa z gospodarzem, tak że u następnego jeńca jego przemowa z pewnością była dłuższa, groźniejsza i głośniejsza. Dopiero po nakarmieniu zwierząt i wydojeniu krów mogliśmy zjeść śniadanie. Na stole, podobnie jak przy kolacji, stał talerz z kanapkami i dzbanek białej kawy. Kanapki były posmarowane masłem i obłożone wędliną w dwóch lub trzech gatunkach: kiełbasą, salami, z różnymi salcesonami, a czasami boczkiem. Po tym głodzie w obozie była to istna uczta Lukullusa.

Czekała na nas praca. Staszek wiedział już sam, co ma robić z kołmi. Ja, jako nieprzyuczony miałem być od krów i parobkiem od wszystkiego. Wkrótce gospodarz dokonał podziału pracy. Staszek z kołmi szedł w pole siał owies lub jęczmień, oczywiście razem z gospodarzem. A ja miałem rabać drzewo, a raczej gałęzie. Leżało tego na podwórzu całe sterty, widocznie zostały przywiezione z lasu jeszcze zimą lub

jesienia. Miałem je rąbać na krótkie kawałki i koszem nosić do drewni. Tam leżał odważnik dziesięciokilogramowy z przywiązany grubym sznurem. Naniesiony urobek należało ubijać tym odważnikiem, aby drzewa zmieściło się w szopie jak najwięcej. Od razu widać było dobrą organizację.

Zabrałem się do pracy. Był piękny kwietniowy poranek. Ni stąd ni zowad, zacząłem przyspiewywać sobie Lorelei. Była to piękna pieśń luźowa znad Renu, której nauczył nas nasz nieodżałowany profesor od niemieckiego, Hochfeld.

Zaciekawieni chyba moim śpiewem, a raczej tym, co śpiewałem, wyszli z domu najpierw dwaj chłopcy w wieku 7 i 10 lat, potem jakaś kobieta po trzydziestce, jak się okazało, siostra gospodyni, a w końcu i sama jejmość, która wyglądała raczej na córkę aniżeli na żonę gospodarza.

Ciepły dzień, syty żołądek i poczucie wolności poprawiły znacznie moje samopoczucie. W jakiś czas potem zobaczyłem idącą w moim kierunku gospodynię w białym fartuszkach, w białej chustce, pod którą miała biały karnet. Widocznie taki był tu strój ludowy. Podeszła do mnie z koszykiem w rękę. Były w nim kanapki, dzbanki. Patrzyłem i oczom nie wierzyłem. ~~Były kanapki, dzbanki, patrzyłem i oczom nie wierzyłem.~~ Dostałem talerz kanapek i mały dzbanek kawy. Drugie śniadanie! O czymś takim nawet nie pomyślałem! Podziakowałem i zaraz wziąłem się do jedzenia. Ona zaś poszła do gospodarza i Staszka, z takimi samymi porcjami. Miałem sjeść na świeżym powietrzu. Po śniadaniu gospodarz poszedł z nią oglądać pole, a ja, korzystając z ich nieobecności, skoczyłem do Staszka na pogawędke. Ten jako już otrząskany, zaczął mi wyjawiać dalsze "sekrety". Po pierwsze, nie należało się spieszyć z robotą, po drugie, miałem nie zwracać uwagi na gospodynię, ponieważ ona tu nie rządziła.

Podobnie zresztą nie należało przejmować się wartownikami Krynicy, bo im za to płacą. Staszek radził rozglądać się po wsi i być zawsze gotowym na wszystko. Jeńcy, zgrupowani na noc w jednym miejscu, wieczorami opowiadali sobie wszystko, co przez dzień wydarzyło się we wsi, czego dowiedzieli się o wojnie, wydarzeniach politycznych i gospodarczych. Mimo niezajomości niemieckiego byli zorientowani w sytuacji. Obserwowali wszystko, co działo się wokół nich. Czekali tylko na okazję, ale dokładnie nie było wiadomo, jaka.

Staszek był dorosłym mężczyzną, miał żonę, dwoje dzieci i dziesięciomorgowe gospodarstwo. Wszystko zostawił na głowie żony i dobrych ludzi. W całej wsi i okolicy nie został ani jeden mężczyzna. Nie mógł spokojnie pracować dla Niemców, skoro tam gdzieś jego własna ziemia leżała odłogiem. Staszek dalej snuł swoją opowieść. Wczoraj przyjechało do wsi pięciu lub sześciu takich jak ja jeńców wojskowych z Litwy. Porozmieszczeni zostali u różnych gospodarzy. We wsi, poza moim gospodarzem, jego bratem, który był Dorifführerem, czyli partyjnym przywódcą wsi, oraz jakimś tam Schmidtem, nie było we wsi ani jednego dorosłego chłopca, wszyscy zostali zmobilizowani na wojnę z Polską i jeszcze nie powrócili do domów. Mój Peter-bernior też był zmobilizowany, lecz tylko jak ustały działania wojenne z Polską, to ze względu na wiek i na konieczność ukończenia żniw, został zwolniony do domu. Wszyscy mieli pełne umundarowanie w domu i na każde wezwanie, meldowali się w swoich jednostkach.

Właściwa wieś leżała dalej nad rzeczką, a tutaj, gdzie przebywaliśmy, były kolonie. Wszystkie gospodarstwa miały identyczne budynki i te samą wielkość. Zostali tu obsadzeni kolonisci przesiedleni po pierwszej wojnie światowej z Polski. W starej wsi niektórzy gospodarze byli Mazurami osiadłymi t

od dziesięcioleci. Jedni i drudzy rozumieli po polsku tylko tyle, żeby się z tym nie wyśmiewać. Mazurzy, jak nikt nie słyszał i nie widział, to potrafili powiedzieć jakieś słowo do Polaków swoją starą mazurską gwara. Niestety, ten Gefreiter z obozu odebrał nam całkowitą ochotę na szukanie u nich jakiegokolwiek zrozumienia. Niektórzy koloniści nawet utrzymywali stosunki z rodzinami, które pozostały w Polsce.

Do tej wsi, jak i do całych Prus, przed wojną przyjeżdżali polscy robotnicy rolni obojga płci na tak zwane saksy. Oprócz nich, było tu również wielu Słowaków a nawet Litwinów. Niektórzy z tych sezonowych robotników, tak z Polski, jak i ze Słowacji, zostali i osiedlili się tu już na stałe. Niektórzy Polacy po wybuchu wojny polsko-niemieckiej zostali na prawach normalnego kontraktowego pracownika i na pewno przed końcem wojny do domów nie wrócili. Słowacy byli traktowani na prawach obywateli niemieckich, bo w tym czasie Słowacja była państwem samodzielnym.

I w naszej wsi był jeden taki Słowak i jeden Polak. Słowak mówił po polsku jak rodowity Polak, bo przecież jako jedynych kolegów miał tylko Polaków. Mimo "samodzielności" i "niezależności" przed słowacki nawet nie wysłał występować o zwrot swoich obywateli, bo taka to i była ta suwerenność.

O wielu tych rzeczach dowiedziałem się na najbliższym niedzielnym spotkaniu. Słuchałem tych opowieści Staszka "z rozdzieloną gębą". Był dobrym gawędziarzem, a przede wszystkim nienawidził Niemców i wszystkiego, co niemieckie. Na zakończenie dodał jeszcze, że jak poznał pana Mariana^x, to on dopowie mi resztę. Domyśliłem się, że pan Marcin był duchownym przywódcą całej grupy jeńców cywilnych.

x/ imię jest umowne. W pamiętniku nie zanotowałem ani imienia, ani nazwiska tego słowacka.

Wkrótce wrócił gospodarz i moja lekcja pogładowa skończyła się. Oni ruszyli dalej siad siewnikiem, a ja do swojego robienia galczy.

Spotkaliśmy się ze Staszkiem przy obiedzie. Gospodyni postawiła nam talerze w kuchni. Obiad był tłusty i obfity. Ostatni raz najadłem się tak chyba jeszcze w Lidzie.

Po obiedzie nastąpiła jednogodzinna przerwa. Gospodarz został w domu, a my poszliśmy do stajni.

Tu Staszek znów kontynuował moją edukację. Później przekonałem się, że do roboty też nie rwał się lub wykonywał ją niedbale, a jeśli mógł, to i psuk, co mu w rękę popadło. Widać było, że uprawia na swój sposób taki swój prywatny sabotaż. Gospodarze chyba trochę go rozgryźli, bo odnosili się do niego niechętnie, co jemu było całkiem obojętne. Pracował tylko tyle, aby nie zarobić na obóz koncentracyjny.

Ze stajni poszedł prosto do kurzych legowisk i zaczął wybierać jajka jednak nie wszystkie, tylko te, które były duże i ciepłe. Nadtłukł zaraz jedno i dał mi do wypicia. Nigdy w życiu czegoś takiego nie robiłem. On spokojnie wypił chyba pięć sztuk i dalej nachęcał mnie do tego samego. Wypiłem z przymusem. Objędnik mi, że moim obowiązkiem jest poprawiać się, bo wyglądam jak śmierć na chorożwi, co chyba po tej obozowej głodówce, było zgodne z prawdą. Rano przed śniadaniem miałem wyszukiwać świeże jajka i jeszcze ciepłe wypijać codziennie, chociaż dziesięć sztuk. To mi da siłę i zdrowie. Gospodarkami radzić się nie przejmować, bo oni i tak nie wiedzą, co zrobić z tym żarciem i majątkiem. Staszek wyjawiał mi, że na strychu w wędzarni wodziły się cztery szynki, a w piwnicy była beczka ze smalcem, minimum 50 kilogramów. W spiżarni wisiało 20 kilogramów suchych kiełbas, a wszędzie stał

setki słoików z konserwowanym mięsem, drobiem nie licząc konserwowych owoców, jarzyn, soków czy marynat. Różniej po trochu sprawdzałem te rewelacje i okazało się, że Staszek mówił prawdę. Wszystkiego było raczej więcej, niż to przedstawił.

Po obiedzie Staszek poszedł z końmi w pole, a mnie gospodarz uczył przyrządzać paszę dla koni i bydła. W stodole na klepisku stały dwie maszyny: siewczarnia i szarpak. Po obydwu stronach klepiska leżała słoma. Siewczkę różniłem w dwóch, ale tylko ten pierwszy raz, później musiałem to wszystko robić sam. Raniecie siewczki szło szybko tym zmechanizowanym systemem, ale mimo wszystko, było z tym dużo roboty ze względu na duże ilości, które trzeba było codziennie ciąć. Trzeba było nakarmić pięć koni, pięć krów, dwie jałówki i kupę świń, a podstawą do pożywienia była przecież siewczka. Góra siewczki rosła aż trzeba było ją odgarniać na boki drewnianą szufłą, a mimo to ciągle było jej mało. Dla jednej osoby to była naprawdę ciężka robota.

Do moich obowiązków należało też rozdrobnienie buraków i brukwi w tej drugiej maszynie zwanej szarpakiem. Nosłem z góry ustaloną ilość koszy, a następnie wrzucałem to do szarpaka do rozdrobnienia. Maszyna ta rozdrabniała buraki i brukiew na małe kawałki. To była dopiero połowa roboty. Śrute należało porządnie wymieszać drewnianą łopatką z namożniętą już siewczką, dodając jeszcze po trochu czystego owsa. Tę wymieszaną siewczkę trzeba było przynieść do drewnianej olbrzymiej sierzni stojącej w stajni. Były to porcje na następne 24 godziny. Teraz z kolei strawa dla krów. Poszarpane buraki i brukiew musiałem wymieszać znów z siewczką. Była tego porządna góra. Część poszarpanych buraków z bruk-

wła trzeba było zostawić dla świń, które tę mieszaninę karmy już bez sieczki. Z tą robotą ledwie zdążyłem do kolacji, mimo że Peter przecież trochę mi pomagał.

Nadszedł wieczór i Staszek ściągnął z pola z kołnierzem, gdzie orał pod siew buraków. Kolacja była równie obfita jak śniadanie. Staszek stale mnie popędzał z tym jedzeniem, tym razem z żartobliwym dodatkiem: "jedz, jedz, musisz się najść i na niedzielę, bo tam tyle nie dostaniesz". Nie wiedziałem, o co chodzi, ale już nie miałem siły nawet dyskutować. Nogi miałem jak z ołowiu, a ręce z trudem donosiły kromki chleba do ust! Dostałem nieźle zaprawę, jak na pierwszy dzień. A ile ich jeszcze będzie?

O zmroku przyszedł jak zwykle wachmann. Na ulicy zauważyłem kilku nieznanych mężczyzn, czekających już na Staszka. Nie miałem siły pójść do nich, machnąłem im ręką i powlokłem się z trudem na moją górkę. A przecież, oprócz szykowania sieczki i karmy, było jeszcze karmienie zwierząt, pojenie, noszenie i wyciąganie wody ze studni, noszenie słomy, narzucanie siano. Nie wiem nawet, czy spałem tej nocy rozebrany, czy też rzuciłem się w mundurze na posłanie. Pamiętam tylko, że z tego letargu obudził mnie straszny ryk, który rozsadził moją zmęczoną i rozespaną czaszkę. "Tadejas, aufstehen" - doszło wreszcie do mojej umęczonej świadomości. Nie, to nie był jakiś nadzwyczajny krzyk, czy bakał, to było zwyczajne, codzienne już od tam, wołanie, prawie o świcie na wstawanie do roboty.

Ten drugi dzień był identyczny jak pierwszy. Różnił się chyba tylko tym, że wszystko wykonywałem sam, a gospodarz skrupulatnie to sprawdzał i poprawiał. Gospodyni rzeczwiście nie widziała z wyjątkiem posiłków. Nie wtracała si

do niczego, zajmowała się domem, dziećmi, kurami i od czasu do czasu zaglądała do świni. Staszek orał, siał z gospodarzem lub rozsiewał nawozy. Konie, jako coś wyższego w stosunku do krów, były pod jego opieką.

Gdzieś koło południa pokazał się niespodziewanie "pan Marcin". Rzeczywiście widać było różnicę między nim a Staszkiem i innymi cywilami. Wysoki, przystojny mężczyzna, trochę wyrobiony. Widać umięjący sobie radzić. Wszyscy koledzy admiirowali go, a on zachowywał się przy tym normalnie. Też pracował u brata Petera. Pan Marcin powitał mnie głośno per "panie pedchorąży". Ta informacja przekazywana przez moich cywilnych rodaków niepotrzebnie rozniosła się również między gospodarzy niemieckich, tak że nawet mój pryncypał zaczął mnie o tę "Officerschule" /szkoła oficerska/, czy to prawda, że w niej byłem? Z masu potwierdziłem to, ale nie miało to przecież żadnego wpływu na wymagania stawiane mi w pracy. Przyczyniło się tylko do podśmiewywania się ze mnie, gdy szukałem mydła i rącznika do mycia, lub gdy od czasu do czasu spoglądałem w lusterko w kuchni.

14.V.40, wtorek - Wypuszczamy się z Mietkiem na wiesć i poza nią. Spotykamy innych naszych żołnierzy "Litwinów".

5.VI.40, środa - Wczoraj wysłałem kartki na Litwę oraz do Oli i Zenki. Po południu byłem z krową u byka.

Niedziela! Tak czekałem na nią w nadziei, że choć jednego dnia się wyspię. Ale gdzie tam. Jak co dzień wożanie "Tadejas" zerwało mnie z łóżka. Jak co dzień krowy, pasza dojenie. To śmieszne, ale z tego wszystkiego najprzyjemniej-

sze było dojenie. Oczywiście, na początku było źle i bolały kciuki. Krowy wyczuwały nowicjusza i nie popuszczały mleka. Trzeba było kopać je kolanem w brzuch. Mleko leciało po spodniach, po bluzie, wszędzie, tylko nie do wiaderka. Po jakimś czasie ból kciuków minął, palce zahartowały się.

Rano, szczególnie zimą, takie dojenie było odpoczynkiem. Człowiek przytulił się policzkiem do ciepłego boku krowy i prawie drzemał, a ciepłutkie mleko leciało ciurkiem do wiaderka. Dostaliśmy krowy z gospodarzem na spójkę. Gospodyni przychodziła do dojenia tylko wtedy, gdy Peter wyjeżdżał do miasta. Tak że wypadało na mnie dwie lub trzy krowy. ~~Wszystkie~~

Dziś jak co dzień wachmann przyprowadził Staszka i, jak co dzień, po rannym obrzędku siedliśmy do śniadania. Było jednak coś nowego. Od śniadania mieliśmy do obiadu wolne. Staszek zabrał mnie do wsi. Znalazłem się w ich chałupie. Sienniki z pościelą leżały na gołej ziemi, bo podłogi nie było, a izba ciemna i wilgotna. Chałupa kryta słomą i, jak na te okolice, to już zabytek, mimo to było wesoło. Schodzili się powoli inni jeńcy cywilni. Poznałem ich wreszcie wszystkich. Byli w różnym wieku. Całkiem młodych nie widziałem, gdyż wtedy, gdy brano do niewoli, oni walczyli jeszcze pod Kutnem, w Warszawie i wszędzie tam, gdzie ich zabierała karta mobilizacyjna.

Od tych obecnych dowiedziałem się, gdzie mniej więcej znajdowali się inni jeńcy wojskowi z mego Stalagu. Zaraz na początku poszliśmy do wsi pod sklep, oni na piwo, a ja, żeby spotkać wojskowego, którego przydzielono do sklepikarza. Jakież było moje zdziwienie, kiedy stwierdziłem, że ten wojskowy był Piotr Szymczak, zwany w Stalagu Peterem. Razem z nim "dobrowolnie" była w gospodarstwie przyjeżdżająca polska

dziewczyna. Była to bardzo prosta wiejska dziewczyna, z którą poza dzień dobry, nie wiadomo było, o czym mówić. Nie było czego zazdrościć Szymczakowi.

Peter był dużo starszy od nas, chyba już po trzydziestce. Widać było, że przed wojną pracował u Niemców. Trochę tajemniczy, nigdy nic nie mówił o swoim pochodzeniu, zawedzi czy rodzinie. W zasadzie nie śpieszyło mu się do domu, tak jak nam. Wszedł już w kontakt z Mietkiem Krakowińskim. Ułatwiło mu to centralne położenie gospodarstwa, w którym pracował, no i oczywiście sklep, którego właścicielem był ten sam gospodarz, jedyny mieszkaniec wsi, którego widziałem w mundurze NSDAF.

Nie minęło pół godziny, gdy nadszedł Mietek. Uściskaliśmy się z nim, tak jak gdybyśmy nie widzieli się sto lat, a to minął zaledwie tydzień. On też nie czuł się najlepiej. Teraz to nasze osamotnienie, wspólny los i dotychczasowe te gromadne przeżycia zrobiły z nas przyjaciół. Widziałem już, że przez ten tydzień ręce mu zgrubiały i zczerniały podobnie jak mnie. On był sam u gospodarza, nie było tam drugiego robotnika. Pogadaliśmy jeszcze trochę z cywilami i poszliśmy na spacer, ale już sami z Mietkiem. Tu on, bez żadnego wstępu i zagadywania strzelił prosto z mostu: "kiedy zwiewany do Polski?" Trochę mnie zaskoczyło. Raz, że pora roku jeszcze nie była na to odpowiednia, drugie, że nie zdążyliśmy odetchnąć po Stalagu. Nie znaliśmy ani okolicy, ani tutejszych zwyczajów. Ja też myślałem o ucieczce, ale bez żadnych konkretów, a tu tymczasem on wyszedł z taką propozycją. Roześmiałem się, a on prawie z gniewem i krzykiem stwierdził, że nie będzie siedział i pracował na Niemców. A teraz, jak wyszliśmy wreszcie zza drutów, była jedyna oka-

sza, żeby przysnąć. Muszę przysnąć, że zainponował mi. Uspokoiłem go i wyłożyłem swoje zdanie na ten temat. Według mnie należało trochę przeczekać, rozsejrzeć się, zebrać żywość oraz informacje i, najważniejsze, wystarać się o cywilne ubrania, a potem już konkretnie planować ucieczkę.

Pogodzeni wróciliśmy do towarzystwa. Tu, jak co niedziela, toczyła się jedna i ta sama rozmowa, to znaczy o niemieckich gospodarzach. Jacy byli, co i jak się u nich robiło, jaka była gospodyni, jak dawała jeść. Potem dopiero rozmowa schodziła na tematy własne i rodzinne. Peter nie brał udziału w tych rozmowach, tylko pykał ze swojej fajeczki. On też miał na pewno swoje problemy, ale ich nie ujawniał. W końcu chłopki skozyli się na butelkę i na piwo, a któryś z nich poszedł z Peterem do sklepu. Mimo niedzieli sklep był czynny, bo należał do takich sklepów, w których było wszystko.

Nie wiadomo kiedy przyszło południe i trzeba było wracać do siebie. Powlekliśmy się ze Staszkiem w kierunku naszego gospodarstwa. Inni zrobili to samo. Umówiliśmy się z Mietkiem, że będziemy szukać innych wojskowych, a może wśród nich znajdą się również inni nasi koledzy?

Spotkaliśmy się znowu po obiedzie. Koło sklepu stał już Mietek. Ja też przyszedłem z wojskowym z Litwy, którego dano do sąsiedniego gospodarstwa, do niejakiego Schmidta. Ciekawa to była rodzina tych Schmidtów, przynajmniej dla nas z Polski. Nazwisko mieli czysto niemieckie. On Mazur, a raczej zamazurowany Niemiec. Umiał po mazursku, często z nim rozmawialiśmy. On po mazursku, a ja po polsku i całkowicie się rozumieliśmy. Trzeba przyznać, że ten dialekt różnił się od normalnego znanego nam mazurskiego choćby dlatego, że było w nim dużo poprzekrecanych słów niemieckich. Ona była

całkowicie Mazurkę i lepiej mówić po mazursku, czyli językiem bardziej zbliżonym do polskiego.

Przyjeżdżowali na tę kolonię, gdzieś spod Osiałdowa. Syn ich, nasz rówieśnik, taki dwudziestolatek, rozumiał po polsku, czy mazursku, ale mówić nie chciał. Żeby było śmieszniej, to mieli służyć też Mazurkę, gdzieś spod Olsztyna. Ta oczywiście rozumiała po mazursku ale rozmawiała tylko ze Schmidtową. Z nami nie chciała rozmawiać nawet i po niemiecku. Taka to była wolność i tolerancja narodowa w wielkiej Rzeszy, że jej własni obywatele, choć z pochodzenia, z ducha i języka nie byli i nie czuli się Niemcami, to bali się mówić z Polakami nawet po niemiecku, aby nie być posadzeni o wywrotową antypaństwową robotę.

Od Schmidta właśnie dowiedziałem się całej genealogii Peterów i całej zresztą kolonii w Dombekmen.

Wioska ta składa się z dwóch zasadniczych części wsi i kolonii. Domy we wsi zgromadziły się przy szosie i ciągnęły do stacyjki kolejki wąskotorowej. Prawie przez środek wsi płynęła mała rzeczka, skąd brano wodę dla bydła w okresie suszy. We wsi, na wzgórkach widać było kilka starych domów krytych jeszcze słomą lub trzciną, chociaż murowanych, o których mieszkańcy pogardliwie wyrażali się Masurenhauser - domy Mazurów.

W pewnej odległości od centrum wsi rozłożyła się po obydwu stronach błotnistej drogi interesująca nas kolonia. Na kolonii ziemia była podzielona na równe działki. Po środku każdej działki stały domy mieszkalne i zabudowania gospodarcze kolonistów. Koloniści ci byli sprowadzeni z Polaki, z Pomorza i Kujawskiego, aby zasilić nadwielony tu przez Polaków, niemiecki biologiczny stan posiadania. W Dombekmen

było ich kilkunastu. Rodziny naszych kolonistów pozostały w Polsce. Utrzymywali oni z nimi kontakt, jeździli do nich przywozili od nich różne trofea wojenne. Peterowie na przykład mieli ojca i młodsze rodzeństwo w Toruńskiem.

Dnie biegły szybko od "Tadejasa" do "Tadejasa", czyli od świtu do świtu.

W wyniku poszukiwań z Mietkiem odkryliśmy wielu imię wojskowych u różnych gospodarzy, wszystko to "Litwini". Najbardziej zbliżyliśmy się z jeńcem od Schmidta oraz z Szymczakiem. W tej wsi było nas, wojskowych, około dziesięciu, reszta to jeńcy cywilni.

Krowy dołem coraz lepiej, poznawałem okolice, zacząłem rozglądać się za kopertami i znaczkami pocztowymi. Wreszcie z tego nowego miejsca wysłałem listy do Lublina do domu i Ireny. Do domu pisałem, aby starali się o moje zwolnienie, jako niepełnoletniego, bo tak umyśliliśmy z Mietkiem.

Któregoś dnia mój pan dał mi klumpy, to znaczy buty na grubej drewnianej podszewie. Nigdy w takich nie chodziłem, ani takich nie widziałem. Jak ze wszystkich tutaj, najpierw musiałem się nauczyć w nich chodzić, gdyż w stosunku do butów, były wysokie z powodu swojej grubej podszewy, a przecież drewno nie zginało się tak, jak skóra. Trzeba było stapać całą stopą. Nieraz, zwłaszcza na początku, wykręcałem sobie nogę, zwłaszcza lewą, tę, w której miałem naderwane w JHP ścięgno.

Jak każda nauka i ta nie trwała wiecznie i stwierdziłem, że takie klumpy do obrządku bydła i do stajni były bardzo dobre, bo ciepłe i nie przemakały. Nie musiałem się w nich martwić ani o skarpety, ani o pończochy, ani też o opuce, jak tylko gospodarza nie widział, abyła potrzeba, to opu-

ce robiło się po prostu z worków jutowych, których, na szczęście, w gospodarstwie nie brakowało.

Wydziwialiśmy się na te klumpy, nie wiedząc, że cała Polska już je znała jako produkt "udogodnień" wojennych, a dziewczyny w podobnych i robionych przez najelegantszych szweców, paradowały po ulicach.

Oczywiście, za te drewniaki Pater mi zaraz potracił przy pierwszej wypłacie, ale przez ten czas oszczędzałem swoje wojskowe buty. Wyczyszczone czekały na lepsze czasy.

Od gospodarza pożyczyłem 3 marki i uzupełniłem swoje braki. Kupiłem koperty, znaczki, przybory do golenia i wysyłałem ciągle listy. Niestety, jeszcze nie dostałem żadnego listu. Kartek też nie!

13 maja były Zielone Świąta. Dla nas różniły się tylko tym, że na śniadanie dostaliśmy parę kawałków drożdżowego ciasta z kruszonką i że nie pracowaliśmy na polu.

Tutaj nikt nie chodził do kościoła, obojętnie jakiego, chociaż był jakiś ewangelicki kościół niedaleko Dombekmen.

Niemcy tylko żarli, a cały dzień świąteczny w przerwie między jednym żarciem a drugim pracowali tak, jak w każdy dzień roboczy w obejściu. Reperowali wozy, maszyny, budynki, a po obiedzie pili do lampy swojego sznapsa i piwo. Nikt nikogo nie odwiedzał, nikt nie wychodził na ulicę, nikt do nikogo nie zagadał, nawet brat do brata, jak w przypadku Peterów, mieszkających naprzeciwko siebie.

Byli chytry i "wyliezeni". Cały kierunek ich starań, to tylko ich własny dom, własny żołędź. Tego pilnowali i na tym się znali, można się było tego od nich nauczyć.

Któregoś dnia rozszła się pogłoska, że jeńcy cywilni mają być zwolnieni z niewoli i przejść na prawa podobne do

nas, to znaczy jeńców wojskowych, powożonych na roboty. W związku z tym zdejmą straż wachmannów nad nimi i na stałe przejdą oni do gospodarzy.

16 maja rano byłem jak zwykle w obozie, gdy na podwórzu wmaszerował wartownik ze Staszkiem. Ten dźwigał duży torebkę z pościelą i rzeczami osobistymi. Wachmann wywołał mnie na podwórze, ustawił nas ze Staszkiem w szereg i tonem rozkazu zarządził, że od dziś jesteśmy robotnikami cywilnymi. Mamy spać u gospodarza, pracować, jak dotychczas, i nie szwendać się po okolicy. Bezwzględnie musimy chodzić z przyszłym do ubrania znakami "P", gdyż, jeśli policja czy wojsko złapie nas bez tego znaku, to automatycznie zawodrujemy do obozu jeńców mimo, że od dziś jako cywili robotnicy podlegamy oficjalnie tylko policji. W najbliższych dniach zostaniemy wezwani do gminy, gdzie otrzymamy ^{legitymacje} legitymacje i kartki na nabywanie artykułów tekstylnych.

Po chwili zagnał się z gospodarzem. Ten zawołał go do izby i przez drzwi widziałem, jak nalewał mu sznapsa w kieliszek. Wachmann wypił, pożegnał się z Peterem i odmaszerował. Na drodze stało jeszcze dwóch czy trzech takich delikwentów.

Zaprowadziłem Staszka na górę, a ponieważ w pokoiku były dwa łóżka, nie było kłopotu z jego zakwaterowaniem. Pościel miał od Petera, a siennik ze słomą leżał na łóżku i czekał na drugiego lokatora. Zeszliśmy do codziennego obrotu i cały dzień komentowaliśmy to ostatnie wydarzenie.

Wieczorem do późna w nocy Staszek namawiał mnie, a raczej mówił o ucieczce i to już zaraz, bo robiło się ciepło. Prawda było, że teraz bez wartownika było łatwiej, ale to nie wszystko. Najważniejsze, żeby dojść do domu, choćby później.

wiosna. Można by jeszcze coś zrobić dla siebie na własnym polu. Nic mu nie przyrzekałem, zresztą on też nie nalegał, ale widać było, że o tym ciągle myślał, to było pewne.

Obaj z Mietkiem też stale rozmawialiśmy o ucieczce, ale rozważyliśmy i ustaliliśmy, że do tego potrzebnych było kilka rzeczy. Po pierwsze, nawiązanie kontaktu listowego z rodzinami, aby wiedzieli, gdzie jesteśmy, po drugie, to cywilne ubrania, po trzecie, to pora roku, taka, aby można było spać w lesie, w zbożu, aby można było wyżywić się w czasie ucieczki już kopanymi ziemniakami, warzywami i owocami. Ostatecznie ustaliliśmy, że taka dobra pora byłaby druga połowa lipca.

Wreszcie skończyliśmy najcięższą z wykonywanych przeze mnie prac - z wywożeniem obornika. Zbierakły cały rok na hałde, ubity przez czas, śnieg, deszcz i jeżdżenie po niej ciężką taczka, stanowił rodzaj masy, która miejscami można krajać raczej nożem jak rwarda marmoladę, a nie rozbijać widkami.

Ręce odmlewały od pracy, a w nocy nie wiedziałem co z nimi zrobić, jak po średniowiecznych torturach. Dopiero teraz porobiły mi się bolesne bąble na dłoniach. Już dużo łatwiej było wozić go wozem i składać na kupki na polu. To robił już Staszek, chociaż przy nakładaniu na wóz też mi pomagał.

Mietek pierwszy dostał list z domu. Pisali w nim o innych kolegach z Zamojskiego /Mietek właśnie tam zdawał maturę/. Felek Drownowski w jakimś małym miasteczku samiałał ulice. Cierpieli w dalszym ciągu głód. Heniek Kopeć pracował w tartaku. Tam spotkał Pinkiewicza, który odłączył się od nas, gdy szliśmy na Litwę. W drodze do Lublina został złapa

ny przez Niemców i osadzony jak my w Stalagu. Obydwaj głodowali. Z dwójga złego, my nie cierpieliśmy tu głodu. Dzisiaj, to jest w niedzielę 19 maja, miał uciekać Staszek, ale padający cały dzień deszcz, zmienił cały plan grupy jeńców cywilnych.

Pewnej niedzieli przyszedł do mnie syn Schmidta z propozycją rozegrania meczu piłki nożnej między młodzieżą niemiecką z Dombhennen a robotnikami rolnymi z naszej wsi. Zgodziłem się chętnie, zwłaszcza że akurat był u mnie Mietek.

Zacząłem agitować, no i nasi chłopci oraz pozostali też nierze wyrazili na to zgodę. Było to jednak wielką nieostrożnością i mogły wynikać z tego poważne konsekwencje i nieporozumienia.

W naszej wsi nie było jeszcze wtedy takiego szowinizmu o jakim się słyszało później, a może był to wpływ zamieszkania tu tych Mazurów?

Mecz przegraliśmy z kretesem, chyba 8:1. Obyło się jakoś bez kłótni i rozróbek. Mieliśmy temat do rozmów na ładnych kilka dni. Była też widownia. Sporo dzieciarni oraz nasze Mazurki od Schmidtów i Maryśka od Szymczaka. Gospodarze też jakoś zaskawie wypytywali nas o ten mecz.

Minał tydzień, nadeszła następna niedziela. Dzień był piękny, pogodny. Wybraliśmy się z Mietkiem, Szymczakiem i jego towarzyszką z gospodarstwa do lasu za wsią na przechadzkę, taką skromną, spacerową najówkę. Z daleka widzieliśmy te młode Mazurki od Schmidta. Wracając, na małej polanie zobaczyliśmy wszystkich naszych kolegów-cywilów. Rozłożyli się na trawie. Nasz Staszek był tam również. Prym w tym posiedzeniu wiódł nasz znajomy ekonom, pan Marcin.

Nie zatrzymywaliśmy się, poszliśmy prosto do wsi. Nie

wiele czasu zostało do kolacji, a jeszcze trzeba było dokończyć wieczornego obrządku. Staszek też pojawił się w obejściu. Obrządziliśmy, co trzeba, i po kolacji znów poszliśmy do wsi, ja do swoich, on do swoich. Późnym wieczorem wróciłem do domu, na swój strych. Staszka jeszcze nie było. Położyłem się spać. Spałem jakoś wyjątkowo twardo. Rano jak zwykle "Tadejas" szybko zerwało mnie na nogi, ubierając się, nawet nie spojrzawszy na łóżko Staszka. W izbie był jeszcze poranny półmrok. Nie słysząc jednak równoległego hałasu ubierającego się Staszka, mimo woli zerknąłem w kierunku jego łóżka. Nie było go. Widocznie zszedł już na dół - pomyślałem ze zdziwieniem i zbiegłem na dół do stajni. Tam Peter doił krowę. Spojrzał się na mnie tak jakoś pytająco i ja dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że Staszka nie było na górze, ale na dole też go nie ma.

Peter spytał, gdzie jest Staszek. Odpowiedziałem, że już zszedł. Peter jednak, prawie krzyżąc, stwierdził, że nigdzie go nie ma i nikt go nie widział. Wzruszyłem bezradnie ramionami i siadłem do dojenia. Ciepły bok krowy prawie przysnął mi sen z powrotem. Peter zerwał się ze stołka, kopnął ze złością krowę, rzucił stołkiem o ścianę i uciekłszy wybiegł ze stajni. Teraz dopiero przestałem drzemać. Wyczuwałem, że coś się stanie. Ale co? Co działo się ze Staszkiem?

Po chwili wkroczyła do stajni gospodyni. Nic nie mówiąc, siadła do dojenia. Po jakiejś pół godzinie wrócił Peter, cały roztrzęsiony, czerwony od napięcia na tłustym pysku. Świńskie oczki puszczały gromy i ryczał już od progu: "verschvunden, verschvunden diese polnische Schweine" /uciekły, uciekły te polskie świnie/. Nie zareagowałem na te świnie. Co mógłem zrobić? Najwyżej to samo co Staszek, ale

nie teraz, wprost od krowy, bez przygotowania, jedynie dla ambicji. W mordzie przecież nie mogłem mu też dać, bo takie obelgi, niestety, prawie od roku były na porządku dziennym. Z rozmowy Petera z żoną zrozumiałem, że od jego brata ucieknie nie tylko Marcin-ekonom, ale również jeniec wojskowy, który razem ze mną przyjechał z Litwy. Brat Petera, oczywiście, jako ~~paria~~ jedyny we wsi, posiadający telefon, rozpętał już nagonkę za ucieczkowiczami.

Obrządek poszedł szybko, śniadanie też. Nikt się do mnie nie odzywał, tak jak bym to ja byłem winien temu wszystkiemu. Sytuacja była napięta. W gospodarstwie pozornie nic się nie zmieniło, mimo tej masowej ucieczki. Ja poszedłem do swoich zajęć, a Peter wyjechał koniami w pole, tym razem sam. Rozglądałem się pilnie, spoglądałem ciągle na drogę, jakbym chciał zobaczyć wachmannów z karabinami, ale tam nic się nie działo. Chłopcy gospodarza wyszli z domu i przyglądali mi się z ciekawością tak, jakby zobaczyli mnie po raz pierwszy. To był chyba jedyny znak, że coś się tu wydarzyło. Z min chłopców można było wyczytać, o czym to ich tatusiowie i przezacne mamusie "gaworzyli".

Nie mogłem doczekać się obiadu, ale w czasie obiadu znów nikt się do mnie nie odezwał.

Pobiegłem szybko na górę zobaczyć, co tam w naszym pokoiku się zmieniło po wykryciu tej ucieczki. Nie zauważyłem jednak żadnych zmian. Dopiero teraz właściwie uzmysłowiłem sobie, że Staszek, poza pościelą gospodarza, nie miał ze swoich osobistych rzeczy w naszej izdebce. Ucieczka ta, była przygotowywana więc od dłuższego już czasu. Zresztą właściwie wiedziałem o tym. Swoje rzeczy najwidoczniej ukrywałem u kolegów lub poza domem. Pod łóżkiem zostały tylko jego stare klumpy.

Odtwarzając fakty z dnia poprzedniego, uświadomiłem sobie, że wczoraj powinienem słyszeć powrót Staszka ze wsi, a nie skyszakem. Ta na rada wczoraj w lesie całej ich gromady też miała widocznie charakter ostatniej odprawy przed ucieczką. Byłem ciekaw, czy poszli wszyscy, a jeżeli nie, to kto poszedł, a kto został. Z tym musiałem poczekać do wieczora, do mojej wycieczki do wsi. Na razie nie dawałem po sobie znać, że w tej całej sprawie miałem jakiś udział i że ona mnie szczególnie obchodzi. Bałem się tylko, że gospodarz zabroni mi iść po kolacji do wsi. Jednak nie zabronił. Pobiegłem do wsi, oczywiście, do Szymczaka. Tu już wrzało. Gospodarz Szymczaka był Parteiführerem, miał telefon, a ponadto sklep. Jedno i drugie na wsi było czymś w rodzaju centrali wywiadowczej i punktu kontaktowego. Nic dziwnego, że Szymczak wiedział wszystko, zwłaszcza, że ten jego Führer odnosił się do niego po ludzku, a nie tak wyniośle, jak to robili obydwaj Peterowie.

Okazało się, że poszli wszyscy jeńcy cywilni oraz jeden wojskowy, ten od młodszego Petera. Odeszli chyba zaraz po kolacji, bo nikt już ich wieczorem nie widział. Musieli mieć jakiś punkt zborny i stamtąd dopiero ruszyli całą gromadą. Ze składu osobowego i ze sposobu ucieczki nie ulegało wątpliwości, że poszli wszyscy razem, w jednym kierunku. Przygotowywać już dłuższy czas i systematycznie. Nikt jednak nie widział żadnych przygotowań. Widocznie mieli jakiś wspólny schowek, gdzie nosili swoje rzeczy i żywność. Odeszli ze wszystkim, nie pozostawiając żadnych swoich rzeczy. Zrobili to tak po chłopsku, bez rozgłosu, bez chwalenia się. Stanowczo. Kiedyś Staszek mówił, że jak będą szli, to tylko na przekaj i tylko nocą, tak na księżyc i gwiazdy. Daj im Panie Boże szczęście!

Siedzieliśmy z Mietkiem i Szymczakiem do późnej nocy, rozmawiając o wszystkim, ale najczęściej o ucieczkach, szansach i ich celowości. Szymczak, aczkolwiek nie był przeciwnikiem samej idei ucieczki, stanowczo oświadczył, że on nie będzie stąd uciekał, bo po prostu nie ma dokąd. Był z poznańskiego, tam teraz wysiedlali Polaków, nie miał żadnego majątku, ani żadnej większej rodziny. Nie mówił nawet, czy jest żonaty. Bał się, że z nieudanej ucieczki mógł trafić do obozu koncentracyjnego, tutaj przynajmniej było bezpiecznie.

Obaj z Mietkiem daliśmy do zrozumienia, że będziemy próbować uciekać, ale jeszcze nie teraz. Inni jeńcy wojskowi już dawno rozeszli się do swoich zagród. Nie widać było po nich żadnych emocji, związanych z tym wydarzeniem. Nie było w nich ani zapalczywości, ani też przyklaskiwania temu, co zrobili cywile.

W milczeniu wracaliśmy z Mietkiem na naszą kolonię. Ustaliliśmy jednak, że terminu naszej ucieczki nie zmieniamy. Najważniejszą dla nas rzeczą było cywilne ubranie. Tetarz trzeba było pomyśleć o tym definitywnie, zwłaszcza że już nawiązaliśmy korespondencję z naszymi domami. A i sytuacja zmieniała się na naszą korzyść, gdyż Niemcy zwolnili nas "do cywila".^x

Wszedłem po cichu na mój stryzzek, zapaliłem światło i szukałem swojej nitki. Tego dnia bowiem, przed wyjściem do wsi, chcąc skontrolować gospodarzy, czy mnie śledzą, przewiązałem do futryny i do drzwi na dole cienką nitkę, która przy otwieraniu drzwi musiałaby ulec zerwaniu. Nitka była

x/ Jeńców wojskowych, mimo całej obkudy niemieckiej, w dalszym ciągu chroniły Konwencja Haska i za ucieczkę z niewoli przeważnie karani byli tylko karcerem, podczas gdy cywil złapani w czasie ucieczki nie podlegał w zasadzie żadnemu prawu i mógł być zastrzelony, skazany na obóz koncentracyjny, obóz karny dla robotników cywilnych lub mógł powrócić na roboty.

zerwana, to znaczy, że gospodarz kontrolował stan mojego po-kojku i moich rzeczy. Nie można było się temu dziwić, ale jednocześnie trzeba było o tym pamiętać, i należało być bar-dzo ostrożnym w przygotowaniach.

Trzeba dodać, że od czasu zdjścia wartownika z cywi-lów, wychodziliśmy swobodnie na wieś wieczorami. Peter nie zamykał drzwi wejściowych na klucz. Wracając, wchodziliśmy swobodnie do domu o dowolnej godzinie i wtedy dopiero sami zamykaliśmy drzwi wejściowe na klucz i po cichutku pśliśmy spać.

Mimo tych wrażeń spałem jak kamień. Dopiero rano Peter rozgadał się na temat niedzielnej ucieczki. Uważał, że i tak uciekinierzy zostaną złapani, jak nie teraz po drodze, to później we własnych domach. Adresy przecież były znane wła-dzom Wehrmachtu oraz policji, jako organom zarządzającym jeńcami wojennymi i robotnikami cywilnymi. Zaraz rano w po-niedziałek Peterowie i pozostali gospodarze powiadomili o tym także policję. Według nich nie mieli powodów do ucieczki. Dostawali przecież dobre jedzenie, lepsze niż we własnym do-mu, porządne pościel spanie i jeszcze do tego furę pieniędzy.

Właściwie to nie odzywałem się, gdy Peter rozprawiał o tym, ale w końcu nie wytrzymałem i krzyknąłem, że ci, któ-rzy uciekli, mają też własne gospodarstwa, na których nie ma kto pracować, mają rodziny i dzieci. Niestety, był to tylko groch o ścianę. Hitler wszczepił im wiarę w ich wyższość i byli przekonani, że wolno im wszystko, że nie ma na nich ka-ry. Nawet ten tłuścioch Peter, w gruncie rzeczy chyba pocher-wy chłop, przynajmniej tak wynikało z jego stosunku do żony i dzieci, a nawet zwierząt, też uważał się za człowieka wyż-szego rzędu, reprezentanta Herrenvolk /naród panów/. Nie od-

powiedział nie na moje oburzenie, ale jego monolog się zakończył.

Przyszła wiadomość, że snów mamy się zgłosić do gminy, ale tylko my, żołnierze. Oprócz nas byli robotnicy rolni przymusowo zabierani na roboty do Niemiec. Tych ta wiadomość nie dotyczyła. Z początku zlekili się, czy ta wiadomość nie ma jakiegoś związku z ucieczką naszych, ale Nietek i Szymczak wysunęli argument, nie do podważenia w takim przypadku, że władze każą się zgłosić, ale nie było mowy o osobistych rzeczach. To nas rzeczywiście uspokoiło.

Rano poszliśmy w kilku w kierunku gminy. Po drodze spotkaliśmy wielu kolegów z Litwy, przebywających w innych wsiach. Oni też nie wiedzieli, po co idą. O tej masowej ucieczce z naszej wsi, oczywiście już też wiedzieli. W gminie nie widać było żadnych mundurów, ani wojskowych, ani też politycznych. Po kolei z listy wyzwano nas do środka.

Tu dopiero nastąpiła radosna niespodzianka. Zaczęło być mi wydawać nam cywilne ubrania. Niektórzy dostawali całe garnitury, ale częściej przydzielano poszczególne ich części. Byliśmy bardzo zaskoczeni tą dobroczynnością i dopiero teraz naprawdę uzmysłowiliśmy sobie, że Niemcy uważali nas już za cywilów.

Któryś z kolei wszedłem do środka. Personel obejrzał mnie dokładnie, bo czym, otrzymanym piękną, szarą, wełnianą marynarkę. Przywieszony, pasowała jak ulał. Po mnie poszedł Nietek. On dostał cały garnitur, chyba dlatego, że był niewysoki, a wśród nas większość była wysokich. Więcej nic nie dawali. Postaliśmy, pogadaliśmy, przekazaliśmy sobie wzajem-

x/ Były to, najprawdopodobniej, rzeczy po hitlerowskich ofiarach. Przemawiał za tym fakt, że nie były całkiem nowe, ale mało używane, w dobrym gatunku i dobrego kroju, wykonane przez dobrych krawców.

ne nowinki i wróciliśmy do wsi.

Tutaj wieczorem Szymczak powiedział mi, że któryś z jeńców otrzymał spodnie od kompletu mojej marynarki. Wiedział nawet w przybliżeniu, z jakiej wsi był ten jeńca.

Nie mogłem się doczekać niedzieli. Postanowiłem zdobyć te spodnie. Była tylko jedna mała, ale zasadnicza trudność. Nie miałem pieniędzy, aby za nie zapłacić. Tutaj Szymczak znów okazał się pomocny. Uświadaniał mnie, że każdego pierwszego powinienem otrzymać swoje pieniądze. Teraz dopiero dowiedziałem się, że moja i Mietka miesięczna zapłata wynosiła 21 marek, chociaż Szymczak dostawał 25 marek. Ma jako niepełnoletni, dostawaliśny mniej. Za pół kwietnia należało mi się już coś, a teraz był koniec maja. To już cała pensja. Postanowiłem rozmówić się z Peterem.

Następnego dnia, zaraz po dojściu zaczęliśmy go ostro o pieniądze. Tłumaczył się obłudnie, że przecież nam wszystko, a jak potrzeba mi na znaczki i listy, to mi, oczywiście, da zaliczkę. Nie chciałem jednak żadnych zaliczek, żądałem należnej mi zapłaty. Poskutkowało. W czasie obiadu wypłacił mi całość za półtora miesiąca. Oczywiście, potrącił mi 3 marki za klumy i drugie tyle za pożyczkę na listy. Byłem bogaty! Już widziałem na sobie te spodnie. Dopiero teraz powiedziałem mu, że mam zamiar kupić spodnie, bo o marynarcę to już wiedział.

Wieczorem opowiedziałem kolegom o rozmowie z Peterem. Szymczak wyjechał nam, że u gospodarzy jest takie nie pisane prawo, że jak taki nie płaci, to robotnik może odejść nawet bez wypowiedzenia i nawet policja honoruje takie sytuacje.

Teraz już realnie zaczęliśmy z Mietkiem rozważać nasze możliwości ucieczki. Jednak i obecnie, co do ustalonego u-

przednie terminu, byliśmy zgodni. Na razie nie wtajemnicza-
liśmy kolegów w nasze plany.

W najbliższą niedzielę wybraliśmy się z Mietkiem po-
spodnie do wsi, o której mówił Szymczak. Trafiliśmy łatwo,
się bowiem wzdłuż torów kolejki wąskotorowej. Wziąłem, oczy-
wiście, z sobą pieniądze. Na wszelki wypadek zabrałem mary-
narkę, aby ułatwić rozmowę. Idąc przez wieś, usłyszeliśmy
śmiechy i głośne rozmowy po polsku. Skróciliśmy w tym kierun-
ku. Na klepisku stodoły kłębiło się większe towarzystwo Po-
lonusów, w tym dwie kobiety... Jedna około 20 lat, druga po-
trzydziestce. Wokół nich rozprawiało kilku wojskowych i je-
den cywil. Ten ostatni wygrywał na organkach poleczki, a to-
warzystwo szykowało się do tańca. Bez większych ceregieli
weszliśmy do śpódka i przedstawiliśmy się. Dziewczyny były
z tej wsi, a starsza nawet z tego gospodarstwa. Żołnierze
okazali się jeńcami z 1939 roku, ale nie z naszego Stalagu.
Obecnie też już byli cywilami. Cywil przerwał granie i ode-
zwał się do mnie słowami: "Cześć, panie podchorąży!" Trochę
złupiałem, ale okazało się, że on też był z Litwy. Pamięta
mnie jeszcze z Kowna, z fortów, gdzie to deklamowałem wiersz
na zainicjowanej akademii i zostaliśmy zaakceptowani.
Zaczęły się tańce, a on wspaniale przygrywał na tych swoich
organkach.

Dopiero po jakimś czasie przypomniałem sobie o celu
naszej wizyty. Los mi sprzyjał. Okazało się, że ten którego
szukałem, stał obok mnie i grał na organkach. Pochodził z
Poznańskiego, nawiązał już kontakt z rodziną i otrzymał z
domu cywilne ubranie. Spodnie na zmianę, oczywiście, przyda-
łyby się i jemu.

Bez ceregieli jednak poszedł do swojej kwatery i prze-

niósł te moje wymarzone spodnie od kompletu. Przymierzyłem. Pasowały równie dobrze jak marynarka. Wzbudziłem sensację i aplauz, zwłaszcza u młodszej z dziewcząt.

Targowałem się o cenę, ale on nie chciał pieniędzy. Z trudem wcisnąłem mu do ręki dziesięć marek, które wtedy miały dla mnie minimalną wartość, a spodnie na odwrót - ogromną.

Czas było się żegnać. Dziewczyny zaprosiły nas na następną niedzielę, na prawdziwą, ale Mirek nie zareagował.

Wracaliśmy w milczeniu, w końcu Mietek zaczął się skarżyć, że nie myśli o ucieczce, a tylko o babach i tańcach. Roześmiałem się. Był zły, ale po chwili jego twarz rozjaśnił uśmiech. Niedaleko od naszej ścieżki zobaczyliśmy małe jezioro, a raczej staw. Zeszliśmy w dół. Ponieważ popołudnie było dosyć ciepłe, postanowiliśmy się wykąpać. Od słowa do słowa i byliśmy już w wodzie. Z przyjemnością zanurzaaliśmy się w jej toni. Woda była bardzo ciepła jak na koniec maja. Orzeźwieni kąpielą, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Zza zakrętu ścieżki wyłonił się żołnierz niemiecki. Uzbrojony, ale w furacjerce, starszy wiekiem. Widać było, że to jeden z wachmannów, którzy pilnują jeńców-robotników. Taki sam, jaki niedawno nas pilnował. Zeszliśmy na pobocze, ale to nie uchroniło nas od konfrontacji. Postawił nas na baczność i dalej wypytywać. A skąd, a dokąd? Bacznie się przyglądał naszym, na szczęście przyszytym, znaczkom "P", oraz czapkom. W końcu przyczepił się do orzełków. Młaczego je nosimy, w niewoli nie nosi się żadnych oznaczeń zwłaszcza poza obozem. Kazał je natychmiast zdjąć. Odpowiedzieliśmy: "jawohl" /tak jest/, bo cóż mogliśmy innego zrobić. Ehyba że utopił wachmana w tym stawie, w którym niedawno pływali, ale na to było jeszcze za wcześnie.

Wypuścić nas, szczerkając, że jak jeszcze raz nas zobaczy z orzełkami, to znajdziemy się z powrotem w obozie. Odmaszerowaliśmy.

O zdarzeniu tym opowiedzieliśmy, oczywiście, kolegom. A orzełek zdjąłem nie dlatego, że bałem się wachmanów, lecz szkoda byłoby mi go stracić, lub dopuścić do jego profanacji.

Któregoś dnia Mietek dostał trzy albo nawet cztery paczki przez pocztę. Były to malutkie sześciiany z jakąś w miarę miękką masą. Otworzyliśmy je. Znajdowały się w nich kostki skoniny lub boczu. Paczki były zaadresowane na Stalag, a teraz przywędrowały za Mietkiem, aż tutaj. Można byłoby się z tego śmiać, ale należało też brać przykład z tak dobrej niemieckiej organizacji - u nich człowiek w ewidencji nie ginął, zwłaszcza jeśli zakwalifikowany został do nieprzyjaciół. Postanowiliśmy schować te paczuszki na zaplanowaną ucieczkę. Były to towary trwałe i szczelnie opakowane.

I ja wreszcie dostałem listy. Jeden był z domu, drugi od Ireny. Moja siostra Zosia pisała, że w domu nic nowego, tylko Jaśka gorzej chorowała. Niemcy wywozili ludzi z GG na roboty do Niemiec. Zosi na razie to nie groziło, ale z listy Ireny wynikało, że mogło ją to spotkać w każdej chwili. Musiała więc szybko podjąć jakąś pracę, aby być zarejestrowaną w Arbeitsamcie /urząd pracy/, jako pracująca. Późniejszy jej list już mnie uspokoił. Została zarejestrowana jako ekspedientka u swojego wujka w sklepie przy ul. Zamojskiego i na razie obawa przed wywozem była zażegnana.

Miałem pieniądze, więc rozписаłem się do swoich przyjaciół. Wysłałem kartki do Polka, Jasi, do Oli i Zenki oraz na Litwę.

x/ Dzięki temu mam go do dziś jako jedyną pamiątkę z podchorążości.

W sklepiku kupiłem sobie dwie książeczki, kryminały, oczywiście w języku niemieckim, i czytałem je teraz codziennie. Brałem też od gospodarza albo od Szymozaka gazety. Wiedziałem, że imponuje to mojemu gospodarzowi, że ma takiego parobka "uczonego w piśmie", ja miałem trochę rozrywki, ale najważniejsze, to ćwiczyłem język. Niestety, ta moja czy nasza szkolna niemczyzna była zbyt mizerna, by móc czytać gazety czy książki. Nie miałem słownika, a wyrażenia, których nie znałem, sprawiały, że czasami wręcz nie rozumiałem. Zarówno książki jak i gazety pisane były jakimś żargonem dziennikarskim i Gazety swoim, kryminały swoim. Mimo to w miarę czytania coraz więcej rozumiałem.

Odgłosy tej masowej ucieczki z naszej wsi spowodowały zaostrzenie czujności Niemców. Któregoś dnia w południe zajechał na nasze podwórko na koniu niemiecki policjant. Był w policyjnym hełmie, z pistoletem, długim jak szabla bagnete i policyjną pałką. Rozpoczął swój ostry monolog. Twierdził, że wybije nam tę ucieczkę, którą planujemy z Mietkiem i wymachiwał mi pod nosem pałką. Byłem trochę przestraszony. Przeleciało mi przez głowę myśl, czy w razie rewizji mojej izdebki mógł znaleźć coś, co zdradziłoby nasze plany. Wyglądało na to, że raczej nie.

Po tej przemowie on i gospodarz poszli na górę, wołając mnie za sobą. Policjant przetrząsnął moje rzeczy i sieni-
nik, ale nie znalazł nic kompromitującego mnie. Na szczęście, odkładane przeze mnie tak już na wszelki wypadek, kanapki z tłuszczem i wędliną, schowane były gdzie indziej, ale to nie ze względu na policjanta czy gospodarza, lecz na myszy. Były ich tam takie mrowie, że w nocy chodziły mi po kółku, a w dzień to po każdym zakamarku czy gzymsie. Tak dla zabawy

tylko kupałem je rakoma, nawet po kilka sztuk, i wyrzucałem przez okno. Na poddaszu było składowane zboże i osypka dla bydka, tak że miały zawsze pełny spichlerz. Policjant ~~nie~~ nie znalazłszy, odjechał, ale jeszcze na odchodnym, groził mi swoją władzą.

Wieczorem dowiedziałem się, że Mietek miał identyczną przeprawę. Nie wiem, czy to była tylko gorliwość policjanta, czy też skutki naszej nieostrożnej gadaniny z kolegami. Być może ich zwierzenie się gospodarzom spowodowały powstanie wersji o naszej ucieczce. W każdym bądź razie, postanowiliś odtąd być bardziej ostrożni i nie rozmawiać z żadnym z naszych kolegów na ten temat.

Na świecie nie działo się dobrze. Niemcy byli stale górą. Ze starych gazet, bo przecież miałem tylko to, co dostawałem, wyczytałem o wojnie w Norwegii i zajęciu Danii. W naszym gronie nikt nie zajmował się polityką, a z pewnością większość nie miała pojęcia, gdzie ta Norwegia leży, i o co toczy się tam wojna. Poza Mietkiem można było na ten temat porozmawiać jedynie z Szymczakiem. On od czasu do czasu szukał niemieckiego radia u swojego partyjniaka i opowiadał nam jakieś najciekawsze nowiny. Chłop był sprytny i niegłupi. Nie widać było po nim, aby mu te nowe zwycięstwa niemieckie imponowały. Mieliśmy na tę sprawę wspólny pogląd, który dobrze wyrażało ludowe przysłowie: "dopóty dzban wodę nosi, dopóki mu się ucho nie urwie". Dla nas było absolutnie obojętne, co w danej chwili zagarniają Niemcy, bo wierzyliśmy światu w to, że całego świata nie zajmą a wtedy i na nas, Polaków, nawet tu w Dombenhnen, też przyjdzie czas działania. Tak, było, ale tylko do czerwca...

Tymczasem zaczęły się sypać listy. Dostałem od Iry i

od Jasi, a w końcu od Felka Drewnowskiego i Zdzisława Polakowskiego. Obydwaj byli w tym samym, co ja, powiecie Bastenburg. Postanowiliśmy, że czas już pomyśleć o wzajemnych odwiedzinach.

Mieliśmy ubrania, ale brakowało nam cywilnych koszul. Za zgodą naszych gospodarzy, wybraliśmy się z Mietkiem do Barten. Mieliśmy przecież kartki na tekstylin, na podstawie których można było kupić niektóre drobne rzeczy. Było tam kilka sklepów i zakładów rzemieślniczych. Największe wrażenie zrobiły na nas szyldy, z przekreśloną pisownią polskich nazwisk, na przykład szyld: Frankofsky Franz.

Rozochodiliśmy się tą wolnością pierwszą od roku. Zakupy były udane. W krzakach przebraliśmy się w nowe koszule. Dopiero teraz spostrzegliśmy, że do koszuli przydałby się również krawat. Wróciliśmy do sklepu i wybraliśmy dwa "twarzowe" krawaty. Na szczęście, były bez kartek. Do nienaganego wyglądu brakowało jeszcze ręki fryzjera.

Stanęliśmy przed drzwiami z szyldem golibrody. Weszliśmy do środka, powiedziałem głośno, ale grzecznie "mojem", co w tutejszej gwarze miało znaczyć "dzień dobry" i jak najlepszą niemiecką wyrecytowałem: Ich will Haare Schneiden" /chcę obciąć włosy/.

Fryzjer powoli odwrócił się do nas, popatrzył się na nasze żółte znaczki "P" i powiedział dobitnie "Nicht führ Polen". Cóż było robić, wyszliśmy. Na szczęście, z przyzwyczajenia nie powiedzieliśmy "Danke schön" /dziękuję/. Na ulicy spojrzeliśmy jeszcze raz na szyld, ciekawi, czy to jakiś Frankofsky, czy też inny. Na szczęście, był to Wagner.

Wieczorem na naszej jenieckiej giełdzie, powiedzieliśmy o tym zdarzeniu w formie sensacji, a nawet ostrzeżenia dla innych i postanowiliśmy kupić maszynkę do strzyżenia

włosów, brzytwę i zaspawiać te potrzeby cywilizacyjne w własnym zakresie.

W najbliższą niedzielę już wystrojeni w cywilne ubrania wybraliśmy do naszych panien na obiecaną zabawę. Tym razem bez przygód dotarliśmy do wsi i do poznanej zagrody. To już było rojno. Z daleka słyszeliśmy harmonie. Rej wodziły trzy kobiety, z których dwie poznaliśmy podczas poprzedniej wizyty. Wśród mężczyzn byli też cywile, ale autentyczni wywiezieni z Polski na roboty do Niemiec.

Wesoły nastrój udzielał się wszystkim. Tańczono na klepisku, a panny nie mogły narzekać na brak partnerów.

Obaj z Mietkiem, ubrani w porządne garnitury, prezentowaliśmy się chyba najlepiej. Poznana przeze mnie uprzednio panna wyraźnie mnie wyróżniała, tak że zacząłem się obawiać zazdrości jej wcześniejszych partnerów. Od czasu do czasu ktoś zaczynał podśpiewywać, ale dziewczyny zaraz uciśzały towarzystwo, bo na zebranie i tańce gospodarz stodoły pozwolił, ale na śpiewanie nie.

Była istotna różnica w stosunkach między gospodarzami a robotnikami i jeńcami w tej wsi w porównaniu z naszą Kolonią w Dombenhnen. Koloniści mieli zadawione lub świeżo narosłe pretensje do Polaków i ich postępowanie było dużo gorsze niż zasiedziałej tu już ludności. Widać to było nawet w Dombenhnen na przykładzie gospodarza Szymczaka, choć zaangażowany w NSDAP partyjniak zachowywał się do nas inaczej aniżeli Petery i inni.

16.VI.40 - sianokosy, zwozimy siano, upały, bardzo ciężka robota.

18.VII.40, czwartek - Was straszne wrzody, ucieczka.

1.VIII.40 - Przybyli do Dombenhnen nowi jeńcy wojenni pod strażą. Francuzi.

Zaczęły się upały. We Francji też toczyła się wojna. Nikt nie znał szczegółów, ani nie było żadnych informacji na ten temat. Wiedzieliśmy tyle, co Szynszak przeczytał lub usłyszał w radiu. Poza mnie i Mietkę nikt z naszych nie znał języka niemieckiego, nikt nie czytał gazet, gospodarze nie rozmawiali na te tematy ze swoimi robotnikami.

Mimo to byliśmy dobrej myśli, gdyż kto jak kto, ale Francja ze swoją armią i Anglia ze swoją flotą na pewno dadzą Niemcom łupnia...

Mój Peterek nie starał się o nowego robotnika. Również jego brat nie miał nowej siłki roboczej, mimo że stracił aż dwóch parobków. Pomagała mu jedynie siostra żony, która zjechała na letnie wypomóżki w gospodarstwie.

Zaczęły się zielone żniwa. Peter, jak wszyscy mieszkańcy tej wsi, miał kawałek łąki nad rzeczką od strony swoich teściów. Tam jeździliśmy też na koszenie siana. Ponieważ nie miał nikogo innego, teraz mnie dopuszczał do koni. Było to znacznie przyjemniejsze od ciągłego kręcenia się po podwórzu. Na łacie on kosił kosiarką, a ja przerzucałem trawę, aby lepiej sechła, i kopcowałem siano. Nieraz, gdy jechałem sam przez wieś pustym wozem drabiniastym, śpiewałem na cały głos jakąś szczególnie melodyjną piosenkę. Ponieważ głos miałem mocny, niósł się daleko. Przejżdżając koło Schmidtów specjalnie śpiewałem po polsku, najczęściej arię z "Małki" Moniuszki, "Szumi jodły..." Była to taka mała manifestacja. Czekałem na reakcję Kazurki ~~i~~ Schmidtowej i jej córek. Te młode dziewczyny chowały się i czasami widać było im tylko głowy, zza drzwi lub płotu. Bały się, czy też wstydzą swego rodzinnego języka, a może jedno i drugie. Schmidtowa przeciwnie. Kiedy tylko zaszedłem do nich, to rozmawiała ze

mną po polsku, to znaczy ona po swojemu, a ja po swojemu. Ale wiadomo, co jeden język to jeden, choćby nie wiem, jak pokaleczony!. Z dziewczynami rozmawiała jedynie po niemiecku a z naszym kolegą, który u nich pracował, pół na pół. Może przez te ślady nazurszczyzny w ich domu, inni koloniści stronili od nich. W szczególności zaś obaj bracia Peterowie.

Pewnego dnia, gdy przerzucaliśmy siano, zobaczyliśmy, jak ktoś pędził na koniu w naszym kierunku i coś krzyczał. Był to teść Petera, jadący na oklep. W chwilę później stał już przed nami i wykrzykiwał: "Victoria, Victoria, Frankreich caput, Kriegsende!" /zwycięstwo, zwycięstwo, Francja pokonana, koniec wojny/. Zdziwiliśmy się, każdy na swój sposób. Obaj Niemcy zaczęli sobie gratulować, pokrzykiwać, cieszyć się, że to już koniec. Na mnie nie zwracali żadnej uwagi. Odwróciłem się od nich niby do pracy, ale tak naprawdę, to żeby ukryć żal, swoją złość i rozpach. Co stanie się teraz z Polską?

Tego dnia na wieczorowym spotkaniu o niczym innym nie było mowy, tylko o kapitulacji Francji. Okazało się, że poza mną, nikt o tym nie wiedział. Postanowiliśmy z Mietkiem, tak na przekór wszystkim przyspieszyć ucieczkę i zacząć przygotowania, ale już na serio.

Wkrótce rozpoczęło się zwożenie siana. Teraz już pomagał nam teść Petera.

Ładowaliśmy siano na dwa wozy. Jednym powoził Peter, drugim jego teść i mimo znacznej odległości od żaki, zwieźliśmy je w ciągu jednego dnia. Podawanie siana z wozu na górę, na strych nad stajnią, było dla mnie ciężką harówką. Nie umiałem jeszcze oddzielać, ułożonych na wozie, poszczególnych kłębów i stale mocowałem się z nimi przy podawaniu i z wozu na górę.

Przez cały czas obaj z Mietkiem gromadziliśmy żywność, czyli podwójnie obłożone kuszki. Ponieważ Niemcy nie jedli świeżego pieczywa, nie było problemu z pleśnieniem. U nich chleb po upieczeniu musiał się parę dni odleżeć, a dopiero potem był podawany do konsumpcji. Chleb ich trzymał się znakomicie, nawet przez długi czas, zawinięty dobrze w papier lub przechowywany w jakimś niezbedniku lub naczyniu.

Obmyśliśmy już całą naszą eskapadę. W międzyczasie doszły nas wiadomości, że nasi chłopcy ucieczkowicze dotarli cało do domów i już zbierają zboże. Wiadomo, że szli oni "na gwiazdy" i na przełaj. My też postanowiliśmy iść na przełaj, ale nie "na gwiazdy", chociaż również nocami, trzymając się jednak dróg. Wyrwałem ze szkolnego zeszytu mapkę obecnych Niemiec /już po podboju Czech i Moraw oraz Polski i Austrii/. W tym wypadku ~~nie~~ ważne dla nas były nazwy miejscowości, po których winniśmy się orientować w naszych nocnych marszach. Zamierzaliśmy iść najkrótszą drogą na Warszawę, przez Rastenburg /Kętrzyn/, Allenstein/Olsztyn/, Neidenburg /Nidzica/. Granicę pruską mieliśmy przejść na wysokości Działkowa, a potem skierować się na Mława i Pułtusk do Warszawy. Jak z tego widać, była to droga armii niemieckiej uderzającej na Polskę z Prus Wschodnich. Mieliśmy trzymać się szos, nocować w lasach i zbożach, nie zachodzić do zagród i doić krowy na pastwiskach. Postanowiliśmy nie brać żadnych tobołów jedynie żywność i przyrządy do gotowania. Liczyliśmy, że za tydzień, powinniśmy być w domu, bo na terenie Polski planowaliśmy już jazdę pociągami.

O naszych przygotowaniach nie mówiliśmy nikomu, najwcześniejszy zamiar zrobić to później. Jako datę wymarszu wyznaczaliśmy sobie 18 lipca - czwartek. Właśnie w środku tygodnia, a nie

w niedzielę, aby zmylić czujność Niemców. Postanowiliśmy ruszyć w nocy już po udaniu się na spoczynek naszych gospodarzy.

Teraz zacząłem przygotowania. Przede wszystkim podrywałem gwoździe od mojej drucianej kraty w okienku i ze stać mi przyniosłem gruby powróż, który ukryłem w piecu. Zamierzalem bowiem spuścić się z mojego okienka w dół na ogród. Chleb chowałem w stodole pod dachem, bo u mnie zjadłyby go myszy.

Od dłuższego czasu intrygowały mnie małe drzwiczki na strychu przy głównym kominie. Któregoś dnia zajrzałem tam. Była to wędzarnia. Na dębowych trocinach wędziły się aż cztery duże szynki. Ognia nie było widać, tylko lekki dymek unosił się z trocin. Takie szynki po wielu tygodniach wędzenia można było jeść bez gotowania. Początkowo miałem zamiar wziąć jedną na drogę, ale rozmyśliłem się. Nie chciałem zostawić po sobie złego wrażenia, a po drugie, po co miałem dawać policji powód do oskarżenia mnie o kradzież.

Na początku lipca męczyły mnie straszne wrzody czy wrzodzianki. Usadowiły się, przede wszystkim, na rękach i barkach, ale najwięcej to na ręce lewej. Część z nich była duża z korzeniami, a pagórki wrzodowe wznosiły się przynajmniej na centymetr ponad poziom ciała. Inne były małe, ale usadowione jeden za drugim od karku do dłoni lewej ręki. Miałem gorączkę, nie mogłem spać, a tu zbliżał się termin ucieczki. Wyciskałem te wrzodziiska, jak mogłem, ale na miejscu jednych powstawały drugie. Na szczęście, było bardzo ciepło, robota z sianem też się skończyła, mogłem więc chodzić bez koszuli, aby ich nie urażać. Nie wiem, z czego powstawały te wrzody? Starsi koledzy mówili, że to przezię-

biona krew. Na pewno było w tym dużo racji. Na Litwie i w Stalagu całymi miesiącami spało się na betonie, ziemi, często mokrej, w chłodzie i głodzie, a teraz trzeba było za to płacić. Tłumaczyłem sobie, że ponieważ śpię na boku, to ręce, stanowiące naturalną izolację, w tym wypadku były narażone w pierwszym rzędzie na to przeziębienie.

Wieczorem przed ucieczką postanowiliśmy powiedzieć Szymczakowi o naszych planach. Nie pochwałał, ani nie ganił. Widać było, że trochę mu żal, że zostaje, ale swoich poglądów na ten temat nie zmienił nawet teraz, więc nie przekonywaliśmy go wcale. Zostawiliśmy adresy do naszych domów, tak na wszelki wypadek. Po jakimś miesiącu od naszej ucieczki miał wysłać do naszych domów listy informujące rodziny o niej. Wszystko po to, aby został jakiś ślad po nas w wypadku, gdyby coś stało się nam po drodze. Głośno nie mówiliśmy, co to mogło być, ale w głębi duszy każdy z nas wiedział, o co chodzi.

Żał mi było zostawiać Niemcom swoje wojskowe ubranie, dlatego przed ucieczką powiedziałem swojemu najbliższemu sąsiadowi, zatrudnionemu u Schmidtów. Umówiłem się z nim, że tobół z moimi rzeczami zostawię w życie pod słupem trakcji elektrycznej, naprzeciw bramy gospodarstwa Schmidtów.

Wieczór tuż przed ucieczką przesiedzieliśmy z Mietkiem pod szopą jeniecką we wsi. Czekaliśmy aż gospodarze i cała wieś uśnie, aby łatwiej było nam przemykać się między opłotkami. Umówiliśmy się w tym samym miejscu około północy już z rzeczami.

Wróciłem do domu. Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz. Jak zwykle, a może trochę głośniejsze, zamknąłem je. Wszedłem na górę, zachowując się przy tym głośniejsze niż nor-

malnie. Wszystko po to, aby uspić ewentualne podejrzenia go podarzy.

Wszedłem do swojej izdebki i skontrolowałem, czy ktoś w niej nie myszkował. Lina była na swoim miejscu w piecu. Zaczęłem ubierać się na drogę w cywilne rzeczy. Niestety, wrzody wciąż dawały znać o sobie. Jeden był tuż przed pęknieniem, więc wycisnąłem go, mimo bólu, jaki sprawił. Teraz nie było czasu na zabawę. Poświęciłem na to swój opatrunek osobisty, który nosiłem przez wojnę i obozy - trudno.

Nie mając zbyt wiele czasu, drobne rzeczy powrzuciłem w mały worek. Również chleb, który od wczoraj był w piecu. Rzeczy wojskowe związałem w toboż, z płaszczem włącznie. Przesiedziałem jeszcze z pół godziny i wyciągałem linę z pieca. Dom spał. Przeżegnałem się i rozpocząłem kolejną wędrówkę.

Do cichutka zdjąłem siatkę drucianą z gwoździ i wciągnąłem do środka. Linę przymocowałem do futryny. Na końcu liny zaczepiłem toboż i spuściłem się ostrożnie w dół. Chwilkę nasłuchiwałem - panowała cisza. Okienko moje wysoko w szczycie było jedyne od strony drogi. Nawet pies nie zaszczał, spał w swej budzie z drugiej strony domu. Teraz włożyłem buty i z tobożem na plecach ostrożnie wyszedłem na drogę. W życie naprzeciw Schmidta zostawiłem toboż i lekkim krokiem szybko podążyłem do wsi. Pod szopę mignął mi jakiś cieć. Obejrzęłem go ostrożnie dookoła. Na szczęście, był to tylko kłosek. Złościł się, że tak długo marudziłem, podczekał, gdy on tu tyle już czekał. Nie kłóciłem się z nim, tylko ostrożnie wyszliśmy na drogę w kierunku Rastenburga. Marszowali szybko. Spotykane zagrody omijaliśmy polami. Szło nam pogodnie i do kolan zmoczeni byliśmy od rosy. Do cichu ci

azyliśmy się z wolności. Mietek miał tylko chlebak i śmiał się z mojego worka. Na pierwszym postoju obiecywałem sobie, że rozparceluję to wszystko po kieszaniach i do chlebaka, tak aby mieć wolne ręce. Od czasu do czasu wdzialiśmy pasące się krowy na pastwiskach i śmieliśmy się, że oto stoją nasze polowe mleczarnie. Było nam radośnie i swobodnie.

Niebo zaczęło bieleć na stronie wschodniej. Pierwsza oznaka wschodzącego słońca. Nie hamując marszu, zastanawialiśmy się, co robić z naszym pierwszym wolnym od roku noclegiem, a raczej dniem. Czy idziemy w zboże, czy też szukamy lasu. Gdzieś na coraz jaśniejszym horyzoncie zobaczyliśmy drzewa i postanowiliśmy skierować się w taką stronę. Szliśmy teraz drogą, ale cały czas staraliśmy się iść po jej zacienionej stronie, po poboczu. Ten odcinek drogi był akurat usypany groblą wśród pól opadających całkiem stromo w dolinę. Przecinaliśmy właśnie drogę w poprzek, gdy nagle usłyszeliśmy: "halt, was ist los, halt, ich schiese" /stój, co to jest, stój bo strzelam!/ Obejrzałem się, przerażony, przez ramię, a tu z roweru zeskokczył wysoki policjant w wpolicyjnym hełmie i złapał mnie za ramię. Drgnęliśmy obydwaj ze strachu i, jak błyskawica, przenikła nam myśl, że już po naszej ucieczce. Koniec wolności. Ukradkiem patrzyliśmy na siebie i na policjanta. Mimo ciemności, widać było, że to już starszy mężczyzna. Musiał nas widzieć, jak przechodziliśmy drogę, i jechał bez skręcania z górki, po cichutku i tak nas niespodziewanie w ciemności capnął. Nie miał żadnego pistoletu, tylko gumową pałkę. Teraz prawą ręką prowadził rower, a my jak baranki szliśmy z nim. Ja po lewej stronie roweru, a Mietek po prawej.

Nagle Mietek rzucił na pod nogi chlebak i zeskokczył

z drogi w dół. Próbowałem zrobić to samo w lewo, ale ten chwycił mnie jak szponami za kark. Jeszcze było słychać tupot nóg Mietka po polu i cisza. Słyszałem, jak mi głośno biło serce.

Ciszę przerwały dopiero przekleństwa policjanta. Ciągłe trzymając mnie za kark, wygrał kułakiem głaz w kierunku uciekającego Mietka. Jak się już wyładował i wysapał, kazał mi podnieść chlebak Mietka i ponaszerowaliśmy środkiem szosy. Po chwili skreśliśmy w boczną drogę opatrzoną, jakimś napisem, którego, niestety, nie przeczytałem, i za kilkanaście minut weszliśmy do niedużej miejscowości.

Po drodze policjant wypytywał mnie, skąd idę, dokąd i po co. Ale robił to tak chaotycznie, bez porządku, i ciągle pokrzykiwał "Scheisse dom, Schweinehund". Mieszał przy tym słowa polskie i niemieckie. Był albo Mazurem, albo miał dość do czynienia z Polakami. Z jego chaotycznej krzykliwej gadaniny zrozumiałem, że jechał na służbę i niespodziewanie nas nakrył.

Podeszliśmy pod budynek z Szyldem, wtedy zrozumiałem, że jesteśmy na posterunku policji. Na niebie już widać było pierwsze promienie wstającego słońca. Na posterunku spał na stole jakiś inny policjant. Chwilę poszwargotali między sobą o mnie i o pogoni za Mietkiem. Ten drugi skapał karabin ze stojaka i wybiegł z posterunku. Teraz mój opiekun pokazał że on też coś umie i, ciągle trzymając mnie, zaczął okładać swoją pałką. W końcu pchnął mnie w otwarte drzwi pustego aresztu. Zatrzasnął drzwi i zostawił sam. Gdy oczy oswoiły się z ciemnością, zobaczyłem, że w celi stoi pryzak. Nie wiem, czy to z emocji, czy dzięki koszuli i marynarce, nie poczułem za bardzo tych pałek. Chlebaki zostały na posterun-

ku. Teraz dopiero poczułem zmęczenie ale i odprężenie. Siedziałem na pryczy i po cichutku zacząłem użalać się nad sobą. Zazdrościłem Mietkowi, że był po prawej stronie roweru. Ale widocznie zmęczenie wsi ze górą nad emocjami, to tak siedząc w kucki, usnąłem na deskach pryczy.

Obudziko mnie głośno: "Aufstehen! / wstać/. Podrwałem się z pryczy i w tym momencie poczułem, że całe plecy barki i ramiona ogarnął mocny, tępy ból. Tu dopiero teraz wychodziły na wierzch te pałki policjanta. W drzwiach stał mój policjant. Na zewnątrz był już pełny dzień. Wyprowadził mnie z celi. Weszliśmy do znajomej już kancelarii. Ze ściany patrzył na mnie Hitler, Goering i ktoś trzeci, chyba Hess, oraz duży rozcapierzony orzeł z Hackenkreuzem. Za biurkiem siedział jakiś starszy podoficer. Rozpoczął spisywanie moich personali, imię, nazwisko, gdzie pracowałem, u kogo o. Pisał wolno, wypełniając jakiś formularz.

Na razie jest dobrze - myślałem i cały czas starałem się odpowiadać jak najgrzeczniej. Mój znajomy stał cały czas z tyłu. Po tych stereotypowych pytaniach spytał, czy dostawałem dobrze jeść, czy gospodarze płacili mi za pracę, czy miałem dobre spanie, czy się dobrze do mnie odnosili, a może mnie bił?

Cały czas spokojnie i raczej rzeczowo, zgodnie z prawdą, odpowiadałem pozytywnie o gospodarzach, nawet nie mówiłem o tych markach, które wypłacali każdorazowo z krzykiem. Jeśli było tak dobrze, to dlaczego uciekałeś? Uciekałem do domu, bo tego nie zabraniała jeniecka wojenna ani międzynarodowe prawo /o tych rzeczach często rozmawialiśmy na Litwie z doświadczonymi oficerami/. Specjalnie rozmowę kierowałem na jeniectwo, zdając sobie sprawę, że jeniec wojenny, a przecież do takich się zaliczałem, ma jeszcze jakieś prawa, a

cywil żadnych.

Teraz podoficer zaczął łasnio i, w niarę mówienia, w dać było, że si podnieca, stopniowo podnosił głos, aż zaczął krzyczeć, wygrażając przy tym rękami: "du Schwein, du Schweinhund, Bandit, Arschloch" i wiele innych podobnych karczemnych przezwiań, których nie sposób zapamiętać.

Stałem na baczność czujny, patrzyłem mu w oczy, ale bez bezczelności, w nadziei, że może się na tym skończy. W pewnym momencie wydało mi się, że dał jakiś znak do tyłu i otrzymałem stamtąd pałką po głowie, po karku, ale już nie tak, jak w nocy. Tamto to było głaskanie w stosunku do tego. Mój prześladowca był to chłop wysoki i zanach miał dobry. Usłyszałem jeszcze, jak z tyłu otworzyły się drzwi i nowa pałka włączyła się do akcji. Zrobili kółeczko pałkami, oddając ofiarę jeden drugiemu. Z początku nie robili uników, potem już straciłem kontrolę nad sobą. Zacząłem caśkaniąc się rękoma i to mnie chyba zgubiło, bo przez to zbliżyłem się do stolika. Tu przesłuchujący mnie podoficer złapał mnie za kołnierz i zaczął okładać po głowie i po twarzy suszka drewniana, a raczej tą gałką od trzymania. Pierwsze uderzenie otrzymałem w czoło, po tym już nie czułem gdzie, głowa podskakiwała na wszystkie strony, a z tyłu policjanci w dalszym ciągu okładali mnie pałkami, gdzie popadało. Nagle poczułem jakiegoś mocniej ze uderzenie w głowę i to było ostatnie, które zapamiętałem.

Gdy otworzyłem oczy, to zobaczyłem twarz policjanta i kubek, z którego polewał mnie wodą. Leżałem na podłodze. Widziałem nogi stołu, a między nimi nogi w butach z cholewkami.

"Aufstehen" - ryknął policjant i poprowadził rozkaz pał-

ka. Pomału na rękach unosikiem się z podłogi. Powiałem w trakcie tej masakry zemdleć. Na le poczułem, że dwóch ludzi wlecze mnie, nogi moje zaczepiły się o próg, potem o drugi, rzucono mnie na deski, w ostatniej chwili pomyślałem, że to chyba znów areszt i zemdlałem.

Nie trwało to jednak długo, gdyż ból przywrócił mnie do przytomności. Cała górna połowa ciała, to był jeden ból, ale najwięcej głowa. Zdawało mi się, że zamiast jej mam jakiś pusty bolący garnek. Prawie nie widziałem. Czuję, jak mi krew wpada do ust. Każde poruszenie prawym barkiem sprawiało mi dodatkowy piekielny ból, który odbijał się znów w głowie. Wreszcie wyciągnąłem chustkę i wytarłem sobie najpierw oczy, po tym nos. Na prawe oko nie widziałem, lewe pracowało normalnie. Krew z wodą ciągle kapkała mi z głowy. Usta i nos znów miałem pełne krwi. Nie patrzac już na nic, wyplułem to wszystko na podłogę i od razu poczułem się lepiej. Całe dłonie, rękawy i przód mojej marynarki były zapaprane krwią. Uniosłem się z pryczy i siadłem. W tym momencie jakieś bżyskawice bólu rozeszły mi się po całym ciele i rozsadały czaszkę. Ale siedziałem, przeczekując ból. Rozum mówił, że tak jest lepiej. Chustka była już mokra, nie wycierała, lecz rozmarzywała krew na twarzy. Widziałem już lepiej, chociaż tylko na jedno oko.

Usłyszałem otwieranie drzwi i po chwili pokazał się w nich dryblas policjant, a za nim jakaś siostra szpitalna z neseserkiem w rękę. Podeszła do mnie i otworzyła neseserok. Była to podręczna torba lekarza. Zaczęła dezynfekować i opatrywać rany. Znów straszny ból przeszył mi głowę w kilku miejscach. Teraz już odróżniałem, że większy był po prawej stronie. Istotnie, tam siostra najwięcej drubała,

później przy całej, również po prawej stronie, wreszcie wzięła się za twarz. Wyczułem zapach spocyfików, oczy i uśmiechem zaciśnięte z bólu. Czułem, jak wycinała mi w dwóch miejscach włosy na głowie, znów ból. Po tych zabiegach się dażowała mi głowa.

Policjant, widząc, że wszystko jest w porządku, wyszedł z celi. Siostra, manipulując przy głowie, nagle spytała, czy jestem. Odpowiedziałem zdziwiony, że jestem Polakiem, jeńcem wojennym na robotach. Ona też była Polką, tyle że ewangeliczką. W tej ciemnej celi zabłysnął nagle jakiś tęczy promyk słońca. Po chwili zaczęła mówić cicho po polsku, z wyraźnym akcentem mazurskim. Była spod Olsztyna ze wsi. Ze względu na liczną rodzinę musiała podjąć pracę w szpitalu. Później skończyła kurs pielęgniarski. Dowiedziała się od niej, że tam pod Olsztynem, było dużo Polaków - Mazurów, a wszyscy bali się hitlerowców. W tym momencie usłyszałem kroki policjanta i ona od razu przerwała ten krótki monolog. Przemysła jeszcze moją twarz i okolice oczu. Oko, na szczęście, było w porządku. Zaczęła spakowywać swoją torbę. Spojrzałem na nią uważnie. Była to kobieta już dobrze po trzydziestce. Miała jakiś ciemny habit i podobne nakrycie głowy, ale nie była to suknia zakonna, ani szpitalna, coś pośredniego. Na piersi miała przypiętą dużą broszkę z emblematem czerwonego krzyża. Na koniec dodała, że nie jest tak źle i wyszła.

Gdy tylko policjant zamykał celę, natychmiast krzyknął, że chce do ustępu. Ten z nieopuszczanym przy każdej okazji wyzwiskiem "cheise", wreszcie powiedział: "komm" /chodź/. Z trudnością, ale wstałem. W końcu korytarza był ustęp. Przed nim zobaczyłem kran. Nie pytając się już o nic

ruszyłem w stronę kranu. Próbowałem odkręcić kran, jak zwykle prawą dłoń, ale po całej stronie ciała przeszył mnie ból. Nie mogłem w ogóle podnieść ręki do góry, a palce były całe zdrętwiałe. Pragnienie okazało się jednak silniejsze. Lewą ręką odkręciłem kran i piłem, piłem. Potem wypłukałem jeszcze usta i swoją zakrwawioną ciustkę. Wtedy dopiero wszedłem do ustępu. Policjant jakos nie reagował na moje zabiegi. Co oni zrobili mi z ręką? Teraz dopiero przypomniałem sobie, że w czasie tego bicia pałkami, od czasu do czasu, właśnie w okolicy prawego ramienia, odczuwałem jakieś silniejsze, boleśniejsze uderzenie.

Policjant poganiał mnie zza drzwi. Wszedłem i na odfętwiających nogach, dowlokłem się do celi. Tu zaraz zwaliłem się na prycze. Od razu zapadłem w taki półsen, półdrzemkę z której budziłem się z wielkim stęknieniem, gdy tylko próbowałem otworzyć oczy, poruszyć głowę. Miałem uczucie, że, zamiast głowy, mam jakiś balon, który boleśnie mnie uciska. Nie wiem, ile tak siedziałem, bo o leżeniu nie było mowy, chyba długo. Wreszcie zasnąłem.

Zgrzytnęła zasuwą. Do celi wszedł policjant z miską w ręku i kawałkiem chleba. Nic nie mówiąc, postawił to na pryczy i wyszedł. Pomyślałem, że to chyba dla mnie. Mimo to nie chciało mi się ruszyć z miejsca. Każdy ruch powodował kożysanie się mojego "balona", a prawy bark przeszywał ból. Rozum jednak dyktował inaczej. Siadłem więc na pryczy, spuściłem nogi i lewą ręką ująłem kęskę. Była to pożywna zupa jarzynowo-mięsna, ze wszystkimi jarzynami z brakuwio włącznie a nawet parę kawałeczków mięsa. Jadłem z trudem, zwłaszcza trudno było mi gryźć ten suchy ciulec. Jakimś cudem, nie miałem rozbitych warg, ani powybijanych, czy ruzających się

zębów.

Powoli, powoli, zjadłem wszystko. Siadłem w kucki, oparłem się o ścianę i zdżemnąłem się. Baza pozycja sprawiała mi najmniej bólu.

Znów zgrzytnęły zasuwki i policjant, tym razem inny, chyba ten od trzonka, ryknął "Abort" /ustęp/. Zgranoliłem się z pryczy. "Miska" - krzyknął znów i zrobił ruch do udzielenia. Wziąłem miskę i poszedłem w kierunku ustępu. Miałem ogromne pragnienie. Doszedłem do kranu i piłem, ale tylko mogłem. Wreszcie opłukałem miskę i zwilżyłem chustką. Baza mi bardzo pomocna do okładów na bolące miejsca.

Był już wieczór. Noc przespałem dobrze, choć, ilekroć próbowałem oprzeć się o ścianę - prawym barkiem, przeszywał mnie ból.

Rano ~~znów~~ usłyszałem zgrzyt otwieranych drzwi. I wszystko zaczęło się od początku. Abort, picie wody, aż do zapamiętania, a w południe miska z jakąś zupą. Teraz już czułem głód, jednak nie upominałem się o nic. Zrozumiałem, że będę dostawał jeść tylko raz dziennie. Dobrze, że chociaż zupy były pożywne. Myślałem, co będzie teraz. Jak długo będę tu siedzieć? Nikt ze mnie nie rozmawiał. Wieczorem nie dostałem nic do jedzenia. Dotykałem swojej twarzy. Czułem pod palcami małe zgrubienia, strupki, ale głowa i bark bolały w dalszym ciągu.

Chodziłem już po celi, okienko było wysoko, zakratowane solidnymi sztabami. W zupełnych już ciemnościach położyłem się na pryczy. Nic nie miałem zamieć. Do bólu głowy doszedł jeszcze głód. Woda nie zastąpiła jedzenia.

Było chyba jeszcze rano, bo czułem chłód poranka, gdy zasuwki zgrzytnęły. Abort - krzyczał znów drapał. Wy zedłem

Nie minęło 15-20 minut. Pociąg stanął. Wysiedliśmy. Był to Rastenburg, miasto powiatowe. Szliśmy ulicami pełnymi ludzi. Wszyscy unikali wrokiem mojej zabandażowanej głowy. Doszliśmy do Arbeitsamt. Umundurowany woźny wziął jakiś papierek od policjanta i poszedł. W poczekalni było trochę ludzi. Usiedliśmy. Po dobrej półgodzinie wezwano nas do pokoju. Pierwszą osobą, którą zobaczyłem, była Peterowa, po tym jakiś urzędnik, który spojrzał przelotnie na moją głowę i twarz i zaczął przemowę, z której zrozumiałem, że Peterowie zgodzili się mnie przyjąć z powrotem, a więc mam szczęście, że nie wracam do Stalagu, albo do Soldau. Następnie powiedział coś policjantowi, ten wyszedł. Peterowa coś podpisała jeszcze, a po chwili i my tylko już z nią opuściliśmy ten pokój. Nikt się mnie o nic nie pytał, nikt nie pytał o moje zdanie - byłem zwykłym przedmiotem.

Przed Arbeitsamtem stał wózek do mleka Peterów, ten sam, którym jechałem do nich parę miesięcy temu. Ruszyliśmy znów tą samą drogą jak wówczas. Było już południe. Głód skręcał mi kiszki, gdyż, poza porcją wody, nie jadłem nic od wczerej. Tym razem prawdopodobnie nie było kanapki dla niewolnika. Nałożyłem na głowę czapkę. Spadała mi ciagle, bo nie mogłem jej dobrze docisnąć do głowy, gdyż przeszkadzał bandaż. Powozika Peterowa. Wyjechaliśmy wreszcie z miasta. Tu dopiero Peterowa raczyła się odezwać, że nie mieli zamiaru odbierać mnie z powrotem, ale tylko mój młody wąż zdecydował o ich dobroczynności. Myślała, że ja to docenię i odrobię w gospodarstwie.

O to przecież chodziło. O to gospodarstwo, a nie o mnie. Uszy już żniwa. Jeden robotnik uciekł, na jego miejsce nie mają nikogo, teraz drugi. Zostaliby sami, a dzieci

x/ .. tym miasteczku po zajęciu go w 1939 roku, Niemcy urządzili obóz koncentracyjno-szkoleniowy dla SS w dawnych polskich koszarach wojskowych.

maże nie pomaga.

Nawet nie zapytała o moją głowę pod bandażem. Ale twarz dawała świadectwo tego, co jest również pod bandażem.

Właściwie nie miała zamiaru z nią dyskutować. Ale dlatego, że nie miała zamiaru kończyć tej gadaniny, to przerwałam jej i powiedziałam, że ja tu nie przyjechałam dobrowolnie i nie jestem żadnym robotnikiem rolnym. Miejsce każdego jest we własnym kraju, wśród swojej rodziny. Powiedziałam to jakoś podniesionym głosem, bo sam mimo woli rozczuliłam się dopiero nad sobą. Umilkła, odsunęła się tylko dalej ode mnie i jechaliśmy już odtąd w milczeniu.

Pod wieczór byliśmy już w Dombeknen. Poprosiłam ją, aby około zagrody Schmidtów zatrzymała się. Spojrzała na mnie niezrozumiale, ale ja już zszedłam z wozu. Poszedłam pod szop. Tobóć z moimi rzeczami leżał jeszcze nie ruszony. Przyniosłam go i rzuciłam do wozu. Chociaż tyle, pomyślałam, że to zostanie! W czym pracowałbym u tych Szwabów.

Ona spojrzała na mnie zdumiona. Ja wdrapałam się już na wóz, a konie, czując dom w pobliżu, same ruszyły dalej.

Na podwórzu nie było nikogo. Peter sam doił krowy w okólniku. Chcąc nie chcąc wszedłam w swoją normalną rolę i mimo, że mnie wszystko bolało, a żółtek piszczał z głodu. Wyprzągnęłam konie i zaprowadziłam do stajni. Zauważyłam, że nam od czasu do czasu zachwiana rozmowa.

Peter, jak mnie zobaczył z tym bandażem na głowie, to zachichotał dziwnym karzeżkowatym głosem i, poza zdawkowym w tym wypadku: "War es aber sehr angenehm du Dunkomp" /Co było bardzo przyjemnie ty głupi źbie/, nie rozmawiał z nią.

Aby poprawić trochę nastrój, a może już z nawyku, pomogłem mu trochę z obrządkiem. Poustawiałem banki z salkiem i właściwie był to już koniec dnia roboczego. Powlokłem się z tobożem na łóżko. W izdebce było wszystko tak, jak zostawiłem. Krata leżała na drugim łóżku. Okno otwarte, a postronek tak, jak go zostawiłem.

Rozpakowałem się i dopiero pomyślałem o jedzeniu, a właściwie o piciu. Widocznie miałem gorączkę. Na pewno nie dadzą do jedzenia dzisiaj w myśl zasady nie pracować, to nie jeść! Mimo to, poszedłem do studni napić się wody. Trochę pod pozorem zobaczenia się wreszcie w lusterku. Trochę, aby zobaczyć, czy postawili dla mnie jedzenie, zaszedłem do kuchni.

Jedzenia na stole nie było. Nie wiem, czy Peterowa nie zdołała go naszykować, czy też mieli zamiar mnie w ten sposób ukarać. Tutaj przypomniałem sobie, że urz. duik w Arbeitsamcie powiedział Peterowej, że nie skarżyłem się na nich, że mówię, że jedzenie jest u nich dobre i pod dostatkiem.

Wreszcie spojrziałem w lustro, wiszące nad stojącą umywalką. Twarz miałem pokaleczoną w kilku miejscach. Najciężej pod brodą, ale również nos i pod lewą skronią. Na szczęście, nie zżerał mi sużka nosa. Pod bandażem wyczułem dwie rany. Jedna na czole, druga po prawej stronie głowy nad uchem, ta bolała więcej. Cała twarz po prawej stronie była fioletowa. Prawe oko było zakryte do połowy spuchniętą powieką. No i jeszcze ten prawy bark.

Wyszedłem z kuchni, ale po chwili Peterowa zawiązała mnie na kolację. Schowałem honor do kieszeni i poszedłem jeść. Z tym jedzeniem też nie było tak prosto. Powoli,

powoli, odrzucając skórki, jakób jajadzen sie. Zaraz też p
szedłem spać. Był doś i zmeczenie widocznie zrobiły swoje,
ustan.żen.

Rano usłyszałem codzienne "Tadejas", jakby nie w nie
dzyczasie nie zaszkło. Z nawyku zerwałem sie z łóżka, ale w
głowie zakreciło mi sie i upadkbym na podłogę. Chwyciłem
sie stożu. Z głowa moja było coś nie w porządku. Z trudem
ułożyłem sie z powrotem i nie odzywałem sie.

Po dobrej chwili przyszedł Peter, aby mnie pogonić d
roboty. Odpowiedziałem mu, że jestem chory i nie mogę wsta
Coś mruknął chyba jakies przekleństwo, ale wyszedł bez dal
szego gadania.

Pod wieczór zwlokłem si na dół. W głowie jeszcze mi
si kreciło, ale pomożem im troche przy wieczornym obrzęd

Tego wieczoru nie poszedłem już do wsi. Dopiero za
kilka dni zaszedłem do szymczaka, aby poprawić mi bandaż.
Tu już o wszystkim wiedzieli, bo przecież jego gospodarz
był partyjnym i miał telefon.

Na twarzy rany już pozasychały, tylko teraz wystąpił
sinizny i strupy. Na czole rana była jeszcze nie zagojona.
Na dobrą sprawę, powinna być spięta klanra, ale dalem z t
spokój. Na głowie rana była mniejsza, ale głębsza. Tam bo
lało teraz najwięcej. Obydwie rany były wygolone, tak że
było widać dobrze.

Szymczak poświęcił na obwiązanie głowy swój osobist
własny opatrunek. Na prawe oko widziałem już prawie normal
nie, tylko wokół niego uformowała si okropna fioletowa
nizna.

Opowiedziałem mu krótko wszystko jak było. Nie chot
łem tym razem siedzieć długo we wsi i wrócić do siebie.

Następnego dnia w południe niesłem mleko z pastwiska na nosikach do domu. We wrotach zobaczyłem naszego policjanta gminnego na swym olbrzymim koniu. Stał przy studni, a ja powoli wchodziłem na podwórze. Kazał mi zdjąć bańki z nosików, odstawić pod ścianę i podejść do niego. Nie schodząc z konia, powoli wyjmował swoją gumową pałkę. Stałem obok konia bez koszuli i bez marynarki. Nagle bez słowa zamachnął się dobrze i tak na odlew rąbnął mnie z całej siły po ramionach. Powbórzył raz i drugi, na szczęście nie po głowie i nie po bandażu, ale niestety, po polacym prawym barku. Poczujęm się jakby porażony prądem. Stałem bez ruchu patrząc mu tylko w oczy. Bez słowa zaczepił pałkę u pasa i tak jak przyjecha, tak i odjechał.

Na podwórzu, oprócz mnie, nie było nikogo. Nie zauważyłem też, czy wyglądał ktoś z gospodarzy przez okno. Po chwili chwilo i z bezsilnej złości ścisnąłem pięści. Poszedłem za stodołę.

Siadłem i szklanymi oczami patrzyłem na świat. W pierwszym momencie postanowiłem nie iść na obiad, a może i do roboty popołudniowej. Rozmyśliłem się jednak, gdyż w ten sposób dałbym Szwabom satysfakcję. Oni i tak się na ty nie poznają. Przestałem rozpamiętywać to nowe bolesne zdarzenie. Tyle tylko, że bark mnie bolał więcej niż przed tym.

Na obiad poszedłem do kuchni, nie dając absolutnie znać po sobie, że coś się stało. Wymyłem ręce, co zawsze sprawiało uciechę wszystkim Peterom, popatrzyłem w lustro na moje strupy i obiad przeszedł normalnie. Wieczorem przy dojeniu Peter takim jakimś trochę przepraszającym głosem powiedział, że on policjanta nie przyzywał, musiał przyjechać z własnej inicjatywy - dodał. Następane dni też były

upalne, toteż również pracowałem bez koszuli i miałem satysfakcję, jak Peterowie odwracali oczy od moich pleców, na których wyrosły sine pręgi jak palce.

Ani nieudana ucieczka, ani to i tamto bicie nie zmieniły moich obowiązków na gospodarstwie. Po tygodniu, czy dziesięciu dniach zdjęłem wreszcie brudny bandaż z głowy i tylko wygolone miejsca oraz szramy na głowie i na twarzy przypominały o tragedii, jakiej doznałem dwa tygodnietemu.

Lato było w pełni, a z nim i żniwa. Gospodarz wyciągnął z szopy żniwiarkę, z takimi wiatrakami, która, oprócz koszenia, miała wiązać i odrzucać snopy.

Smarował ją i uruchamiał na podwórzu i szykował sprzęt do żniw. Najpierw trzeba było obkosić pole naokoło, aby zrobić drogę dla żniwiarki. Któregoś dnia wzięliśmy kosy i poszliśmy do żyta /pszenica w tej okolicy nie była siana w ogóle, ziemia była na to za słaba/. Gospodarz pokazał mi, jak się kosi. Wcześniej kosikiem już trochę zieloną koniczynę na karmę dla bydła, ale przekonałem się, że żyto kosi się inaczej, z rozmachem. Jak z rozmachem to z rozmachem. Wziąłem rozmach. Kosa w ziemię, szarpnąłem i po kosie. Na moje szczęście, Peter był przy tym, bo mógł pomóc, że złamałem kosę specjalnie. Zabrał złamaną kosę i lekcja szła dalej. Pod wieczór już wykosiliśmy kawał drogi dla żniwiarki. Do domu wracałem prawie na czworakach. Cały połamany od tego nieumiejętnego machania kosą.

W czasie żniw i Peterowa miała zajęcia. Jedziła na snopowizakce, a my z Peterem ustawialiśmy snopki. Dzieci, a zwłaszcza starszego chłopca, absolutnie nie wciągał do roboty rolniczej. U nas przy żniwach pracuje cała rodzina, nawet małe dzieci - tu było inaczej. Zresztą u Schmidtów

też być podobnie.

Żniwa czy nie żniwa, robota szła tak samo, jak i przedtem od godziny do godziny. Nie było żadnych przeciągań do nocy, żadnego zrywania się o świcie. Fakt ten szczególnie mnie zdziwił, ponieważ w naszych polskich wsiach w czasie żniw "świt wygania, noc przygania", aby tylko zdążyć na czas na pogodę. Mechanizacja pracy dawała Peterowi tę pewność, że zdąży ze wszystkim i to bez nadmiernego pośpiechu. On zdążył, ale nie wszyscy zdążyli. Jadąc czasami z mlekiem do Barten widziałem stojące na polu nie złote żyto. Tymbar-dziej, że w Prusach i wiosna, i lato zaczyna się później, aniżeli w Polsce, a jesień przychodzi wcześniej.

Któregoś popołudnia, gdzieś w śródtku żniw, gruchnęła nowina, że do wsi mają przybyć jeńcy francuscy. Maja ich zakwaterować w tym domu, w którym stali przed tym nasi jeńcy cywilni.

Wieczorem po obrzędku pobiegłem do wioski. Przed krytą słomą chałupą kłębił się tłum różnych ludzi, dzieci. Najwięcej chyba było Polonusów. W śródtku widać było kilkunastu żołnierzy w czarnych beretach. Byli porządnie umundurowani. Zielone sukienne płaszcze z brązowymi guzikami, sukienne mundury - również zielone, krótkie owijacze, na głowie czarne berety.

Dla naszych żołnierzy berety w wojsku - to była zupełna nowość. Ja to widziałem już w Lublinie w naszej bronii pancernej, której oddziały stacjonowały za stacją w tak zwanym obozie południowym /wg nomenklatury starych Lubliniaków/ - oddziały te wchodziły w skład brygady płk Maczka. Francuzi mieli całe umundurowanie wraz z plecakami i butami w bardzo dobrym stanie, wprost nowe. Przybysze krocili się

tan i z powrotem. Urządzali się. Ich późniejsi gospodarze przywieźli im sienniki ze słomą i pościel. Powtórzyła się ta sama historia, co poprzednio z polskimi jeńcami cywilnymi. Francuzów pilnowało dwóch uzbrojonych żołnierzy niemieckie ze starszych roczników, ale obecnie nie wtracali się do tej krzataniny.

"Salut! Comment ça va" /czółem, jak idzie/ - odezwał się głośno do tych nowych kolegów, przypomniawszy sobie nogę nauczoną na Litwie francuzczyzną, ale nikt nie śpieszył się nawiązać ze mną kontaktu. Zebraliśmy się swoją grupą. Popatrzyliśmy się jeszcze trochę na te krzataniny, a ponieważ w dalszym ciągu Francuzi nie próbowali z nami nawiązać kontaktu, trochę o to obrażeni, wróciliśmy do naszych domów.

A więc to była przyczyna tylu zwolnień żołnierzy polskich ze Stalagów. Nie tylko zapewnienie ręk do pracy, ale przygotowanie miejsc w obozach dla Francuzów, Belgów i innych narodowości.

Następnego ranka, drogą w kierunku naszej kolonii posuwała się mała kolumnienka. Tworzyli ją tym razem już jeńcy francuscy. Szli dwójkami pod opieką wachmanna. Przy każdym gospodarstwie zatrzymywali się i odchodził od niej jeden lub dwóch jeńców w zależności od przydziału dla danego gospodarza. Gospodarz zamieniał wartownika na darmową pracę jeńca wojennego. Korzystał na tym i Wehrmacht, gdyż zmniejszał w ten sposób ilość potrzebnych wartowników, i człek niemiecki, bo miał darmowego pracownika. Obie strony były zadowolone. I jak tu nie chwalić Führera!

Kolumnienka zatrzymała się, składała się już tylko z trzech jeńców. Brat Piotra wyszedł na drogę, poszwarytali coś tam z wachmannem i dwóch Francuzów odeszło do jego gospodarstwa.

podarstwa. Teraz wachmann poprowadził tego ostatniego gdzieś dalej do innego gospodarstwa.

Z Peterem nie rozmawialiśmy o tym nowym zdarzeniu, co było stałą między nami regułą, gdyż nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą na jakiegokolwiek tematy, wychodzące poza prace w gospodarstwie. Nigdy nic nie wspominał, że przez wiele lat, zanim przywedrował tutaj, żył w Polsce, może nawet umiał po Polsku.

Przecież Peter na pewno wiedział, że brat jego złożył zapotrzebowanie na dwóch jeńców, jak również to, kiedy przybędą, bo przecież musiał przygotować sienniki i pościel dla nich, a mimo to nic mi na ten temat nie napomknął. Widocznie nie prowokowałem go do takich rozmów, on sam też nie rozpoznawał. Przynajmniej w ten sposób podkreślałem swoje bezkompromisową postawę do Niemców.

W czasie przerwy obiadowej z ciekawości poszedłem na drugą stronę drogi do Francuzów. Byli już po obiedzie. Siedzieli na dworze na ławeczce i palili małe fajeczki. Z twarzy i rąk widać było, że to nie robotnicy. Swoją szablika francuszczyzną próbowałem z nimi nawiązać kontakt. Teraz byli trochę rozmowniejsi, ale też nieszczególnie. Byli zakamani, albo tak zamknięci w sobie, że nie wykazywali żadnego zainteresowania otoczeniem. Tak było zresztą do końca ich pobytu tutaj. Zdążyłem się od nich dowiedzieć, że są ze sławnej linii Maginota /stad może takie doskonałe umundurowanie/. Jeden był z Lille a drugi z Iyonu. Nigdy nie mieli do czynienia z rolnictwem. W ciągu następnych dni próbowałem z nimi nawiązać jakiś ściślejszy kontakt, ale muszę przyznać, że nie udało mi się. Oni po prostu nie chcieli.

Niażem notatki gramatyczne z języka francuskiego jeszcze z Litwy. Myślałem, że przy pomocy Francuzów będą robił postępy. Może będą poprawiali moją konwersację - nie z tego. Podobnie było też w innych gospodarstwach z innymi Francuzami. Przynają się, że się mocno rozczarowałem takimi sojusznikami. Nie interesowali się ani Niemcami, ani też Polakami ani nikim innym. Po powrocie wieczorem do chałupy na noc, dopiero w gronie swoich innych kolegów ożywiali się i zaczęli rozmawiać i gestykulować. Nie wiem, czy wszyscy jeńcy francuscy byli tacy. Ci w naszej wiosce byli po prostu niesympatyczni. Może byli zarozumiali z powodu swojej linii Maginota? Ale podobno ta linia nie oddała żadnego strzału. Niemcy obeszli ją przez Belgię i poddała się bez walki. Również gospodarze niemieccy nie byli z nich zadowoleni. Poza tym, że nie znali się na robocie, to nie chcieli się jej uczyć. Gospodarze nie mogli się z nimi porozumieć, a co najciekawsze, to Francuzi nie wykazywali żadnych zdolności językowych i "nie łapali" niemieckiego jak Polacy. Może i chcieli, ale im to nie wychodziło. Polak nie wiedział, nie umiał, ale wykombinował w niego i dawał sobie radę. Była między nimi a nami duża różnica pod względem umiejętności przystosowania się.

Zauważyli to zresztą zaraz Niemcy, bo w późniejszym okresie nieraz do nas wyśmiewali się z tych swoich nowych robotników. Nieraz wysyłano mnie przez drogę do brata Petera, aby coś tam wytknąć Francuzom. Co można i umiałem, to im tłumaczyłem - nie było tego wiele.

Powoli żniwa dobiegały końca. Zawaliliśmy stodołę żytem, reszta poszła do stogu. Sprawdziło się ludowe powiedzenie, że po ostrej zimie przychodzi pogodna i urodzajna

lato.

Peterowie zaczęli się jakoś lepiej do mnie odnosić. Nie wiem, dlaczego, może z przyczyny braku drugiego robotnika, może za to odezwanie się moje na policji, że jestem dobrze traktowany. Od czasu do czasu jeździłem do Barten z mlekiem. Baniki odpowiednio oznaczone monogramami właścicieli ustawiano na wysokiej ławce przy drodze przed każdym gospodarstwem. Na jednej z baniek leżała tak zwana Milchbuch /książka dostaw mleka/. Mleczarnia zapisywała w niej wielkość dostaw od danego gospodarza. Do środka gospodarze kładli kartki z zapotrzebowaniem, co do ilości potrzebnych im produktów mlecznych, na przykład masła /tam gospodynie nie robiły same masła tylko nabywały je w mleczarni/, serwatki. Te towary przywoziło się z mleczarni w drodze powrotnej. Zorientowałem się, że najczęściej mleka dostarczali obydwaj Peterowie. Dowóz mleka odbywał się w odpowiedniej kolejności u nas na kolonii - raz na tydzień. Zauważyłem, że żaden z jeńców nie dostepował tego zaszczytu. Peter dopuszczał mnie do tej pracy w swoim następstwie i wtedy, kiedy nie miał nic do załatwienia w Barten, jechałem ja. Była to przyjemna odmiana, gdyż odrywała człowieka od szarej codzienności.

Przy okazji wypatrywałem w tym Barten fryzjera, krawca i dentystę.

Tutejsi Mazurzy, oprócz kontaktu z językiem polskim w rodzinnym domu, mieli jeszcze do czynienia z Polakami przyjeżdżającymi tutaj od wielu lat na roboty. Do Prus przyjeżdżało rokrocznie wiele tysięcy naszych na roboty sezonowe, tj. od wczesnej wiosny do późnej jesieni, ale byli tu też tacy, co przebywali i dłuższe okresy, a wielu zostawało

tutaj na stałe. W naszej wsi był nawet jeden taki, co przebywał tu już od 1935 roku, przetrwał tu wojnę 1939 roku i miał nadal obywatelstwo polskie. Po tych kilku zaledwie latach już mówił słabo po polsku. Podobnie było ze Słowakami.

Nie utrzymywaliśmy kontaktu z tym Polakiem nie ze względów wrogości, ale był jakiś "nie taki" i przy tym dużo starszy od nas.

Kiedys, jadąc z mlekiem do Barten, zabrała się ze mną Peterowa, a po drodze wzięła ze wsi jakąś sąsiadkę. Kobiety siadłszy na ławeczce z tyłu, zaczęły plotkować i wtedy usłyszałem coś, czego nie możnaby zrozumieć w normalnym demokratycznym społeczeństwie.

Słowak zatrudniony w naszej wsi nawiązał romans z jakąś dziewczyną Niemką, również pracującą w gospodarstwie. Z romansu tego miało urodzić się dziecko. Obie kobiety dochodziły, czy dziecko zostanie urodzone, czy nie? Czy państwo pozwoli na jego urodzenie, czy też nie? Słowak przecież nie jest Niemcem - mówiła jedna. Ale nie jest też Polakiem - stwierdziła druga.

Gdyby Słowak był Polakiem, to dziecko nie byłoby czyste rasowo i uległoby zagładzie. Słowacja jest jednak sojusznikiem Niemiec, brała nawet udział w 1939 roku w wojnie niemiecko-polskiej po stronie Niemiec, wobec tego o dziecko jest czyste rasowo i może żyć - przekonywała jedna drugą.

Z dalszej rozmowy wynikało, że Słowak nie chce się żenić z tą dziewczyną. Dziecko pójdzie więc do Kindersheim /ośrodek wychowywania dzieci/ i wychowają go na dobrego SS-manna - zapadła zgodna konkluzja.

Był to dopiero rok 1940, a społeczeństwo niemieckie już było zdegenerowane hitlerowskim wychowaniem. Co to będzie dalej? Do czego dojdzie Europa i świat, jeśli takie

wiejskie baby wyznają takie zasady współżycia między narodami już obecnie? Dotychczasowe sukcesy Hitlera uderzyły wszystkim Niemcom do głowy. Uwierzyli oni w swoją misję tworzenia nowego świata.

15.VIII.40 - Młocka, zdjęcia, kończą się spodnie, chlebak Mietka idzie na żaty.

1.IX.40 - Przybył Mikołaj. Wszy.

15.X.40 - Przyjechał Mietek, jego też złapali, pracuje w majątku.

Zaraz po zakończeniu żniw zaczęła się młocka. Peter wyciągnął z szopy dużą młocarnię. Majstrował przy niej trochę, smarował, jak to zwykle po długim nieużywaniu i szykował ją do pracy. Na któryś tam dzień wprowadziliśmy ją do stodoły i zaczęła się młocka.

Popatrzysz się teraz już innymi oczyma na to gospodarstwo Peterowe, a przecież wszyscy pozostali koloniści mieli podobne. Miał on wszystkiego, jak mówił, 55 morg pruskich, czyli ok. 28 morgów polskich, i kawałek łąki. Około 14 hektarów słabej i ciężkiej ziemi. Nie było tu pszenicy, tytoniu, czy też buraków cukrowych. Podstawą produkcji było żyto i ziemniaki, a mimo, to hodował tyle bydła i trzody. Do wszystkiego miał swoje własne maszyny. Tam zresztą nikt od nikogo niczego nie pożyczał. Byli tacy, co mieli traktor stada bydła, do którego zatrudniali dojarza /Malkera/, jakby chociaż teść Petera.

Nie wiem, czy było tak w całym Niemcech, czy tylko Prusy Wschodnie ze względów politycznych były preferowane przez rząd i politykę finansową.

Pewnego dnia Peter zaczął tak jakoś dziwnie ustawiać

mie przy nżockami, aż po chwili zorientowałem się, że są żyłem jako eksponat do zdjęć fotograficznych. I on uległ manii wielkopaństwa niemieckiego i chciał mieć w swoim rodzinnym albumie jakieś trofea wojenne. Miały nimi być zdjęcia jeńców wojennych pracujących u niego.

Syn jego był schowany za drzwiami stodoły i, jak tylko moja polówka pokazywała się między snopkami, wyskakiwał aparatem i próbował robić zdjęcia. Z chwila, gdy połapałem się w ich zamierzeniach, postanowiłem ich trochę pomoczyć. Gdy tylko się dobrze ustawili, to ja znikam między snopkami. Jak nie ma rogatywki, to i zdjęcie niepotrzebne. Nie wiem, czy te moje psikusy mu przeszkodziły, ale na pewno zmarnował sporo filmu.

Te okazje z aparatem wykorzystałem natomiast dla swoich celów. Namówiłem go, aby zrobił mi zdjęcia. Chłopak się zgodził, oczywiście w porozumieniu z rodzicami. Zrobił ich kilka w różnych ujęciach, oczywiście wszystkie w mundurze. Wciągnąłem do tego jeszcze najbliższych kolegów i tak powstała mała kolekcja. Zdjęcia posłałem, oczywiście, zaraz do domu i do Ireny.

Wkrótce nżocka się skończyła i Peter wziął się za podorywki. Mnie do koni nie dopuszczają, a prawdę mówiąc, z tą moją głową nie było sensu brać się do tego. Rany się już dawno pogoiły, włosy na wygolonych miejscach już odrosły, ale urazy dawały znać o sobie, a to krwotokami z nosa, lub niespodziewanym bólem głowy. Nie mogłem w tym okresie pracować bez czapki. Czułem stałe dolegliwości przy gwałtownym pochylaniu się.

Z ręką, a raczej z barkiem, też nie było najlepiej. Rękę ja podnieść najwyżej do wysokości barku, dalej nie. Martwiłem się, co to będzie, jak znów znajdzie się w wojsku

i trzeba będzie rzucać granatami. Jeśli dla kontroli próbować rzucić choćby niewielkim kamieniem, chwytają mnie mocny ból w okolicy barku i obojczyka. A byłem przecież dobrym miotaczem w gimnazjum w rzutach: oszczepem i granatem - to już niestety, minęło z powodu jednego trzonka od pałki policyjnej.

Pewnego dnia zaraz po obiedzie gospodarz wyszykował brony na podwórzu, a następnie wyprowadził całą czwórkę koni. Zamierzał po orce coś zabronować. Bron tych było kilka ustawionych w szeregu wszere i Peter rozpoczął już przyczepianie do nich orczyków. Peter właśnie spinał ten duży z tymi małymi, gdy nagle konie się spłoszyły w kierunku otwartej bramy. Peter został wyrzucony w górę, jak z procy z spomiędzy orczyków i uderzony którymś z nich i leżał na ziemi. Któś z zciągniętych przez konie broni zaczepił leżącego i ciągnął go w kierunku bramy zatarasowanej przez konie i brony - po chwili odpadł na szczęście na bok. Ja stałem jak skamieniały przez kilka sekund, po czym pobiegłem do Petera, konie już już wyszarpały się z bramy, wyrwijac jedno jej skrzydło i pogalopowały na ulicę. Peter jęczał, ale wstał, katem oka widziałem, że ma porodzierane spodnie na udach, krwi nie było widać. Zrozumiałem, że nie poważnego mu się nie stało, ale z końmi może być źle. Wybiegłem na ulicę. Konie były już wiele metrów ode mnie. Lejce wlokły się po ziemi i ledwo chwila nogi wkraść się - któremuś koniowi między nogi lub w brony, a wtedy nasakra.

Biegłem i krzyczałem "halt, halt" Niestety za każdym razem krzykami ciem konie podrywały się do wilczego galopa.

Konie minęły już opłotki kolonii i rwały dalej. Zbiegłem z drogi na pole i starałem się zabiec im drogę na zakre-

cie. Powoli zwalniały. Jeszcze z 50 metrów i udało im się je złapać za lejce. Biegłen równoległe i równocześnie bardzo powoli ściągając lejce do siebie. Wreszcie stanęły.

Zawróciłen je, ciagle pokrzykując na nie. Spokojnie już, jak gdyby nigdy nic, wróciłen do zagrody.

Na podwórzu nie było nikogo. W kuchni Peter siedział na stołku bez spodni, a żona opatrywała mu rany. Było ich kilka na jednym udzie, ale chyba nie głębokie - miał szczęście.

Przez to lato zaoszczędziłen bluzę wojskową, bo chodziłen przeważnie bez niej, ale spodnie nie wytrzymały tej harówki i popękzały, zwłaszcza na kolanach. Z tego powodu najpierw Mietka, a po tym mój chlebak poszedł na kąty.

Któregoś dnia Peter wyjechał bryczką do miasta. Jak zwykle, nikt nic nie mówił. Po południu miałem już towarzysza trudu - nowego "niewolnika". Był to nieduży człowieczek, oczywiście cywil, siągający mi ledwie do ramion, złapany gdzieś w Polsce, a tu oczywiście przedstawiany jako dobrowolny robotnik. Na imię miał Mikołaj. Był to Rusin, gdzieś spod Włodawy, niedorozwinięty tak fizycznie jak i umysłowo. Peterowi musiało się już dobrze dekuczyć ta robota, skoro wziął takiego pomocnika. A może nie miał wyboru?

Odniosłem się od razu do Mikołaja życzliwie, a nawet ucieszyłem się, że jest chociaż do kogo się odezwać. Nie miał ze sobą dosłownie nic. Tak, jak go złapali, tak go przywieźli. Bez płaszcza, bez bielizny dodatkowej. Był to prawoczałamy czy też unita i do tego jeszcze żonaty. Później zorientowałem się, że ożenili go "na siłę", nie pytając się o jego zgodę. Rodzina kazała i już! Kłócił, że poszli do cerkwi, pop ich okadził, potrzymał koronę nad gł

wa i po żeniace, a za trzy miesiące miał już dziecko, a czy jego, to też nie było takie ważne - przynajmniej dla niego! Drugie kółko wolne już od starego miesiący, znalazło wreszcie użytkownika.

Następnego ranka nastąpił już wyraźny podział pracy. Peter przeznaczył Mikołaja do koni, a ja po staremu do krów i obrzadku. Teraz już Mikołaj czyścił konie, a ja krowy. On też jeździł z gospodarzem w pole.

Z początku czułem się trochę głupio, że taki cherlak kroci się przy takich perszeronach, ale od razu było widać, że Mikołaj pochodzi ze wsi i z dobytkiem miał do czynienia, czy t takim, jak ten, to już druga sprawa. Ta harmonia nie trwała długo.

Po kilku już dniach Peter, który nie podniósł nigdy na mnie głosu, zaczął sobie na mnie używać.

Pomagałem Mikołajowi, jak mogłem. Nie ze wszystkim sobie radził. Kierowanie końmi przy orce nie było proste, a zarzucenie dwulemieszowego skibowca na granicy pola, to też rzecz nielekka.

Z Mikołajem było trochę weselej. Okazało się, że przywiózł ze sobą maszynkę do strzyżenia. Zaraz poprosił mnie, abym podciął włosy. Było to śmieszne, ale to była jego jedyna przyjemność, aby mieć stale podcięte włosy, a na szyi wygolone w kant.

Wkrótce zaczął się zgłaszać chętni do strzyżenia. Odkryłem w sobie zdolności fryzjerskie, zwłaszcza dla takiej niewybrednej klienteli. Dla rozkręcenia interesu dokupiłem za Mikołaja pieniądze jeszcze jedną maszynkę tak zwane zerówkę dla drobniejszego podcinania oraz brzytwę i duży przeciel.

Zakozyliś-y "interes". Schodziło si bractwo nawet z odległych wsi. Braliś-y 20 fenigów za strzyżenie, 10 fenigów braż Mikołaj za narzędzia prac , a ja drugie 10 za robotę. W niedzielę było tylu chętnych , że ustawiała się kolejka.

Każdy klient musiał przyjść z własnym rącznikiem i mieć czystą głowę. Wkrótce dokupiłem nożyczki i skracaczem też włosy. Zakład "funkcjonował" za stodołą, a w razie deszczu, u nas na górze, ale klienci musieli zostawiać buty na dole. Trochę dla śmiechu, a trochę na serio zarobiliś-y parę marek, a koledzy byli bardzo zadowoleni, że nie musz-prozić Niemców o tę usługę no i płacili dużo mniej. Brakowało jeszcze wody kolońskiej i golenia. Do tego si nie brażem. Rażem si, że może kogoś zaciąć. Zresztą golenie to już mydło, ciepła woda, rączniki.

Kiedyś nawet Peter prosił mnie o podstrzyżenie chłop-ców. Niemcy strzygli si wysoko "pod talerzyk", coś w rodzaju podgalania si naszej szlachty z okresu Jana Sobieskiego. Takiego delikwenta strzyżo si tylko dwoma maszynkami. Naj-pierw większa, potem podgalało si mniejsza i po robocie.

Być może był to przypadek, a być może sprawiła to "szawa fryzjerska", że pewnej niedzieli przyszedł do nas nieznan-y Polak w jakimś lepszym mundurze, chyba krojonym na miarę i w butach z cholewami. Był dużo starszy od nas. Chciał usłyszeć, czy rzeczywiście byłem w podchorążówce. Objasniał właściwie zdarzenia polityczne i wojenne. Jednym słowem uświadamiał nas patriotycznie. Na koniec dodał, że będzie ze mną utrzymywał kontakt.

Skąd przybył, gdzie pracował, dokąd poszedł, nie wie. Przeszli we dwóch i wkrótce odeszli. Obydwoj też miał pr-

rzyszyte te odznaki "P". Ze sposobu wystawiania się i z zachowania wynikało, że był raczej starszym podoficerem, a może nawet ukrywającym się przed Niemcami oficerem. Staraliśmy się rozmowę prowadzić na uboczu i prowadził ją jakoś tak konspiracyjnie.

Rozpoczęły się wykopki ziemniaków. Dopiero teraz zobaczyłem, że to jest ciężka praca. Piękna pogoda się skończyła, często padały deszcze. Ta mazurska ziemia była ciężka, błotnista, kiedyś musiał tu być teren podmokły, a może były nawet bagna. Po zdrenowaniu, pola te stały się uprawne, choć ziemia w dalszym ciągu nie stała się ani pszeniczną ani buraczną.

W tej "bryndzy, trzeba było kopać ziemniaki. Właściwie samo ich kopanie to frazka. Peter, jak do wszystkiego, tak i do tego miał naszyne.

Do tej koparki, czyli "Kartoffelmaschine", jak ją Peter nazywał, zaprzęgnił dwa konie. Za skibowcem poruszały się cztery łopatki i rozrzucały ziemniaki po polu. Naszym zadaniem było zbierać je w druciane koszyki i zrzucić na stojący wóz lub na kopę. Przedtem musiałem wykosić starą kosą całą jeszcze zieloną łąkę, aby nie wplątywała się ona w łopatki maszyny. Wyschnięta, później służyła za ściółkę.

Zbieranie ziemniaków to najgorsze dni dla mnie w Prusach. Do roboty stanęła teraz cała rodzina nawet chłopcy Petera. Wszyscy, oczywiście, do koszyków. Przyjechał nawet na wypożyczki brat gospodyni w mundurze. Był to chłopak około 25 lat. Brał udział w kampanii wrześniowej w 1939 roku. Został ranny pod Mławą, leżał jakiś czas w szpitalu. Teraz już wyliczony poźniak służył w którymś z garnizonów. Na mundurze miał przyczepioną odznakę o sranieniu po raz pierwszy

tj metalowa tarczka z brązu z popoersiem żołnierza w hełmie. Były też odznaki za dwa i trzykrotne zranienia, tj srebrne i złote.

Kiedy nie rozmawialiśmy z nim o wojnie, a tym bardziej o polskiej, zresztą w ogóle nie rozmawialiśmy ze sobą - bo i o czym? Ale widać było z jego zachowania, że wie, co to wojna, front i dola prostego żołnierza. W stosunku do mnie zachowywał się grzecznie, choć obojętnie. On też zbierał ziemniaki w koszyk. Peter ubrany w wojskowe saperki, poganiał konie. Ziemniaki sypały się spod koparki, a my tylko zbieraliśmy, zbieraliśmy, byle nadażyć za maszyną.

Pierwszy dzień do południa przebiegł nawet przyjemnie. Była jako taka pogoda, a ziemniaki suche. Wszystko szło szybko. Po obiedzie bolał już krzyż, a pod wieczór zbieraliśmy już na kłęczkach. Następnego dnia było jeszcze gorzej. Padał deszcz i ziemniaki trzeba było wydzubywać z błota. Błoto kleiło się do butów i do moich ciężkich spodni. Odpoczynek był tylko wtedy, gdy Peter odwoził ziemniaki do domu. Wtedy wyprzegał konie z koparki i zaprzęgał do wozu pełnego ziemniaków. Wtedy można było zbierać wolniej, to, co maszyna już wykopała i składać na kopiec.

Już po drugim dniu wróciły mi zawroty głowy, a nawet leciała mi krew z nosa. Co było robić? Posiedziakem trochę, wytarłem nos i hajda do koszyka. Po kilku dniach robota była skończona. Część ziemniaków poszła do piwnicy pod dom na własny użytek. Część do piwnicy ziemnej, a reszta do kopca.

Chyba w najbliższą niedzielę z okazji zakończenia zbioru ziemniaków przyjechał znany już nam teść z siostrą gospodynią. Był też oczywiście brat. Po obiedzie zrobili co-

bie poczestunek. Powiaż jakiś ciepłejazy wiatr. Peterowie otworzyli okno od pokoju i słychać było rozmowy prowadzone wewnątrz. Nie słuchałem specjalnie, jednakże niektóre zdania zwróciły moją uwagę. Można było również zadumać się, może nie nad treścią tych rozmów, co nad wnioskami, które z nich płynęły. Cała rodzina dzieliła świat między siebie i obdarowywała się jednocześnie dobrymi posadami. Po zwycięskiej wojnie oczywiście, teść Petera postanowił zostać leśniczym na cały powiat, albo raczej już na całe województwo w okolicy Kijowa, bo lubi bardzo las /był rok 1940/. Brat Petera wolał zarządzać jakimś kompleksem majątków ziemskich na Ukrainie, bo tam dobra ziemia i klimat też przyjemny. Siost-rzyczka gospodyni miała inne marzenia. Ona chciała pracować i rządzić w Paryżu. Bo cóż? Paryż, to nie Dombekmen, a nawet Barten. Nie dosłyszałem tylko, czy mój Peter też wziął jakąś część świata i którą.

Nie wiem, skąd nagle, mimo oficjalnych czułości ze Stalinem w gazetach, w naszej okolicy pojawiło się pełno wojska. Stali wszędzie we wszystkich wsiach i małych miasteczkach. Czyżby nowa wojna, ale z kim? Teraz jesienia 1940. roku.^x

Po kilku tygodniach wojsko zniknęło tak nagle, jak się pojawiło. Coś tam jednak między Niemcami musiało się gadać, o tym, bo ni stąd ni zowąd, Schmidtowa zaczęła wydawać niestworzone rzeczy pod adresem Polaków! Rzadko tam zachodziłem, ale przecież od czasu do czasu odwiedzałem pracującego tam kolegę z Litwy.

x/ Nikt przecież nie wiedział, że w okolicach Rastenburga, czyli Rostryna, Hitler wybudował sobie już swój "wilczy szaniec" Wolfschanze, tj. kwaterę główną do wojny ze Związkiem Radzieckim.

Ja byłem wojskowym, on też, to jak mieliśmy się witać zwłaszcza z daleka. Mówiło się "czożem" albo "cześ", tak jak się większość Polaków wita ze sobą, już od paru wieków.

Nie wiem, czy sprawiły to pogłoski o wojnie z ZRR, może odmarsz ich wojska, a może pojawienie się wczemnie jest nie tych nieznanym naszych jeńców w naszej okolicy. Dość, że wymyśliła sobie, że istnieje między Polakami organizacja której hasłem porozumiewawczym jest owo nieszczęsne "czożem" lub "cześ". I gdy wszyscy niemieccy mężczyźni pójdą do wojska i na front, to my ich wspólnie z tymi brudasami Francuzami, wszystkich pomordujemy i gospodarstwa podpalimy. Było to oczywiście głupie, ale i niebezpieczne, gdyż w ten sposób można odpowiadać za byle co, z posadzenia tylko. Przez jakiś czas nie chodziłem tam, a nawet ograniczyłem wizyty u dalszych kolegów. Nasza fryzjerna też miała teraz mniej klientów. Po jakimś czasie Schmidtowa ucichła i wszystko wróciło do normy.

Po ziemniakach przyszły buraki, ale to już nie było takie ciężkie. Którejś niedzieli, nie wierząc swoim oczom, zobaczyłem Mietka wchodzącego do mojej izdebki, oczywiście po cywilnemu.

Nie miałem dotąd żadnej wiadomości o nim lub od niego. W Lublinie istniała łączność między rodzinami i wszystkie jakieś nadzwyczajne wiadomości o naszej grupie były przekazywane z jednej rodziny do drugiej. Byłem przekonany, że jednak miał szczęście i doszedł do Lublina. Niestety, jego też złapali. Szedł jeszcze trzy noce, dołż krowy na pastwiskach, rwał marchew, zielone jeszcze jabłka. Głodował, bał się spać w słoju i starać się o żywność. Z głodu nie mógł ani iść, ani spać. Wreszcie koło jakiejś wioski natknął

się na grupę "Bauerów". Ci zatrzymali go i odstawili na policję.

Na posterunku, tak jak i mnie, może tylko bez tych dodatkowych tortur, pobili go pałkami, aby pamiętał, z kim ma do czynienia. Spisali zeznania, personalia i na tym był koniec. W areszcie siedział trzy dni. Przynosili mu jedzenie, ale właściwie był to tylko chleb, i jakąś paskudną zupę. Po trzech dniach wezwali go, oddali mu rzeczy osobiste i okazało się jeszcze, że to marne jedzenie było za jego pieniądze tak, jak i w moim przypadku, które miał ze sobą, a które mu zabrali przy przesłuchaniu. Komendant posterunku wygłosił mu kazanie, że przy następnej próbie ucieczki pójdzie do obozu koncentracyjnego.

Niedługo po tym jeden z policjantów siadł na rower, a Mietek szorował przed nim na piechotę kilkanaście kilometrów do majątku ziemskiego. Tam oddał go w ręce jakiegoś nadzercy i w ten sposób Mietek otrzymał nowego pana. Był to majątek specjalizujący się w uprawie buraków cukrowych i ziemniaków. Pracowała tam już dziesięciu Polaków. Byli to sami żołnierze zwolnieni ostatecznie z obozów. Spali wszyscy w jednej dużej sali, która mieściła się w jakimś budynku gospodarskim i służyła im za wszystko. Chociaż budynek był murywany, to nie miał pieców, tak więc perspektywa zimy stawała się niewesoła. Jedzenia mieli dużo gorsze, aniżeli my u chłopów, przede wszystkim mało tłuszczu. Chleb był wydzielany. Na noc zale zamknięto, w oknach kraty, czyli półwiezienie. Razem chodzili do roboty i razem wracali, coś jak nasi Francuzi, albo i my na samym początku pobytu.

Aby nieść się do roboty, musieli się dożywiać. Pół oficjalnie, pół po kryjomu przynosili na kwatery ziemniaki, owoce, warzywa, jedyną słowem, co się tylko dało i co wpadało

pod rękę. Czasami zaplatała się jakaś kura, wszystko szło do wspólnego kotła. Kupować nic nie mogli, zresztą żaden Niemiec nie Polakowi nie sprzedał. Trzeba dodać, że Niemcy -chłopi nie sprzedawali nic nawet swoim ziomkom. Przez rok pobytu u Petera nie widziałem, aby coś komu sprzedał, choćby nawet jedno jajko. A przecież ludności w miastach nie przelewało się, gdyż kartki żywnościowe nie były wystarczające. Tacy to oni byli "uczynni" nawet między sobą.

Niektórzy jeńcy dostawali z domu paczki, zwłaszcza z Generalnej Guberni. Były to w dalszym ciągu paczuszki ćwierćkilowe. Poinformowane rodziny przysyłały im przede wszystkim tłuszcz, czyli słoninę lub boczek, i to ich podtrzymywało.

Wieczorami gotowali wspólny kocioł zawieszistej zupy doprawianej tymi tłuszczami i to ich trzymało. Mieli głód, ale swobodnie. Śpiewali, grali w karty i prowadzili nie kończące się rozmowy.

Przy pracy nie przemęczali się, ale musieli każdorazowo "odstać" te 10 godzin na polu, deszcz nie deszcz. Obiad dowożono im na pole.

Mimo takich warunków, Mietek był raczej zadowolony z tej zmiany. Przyjechał głównie po chlebak, bo nie miał w czym nosić prowiantu i zdobywcy. Niestety, jego chlebak podzielił los mojego i dla większego zaszczytu przyszyty był na najszlachetniejszym miejscu u człowieka, czyli na tyłku. Moje podnie trzymały się cieżkości tylko dzięki tym sztywnym chlebakom i warstwie brudnego tłuszczu. Tylko w dole przy cholewce można było jeszcze odróżnić, że były kiedyś zielone. Mietek był jeszcze w gorzej sytuacji, bo mundur zostawił na kwatery w czasie ucieczki, miał tylko to, co na sobie. Oddał mu tylko chustki do nosa, bo tyle zostało z całego majątku.

Opowiedziałem mu, oczywiście, o swoich losach po zżaniu nas przez policjanta. On o niczym innym nie mówił, tylko o następnej ucieczce, którą podejmie wczesną wiosną, ale chyba już na rowerze, który albo kupi, albo ukradnie. Był bardzo zadowolony.

Wyglądał nie najlepiej. Schudł, ręce miał bardzo smięszone od buraków. Siedział ze dwie godziny. Musiał jeszcze zdążyć na siłochię w Dombenhon. Jakiś czas musiał jechać, a potem długo jeszcze iść pieszo.

Pożegnaliśmy się bardzo serdecznie, ze łzami w oczach, żegnając naszą wspólną młodość, budę i tę resztę, to jest to, co minęło i co nigdy więcej nie wróci. Odprowadziłem go jeszcze kawałek i rozstaliśmy się.^x

Po pobycie Mietka, postanowiłem przyspieszyć przygotowania do ucieczki. Pierwsza i najważniejsza rzecz było ubranie. W tym, co miałem, mogłem się odważyć uciekać tylko w lecie, ponieważ, poza ubraniami i koszulą, nie miałem wcale ciwie więcej nic. Jeżdżąc od czasu do czasu z mlekiem, zacząłem się rozglądać po sklepach. Z moich kartek przydziłoby mi kupić sobie mocne robocze spodnie, czapkę z nausznikami, ciepłe kalosy, rękawiczki, ale nie miałem przecież palta ani kurtki.

Któregoś dnia wziąłem swój policyjny granatowy płaszcz i poszedłem do takiego podrzędnego dziesięcioczędnego krawca. Był to Mazur o jakimś skowiańskim przekręconym nazwisku. Nie mówił już po polsku, chociaż wiedział, że z Polaków pochodzi. Zapytałem go, czy nie przerobiłby płaszcz na kurtkę

x/ Niestety, widziałem go wtedy ostatni raz w życiu. Wrócił wprawdzie do Lublina, ale w 1944 roku został zamordowany na Żanku w Lublinie.

On popatrzył, pomacał. Płaszcz nie był nowy, ale jeszcze nie poprzecierany, nadawał się na przeróbkę. Poradził, abym ze swoich kartek kupił kawałek ciepłej flaneli, która miałaby służyć za podszewkę i jako ocieplenie kurtki. Płaszcz miałem poprać, wyczyścić dobrze szczytkę, zwłaszcza zagłębienia i zaszytych. To samo należało zrobić z dodatkami. Z tym wszystkim miałem zgłosić się do niego. Zrobiłem tak, jak kazał. Po kilku tygodniach kurtka była gotowa. Za robotę wziął niedużo. Wypadła bardzo dobrze i nie podpadała kolorem, tak że moja myśl jeszcze na Litwie o przeróbce okazała się słuszną.

Teraz po cywilnemu poruszając się już swobodnie i nie zawsze z tym moim znaczkiem Postępy z Niemcami też były znaczne, zkapalem parę zdań i słów w tutejszej gwarze, czyli "plat" i mogłem, jeśli niedużo będę mówić, udawać Niemca. Te moje zakupy w Barten oraz tutejsze pobytu ośmieliły mnie znacznie. Ponadto stwierdziłem, że rzemieślnicy w tym malutkim miasteczku nie mieli co robić.

Interesy się skończyły. Ludzie byli w wojsku, wszystko na kartki, to taki klient jak ja, jeszcze do tego mało wymagający, miał znaczenie. Ludzie, a zwłaszcza rzemieślnicy odnosili się tam chyba trochę życzliwiej do nas, ja tam na kolonii, u tych przesiedleńców z Polski.

Przez cały czas pobytu w Dombeknon, Peterowie, czy też ich sąsiedzi, ani razu nie odwiedzili żadnego kościoła. W niedziele lub święta tryb życia rodziny nie ulegał zmianie. Tyle tylko, że nie pracowano w polu, za to na podwórzu szła normalna praca, czy to przy maszynach, czy to przy budynkach. Peter nawet nie zmieniał codziennego roboczego ubrania.

Mysząc ciągle o drugiej ucieczce, doszedłem do wniosku że moje buty mogą nie wytrzymać tej nowej w drówki, poza tym należało zlikwidować gwoździe na selówkach, gdyż było wiadome, że to buty wojskowe, a przecież miałem zamiar udawać pełnego cywila.

O zelowaniu nie mogło być mowy, gdyż skóra u Niemców była luksusem i to towarem deficytowym.

Rozmawiałem nieraz o tym z kolegami. Jeden z nich zaproponował mi, abym go odwiedził któregoś popołudnia. Zaszedłem. Pokazał mi szereg zdekompletowanych uprząży końskich. Były to jakieś relikty przeszłości, ale między nimi była uprząż z olbrzymich perszeronów, szeroka, z grubej skóry. Bez namysłu uciąłem takie porządne pasy, aby wystarczyło na dwie pary zelówek, to jest dla niego i dla mnie. Wyniosłem to pod bluzą, owijając na brzuchu. Pierwsza część, czyli materiał, była zakatwiona. Co z drugą? Do szewca niemieckiego nie mogłem z tym iść. Znalazła się rada i na to. W drugiej wsi, podobnie jak ja fryzjerstwem, jakiś Polak zajmował się szewstwem. Którejś niedzieli wybrałem się tam. Miał wszystko, co potrzeba, to znaczy narzędzia, w większości dorobione przez niego samego, inne kupione, kopyta, nóżki, szpilki. Nawet Niemcy reperowali u niego obuwie, bo brał mniej jak w warsztacie szewskim i na miejscu. Był szewcem z zawodu i za nieduże marki miałem buty podzełowane jak trzeba, a najważniejsze też cywilne, bo podkówki też miałem zdjąć.

Jesień była już w całej pełni. Woziliśmy buraki opasowe, olbrzymie jak wlepraki, brukiew. Kopcowaliśmy to wszystko na siłę. Miałem wszystko przygotowane do ucieczki, czekałem tylko na okazję.

- 1.XI.40 - Odejście Mikołaja, snów jestem sam.
- 15.XI.40 - Winiobicie, paczka od Ireny, fotografie.
- 25.XI.40 - Wyjazd Peterów do Polski.
- 5.XII.40 - Ucieczka Francuzów.

Pewnego dnia wybuchła w obejściu głośna awantura, że u dzieci Petera stwierdzono wszy. Peter od razu podejrzwał Mikołaja i zaczął przeglądać mu głowę. Długo nie musiał szukać. Było ich dosyć. Zamachnął się na niego, ale jakoś go nie uderzył. Wynosił mu od świni i brudaków. Niestety, miał rację. Zaczął i mnie indagować, ale ja oświadczyłem, że wszy nie mam. Spie nago, głowę myję często i po prostu nie mam. Nawet trochę dźwiżem się, bo przecież mieszkałszy z Mikołajem w jednej izbie, a rzeczy nasze wisiały na tych samych gwoździach na jednej ścianie.

Zrobiono rodzinną naradę już z Peterową - co robić. Postanowiliśmy wszystkie rzeczy Mikołaja wygotować. Głowę mu ostrzyć na zero i kąpiel. Pościel należało również wygotować. Tak się też stało. Wstydząc się za niego, musiałem wszystko wziąć na siebie. Wygotowałem w parniku pościel i ostrzygłem go.

Od Peterowej wzięłem mydło, ale takie lepsze niż zwykle, bo to codzienne nie nadawało się do celów dezynfekcyjnych. Mikołaj po tych ostrzyżynach musiał się cały porządnie umyć /może pierwszy raz w życiu/. Nie chciałem tego robić, brzydził się takiego mycia. O mało mu nie dolałem, no i jakoś wymusiłem na nim to mycie. W czasie dezynfekcji rzeczy cały czas siedział w izdebce gołej. Zmuszony byłem przynieść mu świeżej słomy do siennika. Rano było wszystko suche i Mikołaj poszedł normalnie do roboty. Zdawało się, że wydarzenie to na tym się skończyło.

Któregoś dnia tak wypadło, że miałem robotę w obejściu a Mikołaj był w stajni. Nagle usłyszałem stamtąd krzyk i hałas. Pobiegłem, otworzyłem drzwi i w pierwszym momencie mnie zatkano. Peter okładał Mikołaja kulakami, a ten się nie bronił, ani nie uciekał, tylko płakał. Z nosa leciała mu krew, a z uszu krew z jakąś masą. Odepchnąłem Petera jedną ręką, Mikołaja drugą w kąt stajni i teraz ja z kolei zacząłem krzyżeć na Petera, że bić nie wolno. Przyleciała Peterowa i zabrała wzburzonego Petera. Cóż mogłem ja więcej zrobić? On był pan, a my niewolnicy. W kącie stał Mikołaj cały umazany krwią i smarkami. Spytałem, o co poszło. Nie wiedział, dlaczego w pewnym momencie Peter zaczął na niego krzyżeć, a później bić po głowie, a najgorszy był ten wyświek z ucha. Zaprowadziłem go do studni, umył się i przystąpiliśmy do roboty, jak gdyby nigdy nic. Taki to był los niewolnika.

Po obiedzie przy rozdziale roboty wygarnąłem Peterowi już spokojnie, co o tym myślę. Trzeba przyznać, że ten w gruncie rzeczy niezły człowiek nie utrudniał mi rozmowy. Powiedziałem mu, że bić nie wolno, że o tym poinformowano nas w Arbeitsamcie. Powiedziałem mu też, że ani ja, ani Mikołaj nie przyszliśmy tu dobrowolnie do pracy. Jeśli on mu nie odpowiada, to powinien go oddać tam, skąd go wziął. W wypadku, gdyby to miało się powtórzyć, to ja sam w biały dzień wspólnie z Mikołajem pójdziemy na policję ze skargą. Nic nie odpowiedział. Poszliśmy jak gdyby nigdy nic do swojej pracy. Minął dzień czy dwa, gdy rano Peter nakazał Mikołajowi zabrać wszystkie swoje rzeczy. Siedli na bryczkę i pojechali. Nikt nic nie mówił. Nikt nic nie wyjaśniał. Ot tak Mikołaj siedział z Peterem do bryczki i odjechali. Tyle

go widziałem. Po chwili dopiero zorientowałem się, że znów zostałem sam w swojej izdebce na poddaszu. Nie było mi ani lepiej ani gorzej. Nikołaj nie był ani dla mnie, ani dla innych kolegów żadnym partnerem, ani do rozmowy, a tym bardziej do jakichś poczynań. Było mi po prostu smutno.

Wieczorem Peter wrócił sam. Nigdy nie było między nami rozmowy, co się stało z Nikołajem. Czy ktoś będzie na jego miejscu. Pomyślałem sobie, że Peter odwiedzi go do Arbeitsamt, jako nie nadającego się do pracy. Chodził nawet do swojego bratczaka, przez drogę, może radzić się, a może do telefonu. Może Nikołaj został uznany za niezdolnego do pracy - invalide i zwolnili go do domu? A może te łobuzy "Petery" coś na niego nakłaniali i chłopaka wywieźli gdzieś do obozu? Kommentowaliśmy na wsi to z kolegami. Nic nie wymyśliliśmy, nie było też żadnych przecieków w tej sprawie - o tak był Nikołaj i nie on Nikołaja.

Swoją drogą te "Petery", to dobre siószka. Z różnych komentarzy kolegów wynikało, że tylko oni obaj mieli taki oschły stosunek do pracowników i tylko oni robią taki dystans. Albo byli tak zarozumiali, albo tak zapiekli w nienawiści do Polaków. Powinni harować sami, życzyłem im, aby wszyscy od nich uciekli.

Teraz miałem więcej ganiań. Ale muszę przyznać, że ta nauuczka z Nikołajem i moja rozmowa wpłynęła trochę na Peterów. Jako pierwszy symptom tej zmiany, było to, że Peterowa zmieniła całą pościel i powiedziała, że do najbliższego prania ma oddać swoją bieliznę. Wiesz, bo widziałem, że moja czarna od brudu bielizna, koszule prane na ostátku w czarnej jak smoła wodzie. Ale zawsze to było pranie i gotowanie w jakichś tam proszkach, przy pomocy wody. To o

nie mogły zastąpić moje przepierki w zimnej, czy nawet ciepłej wodzie. Była to prawdziwa rozkosz po przeszedł roku czasu. O dzięk ci, Nikołaju!

~~Rzeczony~~ Teres zaczęły następować niespodzianki i to jedna po drugiej.

Pewnego ranka zaraz po dojeniu krów, zaczęliśmy z Peterem wyciągać różne graty, których przeznaczenia absolutnie nie mogłem się domyśleć. Dowiedziałem się, że będzie świnicbicie, na które miał przyjść rzeźnik z miasteczka. Rzeczywiście, wkrótce przyjechał samochodem osobowym jakiś grubasek, który okazał się rzeźnikiem. Brat Petera też urządzał podobne święto.

Zaczeliśmy wyciągać beczki z polewanej gliny, chyba po 50 litrów, cebry, żuślicuchy, koryto. Wszystko to dokładnie wymyliśmy.

Nastawiłem nowy parnik z czystą wodą. Około południa dwie duże świnie były już zakłute, oskrobane ze szcpeciny i wisiały w stodole do rozetrwania. To samo działo się u brata Petera. Tam ganią Francuzów, ale widać po nich było, że czegoś podobnego w życiu nie widzieli. Często wzywano mnie tam na tłuszcza. Po specjalnie tłustym obiedzie nastąpiło rozbieranie zabitych świń i przerób. Wszystko szło w beczki, słoje i waki, oraz na wyrób kiełbas, szynki odłączono do wędzenia. Takich kiełbas dotąd nie znałem. Mięso wraz z tłuszczem rozdabniano taszkami oraz na dużej marnyńce i pakowano we flaki, oczywiście po dodaniu specjalnych przypraw. Następnie wieszali je na specjalnych stojakach na wiele tygodni do wysuszenia i dojrzewania. Wszystko to, oczywiście, na surowo. Oni nazywali te kiełbasy salami. Ten rodzaj kiełbas miał jedną olbrzymią zaletę, że po dob-

rym wysuszeniu /bez wędzenia/ ~~można~~ mógł przetrwać cały rok
a może i więcej. Gospodyni domu miała zawsze wedline pod r
ką i, cienko krajana, wystarczała na długo.

Z całego tego świnobicia, Peter zawiózł do miasta na
sprzedaż, a noże, w prezencie, z dwóch dużych świń, ostery
przednie nóżki, cała reszta poszła na własny użytek. Chłopi
nie byli obciążeni dostawami czegokolwiek, poza zbożem.
Przez rok pobytu u Petera nie widziałem, aby odstawiał on
jakieś zwierzęta rzeźne na kontyngent. Zaraz po świnobiciu
ta sama robota była z gosiami i indykami oraz kaczkami. Co-
dziennie dziesiątki wędów szły do spiżarni. Skonina stopion
w olbrzymie kadzide zalana jeszcze na gorąco topionym tłuszczem,
po ostygnięciu stanowiły żelazny zapas na cały rok.
Całe gospodarstwo zamieniło się w jedną rzeźnię, a cały ubiór
poszedł na zapasy do spiżarni i piwnicy. Patrzyłem się na to
z podziwem. Od kolegów wiedziałem, że wszędzie robiono tak
samo.

Dopiero po powrocie do Lublina i zetknięciu się z oku-
pacją niemiecką w Generalnym Gubernatorstwie, z tym głodem
i głodowymi przydziałami żywnościowymi i głodowymi

W tych ruchliwych dniach spotkała mnie niża niespo-
dzianka. Otrzymałem od Ireny taką paczkę. Któregoś dnia Pe-
ter, jak zwykle nic nie mówiąc, po powrocie z Barten, wró-
cił mi taką paczkę, a jako nadawca figurowała Irena. Nie
było tam nic specjalnego, ani wielkiego, ale na Peterach
zrobiło to wielkie wrażenie, zwłaszcza nasze ssane poczciwe
wydło z jeleniem, oraz Landrymki.

Poczciwotatem, oczywiście, dzieci i dla przekory rów-
nież starych, wiedziałem, że smakowało im to, bo przecież
nie były to żadne ich krewnie, do których przyzwyczaili się
już od dawna.

Nie mogli się nadziwić, że u nas, ot tak sobie, można kupić takie dobre rzeczy. Ja im jeszcze w imię dobrze pojętego patriotyzmu, podkoloryzowałem fakty. Krowaty nie bardzo przesadzając, bo przecież przed wojną, gdy miało się pieniądze, można było kupić wszystko i to w dobrym gatunku, tyle tylko, że o te pieniądze nie było łatwo, ale tego już ię, oczywiście, nie mówiłem.

Dostałem też kilka fotografii Ireny i wtedy postanowiłem też zrobić sobie zdjęcie u porządnego fotografa. Przy pierwszym zaraz pobycie w Barten zrobiłem je w formie portretów, w porządnym cywilnym garniturze i w krawacie. Zdjęcie wysłałem, oczywiście, do domu i do Ireny. Podobno zdjęcie nie było złe, tylko koszula była o dwa numery za duża i wyglądałem niezbyt okazale, chudy z wystającą grdyką, choć już z porządnie odrośniętą czupryną.

Ta cała gorączkowa krzątanina w gospodarstwie znalazła swój epilog w najbardziej interesującej niespodziance. Otóż obydwie rodziny Peterów wyjeżdżały w odwiedziny do rodziców do Polski.

Mówiłem już, że pochodzili oni z Polski, jak większość osadników z tej okolicy. Rodzice ich gospodarzyli pod Toruniem również na ziemi. Peterowie już raz tam byli.

Któregoś dnia o świcie zaczął się ruch wyjazdowy. Jak wyszli z domu już ubrani do podróży, to wypisz, wysaluj, wyglądali jak figury z gabinetu figur woskowych. Jeśli na co dzień nosili czyste, całe, praktyczne odzienie, różniące się krojem od naszego, to teraz zmienili się w mieszczańców, ale z jakiejś komedii. Widać było na pierwszy rzut oka, że to wszystko było od "asa do lasa". Kapelusz, palta, trawiki, wszystko to miało fason z czasów pierwszej wojny światowej i było przyciśnięte, gdyż w niedługoście tych

tkustych świń trochę padło.

Cacieli wyglądać po niejaku, świątecznie, a wyszło gra-
teskowo i ubogo. Najgorzej to wyglądała Peterowa. Kobieta
jeszcze nie stara, a w tych niegustownych zachach wyglądała
jak statystka z opery "Za trzy grosze". Na szyi miała lisa,
w rąku przedpotopowa torebka. Podobnie wyglądał brat Petera
i czwagiorka.

Walizek nie mieli zbyt wiele. Nie widać też było, aby
wieźli tatusiowi i reszcie rodziny zbyt bogate prezenty.
Spodziewali się raczej więcej przywieźć. Podobnie zresztą,
jak podczas pierwszej podróży w 1939 roku.

Wsiadli do bryczki Petera-Führera, mnie wzięli z sobą
dla odprowadzenia jej z powrotem i pojechaliśmy na przysta-
nek kolejki wąskotorowej. Tu otrzymałem instrukcję, że, gdy
będę wracał, mam wziąć bryczkę Petera seniora i odebrać ich
z tej samej stacyjki w podanym mi czasie.

Nie powiedziałem im głośno, aby im się coś po drodze
"dobrego" przydarzyło, bo przecież byli to moi "dobrodzieje"
i prędzej czy później i tak doczekają się tego razem ze swo-
Adolfem.

Czy zostałem sam na gospodarstwie? Oczywiście, nie!
Natomiast muszę powiedzieć, że ich nieobecność nie zasmuciła
mnie, odwrotnie wniosła sporo odmiany.

Peterowa sprowadziła swoją siostrę. Była to podstarza-
ła panna, jak większość niemieckich panien w tym czasie. Ty-
tu mężczyzna powożano przecież pod broń. Była miłsza od swojej
ciotki. U brata Petera rezydowała jak następczyni siostra jego
żony, która teraz została na gospodarstwie sama z Francuzka-
mi. Panna była pachudna jak półtora nieszczęścia i do tego
jeszcze niesgrabna. Miałem teraz trochę więcej urozmaicenia
w pracy "jako główny gospodarz". Brandy doiliśmy wspólnie,

ale cały pozostały obrządek przy krowach i przy koniach pozostał na mojej głowie. Ona nie trzaszczyła się ani o świnię, ani o drób.

Doszedł jeden, najbardziej interesujący, obowiązek - odwożenie mleka do Barten. Wypadalo to co trzeci dzień, gdyż pozostałe należały do Schmidta i brata Petera. Ponieważ nikt z Francuzów nie mógł tam jeździć, więc jeździłem co drugi dzień, a to była już rozrywka.

Można było przyjrzeć się, jak ludzie żyją w Barten. Nie musiałem się śpieszyć - nikt mnie teraz nie poganiał. Postanowiłem wykorzystać to bezkrólewie dla swoich celów.

W pierwszą niedzielę ubrałem się po cywilnemu i postanowiłem przetrzeć trasę do Rastenburga. Nie mówiłem chyba jeszcze, że postanowiłem tym razem uciekać pociągiem, udając na początku Niemca, albo urlopowanego Polaka.

Teraz, gdy krowy były już w stajni, dawano im już jeść podobnie jak i koniom, tylko dwa razy dziennie, rano i wieczorem, toteż w niedzielę miałem dla siebie cały dzień.

Jak zwykle pamięć siostrze powiedziałem, że idę do kolegów. W kieszenie włożyłem zaoszczędzone kanapki, pieniądze i w drogę.

Nikt mnie nie zaczepił, nikt mnie nie spotkał ze znajomych. Wszystko, co na sobie miałem, wyrobem i krojem było niemieckie. Czapka z Hitlerjugend podobna do naszych narciarerek, kurtka granatowa /z policyjnego płaszcza/, spodnie niemieckie welwety, tylko poczciwe buty z podchorążówki, ale bez podkówki i gwoździ udawały znakomicie cywila.

Bilet do Rastenburga kupiłem bez trudności. Nie rozmawiałem z nikim, aby nie sęradzić się z akcentem. Siadłem osobno, aby nie dawać powodu do pogawędki. Werce się tłukło

ale twarz wyrażała obojętność. Jechałem może dwadzieścia minut, ale już jakby na ucieczce. Ręce schowałem do kieszeni, aby nie przebierać nerwowo palcami. Mijaliśmy stacyjki. Ludzi było mało. W niedzielę Niemcy siedzieli w domu i pili swoje cienkie piwo. Odpoczywali, jak to nawsi. Nikt jakoś mnie nie zaczepił. Swoją znaczek rozpoznawczy "P" schowałem do kieszeni. Konduktor bez słów przeciął mi bilet. Nabierałem coraz więcej swobody i zaufania do swoich niemieckich ciuchów.

Wreszcie Rastenburg. Spokojnie wyszedłem na peron. Po peronie spacerował policjant, spojrzak na mnie. Tylko, może mi się wydawało, ale dziwnie patrzył na moje wasy. Trzeba pamiętać, że Niemcy na ogół wosów nie nosili, a zwłaszcza młodzież, a starsi, jeśli już, to takie tylko wosiki à la Hitler, taką plankę pod nosem. W tym momencie postanowiłem, że przed prawdziwą ucieczką zgolę wasy.

Pierwsze kroki skierowałem do bufetu. Tu zobaczyłem, że Niemcy na zamawiane jedzenie dawali kartki żywnościowe, ale piwo dostawali bez kartek. Zamówiłem więc, jak gdyby nigdy nic, małe piwo i wyjąłem kanapki. Nawet kanapki i chleb mieliśmy wszyscy podobne. Nie różniłem się niczym od innych i to dodawało mi otuchy.

Na stacji zauważyłem kilku Polaków. Na piersi mieli przyszyte to nasze "P". Różnili się od otoczenia nie tylko tym znaczkiem, ale krojem ubrania i zachowaniem w poruszaniu się.

Nie wiem, co oni tam robili, gdyż dla pewności nie podchodziłem do nich. Maskowałem się dalej. Oni też mnie nie rozpoznali. Biedni, bali się nawet wejść do bufetu.

Podszedłem, jak gdyby nigdy nic, do rozkładu jazdy.

Tu spotkałem tych Polaków i usłyszałem, że jadą do Ciechanow-
wq, ale nie wiedzą, kiedy będzie pociąg. Teraz dopiero przy-
szło mi do głowy, że wszystko muszą sobie zapisać, aby z wa-
kotorówki pójść dobrą stroną, od razu do szerokokotorowego
pociągu, aby nie krącić się po stacji i nie podpaść. Patrzy-
łem na rozkład, ale cóż - wszystkie nazwy niemieckie. Było
coś znajomego - Zichenau. Czy to nie Ciechanów? spojrzalem
na mapę rozkładową. Z Rastenburga gruba krecha leciała do
miejscowości Allenstein. Co to jest Allenstein? Zukałem na
południe w kierunku Polski. Jest Zichenau, jest Posen - to
przecież Poznań. No teraz byłem już w domu.

Od Zichenau /Ciechanowa/ szedłem na mapie w górę w
kierunku Rastenburga, ale wszystkie grube linie prowadziły
do Allensteinu. Co z tym Allensteinem? No trudno! Ciechanów,
a dalej w górę jest Soldau. Co to znów? Jeszcze jakaś linia
na mapie, chyba stara granica między Polską a Prusami i za-
nie Neidenburg. Potem gruba krecha prowadziła do Allensteinu
a stąd cieńsza do Rastenburga.

Pomyślałem, że trzeba przedyskutować sprawę z zymeza-
kiem. Ale już coś wiem, nawet niesmiali Polacy do czegoś się
przydali. Nie znałem się na rozkładach jazdy, a tymbardziej
z niemieckimi nazwaniami. Jak jechałem pociągiem samodzielnie,
to najwyżej do Zemborzyca. Wszystkie moje dotychczasowe po-
dróżki, bo i do Gdyni i do Zakopanego, i do Krakowa, były to
wycieczki szkolne i o wszystko razem z rozkładem jazdy tro-
czyli się ci nasi ukochani profesorowie. A tu nagle sam,
w obcym kraju z obcym językiem. Wiele zawdzi-czałem profe-
sorowi od niemieckiego, Hochleffeldowi, który, oprócz pod-
ręcznikowych mądrości, wpajał nam znajomość Niemiec pod
względem kultury, zwyczajów, nazownictwa.

Postanowiłem, że pojedę do Ciechanowa. Przecież tam była Polska. Wróciłem się, żeby dowiedzieć się, kiedy jedzie ten pociąg do Ciechanowa. Zobaczyłem napis "Auskunft" /informacja/. Odważnie spytałem "Wann geht der Zug nach Zichenau" /Kiedy odchodzi pociąg do Ciechanowa/? W okienku siedziała jakaś starsza kobieta w mundurze kolejarzki. Z potoku jej wymowy zrozumiałem, że pociąg odchodzi o godz. 12. z przesiadką w tym Allensteinie, a potem do Goidau. Podziękowałem grzecznie i zapytałem jeszcze o cenę biletu, ale odesłała mnie do kasy. Poszedłem i tam. Wiedziałem już wszystko. Teraz należało tylko tak zgrać odjazd z Dombenem do Rastenburga, aby trafić na ten pociąg do Allensteinu. Misja była spełniona. Droga powrotna przeszła również spokojnie. Wybiegłem ze stacji jak na skrzydłach.^x

Szybkim krokiem wróciłem do Dombenem. Było już dawno po obiedzie i zwyczajowo tutaj robotnik, który nie przyszedł o czasie na obiad, już go nie dostał. Ale godziny swobody wystarczały za jedzenie. Niemcy się nie dziwili temu i nie przeszkadzali. Zadowoleni byli nawet, że oszczędzają na robotniku.

Przeczekałem więc głodny do wieczora, do wieczornego obrzędku i kolacji. Wieczorem Truda /Gertruda/ o nic nie pytała. Wydobiliśmy krowy, i biegiem do Szymczaka.

W zupełnej ciszy, ale gorączkowo naradzaliśmy się z Szymczakiem nad moimi planami. Z dyskusji wynikało, że najlepiej będzie, jak kupić bilet do pierwszej stacji na terytorium Polski, ale już za starą granicą, ale nie dalej i, broń Boże, nie do Warszawy, aby nie wzbudzić podejrzeń.

x/ Dopiero po wojnie dowiedziałem się, jakie są polskie odpowiedniki dawnych miast w Prusach. Allenstein - Olsztyn, Naidenburg - Nidzica, Goidau - Działdowo.

Nie wiedzieliśmy przecież, czy stara granica jest strzeżona, bo między Rzeszą /w nowych granicach/, a Generalną Gubernią, to na pewno tak.

Stara granica miała przejechać po ciemności, natomiast nową granicę między Generalną Gubernią, trzeba będzie przejechać na przełaj, stąd konieczność znalezienia się przy niej tuż przed wieczorem, ale jeszcze tak, aby było coś widać. Nurkowało mnie tylko pytanie, gdzie jest ta granica? Z mojej mapki ze szkolnego niemieckiego zeszytu wynikało, że jest ona gdzieś w okolicy Warszawy. Aby dojść do Warszawy z tej strony, trzeba sforsować i Bug i Wisłę. Jak? Gdzie? Na te pytania nie mogliśmy sobie odpowiedzieć, gdyż wszystko to, co wiedzieliśmy z geografii, a co dotyczyło granic między państwami, było nieaktualne. Wynikało z tego, że trzeba było ryzykować i korygować postanowienia i szczegóły marszruty już w terenie i tak podejmować najlepsze decyzje.

Uradziliśmy też, że Szymczak wypisze mi kartę urlopową i podpíše nazwiskiem Petera. Miał on charakter pisma podobny do gotyku i, chociaż nic nie mówił na ten temat, widać było, że chodził do szkoły niemieckiej. Szymczak nie nikomu nie zdradził z moich zamiarów. Ta jego znajomość Niemców i ich języka dużo nam wszystkim pomagała. Dni leciały mi teraz szybciej, a jednocześnie za wolno. Byłem jednak wewnątrz jakis wesoły, co zauważyła nawet nasza Truda. Zapytywała mnie często, gdzie mam swoją Mädchen /dziewczynę/, bo tak często śpiewam.

Pewnego grudniowego popołudnia Truda powiedziała mi, że mam wieczorem jechać po Peterów na stację, gdyż przyjeżdżają dzisiaj.

Dzień był paskudny i deszczowy. Na dworze nie miałem nic do roboty, więc schowałem się do stajni. Tu było ciepło

przitulnie i nie wiem nawet, kiedy zdrzemnąłem się. Nagle zbudził mnie straszny wrzask Trudy. Gadała coś o Bahnhofie /stacji/ i o tym, że już czas jechać. Wściekła, sama zaczęła objuczać konie. We dwoje szybko zaprzęgliśmy je do bryczki. Zdażyłem jeszcze zapalić świece w latarniach i pognałem po Peterów. Droga była fatalna. Deszcz lał bez przerwy, dziury, kałuże. Musiałem trzymać się bryczki, aby nie wypaść. Świece nie dawały żadnego światła, ale jechałem.

Gdzieś w połowie drogi od stacji /a był spory kawał/ usłyszałem człapanie kilku ludzi w tym błocie. Z ciemności wyłonili się cztery postacie z walizami - byli to Peterowie. Usiedli bez słów. Po chwili zamiast przywitania Peter spytał, czy krowa się już ocielika. Byli zabłoceni i w duchu śmiałem się z nich, ale na zewnątrz udawałem, że nie wiem, o co chodzi.

W domu po szybkim tym razem obrządku, czekała już kolacja. Nie robiono mi żadnych wymówek, ale też i nie rozmawiano.

Byli w Polsce, ale to, co zobaczyli, usłyszeli i doznali, pozostawili dla siebie. Nigdy żadnym słowem nie było o tym mowy. Ja nie pytałem, oni nie mówili. Wynikało z tego, że dokonana grabież wolnego kraju uważali za rzecz naturalną i chyba tak samo uważał ich kochany tatuś, który przeżył pod Fortunem 20 lat naszej niepodległości, po polsku chyba umiał tak jak ja coś z tego przekasać synom. Miałem za złe Peterowi, że nawet słówkiem nie wspomniał, co tam widział.

Widziałem u Peterów po tej podróży różne nowe rzeczy. Były to chyba "pamiątki" po wygonionych Polakach, jakże były kawaleryjskie, co mi Peter odprzedał. ■

Życie znów pataczyło się normalnym kołem, jeśli nie

liczyć cielenia się jednej z krów. Tuż przed porodem krowa została oddzielona od innych, a dla cielaka odgrodzono miejsce w oborze i Peterowie na zmianę pilnowali krowy. Gdy przyszedł szczytowy moment gdzieś około dziesiątej wieczorem, Peter przywołał mnie. Ubrany był w czysty biały fartuch szpitalny. Ja też dostałem taki. Krowa leżała i tylko od czasu do czasu porykiwała i postukiwała. W pewnym momencie pod ogonem pokazał się biały balonik. Na to tylko czekał Peter. Palcami przedziurawił balonik, poleciała masa ciepłej wody i pokazały się małe nóżki cielęcia. Peter miał już przygotowane dwie petle ze sznurków. Szybko założył je i zacisnął na nóżkach. Teraz obydwa wolno, ale silnie ciągnęliśmy sznurki do tyłu. Gdybyśmy nie zacisnęli sznurków jako przedłużenia nóg, te mogłyby się schować do pęcherza i cielak mógłby się nie urodzić lub zadusić. Krowa stęknęła i na czystą skórę wyskoczył łaciaty mały cielaczek. Krowa stęknęła i po porodzie. Po chwili podaliśmy krowie jej mleństwo, a ona wylizowała je całe, od góry do dołu. To był pierwszy i ostatni kontakt matki z cielakiem. Wylizane, wysuszone, umieściliśmy w oddzielnym kącie, w stajni i tam już zostało. Krowy nie ssało ani razu. Trzeba go było nauczyć pić mleko z woderka za pomocą palców. Ssał je razem z mlekiem.

Bomba! Od brata Petera uciekli obydwa Francuzi. Teraz, jak ich już nie było, to pomyślałem sobie, że może nie byli tacy źli, ot takie typowe mieszczuchy, z małymi brzuszkami, ale nie widziałem u nich służalczości. Z takich różnych półkówek i zapytań z ich strony wynikało, że byli zwolennikami ucieczki na wschód do Związku Radzieckiego. Mówili, że na zachód to nie mają szans, raz że długa droga, drugie, że u nich jest okupacja niemiecka jak i u nas. Nie

znakem szczegółów ich ucieczki, gdyż w dalszym ciągu byli skoczani w tej starej chacie i strzeżeni przez wartownika. Ale musiało to być w nocy, gdyż wiadomość o ich ucieczce rozeszła się z samego rana, gdy tylko nie zjawili się do roboty.

Życzyłem im szczęśliwej drogi! No i nasz wioskowy wódz znów został bez ludzi - niewolników. W ciągu jednego roku uciekło mu dwa razy po dwóch ludzi. Czy to fatum, czy zbieg okoliczności, ale w każdym bądź razie dawało do myślenia władzom niemieckim.

Długo pozostawał Peter bez żadnego robotnika. Rozpoczęła się wczesna zima i od razu z dużym śniegiem. Teraz lepiej doceniałem drewniaków. Dawałem im futrowe worki i owijałem stopy, aż do połowy łydki. Drzewo izolowało od spodu i nogi były ciepłe. Do pojenia bydła trzeba wyciągnąć masę wody ze studni i nieraz zachlapały się nogi. W skórzanych butach byłoby już mokro - a w nich zawsze sucho i ciepło, byle była cała onuca. Peter też chodzi w drewniakach, tylko zamiast worków, miał na stopach ręcznie robione grube, wełniane skarpety.

Dni były urozmaicone wyjazdami do lasu po drzewo. To wszystko już szykowałem na całą zimę. Miałem to rąbać i składować do szopy. Peter chyba nie przeczuwał, że on sam będzie rąbać.

Wyciągnęliśmy sanie. Dzień w dzień były w ruchu. A to drzewo, a to mleko, a to nawozy, po które jeździł Peter sam. Nawóz tego całego szopa, aby być gotowy już na wiosnę. Organizacja pracy naprawdę godna pochwały.

Powolnie zbliżało się Boże Narodzenie. Dla mnie już drugie poza Lublinem i rodzinnym domem. Listy teraz przy-

chodziły regularnie i dużo. Otrzymywałem je od wszystkich, tylko z Litwy nie miałem wiadomości. Pisała Ira, siostra Zosia, Ola z Zenka, Lutek. Napisał również Zdzisiek Polakowski i Felek Drewnowski. Od Mietka Krakowińskiego nie dostawałem. Czyżby znów uciekł? Mimo tych listów, a może dlatego, że je otrzymywałem wraz ze zbliżającymi się świątami coraz częściej myślałem o Lublinie. Najwięcej wspominałem całą naszą brać z podchorążówki i tę resztę, która została na Litwie. Co oni robią? Gdzie są? Rozchodziły się różne pogłoski o zmianach na Litwie. Czy istnieją w dalszym ciągu obozy internowanych Polaków? Na pewno jednak, jeśli byli w kupie, to mimo tego, że mieli gorsze jedzenie, było im z pewnością weselej niż mnie tutaj.

24.XII.40 - Druga wigilia na obozynie.

10.II.41 - Do czterech razy sztuka...

Przyszła Wigilia. Dzień był mroźny, ale bez opadów śniegu. Leżało go pełno wszędzie wysoki na pół metra, a miejscami i wyżej, bo na pół chłopca. Klimat tu surowszy w porównaniu z Lublinem. Zawsze to przecież północ. Jesień była długa i dżdżysta. Zima przyszła wcześniej, aniżeli tam u nas. Od razu śnieżna i mroźna. Może nie to, co na Litwie, a zwłaszcza pod Kownem, ale przecież to dopiero początek, jeszcze nie wiadomo, co będzie dalej.

Tego wigilijnego dnia nogi mi przemarzły nawet w kłupach. Moje onucki z worków już się przetarły. Kryjąc się przed Peterem, porzuciłem dobry nowy worek. Teraz wreszcie miałem je już ciepłe. Humor mi się poprawił. Dzień przebiegał normalnie. Z ciekawości podglądałem Peterów. Ale nic nie zwiastowało nadchodzących uroczystości. Na obiad, jak zwykle, mi usc. Pamiętałem od dziecka, że na Wigili obowią-

zywał post. A tutaj? Nawet na Litwie komanđa obozu te tradycje utrzymywała. Zresztą tam też byli katolicy. Co mi-
żem robić - zjadłem. Po obiednie Peter zarządził rbanie
drzewa, a ja ciągle czekałem na te nowości, zapachy, kręta
nia choinki. Wieczki, opłatki, na to wszystko, do czego
my już od wieków jesteśmy przyzwyczajeni. A tu nie!

Przerwałem rbanie i napaliłem sobie pierwszy raz w
piecu u siebie na górze. Po wydejeniu krów i wieczernym
obrzędku, pomyślałem sobie, czy się nie przebrać w świątecz-
ne ubranie, no bo wieczera wigilijna idzie przecież, ale
jakoś w ostatniej chwili zaniechałem tego. Jak zwykle około
siódmej Peterowa zawołała mnie na kolację. Poszedłem w moim
stroju gałganiarza, w wytłuszczonych i brudnych spodniach.
Wszedłem w kuchnię, jak zwykle o tej porze, nie było nikogo.
Na stole katem oka zobaczyłem normalną kolację, parę obkła-
danych kromek chleba i dzbanek z kawą. Myślałem i słuchałem,
co dzieje się w drugiej części domu. Ale nie było żadnych
odgłosów, nie czułem zapachu choinki, ani palących się świe-
czek. Jednak nie, było coś nowego. Obok talerza z chlebem
był drugi z pokrajanym ciastem, a obok filiżanki - duża
moneta, pięć marek. I tak wyglądała Wigilia. Zjadłem szyb-
ciej niż zwykle. Chciałem chociaż pomarzyć w samotności i
nie widzieć Peterów w tę świętą noc, w czasie której u nas
nawet najgorszemu wrogowi mówią się: "wszystkie o najlep-
szego". Jeść mi się odechciało, zabrałem część chleba i
ciasto na górę. Zdziwiła mnie ta pięciomarkówka. Ale przy-
pomniałem sobie, że nawet w księżkach w Wigilię panowie
obdarowywali swoją służbę prezentami lub specjalnymi graty-
fikacjami. A ja przecież byłem takim parobkiem. Ze złości
palnąłem tę monetę o stół i poszedłem do siebie. Nikogo
więcej tego dnia nie widziałem.

W piecu było już ciepło i na ucina poddassu zrobiło się przyjemniej. Siadłem na łóżku, spuściłem nogi i za chwilę nie wiem nawet, kiedy i skąd, popłynęły mi po policzkach grube łzy. Przecież nic mnie nie bolało. Byłem najedzony. A tu nagle łzy. Dlaczego? "Ja wam jeszcze pokażę, jeszcze mnie popamiętajcie!" - takie to myśli przelewały mi się po głowie. Nie tylko nie tak. Jakiś dobry duch podpowiadał, żeby pokazać swoją wyższość bez emocji, na zimno.

Wziąłem swój zeszyt szkolny, gdzie zapisywałem słowa. Już raz mi się przydał. Wyrwałem z niego mapkę Niemiec w nowych zagrabionych granicach i planowałem termin ucieczki. Potrzebny mi był kalendarz na 1941 rok.

Styczeń - zima i to największa. Jakże iść w taką pogodę? Luty - też zima, ale dni już dłuższe i pokazuje się nawet słońce. Może marzec - już ciepło. Bliżko wiosny, ale roztopy. Woda, gdzie tu maszerować po wodzie. Chyba luty lepszy - mówił mi jakiś głos. Mroźno, ale sucho. A to lepsze aniżeli mokre nogi. Wybór padł na dzień 10 lutego - niedzielę. Przyrzekłem sam sobie przy tej świętej Wigili, że ucieknę tego dnia. Która to już ucieczka? Pierwsza w 1939 roku, druga w 1940 z Wilkomierza, a trzecia w 1940 roku z Dombenhnen. To miała być czwarta. Uspokojony wewnętrznie, nawet nie wiem, kiedy zasnąłem. Nawet nie słyszałem, jak myśli tańcowały po tym cieście, co go przyniosłem z dołu, zdziwione niespodziewanym ciepłem w isdebce.

Pałem twardo, jak każdego dnia, mimo że tym razem przed zapadnięciem w sen majaczył mi się scenariusz przyszłej ucieczki. Nie było Wigilii. Nie było pastereki. Pierwszy raz w życiu wcz. bo przecież na Litwie ubiegłej wiosny było weselej, aniżeli czasami w domu.

Jak się zaczęło, to i tak szło dalej. Tutaj między dniem zwyczajnym a niedzielą, między niedzielą a wielkim świętem nie było różnicy. Peter w pierwszy dzień Bożego Narodzenia reperował drabiny przy wozie drabiniastym już na lato, w tych samych drewniakach, w tej samej koszuli i kamizelce, co wczoraj. Tylko dobrze jeść i spać, to była ich cała rozrywka. Tyle, że na to żarcie zarabiali dobrze zorganizowana praca przez cały rok. Niedziela od dnia powszedniego odróżniała jedynie śniadanie. Bo do zwyczajowej kawy, Peterowa dodawała po kilka kawałków placka z kruszonką.

Dzisiaj, przy tak wielkim święcie, było też jakieś inne ciasto, i te pięć marek na stole. Przy końcu śniadania objawił się Peter i najsłodszej jak mógł powiedział, abym wziął te pięć marek, bo u nich jest taki zwyczaj, że się ludzie obdarowują.

Nie nie odpowiedziałem, ale po chwili namysłu, pomyślałem, że ambicja ambicją, jak miałem pokazać swoją niezależność, to pokazałem, a on i tak na tym się nie pozna, i wziął je.

Po śniadaniu nie nierobikiem i wciąż taki byłem markotny przez te Wigilie. Przecież niczego od nich nie oczekiwałem, a mimo to miałem żal - o co? Chyba tylko o to, że tu siedzę i ^{że} ominie mnie jeszcze jedna wigilia, ale taka nasza - w kraju.

Niedługo przyszedł do mnie sąsiad od Schmidta. Też Litwin. Powspominaliśmy sobie trochę. On też dostał pięć marek, więc jednak z tym zwyczajem to była prawda. Nie ubra się w nic lepszego, podobnie jak jego gospodarz, tyle że Schmidt rąbał drzewo.

W niedziele i święta nie wymagali od nas pracy, poza zwyczajowymi obrzędami inwentarza.

"Nie ma to jak w domu jednak" - powiedział mój sąsiad.

Nie mówiłem mu nic o moim nocnym postanowieniu, ani o moich planach. Miałem do niego stuprocentowe zaufanie, ale licho nie spało. Bałem się zapeszyć.

Nie wychodziłem tego dnia nigdzie. Mimo to, nie mogłem sobie miejsca znaleźć. Napaliłem sobie znów w piecu, to było jedyne świąteczne urozmaicenie. I tylko myślałem i myślałem.

Peter przed kolacją był taki czerwoniutki. Widać było, że wypił sobie ze dwa piwa. Oszczędność, tak u jednego, jak i u drugiego nie pozwalała na jakąkolwiek najprostszą gościnę. A przecieżyli w zgodzie. Nie kłócili się i kobiety też nie. Widocznie takie były zwyczaje.

Na drugi dzień ubrałem się we wszystkie moje nowe rzeczy i po śniadaniu wybrałem się na wieś, a przede wszystkim do Szynczaka.

Z Szynczakiem gadaliśmy długo o wszystkim. Po przebrnięciu się Mietka, był to jedyny człowiek, z którym miałem o czym mówić. Przede wszystkim o tej zaplanowanej przeze mnie ucieczce.

Od rana wprowadzam w czyn wszystkie moje pomysły kamuflujące mój plan ucieczki. Przy pierwszej okazji pobytu w Barten kupiłem ich znaczek Hitlerjugend. Jeśli dobrze pamiętam, to znaczek ten przedstawiał stylizowaną literę "H" w odróżnieniu od SS.

Czapkę dobrze schowałem, aby u mnie jej nikt nie widział, głównie oczywiście z domowników. Do tego kupiłem kilka zeszytów brukowych kryminałów. Oczywiście w języku niemieckim. Porozkładałem to na stole, aby sprawiać wrażenie, że zagospodarowałem się już na dobre. Z Szynczakiem ustaliliśmy treść pisma urlopowego, jakie miał mi napisać w imieniu mojego gospodarza. Był zadowolony, że gdzieś tam, po innych wioskach, podobni ludzie wyjeżdżali legalnie na

urlopy. Ponieważ data ucieczki już ustaliliśmy na 10 lutego, przyszedł wypisać pięknym gotykiem kartę urlopową na dwa tygodnie, począwszy oczywiście od 10 lutego 1941 roku. Podpisał Artur Peter i klamka zapadła.

Schowałem ten papier bardzo głęboko razem z czapką i znaczkami. Byłem w zasadzie gotowy już do drogi. Teraz trzeba było wcześniej wyciągnąć moje zaległe u Petera pieniądze. Sam nigdy nie wypłacał, czekał, aż się upomnę, ~~napisać~~ Miąkeń to zrobić dopiero po pierwszym lutym, aby było ich więcej.

Dnie teraz wlokły mi się niesamowicie. Roboty było, jak zwykle, dosyć. Były duże śniegi i mrozy. Jesień była sucha w zasadzie bezdeszczowa. W studni zabrakło już wody, a do topnienia śniegów było jeszcze daleko. Nie było czym poić bydła. Musiałem jeździć po wodę do rzeki. To była robota, nie zazdrościsz nikomu. Na wóz załadowałem beczkę blaszaną, około 3 tysięcy litrów, ręczną pompę i do rzeki. Tam szukałem miejsca, gdzie można podjechać wozem pod samą wodę, a jednocześnie musiało być dostatecznie głęboko, aby można było wrzucić wąż od pompy i aby mufa pompownicza była zanurzona cały czas w wodzie. Woda, chociaż nie lód, to miała zaledwie trochę więcej stopni, niżeli on sam.

Każda rozlana kropelka osiadała na ubraniu, na klumpach, i natychmiast zamieniała się w lód. Lód kłuł ciało jak normalna szpilka. Ręce, chociaż przyzwyczajone już do ciężkiej pracy i do zimna, pokrywały kłujące kępki lodu. Potem lód z przyskającej wody pokrył ubranie i całe klumpy. Człowiek wyglądał jak bałwan śniegowy. Nawet brwi i rzęsy pokryte były lodem. Po takiej robocie, ciepła stajnia może być porównana do królewskich salonów.

Peter jeździł saniami po nawozy i na jarmark, żeby sprzedawać najstarszego konia. I tak przeleciał cały styczeń.

Zaraz po pierwszym lutym zażądałem od Petera moich zaległych poborów. Przy okazji trochę mu nagadałem, że nie płaci regularnie i zawsze mu się nie upominać. Miałem około 50 marek. Na te czasy było to duża suma pieniędzy.

Do Ireny i do domu napisałem, aby więcej do mnie nie pisali, gdyż, tu dałem do zrozumienia, niedługo się zobaczymy. Najwyżej sam do nich napiszę z gorzką nowiną po "nieudanej ucieczce" z jakiegoś tam więzienia.

Szymczakowi zostawiłem adres domowy, aby po kilku tygodniach, gdy nie wróci do Dombekmen, napisał do rodziców, taki próbnym list z zapytaniem o mnie. Odwrotnie, jeśli mi się uda, to ja napiszę do niego.^x

Innym kolegom, nawet temu od Schmidta, nie nie mówię

Dostałem z powrotem zarekwizowane przez Stalag moje rzeczy, a między nimi 25 złotych w nowych okupacyjnych pieniądzach, które Niemcy wprowadzili w międzyczasie w GG. Był to ekwiwalent na złotówki, które przywozłem z Litwy, a które zabrano mi w Stalagu wraz z innymi drobiazgami. Starych złotych miałem chyba około 200 złotych. Miałem już coś, choćby na drobne wydatki, a może na bilet z Warszawy do Lublina? Przecież bułka kajzerka kosztowała 5 groszy.

Nadszedł wreszcie 10 luty 1941 roku, niedziela. Dzień piękny, suchy i mroźny. O siódmej rano, bo w niedzielę wstawano się o godzinę później, po tradycyjnym "Tadejas melken" /Tadeusz dojenie/, spojrząłem w okno. Dzień już wstawał, wi-

x/ Szymczak nigdy nie napisał tego listu i nie slyszalem już o nim.

dać było na niebie czerwone poranne słońce. Dobra wróżba - pomyślałem. Będzie ładna pogoda. Łazienki rozpoczął się, jak każdy inny. Obrok dla koni, pasza dla krów, pojenie jednych i drugich, a potem dojenie krów. Oparłem się policzkiem o ciepły brzuch krowy. Ciepło sucho. Zaraz miało być śniadanie. W niedzielę z kawałkiem placka z kruszonką. Co czekało mnie jutro, tego nie byłem w stanie przewidzieć. Po głowie chodziły mi myśli niewesołe, wręcz ponure, ale nie odstrasżające. Zdecydowałem próbować aż do skutku.

Teraz przedko śniadanie. Zjadłem wszystko co do kawał. Nie wiedziałem, kiedy będę jadł następnym razem. Pobiegłem na górę. Wszystko było już popakowane i poukładane gdzieś w izbie. Teraz wyłożyłem na wierzchu. Moje wojskowe strzyki porozwieszane, jak zwykle, na ścianie. Książki niedbale porozrzucane po stole. Klumpy pod piec. Wszystko miało świadczyć, że moja nieobecność jest tylko chwilowa, takconiedzielna. Miałem ochotę wziąć ze sobą moją polówko-rogatykę. Służąca mi wiernie od podchorążówki. Przyszła jednak refleksja, a nuż zauważą jej brak. A po drodze, jak złapą, to zaraz będą wiedzieli, z kim mają do czynienia. Nie, trzeba zostawić. Żółty znaczek z literą "P" /Polak/ już wczoraj zaszyłem w marynarce.

Chleb rozłożyłem równo po wszystkich kieszeniach. Największe opakowania i najbardziej pożywne, tłuste, powędrowały do tylnych kieszeni spodni, bo w tym niemieckim garniturze było ich tam dwie. Cztery cieńsze, ale również dobrze obłożone, powędrowały do kieszeni marynarki. Do ręki wziąłem tylko małe pudełko po cygarach z dykty. Tam z pakowałem moje paniówki - historyczne już karty z Litwy, przybory do golenia, kawałek szary na zelówki z tyłu.

jak Niemcy ślapię, to mogą się jeszcze przydać. Listy, pamiętnik, wszystko schowałem do kieszeni wewnętrznych marynarki. Pieniądze polskie i dwadzieścia marek, również zaszyłem w marynarkę, jako żelazny kapitał. Zostały tylko wasy. Na sucho opolikiem je maszynką, aż kły leciały z oczu. Znaczek Hitlerjugend na razie wsadziłem do kieszeni z zamiarem przyczepienia go do czapki już w pociągu. Zerknąłem do lusterka. W pierwszym momencie nie mogłem się poznać bez tych wąsów. Nosikiem je bez przerwy, od ich wyrośnięcia i byłem przyzwyczajony do własnej twarzy, tylko z nimi, a tu patrzył na mnie obcy chłopak i to jeszcze w jakiejś dziwnej czapce!

Bez wąsów i w narciarce, nie różniłem się w zasadzie od tutejszej młodzieży. Ona też miała najwyżej dwadzieścia lat. Reszta, oprócz starych dziadków, była już dawno w wojsku.

Teraz należało tylko wynknąć się tak, aby Peterowie nie widzieli mnie bez tych wąsów. Szukałem, czy nikt nie wychodzi z mieszkania. Cicho! Po cichu, na palcach, zszedłem na dół. Otworzyłem drzwi wyjściowe - nadal cisza. Szybkim krokiem skierowałem się na przystanek kolejki, ale inną drogą niż zwykle. Nikt mnie nie mógł spotkać. Czasu było mało, a nie miałem zegarka. O jedenastej odchodziła kolejka do Rastenburga. Było chyba około dziesiątej. Prawie biegłem po śniegu i wertepach. Wreszcie wyszedłem na drogę, ale już za wieś.

Teraz szło się szybciej i łatwiej. Na przystanku było kilka kobiet. Stałem obojętnie z boku i jednocześnie usłyszałem oddech. Usłyszałem wreszcie gwizd lokomotywy, więc szybko kupiłem w kasie bilet, ale tylko do Rastenburga. Wyzedłem na peron. Nikt na mnie nie patrzył. Pomyślałem,

że niczym się od nich nie różnię. Na szczęście, nie widziałem nikogo z naszej wsi.

W pociągu usiadłem z dala od ludzi i obojętnie patrzyłem w okno. Nikt mnie nie zaczepiał. Miejsca dużo, ludzi mało. W duchu modliłem się o szczęście, aby się udało. A jeśli, a jeśli, już miałyby być nowe baty, to chociaż niech będą małe...

Ucieczka

Lokomotywka sapała, patrzyłem obojętnie w okno na ośniewane pola i znane mi już widoki. Ręce w kieszeniach, mówiłem do siebie: aby dalej, aby ze szczęściem, aby do swoich. Boże Dopomóż! Patrzyłem jakoś półprzytomnie, kolejka stawała, zmieniali się podróżni. Przez jakiś czas nie słyszałem otoczenia, patrząc przez okno, nie widziałem nic.

Częste gwizdy "samowarka" przerywały moje pewne odretwienie. Gestniczące zabudowania zwiastowały, że zbliżamy się do miasta.

Nie było już czasu na dalsze rozdyśniania, pociąg już hamował. Miałem już za sobą pierwszy odcinek mojego przedsięwzięcia.

Wziąłem się w garść. Wraz z innymi podróżnymi szedłem w kierunku budynku dworca. To już znałem. Tam kasy, tu bufet i poczekalnia. Rozglądałem się ostrożnie, czy nie widać jakiego znajomego z Dombenhnen. Na szczęście, żadnej takiej twarzy. Podeszedłem do kasy. Tłok. Miałem jeszcze dużo czasu. Cierpliwie więc czekałem.

Gdy przy jednej z kas zmniejszyła się kolejka, śmiało podeszedłem. Po cichutku przełknąłem ślinę. Zwilżyłem lekko wargi, a potem śmiało i zdecydowanie powiedziałem: "ein mal Zichenau dritte Klasse", bitte!" /prosze bilet do Ciechanowa, trzecia klasa/. Na wszelki wypadek trzymałem widoczne dla kasjera 20 marek w palcach. W kasie siedziała dziewczyna. Za chwilę, lekko uśmiechając się do mojej czapki ze znacznikiem Hitlerjugend, a może do mnie, podała mi bilet i, nie nie mówiąc, z dwudziestomarkówki wydała mi chyba coś, bo odtąd miałem już drobne, które potem były bardzo potrzebne. Odwzajemniłem jej pewniacki uśmiech i bez słów, jak w

jakiejś sztuce teatralnej, kołysząc się na nogach, oddaliłem się od kasy.

Co czułem w piersiach, jak spocone mięśnie rąk i przyspieszony oddech, tylko ja wiedziałem. Udało się. Odetchnąłem, a jednocześnie przestraszyłem się. Poczekalnia była pełna młodych ludzi w moim wieku, podobnie jak i ja ubranych po sportowemu z mykami zawiniątkami w rękę. Większość miała na głowie również czapki Hitlerjugend. Co to? Co tu się dzieje, pytałem się w duchu. Cóż to bractwo krzyżackie, pije piwo, śmiało się aż szyby drżały. Porozwalali się po stołach i ławach, gdzie popadnie. Nic nie rozumiałem. Wycieczka, pielgrzymka, szjard. Nagle na salę wkroczył jakiś kolejarz w czapce i ryknął: "Londrug an... /pociąg specjalny do.../ Dokąd, to nie pamiętam.

Na to wezwanie na sali powstał jeden ryk dziesiątków wypasionych gardeł. Jak na jakimś meczu piłki nożnej czy boksu. Spora grupa zerwała się ze swoich ławek i zostawiając na stołach resztki jedzenia pełne i puste kufle i flaszki po piwie, niedopałki i papiery. Rwali do wyjścia, na perony. Pozostali gwizdali, tupali, darli się, klaskali, śmiejąc się głupkowato i wymachując rękoma w kierunku odchodzących. Zychać było jedno słowo powtarzane, krzyżane przez dziesiątki gardeł: "Artilerie, Artilerie" /artyleria, artyleria/.

W tym momencie dostałem olśnienia, że to pobór rekruta, a ta artyleria, to nie innego, jak jakaś grupa odjeżdżająca do znanego im miejsca, gdzie stacjonował pułk artyleryjski.

W tłumie było pewnie. Tu nie zwracano na mnie uwagi. Nikt inny, oprócz mnie, nie pomyślałby, że nie jestem jed-

nym z nich. Najważniejsze jednak, to nie dać się wciągnąć w pogadanki, bo przy dłuższych zdaniach mogła być wrypa. Na wszelki wypadek poszedłem do bufetu i wziąłem swoje: Ein mal dunkles /proszę jedno piwo ciemne/ Tak było lepiej. Miałem zajęcie i nie musiałem rozmawiać. Wyciągnąłem kanapkę.

Nie wiem, jak to długo trwało. Gdy znów ten dostojny kolejarz wkroczył na salę i ryknął: "Personnenzug nach Allenstein, zweiter Bahnsteig /pociąg osobowy do Olsztyna, drugi peron/". Coś tam jeszcze dołożył, ale już nie zrozumiałem, co. Znów spora grupa młodzieży zerwała się z ławek.

Nagle uzmysłowiłem sobie, że to wezwanie również i mnie dotyczy. Zostawiłem piwo i spóźniony biegłem do drzwi. Doganiałem grupę już w pociągu. Słychać było jeden wrzask i przepychanie się. Z okna starsi z pobłażaniem przyglądali się młodemu.

Wagony były stare, a konduktor, kontrolując bilety, chodził po długim stopniu na zewnątrz całego wagonu, skąd były wejścia do wszystkich przedziałów.

Wgramoliłem się i ja do jednych drzwi. Już jako ostatni i nagle, o Boże, wpadka, koniec! Po co to wszystko i to udawanie, po co tyle przygotowań i błysk w głowie, że odwrotu już nie ma! Wszedłszy do wagonu, oko w oko spotkałem się z siedzącym już w kacie, synem Schmidta, sędzią Peterów z Dombeknen, którego matka była Mazurka. To z nią, od czasu do czasu, rozmawiałem po polsku.

Mimo wszystko, udając spokój, usiadłem na wolnym miejscu tuż przy drzwiach, przedtem jeszcze powiedziałem grzecznie, ogólnie "Guten Tag". Jedni coś mrugnęli, imiennie, on jeden wyraźnie mi odpowiedział i patrzył na mnie,

ale jakoś nie wrogo, tylko z jakimś niewyraźnym uśmiechem. Patrzyć na moją czapkę ze znaczkiem, na moją, przez Niemca szytą, kurtkę, na moje niemieckie spodnie i nie mówić nic - ja tak samo.

Siedziałem obok jakiegoś grubego starszego Landsturmisty^x. Ten się przyjaźnie przeanał, robiąc mi miejsce. Uśmiechnął się do mnie, nie wyjmując z ust grubego jak koci ogon cygara i spytał się: Weidenburg. Infanterie, was? /Nidzica, piechota, co?/ Odpowiedziałem cicho i machinalnie "Ja, ja!" On znów: "Ich weiss, ich weiss, ich kenne das", co miało oznaczać: ja to znam, to znam, ja tam też byłem. Śmiał się i walił mnie ręką, jak bochenek po plecach. Reszta się roześmiała porozumiewawczo. Nie widziałem tylko, co robił w tej chwili mój Schmidt, bo oczy miałem pochliwie spuszczone w dół.

Pociąg ruszył. Już dudnił, a mnie dudniło serce i myśli różne latały po głowie. Wskoczyć w biegu, czy jak? Nie można było wyjść na korytarz i próbować się skryć w tłumie, bo takiego korytarza ten stary wagon nie miał. Nieśmiało spod daszka spojrziałem w kierunku Schmidta i zobaczyłem, że on wcale nie interesował się moją osobą i spokojnie ugniatał róg przedziału do drzemki.

Co miało znaczyć to wszystko? Dlaczego on nie zadawał pytań? Znów zagadnął mnie grubas, ale tu głos ostrzegawczy szepnął - nie gadaj, akcent, dialekt. Przyszła mi zbawcza myśl do głowy. Zrobiłem zboląką minę i powiedziałem: "Zahneschmerzen gerade heute" /ból zęba, akurat właśnie dzisiaj/. Chyba wyszło to dobrze, bo grubas tylko dorzucił:

x/ stara nazwa żołnierza piechoty.

"Aufpassen in Allenstein muss man umsteigen" /uwaga w Olsztynie, trzeba się przesiąść/i dał mi spokój .

- Inni zajęci byli sobą. Schmidt, poza tym "Guten Tag" nie odezwał się ani słowem. Wciągnąłem się w kątek. Wyjąłem chusteczkę, przyłożyłem ją do policzka i, udając cierpiącego, przymknąłem oczy. Ale myśli nie dawały mi spokoju. Dlaczego Schmidt nic nie robił? Acha. Na pewno dopiero w Olsztynie narobi krzyku. Były i inne. A może nie, a może będzie cud. Myśli biegły i pociąg też. W przedziale zrobiło się cicho, bohaterowie drzemali po wypitych piwach. Mnie jednak sen się nie imał. Kiedy ten pociąg dojedzie do tego Olsztyna? Nagle drzwi od przedziału gwałtownie się otworzyły. To konduktor wpychał głowę między nasze kolana. Popatrzał na wojskowych, to znaczy na nas, uśmiechnął się tylko, mruknął "Rekruten" i zniknął. Tacy mieli przecież bilety darmowe, nie było potrzeby sprawdzać! Nie wszyscy nawet zauważyli ten incydent. Cisza przerywała tylko czyjeś ciche chrapanie. W tej ciszy dał się słyszeć najpierw cichy, potem głośniejszy skrzyp hamulców. Nagle pociąg stanął. Z peronu dobiegło zwyczajowe wywoływanie przez konduktorów jakiejś stacji. W przedział jakby jakiś piorun trzasnął. Wszyscy zerwali się z miejsc, rzucili się do swoich bagaży, a potem do drzwi. Wtedy zauważyłem, że ci cywile, rekruci, w przeciwieństwie do mnie, mieli jakieś pakunki, walizki. Jak to w wojsku, każda matka jest jednakowa i każda coś tam do tego pakunku dołoży.

Zerwałem się i ja, takim owczym pędem, nie wiedząc, po co. W drzwiach się zakotłowało. Zorientowałem się, że to nie Olsztyn i cofnąłem się. W przedziale pozostał tylko ten grubas. "Ruhe, doch, das ist noch kein Allenstein" /spokój, przecież to nie jest żaden Olsztyn/ - powiedział

do mnie i roześmieliśmy się obaj jak dobrzy znajomi. Po chwili do przedziału weszło kilka osób, sami cywile, starsze kobiety i nagle zdałem sobie sprawę, że jestem wolny, że się nic nie stało i chyba się nie stanie! Przecież Schmidt, jedyna osoba w całym pociągu, która mnie znała, gdzieś zniknął. Na razie wyspy nie było, jechaliśmy dalej. Mój grubas zajął się zaraz jeszcze grubszymi babami i nie zwracał już na mnie uwagi. Nowoprzybyli zadowoleni, że mają miejsce i takiego narratora, co to był i we Francji i w Polsce i jeszcze gdzieś tam, dali mi spokój. A ja, szczęśliwy właśnie z tego, zaszyłem się w kącie i dalej udawałem śpiącego i bolejącego.

Myśli jednak nie dawały w dalszym ciągu spokoju. Rozum też jakoś nie chciał poddać się. Żądał odpowiedzi, dlaczego Schmidt tak postąpił? Wiedział, że już raz uciekałem. Wiedział przecież, że jestem Polakiem i żołnierzem. Więcej nawet, elewem ze szkoły oficerskiej. Przecież taka wiadomość że ja gdzieś jadę legalnie, albo jadę gdzieś wezwany, musiałaby dotrzeć do niego, czy to poprzez mego towarzysza pracującego u nich, czy też poprzez Schmidtową, która była potężną plotkarką. Czyż to możliwe, że pomyślał sobie, że stałem się Volksdeutschem i dlatego powołano mnie do wojska. A może, ale to całkiem niemożliwe, że drgnęła w nim ta mazurska część jego duszy, odziedziczona po matce. Zresztą i ojciec jego też był inny, aniżeli Peterowie.

A może coś knuł, tylko po prostu zasnął, wyrwany nagle przez konduktora wyskoczył z wagonu i zapomniał o swojej ofierze. A może ta gra w piłkę? Nie mogłem znaleźć odpowiedzi na te pytania. Najważniejsze, że jechałem coraz dalej i dalej.

Reszta drogi do Olsztyna przleciała szybko i nie wiadomo nawet, kiedy. Pociąg stanął na dużej stacji dużo większej od Katrzyna! "Allenstein, Musseigen, Allenstein" /Olsztyn, wysiadać/ - zabrzmiało dla mnie radośnie. Teraz już nie kulikiem się ze strachu w tym obcym mieście. Raczej parząłem śmiało na ludzi i otoczenie. Stacja była duża. Podziemne przejścia wykładane białymi kafelkami. Szukałem pociągu do Soldau, bo ten Neidenburg był na tej linii. Ostrożnie rozglądałem się, żeby nie spotkać grubasa z pociągu. Co ja bym mu powiedział bez chusteczki i bólu zęba. I nagle jak góra lodowa wyrósł przede mną ten unikany żołnierz i, wymachując ręką, krzyczał "Neidenburg, dort, zweiter Bahnsteig" /Widzisz, tam, drugi peron/. Zniknął w tłumie tak szybko, jak się pokazał.

Śmiało wszedłem na drugi peron. Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to niemiecki bohater w polskich oficerkich butach z cholewami, czyli w oficerkach. Z butów, a raczej z tak zwanych "szklanek" zwieszały się ku ziemi, już nie po polsku, ostrogi. Pomyślałem, że jeśli już widać polskie trofea wojenne, na pewno dobrze idą i jada. Podoficer niemieckiej kawalerii musiał komuś "zarekwirować" te wspaniałe buty i teraz paradował w nich na urlopie.

Było już dobrze po południu, a raczej tuż przed zmierzchem, kiedy znalazłem się ponownie w wagonie. Znowu był pełen wojskowych, ale tym razem urlopowiczów i przepustkowiczów /przecież to niedziela/, niektórzy lekko podchmieni, wrzeszczący. Zaobserwowałem już wcześniej, że Niemcy w tłumie byli bardzo wrzaskliwi i czupurni. Popychali się, klepali, ale przede wszystkim wrzeszczeli.

Był to już normalny wagon, ale nie pulman, poszcze-

gólne boksy były oddzielone od siebie tylko ścianką na pół wysokości, tak że stanawszy widziało się cały wagon.

Wypróbowana metoda z dwóch poprzednich pociągów wcisnąłem się w róg od okna, gdyż to miejsce było najmniej narażone na zaczepki i pasażer nie musiał odpowiadać na każde zapytanie podróżnych. Za jakiś czas zajaśniały przyciemnione jednak na niebiesko lampy, a skutek był taki, że wszystko stało się jednakowe, szare i niewyraźne. Pasażer dokładniej mógł właściwie widzieć tylko osobę siedzącą naprzeciwko. Reszta była zamazana. Było mi to na rękę. Moje najbliższe otoczenie, w porównaniu z innymi częściami wagonu, było spokojne. Tam perorowali podchmieleni żołnierze i krzyczeli, wyciągając z teczek ciągle nowe flaszki piwa.

Zaczęto jeść i pić. Mnie widocznie z nerwów głód omijał. Ale, żeby nie odróżniać się od otoczenia, też wyjąłem kanapkę i jadłem. Popatrzyli trochę dziwnie, że nie mam piwa i nieodkłaczonej teczki, ale, na szczęście, nikt nie rozpoczął dyskusji, uznając mnie widocznie jeszcze za smarkacza, co to może jeszcze żyć bez piwa.

Pokazał się też konduktor. W porównaniu z naszymi, wyglądał przynajmniej na ambasadora wielkiego mocarstwa. Dostojny, ważny, przez plecy miał przewieszony na skos, lakierowany, krwistoczerwony, szeroki pas, podtrzymujący na plecach małą torebkę w tym samym kolorze, tak zwaną ładownicą, jaką nosiło wojsko w napoleońskich czasach. Kiedyś żołnierz nosił w niej proch, kule i co mu potrzebne było do strzelania, dzisiaj była to tylko dekoracja. Ten pas i ta ładownica były odznaką kierownika pociągu-konduktora.

Moje pełne uszanowania spojrzenie na ten pas i jego właściciela konduktor skwitował stwierdzeniem "in Ordnung"

/w porządku/, oddając przy tym bilet aż do Ciechanowa, to znaczy na terytorium Rzeszy, ale w dalszym ciągu oddzielonego granicą. Nie wiedziałem, jak jest ta granica obstawiona. Czy tak, jak przed wojną, posterunkami stażymi, czy tylko kontrolowana na wyznaczonych przejściach. To była ta podstawowa niewiadoma w tej całej eskapadzie, a poznanie jej mogło kosztować wpadkę i to ze wszystkimi jej konsekwencjami. Bilet nie wzbudził podejrzeń konduktora. Potwierdził się fakt, że nasze nieoficjalne wiadomości o możliwości jazdy na tereny przyłączone do Rzeszy były możliwe. To już dobrze! Niemcy widocznie traktowali je jako jeden obszar państwowy i przekraczanie starej granicy między Polską a Prusami nie wymagało specjalnych dokumentów. W przeciwnym razie, tak uradziliśmy z Szymczakiem, trzeba byłoby wysiąść na ostatniej stacji po stronie Prus, to znaczy w Neidenburgu, dostać się do pierwszej stacji po stronie polskiej, do Działdowa, pierzo przejść starą polską granicę. Sądziliśmy, że po blisko półtorarocznym zakończeniu wojny polsko-niemieckiej granica ta nie będzie tak strzeżona, jak przed wojną, i, śmijając wszelkie miejsca, gdzie mogą być posterunki, przejdę jakoś na drugą stronę. W marszu tym miałem się kierować światłami osiedli, bo, na szczęście, dla mnie, Niemcy nie wprowadzili w tym czasie jeszcze pełnego zaciemnienia w tej części Niemiec, gdyż samoloty alianckie jeszcze się nie zapuszczały w te strony.

Tak łatwo powiedzieć, przejść z Neidenburga do Działdowa, ale przecież to były wertepy, doły, kanały, płoty kolczaste i laski. Wszystko pokryte półmetrową warstwą śniegu. W toalecie wagonowej miałem zmienić spodnie, mocniejsze przełożyć na wierzch, aby lepiej odpierać ataki krzaków i drutów. Na szczęście, nie potrzebowałem się oba-

wiać wałęsających się psów, gdyż w Prusach był surowy zakaz spuszczenia w nocy ich z łańcuchów. W czasie mojego pobytu tam nie widziałem ani razu wałęsającego się swobodnie psa. To teraz odpadło i odpadł również mój marsz nocny, który jeszcze nie wiadomo, czym zakończyłby się. Ale co jest z tą granicą? Widocznie zażalenie z rezultatu tych rozmyślań odbiło mi się na twarzy, bo jeden z moich towarzyszy podróży nagle zaczepił mnie, czy jednak mój żąb przestał mnie boleć /nadal udawałem z tą chusteczką/, bo już lepiej wyglądam.

Powoli kończono jedzenie. Puste butelki po piwie i po winie wędrowały do kosza, albo przez okno.

Pierwszy raz byłem w takiej swobodnej gromadzie Niemców i śmieszyła mnie ich bezpośredniość, choćby ta kolejka - wspólna przed toaletą. Wkrótce porzysiadali się na siedzeniach zapadli w sen. Chrapali wszyscy bez wyjątku, i mężczyźni i kobiety. Czarna noc wyglądała zza okien pędzącego na południe pociągu, amrok pokrywał mi pogodną tym razem twarz. Oddałem się swoim myślom.

Na le coś mnie zatrzęsło, jakiś ruch, jakieś krzyki, jakieś szamotania. Otworzyłem wystraszone oczy, i zobaczyłem, jak dwóch żołnierzy szarpało się z trzecim, a ten wyraźnie chciał mnie zbić, a może nawet dągnąć bagnetem, bo chwycił się za pas. Wrzeszczał coś o zasranych cywilach unikających wojny i że on z tym zaraz robi porządek. Zdażył jeszcze mnie kopnąć, zanim koledzy odciągnęli go ode mnie. Zrozumiałem, że to wszystko mnie dotyczyło, że to o mnie mowa. Oskłupiały, nie podniosłem się nawet z ławki, ale zdążyłem zauważyć, że z wyjątkiem jednej, dwóch osób, poza mną nie było nikogo w wagonie. Jako ostatnia zniknęła ta grupa trzech żołnierzy.

Za chwilę trzaskając drzwiami, przeleciał przez wagon pomocnik konduktora, krzycząc głośno: "Neidenburg, aufsteigen" /Nidzica, wysiadać/. Spojrzałem za okno i dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że pociąg stał i że ostatni podróżni opuścili wagony. Ale ja nie jechałem do Neidenburga, tylko do Soldau. Nie chciałem pytać, aby nie zdradzić się całkowitą nieznaną: terenu i akcentem. Wiadziałem, że dwie starsze osoby siedziały spokojnie dalej, tak więc siedziałem i ja, udając, że wszystko w porządku. Powoli zaczynałem rozumieć, że Neidenburg był ostatnią stacją przed starą granicą i nie dziwnego, że na drugą stronę mało kto jechał, a tym bardziej wojskowi, którzy stanowili olbrzymią większość pasażerów. Poza tym Neidenburg to duży garnizon wojskowy, co było zrozumiałe, jeśli weźmiemy pod uwagę jego przedwojenny graniczny charakter i bliskość Warszawy. Przecież stąd prowadziła najkrótsza droga do serca Polski w 1939 roku. Wyprowadzony, rozsierdzony żołnierz widocznie tu kwaterował, a może brał już udział w "bohaterskich czynach" w Polsce w 1939 roku i rozpedzał Żydów i jeńców. Stąd może jego agresywność. Wypite piwo na pewno wpłynęło na jego wojowniczą postawę. Doszedłem do wniosku, że jakaś opatrność widocznie czuwa nademną, gdyż, gdyby doszło do awantury i do legitymowania się, nie wiadomo, jak by się to skończyło. Po chwili pociąg ruszył dalej i to starsze małżeństwo z daleka coś mówiło do mnie uspokajająco, ale nie bardzo wiedziałem, co. Mimo wszystko, dobrze się stało, że spałem na ławce i dzięki temu nie reagowałem na początkowe zaczepki tamtego wojaka. Teraz już uwaga! Żadnego spania! Za jakieś dwadzieścia kilometrów będzie Dziądkowo i wysiadka, gdyż pociąg kończył

bieg. Co tam będzie? Zdałem się na los. Jeśli nie wysiadłem w Neidenburgu i nie przeszedłem starej granicy według pierwotnego planu, na piechotę, to teraz już nic nie mogłem zrobić! Za oknem czarna noc, w wagonie na wprost ciemno. Poszedłem do toalety i najrzałem do drugiego wagonu. Tam też prawie pusto. Trochę niedobrze. W tłoku zawsze bezpieczniej.

Na tych i podobnych rozważaniach zleciał mi czas tym razem błyskawicznie. Wagon kołysał się na rozjazdach, zwalniał komotał po szynach, od czasu do czasu pokazywały się jakieś budynki. Przylepiony do okna w naiwności chciałem uchwycić moment przejazdu przez starą granicę - a tu nie!

W szyby walił deszcz tak gruby, że widać było jego poszczególne olbrzymie krople. Duże strugi ciekły po szynach. Rano w Dombenhnen mróz a tutaj teraz ulewa? Jeszcze trochę i pociąg, piszcząc hamulcami, wjechał na słabo oświetloną stację. Zauważyłem jednak napis "Soldau". Skupiłem się w sobie. Patrzyłem, co robią ludzie. Zabrali rzeczy i powoli wychodzili. Trzymałem się ich, tak że każdy mógł uważać, że jestem jednym z nich. Otworzyliśmy drzwi wagonu, deszcz lał się strumieniami. Kuląc się, wszyscy biegli w kierunku słabiutko oświetlonego budynku stacyjnego. Na peronie było około pięćdziesięciu osób. Wszyscy pchali się do wąskich drzwi, chcąc jak najszybciej uciec od deszczu. Zapomniałem całkiem o niebezpieczeństwie przejścia granicznego i przepychałem się do przodu. Nie dostrzegłem, jak jakaś energiczna ręka popchnęła mnie mocno do kolejki i dopiero teraz zauważyłem, że przy drzwiach stał w spiczastym kasku niemiecki policjant i regulował porządek w drzwiach. Czekał widocznie na pociąg, aby skontrolować podróżnych przekraczających punkt graniczny na starej granicy, ale ulewa i późna pora spowodowały, że zamiast spraw-

dzać dokumenty, policjant ograniczył się tylko do ogólnego nadzoru.

Ten deszcz sprawił, że zapomniałem o tym, że jestem uciekinierem. Zachowywałem się, jak wszyscy i to oraz moje normalne ubranie widocznie wzbudziły ufność w policjancie i nie próbował mnie legitymować. Wpadłem wraz z innymi do korytarza i dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że ten policjant w ciemną noc nie stał tam dla parady, lecz aby wykapywać takich pasażerów jak ja, nielegalnie przekraczających starą granicę. Ostrożnie obejrzałem się do tyłu i zobaczyłem, że ktoś odstawił z kolejki na bok i sprawdzał dokumenty. Przeszedłem szybko przez stację i wyszedłem na drugą stronę budynku. Chciałem jak najszybciej zniknąć z oczu policjanta.

Jak większość małych stacji, to i ta leżała na uboczu miasta, dużego, czy też małego w ogóle nie było widać. Nie świeciły się żadne latarnie.

Przeszedłem kilkaset metrów w prawo, potem w lewo i doszedłem do wniosku, że to szwendanie się po ciemku i po nocy bez dokumentów i bez celu może źle się skończyć.

Wróciłem. Ostrożnie zbliżyłem się do budynku stacyjnego zdecydowany spenetrować go i znaleźć jakąś kryjówkę, ale tak, aby widzieć i słyszeć, kiedy nadjedzie pociąg. Zbliżyłem się od ciemnej strony i w drzwiach zobaczyłem policjanta. Na głowie miał już okrągłą, "wyjściową", czapkę, a przez rękę przewieszoną Pickelhauba. Skończył służbę i szedł już widocznie do domu. Oczekałem trochę i, gdy zniknął mi z pola widzenia w ciemności ulicy, śmiało wszedłem do budynku.

Tu było raczej pułko. Zdecydowanie szedłem do tabli-

cy z rozkładem jazdy i szukałem pociągu do Zichenau. Równocześnie ostrożnie penetrowałem wzrokiem pomieszczenia budynku. Znalazłem pociąg osobowy, który odchodził gdzieś około ósmej, a była trzecia w nocy. Co robić tyle godzin? Kasa zamknięta, korytarz pusty, po drugiej stronie poczekalnia, stoły, ławki i pusty bufet. Widocznie nasz pociąg był ostatni tego dnia. W poczekalni siedziało kilka sąsiadów, chyba wszyscy z naszego pociągu, rozmawiali wyłącznie po niemiecku. Gdzie ta Polska, jeśli i tu w Działdowie wszyscy mówili po niemiecku? Widziałem, że ruch powoli zamierał, chowano jedzenie i układano się do spania na ławkach. Podszedłem i ja do stołu i usiadłem. Wyciągnąłem jak gdyby nic, kanapkę. Kilka obojętnych spojrzeń zeslingnęło się po mojej Hitlerjugend-czapce i każdy zajął się sobą. Znow wewnątrz byłem spięty. Skończyłem jeść. Oparłem głowę o ścianę i myślałem ciągle myślałem.

Ktoś mnie popychał. Ktoś coś mówił do mnie. Spod łokcia spojrzałem na boki, było już widno. Poczekalnia pełna ludzi. W bufecie sprzedawano piwo. Przy kontuarze ustawiała się kolejka, a ja leżałem wygodnie na stole i blokowałem miejsce! Z cichym "Verzeihung" /przepraszam/ zszedłem ze stołu i, jak gdyby nigdy nic, stanąłem w kolejce. Znow kilka spojrzeń ogarnęło moją czapkę i postać, po czym zajęło się swoimi sprawami. Ogarnąłem wzrokiem całą salę i otwartą na korytarz drzwi. Tu Niemcy, naród zdobywców i panów, a tu na korytarzu, zblity, niesmiały tłumek pokonanych Polaków. Poznałem ich po tych pokornych minach, gorzycy ubraniach, a przede wszystkim po różnych częściach polskiego umundurowania wojskowego. Jeden miał czapkę polówką, inny płaszcz, jeszcze innemu spod cywilnego palta wystawały wojskowe

spodnie.

Wszyscy stali zbieci w gromadkę, cichutko z pokornym wyrazem twarzy. Minęło dopiero półtora roku, a co stało się z narodem?

Dla własnego bezpieczeństwa zostałem na sali, gdzie, dzięki swojemu znaczkowi przy czapce, wydawałem się być jednym z tych uprzywilejowanych. Wziąłem swoje piwo i wróciłem do stołu. Piłem jednocześnie bacząc na wszystko. Nie widać policjantów, ani nawet wojskowych, sami cywile. Zegar poruszał się bardzo wolno, podejrzewałem, że dla przekory, po trochu przystawał. Mimo wszystko, czas szedł do przodu!

Zrobił się już jasny dzień. Wyszedłem ze stacji, rozejrzałem się dookoła. Tłum Polaków ciągle cicho rozmawiających przy drzwiach wejściowych, pokornie zrobił mi przejście. Na jezdni było pełno kałuż po tym nocnym deszczu. Temperatura około zera. Poza budynkiem kolejowym i kilkoma innymi budynkami do niego przyległymi, w pobliżu nie było nic. Miasteczko widocznie leżało dalej.

Przy stacji robił się coraz większy ruch. Było to oznaką bliskiego nadejścia pociągu. Wróciłem i ja z tej krótkiej przechadzki. Niedługo rzeczywiście podstawili pociąg. Wmieszkałem się w tłum, dałem się ponieść fali i znalazłem się w wagonie. Tutaj też widać było podział. Niemcy siedzieli w jednym kącie wagonu, Polacy w drugim. Ja, dla bezpieczeństwa, nie zadeklarowałem się po żadnej stronie. Pociąg jechał i nic się nie działo. Konduktor sprawdził bilety. Mój był strasznie wyświechtany, że ledwo można było odczytać te Zichenau. Konduktor Niemiec długo go oglądał, odwracał, kontrolował datę, potem przyglądał mi się, znów spojrzał na czapkę, ale na koniec mruknął "danke" i poszedł

dalej.

Na Polakach konduktor naużywał sobie do woli. Słychać było jego głośne ryki, a ci pokornie mu przytakiwali, na pewno nie bardzo rozumiejąc, co mówi, ale zdając sobie sprawę z tego, że to on ma władzę i może sobie krzyczeć, ile wlezie, a oni muszą udawać, że go pozornie słuchają. Po chwili w wagonie znów była cisza, tylko w drugim końcu wagonu rozległo się rechotanie Niemców.

Na różnych stacjach coraz więcej przybywało Polaków, tak że w pewnym momencie pomyślałem sobie, czy nie zmienić znów skóry, ale już na stacji, to znaczy, czy nie zdjąć hitlerowskiego znaczka z czapki. Jednakże zdecydowałem się, że jeśli to zrobić, to dopiero w Ciechanowie. Myślałem, że będę już całkiem między swymi.

Do Ciechanowa, czyli do "końca swojego biletu", dojechałem już bez przygód. Upewniwszy się, że pociąg w kierunku Warszawy ma dopiero około drugiej, wybrałem się do miasta.

Chciałem porozmawiać z ludźmi i dowiedzieć się, jak jechać dalej, co robić, bo między Rzeszą i GG, już na pewno istniała granica, a Działdowo i Ciechanów zostały włączone do Rzeszy jako tak zwane "Suedostpreusen" czyli Wschodnie Prusy Południowe.^x

Zgodnie z postanowieniem przy pierwszej okazji zdjąłem z czapki hitlerowski znaczek i zmieniłem się znów w polskiego chłopca. Rozglądałem się i wydawało mi się, że ludzie na ulicy jakoś inaczej teraz na mnie patrzą. Restauracja i zapachy sprawiały, że ktoś dał o sobie znać. Wszed-

x/ Istniały jeszcze Westpreusen, czyli Prusy Zachodnie z Bydgoszczą i Toruniem oraz przyległymi terenami.

łem. Usiadłem przy stoliku. Po chwili podszedł kelner. Ale zamiast podać kartę, albo coś zagadać, mówił do mnie jakos tak konfidencjonalnie, że lepiej przesiąść się, bo tu zwykle siadają Niemcy, i pokazał mi inny kąt sali. Te kilka słów zabrzmiało jak najskodsza muzyka anielska. Zybko i poskusznie przeniosłem się we wskazany mi kąt. Niedługo stoły zostały prawie w całości zajęte przez gości, ale druga część sali była jeszcze pusta. Kelner podszedł i już normalnym głosem spytał, co podać.

Usiedzi Polacy też jedli i popijali piwem. Nie zwracali się do mnie bezpośrednio, ale z przygaduzek, uśmiechów, było widać, że uważają mnie za swojego. Wahałem się, czy nie rozpocząć rozmowy o swoich kłopotach z dalszą drogą, ale jakoś do tego nie doszło. Zamiast piwa wziąłem herbatę i to był też rarytas, bo przecież w Niemczech nie pito herbaty i znów po półtorarocznej przerwie poczułem jej smak. Zapłaciłem jakąś śmiesznie małą sumę i wróciłem na stację. Ciagle nie wiedziałem, co mam robić.

Nie wiedziałem, dokąd wykupić bilet, dokąd jechać, gdzie wyjść, nie mówiąc już o tym, że nie miałem pojęcia, jak i gdzie przebiega granica. Podszedłem do budynku stacyjnego i rozglądałem się za jakąś życzliwą duszą. Widziałem, że dwóch starszych mężczyzn ciągnęło wózek peronowy, pełny gratów. Serce mi zaczęło bić żywiej. Byli to polscy przedwojenni kolejarze już w dobrze podeszłym wieku. Znałem przecież przedwojenny kolejowy mundur, tylko na głowach nie mieli rogatywek, ale jakieś cywilne czapki. Zdecydowany na wszystko zaczepiłem ich donyć obcesowo jak na te sytuacje. Spytałem, jak najlepiej dostać się do Warszawy. Oni, jak gdyby nic nie słyszeli, ciągnęli wózek dalej. A ja dalej tłumaczyłem, że siostra matki mieszka w Warszawie na

na Pradze, napisała, że jest chora, nie ma jej kto pomóc. Mąż zginął na wojnie, a ja dostałam polecenie od rodziny jechać tam i pomóc przez jakiś czas, póki nie będzie jej lepiej. W dalszym ciągu nie byli skłonni do rozmowy, ale wreszcie jeden z nich spytał się, czy nie boję się jechać bez biletu? Krzychałem, że bilet wykupię, tylko nie wiem, dokąd i co robić dalej. Poradzili mi, żeby kupić ^{tylko} bilet do Modlina i tam uważać.

Przez Narew należało przepłynąć łodzią, albo schować się w wagonie towarowym i przejechać na drugą stronę. W żadnym wypadku nie przechodzić przez most. Najważniejsze, to dostać się do Nowego Dworu, a tam trzeba było dalej pytać ludzi. Najlepiej zrobić to pod wieczór! Skoro powiedzieli już wszystko, poprawili czapki i, jak gdyby nigdy nic, pociągnęli dalej swój wózek.

Ta rozmowa podniosła mnie bardzo na duchu. Zawsze nie ma to, jak między swoimi, pomyślałem. Teraz już, nie namyślając się, podszedłem śmiało do kasy i poprosiłem o bilet do Modlina. To już nie Rastenburg, nie trzeba było udawać Niemca. Wszędzie naokoło byli Polacy także i w kasie. Wkrótce na stacje wtoczył się pociąg. Nie wiem, skąd, i nie wiem, dokąd. Najważniejsze, że miałem nim dojechać do Modlina.

Teraz czas szybko leciał, jakby na przekór, gdy chciało się go odwlec, mijał nieubłaganie. Tutaj, w pociągu, przed tą chyba najważniejszą w tej ucieczce decyzją, chciałbym jeszcze poczekać. Może na jakieś zdarzenie, które samo pełniłoby mój los do przodu, ale nic się nie działo.

Starąłem się posłuchać, co mówili ludzie, dokąd jechali. To już nie Działdowo. Ludzie mówili głośno i, cho-

cięż to była Rzesza, to mimo wszystko, czuli się u siebie. Akcent też mieli normalny, nie było już tej mazurskiej mowy odróżniającej się od tej, którą mówi się w centralnej Polsce. Niestety, nic nie podsłuchiwałem i z nikim nie rozmawiałem, na wet nie wiem, kiedy dojechaliliśmy do Modlina. Większość pasażerów wysiadła. Wysiadłem i ja. Naokoło znów nie było żadnego osiedla, tylko parę małych budyneczków stacyjnych.

Odważyłem się i zaczepiłem samotnie idącego mężczyznę. Spytałem o drogę w kierunku mostu. Ten bez słowa pokazał mi kierunek akurat odwrotny, w którym szła grupa pasażerów pociągu. Kierowali się w stronę niewidocznego miasteczka. Podziękowałem i ruszyłem ku swemu przeznaczeniu. Słońce zaczynało już czerwienić, nadchodził wieczór. Sprzyjało to moim przeprowadzonym zamierzeniom. Nigdzie nie widziałem ludzi, a droga powoli schodziła w dół. To był pewny znak, że idę dobrze w kierunku rzeki. Gdzie to miasto, gdzie byli ludzie? Pamiętałem, że mój ojciec służył w Modlinie przez szereg lat jako podoficer w I batalionie saperów. W 1926 roku, w czasie przewrotu majowego, pilnował ze swoim plutonem jakiegoś mostu. Może akurat tego, którego dziś szukałem. Ale w tamtych latach, nie chodziłem jeszcze do szkoły, skąd więc miałem wiedzieć coś o tutejszych mostach. Na szczęście, nie było również Niemców! Aż w końcu z daleka zobaczyłem most. Leżał na dwóch wysokich brzegach. Bardzo nisko w dole rozbiegała się szeroka, skuta lodem rzeka. Nie przystawałem, ogarnąłem wzrokiem brzeg po mojej stronie. Gdzie te domy? Gdzie te łodzie? Na moście po mojej stronie niemiecki żołnierz, okutany w długi kożuch, z karabinem na pasie, przechadzał się monotonicznie. Żadnego ruchu, żadnych ludzi na moście. Patrząc na drugi brzeg, ciągle wolno szed-

łem w kierunku rzeki. Po drugiej stronie była bardzo wysoka ścista skarpa, chyba wysoka na 3 metry, a może i więcej. Za skarpar - wysokie drzewa. Dalej widać było rozrzucone niskie, pojedyncze domki i ogrody. Nie poszedłem na most, skręciłem w lewo, bo droga tu się rozwidłała. Ta bardziej wyjeżdżona prowadziła na most, ta mniej w lewo. Było trochę krzew i kilka domów. Jeden z nich murowany tuż przy drodze okazał się sklepem. Wszedłem do małego wiejskiego sklepiku z żywnością. Pozdrowiłem po polsku i poprosiłem o lemoniadę i handrynki. Zupełnie, jak przed wojną.

Nie wiedziałem, jak zacząć rozmowę o tym Nowym Dworze o rzece, o moście. Pytałem ostrożnie, gdzie można dostać przepustkę, aby przejść przez most. Sklepowa, śmiejąc się, odpowiedziała, że jak chce iść do kuzynów na drugą stronę, to niech nie szuka przepustki, tylko przechodzi po zamarynietej rzece bez przepustki.

Wiedziałem już wszystko. Zapłaciłem i wyszedłem. Chciałem, aby słońce zaczęło szybciej zachodzić. Most widać było wyraźnie na jasnym tle lodu i rzeki, ale żołnierza już nie widziałem. Pokazały się jakieś zabudowania, a na śniegu ciemna smuga w kierunku rzeki - ścieżka! Na rzece, na lodzie ścieżka nie zniknęła, prowadziła na drugą stronę. Wróciłem jeszcze raz w kierunku sklepu. Czekałem, żeby słońce jeszcze bardziej schowało się za drzewa.

Wkrótce już zdecydowany, śmiało skręciłem w kierunku rzeki. Pod pachą trzymałem zawiniątko, żadnych bagaży, ot młody chłopak szedł poślizgać się na lodzie. Wszedłem na lód i rzeczywiście się ślizgałem raz w jedną raz w drugą stronę, ale ciągle bliżej drugiego brzegu. Spojrzałem na most, wartownika już w ogóle nie było widać. Śmiało posuwałem się do przodu. Czym bliżej środka rzeki, to więcej

wody było na powierzchni lodu. Pomyślałem, że to przez te deszcze i szedłem dalej po wodzie. Rzeka miała chyba z 80 metrów szerokości. Zbliżałem się już do drugiego brzegu. Nikt mnie szczęśliwie nie zatrzymywał, a tu nagle usłyszałem trzask pod nogami i wpadłem pod lód! Bałem się nawet krzyżeć. Zanurzyłem się już po pas w lodowatą wodę.

Na szczęście, nie wpadłem głębiej. Była to chyba przerębla wycięta w lodzie. Zdażyła już zamarznąć, ale nie na tyle, aby wytrzymać ciężar mojego ciała. Wygramoliłem się. Zkapałem swoją paczuszkę i starałem się jak najszybciej wdrapać na wysoki przeciwległy brzeg rzeki. Ślizgałem się po lodzie. Woda wylewała się z butów, ale w końcu znalazłem się na szczycie. To był wał przeciwpowodziowy. Zbiegłem w dół. Dalej szedłem szybkim krokiem, ale nie biegłem, aby nie wzbudzić podejrzeń.

Udało się! Udało się! Chciałem krzyżeć. Byłem przekonany, że przekroczyłem granicę między Rzeszą a Generalną Gubernią. Maszerowałem szybko. Woda chlupała w butach, ale jeszcze było mi ciepło. Na szczęście, grube robocze spodnie, które miałem na sobie, nie przepuściły za dużo wody do ciała. Kurtka do połowy też była mokra.

Nie widziałem nigdzie ludzi, ani domów. To mnie niepokoiło, bo nie wiedziałem, czy idę w dobrym kierunku. Po jakimś czasie drzewa przerzedziły się, krzaki znikły, zobaczyłem osiedle, a nawet jakąś uliczkę.

Słońce właściwie już zaszło, a w niektórych oknach zapalały się światła.

Zagrody były typu podmiejskiego. Nie miały stodół ani obór. Co to za miejscowość? Czy to już Nowy Dwór? Zdecydowałem się zapukać do pierwszych lepszych drzwi. Prze-

sadziła o tym otwarta furtka. Wszedłem na ganek i zapukałem do drzwi. Panowała cisza. W oknach nie widziałem żadnego światła. I z wrażenia i z zimna przechodziły mi po ciele dreszcze! Nareszcie coś się ruszyło. Otworzyła młoda dziewczyna. Nie czekając, wszedłem do środka i zamknąłem za sobą drzwi. W oczach dziewczyny zobaczyłem strach. Spytałem prosto z mostu, jak dojść do Warszawy. Dziewczyna była tak wystraszona, że trudno było ją zrozumieć. Opowiedziałem jej o tym, jak uciekłem z niewoli niemieckiej i o tym, jak wiałem do wody. Pokazywałem zdjęcia - swoje w mundurze i Ireny - mojej narzeczonej. Tłumaczyłem jej, że mamy się pobrać i jeszcze dziś muszę być w Warszawie. Chciałem ją przekonać i uspokoić, udowodnić, że nie jestem szpiclem i prowokatorem.

Coś zaczynała rozumieć, ale strach ją paraliżował. Bała się żandarmów, bała się kary, którą mógł być obóz. Zapewniłem ją, że nikomu nic nie powiem o spotkaniu i rozmowie. Wreszcie otworzyła drzwi i już trochę spokojniejszym głosem tłumaczyła, że torem kolejowym trzeba dojść do Legionowa, a tam to już sobie dam radę. Prosiła tylko, żebym wyszedł przez podwórko.

Złapałem ją za rękę i ucałowałem. Cofnęła się wystraszona. Wszedłem. Przy płocie jeszcze raz obejrzałem się na dom. Na ganku nie było nikogo.

Strach miał wielkie oczy, ale ja, na szczęście, jeszcze tego nie rozumiałem.

Szczęśliwy, prawie pędziłem do drzew przez pole. Wkrótce znalazłem kolejowy szlak. Szedłem przy nim po wydeptanej dobrze już ścieżce. Zrobiło się całkiem ciemno i jedynym drogowskazem były czarne tory. Kurtka zmarznięta,

pokryta lodem, szeleściła przy każdym kroku. Byłem mokry i przemarznięty, ale czułem wewnętrzną radość z sukcesu i czułem, że dojdę do tego Legionowa, a stamtąd do Warszawy. Dalej zamierzałem jechać koleją.

Już dwa dni wędrowałem. Już dwa dni nie zdejmowałem z siebie ubrania i butów. Nie odczuwałem jednak ani zmęczenia, ani głodu. Było coraz ciemniej. Pod nogami chrupał lód. I tu musiał padać deszcz lub była w dzień odwilż. Szło się coraz gorzej. Nie widziałem ani ludzi, ani domów. Wyszedłem prawie na otwartą przestrzeń, ale cały czas byłem blisko toru tak, jak mówka dziewczyna.

Nagle usłyszałem: "Na, kommst du nich hier, soll ich helfen" /co nie chce ci się przyjść tutaj, mam ci pomóc/.

Teraz dopiero za kępą krzaków zauważyłem duże cienie z parasolami. Podszedłem. Byli to dwaj żołnierze, czy też policjanci niemieccy. Te parasole, te peleryny z kapturem i karabiny na pasie. Zaczęło się przesłuchanie. Od razu ostro, ale zaraz zauważyłem z radością, że już nie tak, jak to było rok temu. Oczywiście, rozmowę prowadzili po niemiecku. Specjalnie przekręcałem zdania i słowa, aby nie wyglądało, że jestem stamtąd.

Pytali, dokąd idę, skąd, po co, kiedy. Powtórzyłem już raz wyuczoną bajkę o siostrze matki i jej chorobie. Ta ciotka znalazła się teraz w Nowym Dworze. Ja stale mieszkam na Pradze /pomyślałem błyskawicznie, że, jak powiedziałbym odwrotnie, to mo liby mnie cofnąć z powrotem/.

Wypytywali, skąd znam niemiecki. Tłumaczyłem, że przed wojną chodziłem do gimnazjum i uczyłem się trochę, że jestem pomocnikiem w warsztacie samochodowym. W końcu zabrali się do rewidowania mnie. Rozzerwali sznurek, którym

obwiązana była paczka. Na samym wierzchu stare karty i kawałek tej skóry! "Eine ganze Wirtschaft hat er hier" /całe gospodarstwo ma tutaj/ Śmieli się, pokazując jeden drugiemu. Pytali o pieniądze. Prędko wyciągnąłem portmonetkę, a jeden z nich przyświecał latarką. Zobaczył parę marek w bilonie i 20 złotych w jednym banknocie. Teraz oświetlili mnie całego. Przeszukali kieszenie i zagrozili, że jeżeli nie powiem, gdzie schowałem marki, to zaprowadzą mnie do wartowni i rozbiorą do naga. Zaklinałem się, że nie mam żadnych marek i muszę dzisiaj być w domu, bo majster dał mi tylko dwa dni zwolnienia, a reperujemy u niego również niemieckie samochody.

Robiłem wszystko, aby dobrze wypaść i nie dostać się na to wartownię, bo tam byłoby legitymowanie, a to już koniec. Chyba mi się udało. Policjanci albo znudzili się swoją służbą, albo czego innego oczekiwali, dość że puścili mnie, grożąc tylko, że jak jeszcze raz mnie złapią, to nie darują. Odwróciłem się powoli i odszedłem. Ich spojrzenia czułem na plecach, tak jakby chodziły po nich mrówki. Czekałem tylko na strzał. Ale nic się nie wydarzyło. Byłem już parę kroków od nich. Nie oglądałem się za siebie i po chwili znalazłem się w rowie. Zbiło mnie z nóg na kolana i przewróciłem się. Zawiniątko wypadło mi z rąk, a na dnie stała woda do pół łydki. Usłyszałem za sobą wybuch śmiechu. Pobierałem się i wyszedłem na drugą stronę. W butach znów chlupnęła woda, ale wartowników już nie widziałem.

Serce tłukło mi się ze szczęścia. Przyspieszyłem kroku. Który to już raz udało mi się? Czy tak będzie do końca? Nawet nie zapytali się o żadne dokumenty, chociaż i na to już miałem gotową odpowiedź. Widocznie moje gadanie wypadł:

dobrze i było wiarygodne.

Nagle gdzieś z prawej mojej ręki od strony pola zauważyłem idące w moim kierunku dwa milczące cienie. W pierwszym momencie pomyślałem, że to gonią mnie żołnierze, ale szybko tę myśl odrzuciłem. Kucnąłem i oberwowałem.

Na szczęście, patrol w sporej odległości ode mnie zbliżył się do toru i posuwał się naprzód, nie wychodząc na ścieżkę. Mieli plecaki, ale niewidaczą było karabinów! Gdy mineli mnie, odeszli spory kawałek, tak że ich nie widziałem, ostrożnie szedłem za nimi.

Na jaśniejszym tle zobaczyłem, że przystanęli. Stanałem i ja. Natychmiast przykucnąłem upodabniając się do kamieni, których tu nie brakowało. Ruszyli, więc ja jeszcze wolniej posuwałem się za nimi. W końcu niespodziewanie zniknęli mi z oczu.

Teraz już śmiało szedłem do przodu. Uważałem tylko, żeby zbyt nie odrywać się od toru, bo zniknął mi czasami z oczu wśród krzaków. Mijałem właśnie taką kępę, gdy nagle usłyszałem kobiecy głos. Zerwałem się do ucieczki, aż dotarło do mnie, że były to polskie słowa. Ten sam głos spytał mnie, czy ich śledzę.

Strach minął. Powoli podszedłem do nich i za niedużym krzakiem zobaczyłem kobietę i mężczyznę. Przy nogach stały plecaki, w rękach mieli kije.

Pozdrowiłem ich i wytknując im, że idą tylko do Warszawy i że właśnie wzięłem ich za patrol niemiecki. Mężczyzna stwierdził, że Niemcy zostali bliżej Nowego Dworu. Po chwili włożyli plecaki i ruszyli, a ja za nimi. Wreszcie miałem przewodników. Dziwili się, że nic nie noszę. Jeszcze raz powrórzyłem swoją bajkę o wizycie u ciotki.

Teraz dopiero uzmysłowiliśmy sobie, że w tych plecakach nieśli towar na handel. Szliśmy wolno, ale stale do przodu. Znowu gdzieś od pola poruszyły się jakieś cienie. przeżyłem się, ale moi nowi znajomi nie zwracali na to wcale uwagi. Jak mi powiedzieli mężczyźni, tam w Reichu było w zystko i tańsze niżeli w Warszawie. W chwili później cienie zamieniły się w dwóch mężczyzn z tobołami na plecach i zawiniątkami w rękach. Bez słowa mineli nas i poszli do przodu. Nie minęło parę minut i ktoś nowy dobiegł do pola do naszej ścieżki, oczywiście też z tobołem na plecach. Od czasu do czasu, ktoś dochodził, ktoś odchodził - jak na bieżni sportowej.

Tu każdy coś włókł ze sobą. Mnie, ponieważ byłem bez bagażu, starszankowie zaliczyli do wyższej kasty szmuglerów handlujących pieniędzmi do tak zwanych waluciarzy.

Szliśmy w milczeniu, przed nami i za nami widać było poruszających się ludzi, jak na deptaku. Do głowy przyszły mi wreszcie weselejsze myśli, że w takim towarzystwie to nie zginę i dotrę do Warszawy.

O szmuglerach czytałem w książkach przygodowych, ale wyobrażałem to sobie całkiem inaczej. Ci tutaj nosili makę cukier. Nic w tym nie było z tajemniczości, tylko ryzyko i trud, czasami daremny... Oni musieli wiedzieć o tym posterunku przy torach, bo do spożkania z Niemcami nie widziałem żadnej żywej duszy, a teraz było ich dużo! Widocznie obchodzili znane im miejsce posterunku przez pole i dopiero później podchodzili do drogowskazu, jakim był tor.

Z rozmowy z nimi dowiedziałem się, że w Warszawie z Dworca Wschodniego odchodzą pociągi do Lublina. Należało tylko zdążyć przed godziną policyjną. To było coś nowego dla mnie, o tym w Prusach nie mówiło się. Z poszczególnych

zdań moich współtowarzyszy wynioskowałem, że godziny nocne, w których bez przepustek nie można się poruszać, nazywano godziną policyjną.

Zbliżaliśmy się do jakichś zabudowań, które okazały się Legionowem. Tu niedaleko musiał być Sulejówek, w którym Piłsudski przebywał na dobrowolnym wygnaniu i stąd w 1926 roku wyruszył po raz drugi na podbój Polski. Tylko że teraz do walki już z istniejącym rządem z prezydentem Wojciechowskim na czele.

Teraz na małej stacyjce kłębił się tłum w większości młodych mężczyzn, chociaż były i kobiety, przeważnie w średnim wieku. Mało mężczyzn w starszym wieku i mało młodzieży. Większość tego tłumu trzymała, podobnie jak i moi nowi znajomi, jakieś tobozki, paczki i pakunki. Nieliczne ławki zajęte były przez ludzi i towary. Większość siedziała na ziemi, a niektórzy nawet na dworze pod ścianami. Ludzie grupowali się według znajomości "ze szlaku Szmulerskiego". Między grupami przepychali się handlarze, którzy tutaj już w bezpiecznym miejscu od granicy skupowali towar. Podróżni nie rozmawiali prawie półgłosem, ale małe pomieszczenie i tłum, mimo wszystko, robiły swoje. Był tam jeden wielki nierozpoznawalny szum, jak to nieraz słyszałem z żydowskiej bóżnicy w Lublinie na Wieniawie.

Był też miniaturowy bufet oblepiony przez szmuglerów. Byłem zaskoczony, kiedy zobaczyłem, że ciastko, które kosztowało przed wojną 20 groszy, teraz kosztuje złotówkę.

Ludzie zmęczeni drogą pili lemoniade i herbatę. Ja miałem też ochotę zwłaszcza na ciastko, którego nie widziałem półtora roku, ale nie mogłem dopchać się do bufetu, a bałem się stracić z oczu swoich znajomych. Chociaż tu

wszyscy mówili po polsku, to jednak do nich czułem szczególne zaufanie, a do Warszawy jeszcze był kawałek drogi.

Zauważyłem, że obserwował mnie jakiś cwaniak. Gdzie ja się ruszyłem, to i on za mną. Dla sprawdzenia wyszedłem na dwór - on za mną. Z twarzy widać było, że to jakiś ciemny typ. Przypomniałem sobie, że odróżniałem się od wszystkich tym, że nie mam tobozków. Człowiek ten mógł być szpiclen, mógł być złodziejem, handlarzem, czy też, jak nauczyłem się dzisiaj, waluciarzem. Może szukał ze mną kontaktu, a może chciał mnie okraść.

Przysunąłem się do moich starszków, oni znów do jakichś znajomych i od razu zrobili się większe towarzystwo. Poczuję się bezpieczniej, ale typ obserwował mnie dalej. Powiedziałem o tym moim znajomym, ci popatrzyli na niego, i radzili trzymać się od niego z daleka i nie chodzić samemu.

Nastał świt, zagrzechotało, zazgrzytało i na stacyjkę wtoczył się pociąg osobowy. Trum rzucił się z wrzaskiem do drzwi i zaczęły się wyścigi, kto pierwszy, kto silniejszy. Bez pakunków jak byłem najlepszy. Stanałem w drzwiach. Pociągnąłem kobietę, a potem jej męża. Byliśmy w przedziale. Teraz zaczęli się trochę mną opiekować, wyjaśniać, a nawet zapraszać do siebie na nocleg.

Podziękowałem, ale postanowiłem dostać się na Dworzec Wschodni. Kurtka mi już przeszła, ale w butach miałem jeszcze mokro. To już dwa dni, jak ich nie ścierałem.

Za jakiś czas pokazał się konduktor, był już pod "muchą". Popatrzył tylko, sami swoi bez biletów i poszedł dalej. Inaczej jak przed wojną. I konduktor pod muchą i biletów nie trzeba. To było coś niesamowitego! Wypytywałem swoich znajomych o wszystko, o dalszy dojazd do dworca oraz

o pociąg do Lublina. Pociąg, którym jechaliśmy, nie dojeżdżał do Dworca Wschodniego, lecz do Wileńskiego. Do Dworca Wschodniego miałem dostać się tramwajem.

Wkrótce pożegnałem się. Wytkumaczyli mi jeszcze raz drogę do tramwaju. Gdy wyszedłem z dworca zobaczyłem okazały gmach z kolumnami. Wszedłem między kolumny, a tam wyskoczył niemiecki żołnierz z nasadzonym na karabin bagnetem i coś do mnie krzyczał. Szybko uciekłem stamtąd. Na ulicy prawie wcale nie było ludzi i nie mogłem się nic zapytać. Na szczęście, spotkałem jakiegoś kolejarza i dopiero on mi wyjaśnił, że wszedłem do Dyrekcji Kolei, która okupowali Niemcy. Ponadto po godzinie policyjnej nie powinienem poruszać się bez przepustki. Pokazał mi kierunek do Dworca Wschodniego i jakimiś zaułkami /chyba ulicą Brzeską/ dostałem się tam bardzo szybko.

Dworzec Wschodni znałem już jako tako. Przed wojną przyjeżdżałem do Warszawy kilkakrotnie. Naokoło dworca było ciemno, pusto, nieprzyjemnie. W ciemności widziałem tylko, że nie ma dawnego budynku stacyjnego. Został on spalony w czasie działań wojennych w 1939 roku. Gnany jakimś owczym pędem, znalazłem się w baraku, który teraz służył za budynek stacyjny i poczekalnię. Na środku stały kosze rozpalone do czerwoności, a grzejący się ludzie otaczali je szczelnym kręgiem. Po pewnym czasie zwolniło się miejsce na ławce i udało mi się siąść przy piecu. Śmierdziało, strzelało, ale było błogo, bo ciepło. Ośmielony bezpośrednim zachowaniem się tłumu, takich samych elegantów jak ja, zdjąłem buty, aby przesuszyć skarpety i stopy. Całe stopy miałem siwe, aż czarne zafarbowane od skarpet i butów i po prostu brudne. Z początku, zamiast je suszyć, wstydliwie schowałem pod siebie, ale ośmielony obojętnością ludzi, śmiało

wyciągnąłem nogi do kosza jednocześnie susząc skarpety. Co to była za rozkosz, gdy języki ciepła ogarniały stopy. Zabrałem się do przesuszenia butów, zwłaszcza od wewnątrz. Pilnie słuchałem, co mówią ludzie. Z rozmów wynikało, że pociąg do Lublina winien być podstawiony niedługo, i jak policja niemiecka się nie pokaże, to nie powinno być trudności z dostaniem się do niego.

Większość ludzi posiadała różne pakunki, tak jak i w legionowie. Było też dużo ludzi źle ubranych. Można by powiedzieć, że nawet po dziadowsku. Spora też część różnych osobników w polskich mundurach wojskowych i polówkach, tylko bez orzełków. Większość z nich to inwalidzi, bez kończyn dolnych lub z protezami, niektórzy bez ręk.

Zachowywali się po ewaniacku. Znali się między sobą. Pokrzykiwali na siebie po mieniu lub według znanych im zawodów. Byli to inwalidzi wojenni, którzy, jeżdżąc pociągami, zbierali datki od podróżnych. Śpiewali wojskowe piosenki, grali na różnych instrumentach. Teraz ta żebranina stała się ich zawodem.

W tym tłumie na stacji byli też i zwyczajni ewaniacy i złodziejaszki, bez żadnych pakunków. Rozglądali się tylko, co komu ukraść, lub co od kogo wykombinować, oszukując przy tym. Jednym słowem dobrane towarzystwo stacyjne grzejące się przy ogniu w ten późny, zimowy wieczór.

Podniecony wrażeniami, nie odczuwałem nawet głodu. Dwie duże ostatnie porcje obłożonego chleba miałem jeszcze w tylnych kieszeniach spodni.

Włożyłem nogi w wysuszone buty. Była to rozkosz. To tak, jakby utrudzone nogi włożyć do miednicy z ciepłą wodą. Ciepło rozchodziło się aż do kolan.

Czas było pomyśleć o bilecie. Poszedłem do kasy. Pamiętam także jeszcze sprzed wojny, że bilet w relacji Lublin-Warszawa kosztował 10 złotych. Teraz żądano 20 złotych. Na szczęście, miałem je. Myślałem tylko o tym, żeby w pociągu znaleźć siedzące miejsce i zdrzemnąć się.

Od dwóch dni byłem na nogach, a do Lublina jeszcze kawał drogi.

Poczekalnia zaczynała się zapychać. Nagle zrobił się ruch. I ja ostrożnie przesuwalem się w kierunku peronu. Nagle tłum ruszył od pieców, ale byłem na czele. W tym samym momencie na peron wjechał pociąg. Byłem już przy pierwszym wagonie. Otworzyłem drzwi, ale zobaczyłem wszystkie ławki zajęte.

Następne drzwi znów to samo - wszystkie miejsca zajęte. Następne to sami. W swojej przedwojennej naiwności szukałem koniecznie wagonu z wolnymi miejscami i tak dobiegłem do ostatniego przy samej lokomotywie. A tam nie tylko, że miejsc siedzących nie było, ale w ogóle nie można do niego wejść, bo tłum wdarł się do przedziału z drugiej strony peronu. Wrępiłem do tyłu ciągle szukając miejsca, ale żadnych drzwi już nie widać. Wszystko oblepione ludźmi.

Udało mi się zaczepić jedną ręką o framugę, ale z dalej ani rusz, ani centymetra dalej. Pchałem się z całej siły, prawie płakałem, prosząc, aby ludzie posunęli się do przodu, niestety na próżno. W pewnej chwili poczułem, jak ktoś mocno popychał mnie z tyłu za pośladki i dodawał otuchy pokrzykiwaniem, "no jeszcze, no dalej". Trochę ta masa ludzka drgnęła, ale nie było mowy, aby dostać się do wagonu i zamknąć drzwi. Wisiałem tak ja, wisieli i inni przy wszystkich drzwiach, jak kundle uczezione kudków niedź-

wiedzia. Lokomotywa gwizdała do odjazdu. Na le wyskoczył niemiecki dyżurny ruchu z pałką i zaczął walić po ludziach. Odpadali jak ulogalki, a on zatrzaskiwał drzwi wagonów. Dopadł i do moich. Tłukł, szczególnie po rękach. Nie pamiętam, ilu nas odpadło, w każdym razie nie ja jeden. Dyżurny zatrzaskał drzwi. Pociąg ruszył. Nagle kilku z tych odrzuconych skoczyło na stopnie pociągu, który był już w biegu. Uczepili się poręczy. Jechali. Dokąd? Jak daleko?

Peron opustoszał. Ludzie gdzieś zniknęli. Postąpiłem jeszcze chwilę, poużalałem się nad sobą i poszedłem do barku. Ogarnęła mnie czarna rozpacz i strach, jak tu wytrzymam dalej, stojąc lub chodząc bez snu i prawie bez jedzenia. Kiedy będzie następny pociąg?

Począłem na pośladkach zimno. Dotknąłem, a tam olbrzymie dziury. Nie było kieszeni, nie było chleba, wszystko wycięte, chyba żyłotka. Pomyślałem, że ten facet, co mi tak pomagał i popychał do przodu, musiał obciąć mi kieszenie razem z chlebem. Dobrze chociaż, że kurtka zakrywała dziury w pozycji stojącej.

Wszedłem do poczekalni. Skład i wygląd gości przy piecach wyraźnie się zmienił. Było mniej ludzi z pakunkami a więcej zakapiorów i obdartusów. Widać było, że poczekalnia ta, to ich dom noclegowy. Wszyscy drzemali. Miejsca do siedzenia było znacznie więcej. Za ostatnie grosze wziąłem herbatę z bufetu. Co to było? Na pewno nie herbata, może jakieś ziółko lub suszone kumpinki z jabłek? Znów się czegoś nauczyłem. Aby nie usnąć, chodziłem. W końcu usiadłem przy ogniu w jakimś kacie. Dowiedziałem się, że następny pociąg będzie rano, a teraz była dopiero pierwsza w nocy.

Jakoś tę noc przetrwałem. Siedząc, chodząc i drzemiąc nie dałem się i gdy tylko zrobił się ruch w poczekalni,

znów byłem jednym z pierwszych przy drzwiach. Skąd znów tyle ludzi znalazło się na peronie? W poczekalni była garstka, a tu znów tłum.

Teraz już nie szukałem miejsc siedzących. Zresztą tak, jak poprzednio, nie było ich. Ludzie musieli siadać już na bocznych torach odstawczych albo w biegu, bo gdy tylko wpadłem do pierwszego wagonu, to przedziały były prawie pełne, siedzenia, oczywiście zajęte, a i stać też nie było za bardzo gdzie. Ale byłem już w środku. Starłem się dostać chociaż do ściany wagonu, aby się oprzeć. Udało się. Pociąg ruszył, trząśł, ale jechał i ja jechałem do domu. Było ciepło i byłem wśród swoich, chciałem krzyknąć ze szczęścia. Ogarnęło mnie wzruszenie. Wyśpiałem już o tym, że rano będę szedł swoimi ukochanymi ulicami, a przecież nikt się mnie nie spodziewał. Ani Ira, ani Polek i Lutek. Rozpierała mnie duma. Udało się! Za czwartym razem, ale udało się.

Pociąg nabrał biegu i okazało się, że ludzie są dobrzy dla siebie, uczynni. Każdy się starał zrozumieć drugiego, wszystko, oczywiście, wtedy, gdy już znaleźli się w wagonie. Złe uczynki i grzechy zostały tam na stacji przed drzwiami wagonu. Tak jak przed komunią. Tu byli sami dobrzy i uczynni. W pociągu zapanował swojski nastrój, ktoś zaczął śpiewać:

"Na dworze jest mrok, w pociągu jest tłok,
zaczyna się więc sielanka..."

Zastanawiałem się, po co kupiłem bilet? Nie można było wetknąć nawet szpilki, a co dopiero konduktora.

Ocknąłem się! Co to? Już nie stałem przy ścianie wagonu, a siedziałem w kucki na piętach. Widocznie zdrzęgną-

łem się i obsunąłem po ścianie na pięty. Bolały mnie kości, kolana i nogi. Barki były tak obolałe, jakbym nie wiem co dźwigał. To ciążyło tak niezdejmowane od trzech dni ubranie i kurtka. W wagonie większość drzemała. Jedni na siedząco, większość na stojąco, niektórzy w kucki, tak jak ja.

Usłyszałem szepty: Żandarmi, Policja i coś tam jeszcze. Znow nie wiedziałem, o co chodzi. Pociąg stanął. Dla mnie to był tylko sygnał, że już przejechałem połowę trasy, ale nie dla większości podróżnych. Ludzie rzucili się do drzwi i do okien. Blokowali skutecznie wejście z peronu. Nikt się nie mógł wślizgnąć do wagonu. To już była solidarność szlaku. Ci przy oknach wymieniali uwagi i informacje z tymi z peronu. Znow słyszałem pojedyncze oderwane słowa: żandarmi, wygrużają, brali, co w Lublinie. Taki okupacyjny żargon znany tutaj wszystkim podróżnym z wyjątkiem mnie. Z odebranych słów wynioskowałem, że tu, w Dablinie, był utrzymywany prawie stały kocioł na podróżnych i szmuglerów jadących z Lublina do Warszawy i odwrotnie. Tu bardzo często wpadali do wagonów żandarmi i rekwirowali cały towar, jaki im wpadał w ręce. Nierzadko zabierali również ludzi. Czasami zamiast na stacji, zatrzymywali pociąg, albo za albo przed Dablinem i tam robili te czystki. Na towar i ludzi czekały już samochody. Ponieważ Dablin był węzłem komunikacyjnym, Niemcy zawsze dobrze się obławiali. Przy okazji również wyłapywali kurierów z bibliotek, łączników organizacyjnych i ludzi ukrywających się bez dowodów.

Tu był ten Rubikon, kto go przekroczył, to miał szansę zarobić. Drugi taki miał być w Lublinie.

Na szczęście pociąg ruszył. W przedziale było już

jasno. Ludzie odetchnęli - tym razem się udało. Będzie zarobek, nie było łapanki i plądrowania w Deblinie. Wierzyli, że uda się również i w Lublinie. Teraz wszyscy znów okazali się braćmi i rodakami. Jedli, częstowali się wzajemnie.

Jakieś kobiety zwróciły uwagę na mnie, że byłem inny niż większość z tego przedziału i wagonu. Częstowali i zapraszali. Zażenowany, wziąłem kawałek kiełbasy, takiej polskiej z zapachem i smakiem jakiego nie czułem już wiele wiele miesięcy. Zrobiło mi się naprawdę dobrze, przyjemnie. Człowiek szybko zapomina to, co złe. Nie pamiętałem już, że nie chciano mnie wpuścić do wagonu, że noc przesiedziałem w niebezpieczeństwie i strachu w wypadku kontroli dokumentów, ale to wszystko już minęło.

Mijaliśmy Puławy, Sadurki. Chłonęłem te niezapomniane nazwy stacyjne, z każdym kilometrem byłem bliżej do Lublina. Stary las. Zakręt i pociąg wyraźnie zwalniał. Ze stopni wagonów zeskakiwali ludzie z pakunkami i ginęli w pobliskim lasu. Niektórzy najpierw wyrzucali toboły, a potem skakali.

W wagonie zrobiło się wesoło, wszyscy stali przy oknach. O tych, co skakali, wyrażano się z największym szacunkiem. Unikali w ten sposób ewentualnej łapanki w Lublinie, może mieli "cenniejszy towar" To już wyższa ranga tego procederu handlowego.

Zrobił się ruch. Stary Las to już Lublin. Wszyscy zbierali się do wyjścia. Ładowali toboły na plecy. Wyciągali nowe spod ławek i ubikacji. Spojrzenia posępniały, szykowano się do rozprawy z nowymi żandarmami. Jeszcze kilka szarpnięć i pociąg stanął na stacji. Znów wszyscy

byli przy oknach, pytano się o sytuację na stacji, o san-
darmów. Tym razem szczęście dopisało. Łapanki nie było.
Towar będzie uratowany. Wspólnicy wykrzykiwali na peronie
swoje hasła. Tobożki leciały przez okna, a już tłum wa-
lił się na peron. Droga wolna!

Na mnie nikt nie czekał. Ja też nikogo się nie spo-
dziewałem. Na mnie czekał mały lubelski świat, który opuś-
ciłem w sierpniu 1939 roku. Jaki był teraz? Gdzie byli
wszyscy ci bliscy?

Znowu w Lublinie

Gdy wyszedłem na peron, zobaczyłem, że budynek stacyjny nie był zniszczony, chociaż na Litwie czytaliśmy o ciężkich bombardowaniach Lublina. Podróżni za to sąkami inni, aniżeli przed wojną. Znikli wszyscy eleganccy oficerowie, podchorążowie i w ogóle mundury, do których człowiek był przyzwyczajony od dzieciństwa. Tłum był szary i zabiegany. Przeważały starsze kobiety z tumanami na plecach. One wzięły na siebie główny ciężar utrzymania rodziny, od kiedy ich mężczyźni albo siedzieli w obozach jeńców, albo na posadach za głodowe pensje, za które trudno by wykupić chleb kartkowy. Kobietom trochę łatwiej było prześlizgnąć się przez sieć żandarmów, a po drugie, lepiej znały się na to warze, a po trzecie, mąż, syn musiał być gdzieś zatrudniony, aby otrzymać dla rodziny dokument pracy i kartki żywnościowe.

Wyszedłem ze stacji. Rozum pchał mnie na Nową Drogę, bo krócej. Ale nogi skręcały same na tę dłuższą drogę, to jest na ulicę 1 Maja, a potem przez Zamojską i Krakowskie Przedmieście. Przecież musiałem zobaczyć miasto!

Poznikały tak znane szyldy. Powstały jakieś nowe sklepiki, jakieś pasztecziarnie, paczkarnie, herbaciarnie. Prawie przed każdą bramą stali ludzie i czymś handlowali z ręki. Czegoś takiego przedtem nie było, chyba, że u Żydów na Starym Mieście. Tam Żydówki sprzedawały po bramach własnej roboty bajgle, mace, obwarzanki. Gdy pokazał się gdzieś w pobliżu policjant, to wszystkie się zaraz chowały po różnych znanych im dziurach. Stąd powstało znane na całym Lublinie powiedzenie-anegdota: "Maca tanio! bo w bramie". Bo rzeczywiście te obwarzanki i mace były sprzedawane tam taniej, aniżeli w sklepie.

Teraz towar był różny. Białe pieczywo /na kartki było tylko ciemne/, jabłka, ubrania, buty. Widać, że bieda zajrzała do lubelskich bram, jak i do całej Generalnej Guberni, ludzie musieli dorabiać w ten sposób.

Na 1 Maja, ani na Zamojskiej nie widać zniszczeń wojennych. Katedra stała, ale przy niej, między katedrą i Bramą Trynitarą, sterczały wypalone mury Szkoły Pedagogicznej, a dalej widać całe sektory wypalonego Starego Miasta. Skreśliłem w lewo i zobaczyłem spalone mury po kinie "Ktylowym" i po budynku, gdzie mieścił się Bank Morajnego.

Nagle ktoś mnie złapał za rękę. To był Tadek Matyjaszek. Pierwszy napotkany znajomy w moim rodzinnym grodzie. Z Tadkiem chodziliśmy razem do Gimnazjum im. St. Batorego, ale w podchorążówce z nami nie był. Długo całowaliśmy się i ściskali. W końcu Tadek zaciągnął mnie do małej herbariarni na Kościuszki. Tam, gdzie przed wojną były lody włoskie. Posadził mnie na krzeselku. Zamówił jakieś pomysły, które nazywały się herbata i zimne nogi, które zastępowały ciastko - tylko to było do zamówienia. Musiałem mu opowiedzieć w skrócie nasze dzieje od sierpnia 1939 roku, bo umierał z ciekawości. Okazało się, że byłem pierwszy z naszego turnusu JHP i podchorążówki, z tych, co wyjechali do Prus, który wrócił szczęśliwie do Lublina. Inni jedynie pisali - jedni z Litwy, inni z Prus, tylko ci, co znaleźli się w Związku Radzieckim, nie pisali lub listy ich nie docierały. Macał moje zgrubiałe od roboty ręce. Rozprułem marynarkę i wyciągnąłem swój aresztancki znaczek "P". Rozmawialiśmy o wszystkim. Wspomniałem mu o Piwowarczyku, który umarł w obozie na Litwie. Zobowiązałem mnie, aby pójść koniecznie do jego rodziców i powiedzieć

im o jego ostatnich dniach. Byłem chyba ostatni z naszej paczki, który widział go jeszcze żywego.

Chyba ja jeden wyjechałem ze Szkoły Lubelskiej wyjechałem z Litwy do Prus, więc o kolegach ze szkoły, którzy zostali po moim wyjeździe na Litwie, nie mogłem mu zbyt dużo opowiedzieć. W każdym razie jego najbliżsi koledzy, jak Respond czy Bońkowski - zostali na Litwie.

Po pożegnaniu się z Matyjaskiem^x poszedłem dalej znajomymi ulicami w kierunku mojego domu przy ulicy Puławskiej.

Spotykałem dalszych znajomych, ale albo mnie nie poznawali w tym ubraniu, albo nie chcieli poznawać. Dalej na Krakowskim Przedmieściu i ulicy Racławickiej nie widać było dalszych zniszczeń wojennych. Ze wzruszeniem przeszedłem obok kościoła Garnizonowego, a potem wzdłuż naszej Szkoły Gimnazjum im. Staszica. W gimnazjum i obok w tak zwanej "sztabówce", gdzie przed wojną stacjonowała żandarmeria wojskowa, teraz byli Niemcy. Przed bramami stały posterunki. I tak doszedłem do Bobolanu. Skróciłem zaraz w ulicę Legionową, aby, jak tysiące razy, przejść skrótem do domu. Z daleka już zobaczyłem otwartą furtkę. Śnieg leżał gruby. Nagle od furtki poderwała się ze śniegu czarna kula i pędziła wprost przez pole do mnie. W sekundzie mój Rabuś był na moich piersiach. Kochane psisko! Biegał nokoło mnie i przy każdym obrocie skakał mi albo na plecy, albo na piersi - i tak doszliśmy do furtki.

W ogrodzie podrosły trochę drzewa i krzewy, poza tym nic nowego. Popiskiwanie Rabusia wywabiko na dwór ojca. Nic się nie zmieniło. Przywitaliśmy się gorąco i wszedłem

x/ Tadek Matyjaska zamordowali Niemcy na Zamku Lubelskim wraz z kilkuset innymi więźniami przyopuszczeniu przez wojska radzieckie Lublina dnia 22 lipca 1944 roku.

do mieszkania. Matka, nie wiedząc, jakiego to gościa ojciec prowadził, już wzięła się za szczotkę, żeby przepędzić psa. Wreszcie wpakowałem się przez wąskie drzwi. Nie było końca powitaniom z mamą i moją siostrą Zosią. Wreszcie mogłem siąść na krześle z Rabusiem przy nogach. Zdziwiłem się mocno słowami matki, że nie wiadomo, czy to dobre, że uciekłem i wróciłem do domu na tę biedę.

Ani ojciec, ani Zosia nie zaprzeczali temu, jakby się z tym zgadzali. Nawet za bardzo nie słuchałem tych pierwszych słów, tylko szybko zdejmowałem buty. W mieszkaniu okupacyjną nowością był piec żelazny na nóżkach, który dawał dużo ciepła przy małej ilości paliwa i spalał wszystko, co mu się podało do palenia. Była to tak zwana koza z rurą wpuszczoną w komin na dwie fajerki, spełniała więc dwie funkcje jednocześnie - kuchni i pieca ogrzewczego.

Rabek nagle szczelknął. Rzucił się do drzwi, a w nich pokazał się nie kto inny, tylko Polek. I znów powitanie. Okazało się, że Polek na Krokowskim spotkał Matyjaska wkrótce potem, jak się pożegnaliśmy. Polek potem puścił się za mamą, ale dopędził mnie dopiero w domu. Zaczęła się chaotyczna, jak w takich razach, rozmowa, opowiadanie o mojej szczęśliwej ucieczce, krótkie wzmianki o kolegach w Lublinie, o zmianach, jakie wprowadzała okupacja.

Tymczasem Zosia nastawiła wody w czajniku i po chwili moczyłem już nogi w miednicy. Doznałem uczucia wielkiej ulgi, to był raj. Podała nam w jakichś nowych porcelanowych filiżankach coś czarnego. Myślałem, że to czarna kawa, ale okazało się, że była to właśnie ta okupacyjna, robiona na odrobinie mielonej kawy zbożowej - herbata. Na filiżankę gorącej gotowanej wody rzucało się parę ziarenek

zmielonej rodzimej kawy zbożowej i otrzymywało wspaniałą gorącą herbatę.

Wypytywałem o naszą paczkę i widać było, że nic specjalnie się nie zmieniło. Doszła do niej Urszula, choździł z nią Polek, a koło Zenki kręcił się Wacek.

Przebrałem się, wybrałem z szafy najlepsze ubrania i, zamiast postędić w domu, zamiast cieszyć się dalej wszystkim, ruszyłem z Polkiem. Wymienialiśmy dalsze informacje o kolegach, chaotycznie, okrzykami raczej niż normalną rozmową. On swoje, ja swoje i nie wiadomo, kiedy znaleźliśmy się na Nopkowskiej. Tutaj rozstaliśmy się, on miał swoje zaplanowane spotkanie, a ja chciałem zobaczyć się z Ireną.

Gdy przyszedłem do niej, prała w piwnicy bieliznę. Po cichu, po ciemnych schodach zszedłem więc na dół. Rzeczywiście, odwrócona tyłem do drzwi, prała na tarze tak, jak robiły to nasze matki i babki w balii. Łysz-d, że ktoś idzie, odwróciła się w stronę drzwi, ale nie widziała mojej twarzy. Głową zasłaniała mały okienny otwór, z którego padało światło. Dopiero, gdy powiedziałem "dzień dobry, Irena!" z rękoma w rydlinach rzuciła mi się na szyję. Powitanie było czułe i gorące. Wrażenia i emocje sprawiły, że rozmowa była stekiem chaotycznych zdań. Poszliśmy na górę do mieszkania.

Po chwili przyszła mama Ireny i jej siostra Krystyna. Mama zaraz poleciała, aby napalono w piecu na te okazje i po chwili zostaliśmy sami. Teraz dopiero zacząłem opowiadać już kolejny raz dzieje mojej szczęśliwej ucieczki i niektóre najważniejsze przeżycia.

Znowu poczułem się jak w domu, zwłaszcza, że byłem głównym bohaterem wieczoru.

Późnym wieczorem, a właściwie już prawie nocą, pożegnałem się i pogałem, jak zwykle, łakami do siebie nie zważając ani na godzinę policyjną, ani na tych, co ja zarządzili.

Czułem się bardzo wyczerpany. Bolało mnie w piersiach. W domu było ciepłutko. Piecyk grzał do czerwoności. Okupacyjna herbata, kawałek chleba i wreszcie do łóżka. Matka narzekała, że zamiast wypocząć, zacząłem od latania.

Spałem w ciepłym pokoju pełne dwie noce i jeden dzień. Nie obudziła mnie nawet normalna krzątanina w mieszkaniu. W ten naturalny sposób uratowałem się przed rozwinięciem zapalenia płuc, które powstało w wyniku oziębienia organizmu w czasie mojej wdrówki, moczenia się w Narwi, w rowie i suszenia ubrania oraz butów na sobie.

Jak wstałem z łóżka w czwartek, to wyglądałem, jak to obrazowo określiła moja matka, "jak śmierć na chorągwi". Kiedy zaczynałem kasłać, to musiałem się trzymać obydwoma rękami za piersi, bo kaszel rozrywał mi płuca.

Do południa snułem się po mieszkaniu. W końcu nie wytrzymałem, ubrałem się i wyszedłem do miasta. Moje kroki skierowałem do Polka, był akurat w domu. W czasie rozmowy z nim wyszła bardzo ważna sprawa, jaką było posiadanie dowodu osobistego. Niestety, ja nie miałem żadnego dokumentu, a Niemcy potrafili legitymować przy każdej okazji. Nasza część ulicy Puławskiej należała do Gminy Konopnica, i musiałem starać się o dowód. W domu okazało się, że dla mieszkańców Czechowa Dolnego było to raczej rzeczą prostą i duże łatwiejszą niż w mieście.

Wziąłem zdjęcie i udałem się do sołtysa na Dolny Czechów. On potwierdził moją tożsamość. Z podpisanym przez

niego zdjęciem poszedłem do gminy. Mieściła się ona w mieście na Wieniawie przy ulicy Króla Leszczyńskiego. Tu sekretarzem był kuzyn mamy, szybko więc wystawił mi dowód, przykleił zdjęcie. Pozostawało tylko iść do wójta po podpis i pieczęć.

Wójt był ten sam - gospodarz rolny z Marysina o nazwisku Ridiger, tylko że teraz, niestety, stał się Niemcem i nazywał się już Sigismund von Ruediger. Jak się orientowałem, to niemieckiego w ogóle nie znałem, a do tego rycerskiego tytułu przyczyniła się z pewnością jego działalność na korzyść Niemców jeszcze przed wojną.

Teraz trzymałem w ręku mój dowód i wypytywałem szczegółowo o wszystko. Przypomniał mi się z 1939 roku, kiedy to awanturowałem się właśnie u niego o skierowanie do JHP i podchorążówki. To pomogło, bo dzięki temu nie wypytywał się, co robiłem bez dowodu pod prześwietlaną okupacją niemiecką, przez te półtora roku. Byliśmy już starymi znajomymi. Wybiegłem z gminy jak na skrzydłach. Byłem już prawomocnym obywatelem Generalnej Guberni, a poświadczyła to pieczęć z hakenkreuzem i podpis rycerza III Rzeszy pana Sigismunda von Reudueger.^x

W butach z cholewami, wyróżniającymi się z daleka swoim krojem oraz z prawdziwym dowodem osobistym poruszałem się po Lublinie dumny jak paw. Pożyczone od Polka, chociaż za małe, spodnie, moja, przerobiona z płaszcza policyjnego, kurtka i niemiecka czapka zastępująca popularną narciarkę, pasowały razem do siebie Irena była dumna

x/ W 1944 roku, w czasie walk o Lublin, uciekł on ze swego urzędu i gospodarstwa i ~~gdzieś niedaleko Lublina, na szanie warszawskiej, zastrzelono go jak psa.~~

do Niemca

z mojego eleganckiego wyglądu. Po upadku działaków wojennych i zniknięciu naszych oficerów w oflagach, a przede wszystkim z ulicy, nastąpiła wojskowa moda. Przede wszystkim więc noszono buty oficerskie z cholewami, płaszcze wojskowe spięte pasem i w ogóle wojskowy krój ubrań. Nawet kobiety powszechnie nosiły te oficerki. Ulica chciała zstąpić pobitą chwilowo armią. Niemcy z początku patrzyli na to przez palce. W miarę jednak zaciskania węża okupacji i na te rzeczy zaczęli zwracać uwagę i niejednego elegant srogo za to zapłacik..

Dni płynęły, ale do pełnego szczęścia potrzebne było jeszcze zaświadczenie pracy, no i sama praca. Najlepsza byłaby taka, co dawałaby jako taki zarobek. Polek z całą rodziną handlował mąką. Matka jego, jak i wiele jej podobnych dzielnych Polek w czasie okupacji i jak przystało na żonę młynarza, piekła pieczywo, które dostarczała do różnych sodówek, herbaciarni czy pasztecziarni. Mieli konia, wóz i stajnię pod jednym dachem, u siebie na Narutowicza, a dach ten należał do bardzo zasłużonego dla miasta jubilerskiego rodu Kalickich. Kaliccy życzliwie usposobieni dla Repsów odstąpili im chyba nawet za darmo cały kąt na podwórzu i stajnię po koniu, którego synowie Kalickiego, oficerowie rezerwy, od czasu do czasu używali.

Polek wciągnął mnie do tego handlu, a raczej do kupowania i transportu i dźwigania maki. W ten sposób zaczęła się moja kariera handlarza mąką. Głównym terenem zakupu maki były znane nam od dzieciństwa rejony wsi Zemborzyc i Prawiednik. Zwłaszcza Zemborzyc rozrzucone po obydwóch stronach Bystrzycy, były głównym miejscem zakupów. Wyjeżdżaliśmy na wieś w różnych porach. Czasami rano i wracaliśmy wieczorem, czasami po południu i wracaliśmy o

świcie, na granicy godziny policyjnej. Polek płacił mi w zależności od utargu.

Kiedy Polek odszedł od interesu, zastąpił go Zygmunt. Założyliśmy spółkę. Kapitał na pracę był po połowie, ja płaciłem za konia i paszę.

Jeden raz tylko w nocy przy świeżym śniegu zaskoczył nas żołnierz z Selbstschutzu. Jakiś świeży Volksdeutsch. Zaczął wymachiwać bagnetem, widocznie chciał zarobić na wódkę. Na szczęście, mieliśmy mało pieniędzy. Wziął więc tylko tyle, ile było i odszedł. Na szczęście, nie czepiał się maki.

Któregoś dnia zaszedłem, jak co dzień, do Ireny. Zasiadziałem się - jakos dłużej i chyba już krótko po godzinie policyjnej wracałem łakami do domu. Zza zagrody Struzików i zza topoli wyszedł ktoś zamotany w chustkę. Była to Zośka. Czekala tu na mnie już od paru godzin, aby mnie ostrzec o niebezpieczeństwie.

Po południu, już po moim wyjściu z domu, przyszli dwaj policjanci - jeden niemiecki, drugi polski, żeby mnie zabrać. Wiedzieli, że uciekłem z robót. Szukali w domu, szukali w komórce i na strychu. Przekonywali matkę, że powinienem sam zgłosić się na ulicę Uniwersytecką "pod segar"^X, bo w przeciwnym razie oni mnie zkapią, to odesłała do obozu koncentracyjnego. Matka się popłakała, a Zosia zaraz po ich odejściu wybiegła na mój codzienny szlak, aby mnie ostrzec.

Nie było po co wracać do domu. Ale do kogo iść? Wybór padł na Struzików-"Bagaży". Mieszkali oni niedaleko od nas, a ponadto byli nam znani, gdyż przed wojną najstarszemu synowi, który chodził już do gimnazjum, dawałem korepetycje.

Struziki strasznie się zdziwili takim nocnym gościem. Znajomość znajomości, ale nie była ona aż tak bliska, aby

zachodzić do kogoś po godzinie policyjnej i to jeszcze na noc-
leg. Widocznie jednak już zaczęła działać magia okupacji i
wchodziły w życie nowe zwyczaje, bo niewiele się pytając, ro-
zeskali szonę na podłodze i spanie było już gotowe.

Rano, omijając dom, pobiegłem na nopkowską szukać po-
koju do wynajęcia. U rodziców Ireny był taki pokój, ale był
zajęty. Rozpoczęły się poszukiwania. Znalazłem lokum u dawnej
koleżanki mojej drugiej siostry - Joanny. Nie był to pokój sa-
modzielny, ale był. Teraz pobiegłem na Narutowicza po konia
i wóz. Na szczęście, zastałem Polka na Miejscu. Siedliśmy na
wóz i wkrótce znów byłem w domu. Załadowałem składane żelazne
łóżko, siennik i pościel. Swoich rzeczy nie brałem, bo miałem
tu ostrożnie przychodzić. Najważniejsze, żeby nie dać się za-
skoczyć w nocy. Za pół godziny byliśmy już w moim nowym miesz-
kaniu.

Właścicielka mówiła coś o meldowaniu, ale nie wyrazi-
łem na to zgody i stanęło na tym, że mieszkałem tam bez za-
meldowania. W mojej sytuacji poszukiwanego przez policję by-
ło to rzeczą bardzo ważną.

Mślałem o jakiejś pracy, która dawałaby zaświadczenie
o zatrudnieniu. Ireny koleżanka z Gimnazjum Czarnieckiej za-
chwalała Deutsche Spiele /kino niemieckie/, a tam - pracę
biletera. Jej brat tam pracował już dłuższy czas. Deutsche
Spiele - to było po prostu dawne kino "Corso" przy ul. Radzi-
wiłowskiej. Największe kino w przedwojennym Lublinie.

Niemcy zarekwirowali je wyłącznie dla siebie, tak jak
wiele budynków, kawiarni itp. Kierownictwo kina było niemiec-
kie, ale reszta obsługi była polska. Był w nim jeszcze przed-
wojenny bileter, który mieszkał pod sceną niczym "Upiór w
Operze".

Mówił doskonale po niemiecku, pochodził gdzieś spod Lwowa. W podziemiach, w garderobach teatralnych miał swój pokój i tak żył życiem kina. Kierownik kina miał do niego stuprocentowe zaufanie, a on dbał o kino, niezależnie od tego, kto był jego użytkownikiem. Pozostali personel był polski. Bileterzy, to tak, jak i ja, gimnazjaliści, coś w rodzaju emigracji rosyjskiej po rewolucji, co to byli albo kelnerami, albo szoferami, niezależnie od tego, jakie tytuły posiadali przed rewolucją w Rosji carskiej.

Jako bileterzy byliśmy tam zatrudnieni codziennie od szóstej po południu do jedenastej wieczorem. Do tego raz w tygodniu mieliśmy dyżur dzienny do załatwiania spraw związanych z działalnością kina, ale przede wszystkim wypełnialiśmy obowiązki gońców do różnych instytucji. Z tytułu zatrudnienia do godziny dwudziestej trzeciej, mieliśmy nocne przepustki uprawniające nas do poruszania się po ulicach po godzinie policyjnej, czyli po dwudziestej pierwszej.

Szefem był jakiś gruby nieprzyjemny Niemiec z jeszcze grubszą żoną, która pełniła w kinie funkcję kasjerki. Choć on stał z pistoletem, a jak siedział w kasie, to pistolet trzymał pod pulpitem okienka kasowego. Najważniejszymi naszymi kwalifikacjami była znajomość języka niemieckiego i wygląd zewn. trzny.

Zarekomendowano mnie. Egzamin u szefa wypadł dobrze i zostałem przyjęty.

Dwa dni później byłem już samodzielnym bileterem. W hallu był bufet okupowany przez modną obecnie, a nieznaną przed wojną w Lublinie, narodowość ukraińską. Hall był bardzo duży z szatniami, palarniami. Jako chłopiec chodziłem czasami do "Corso" zwłaszcza na Jasełkę w okresie świąt Bożego Na-

rodzenia i pamiętam, że wtedy w tym hallu były jeszcze automaty do gier. Niemcy lubowali się przebywać tutaj, czy to przed seansem, czy też w czasie przerwy. Mieszyło nas wiele, gdy Niemcy palili te swoje grube śmierdzące cygara, których w żaden sposób nie mogli skończyć w krótkim czasie w czasie przerwy między seansami. Niewypalony kawałek takiego cygara zostawiali w specjalnych popielniczkach, a w czasie następnej przerwy biegli każdy po swój niedopałek i rozpoczęli palenie od nowa.

Po jakimś czasie nauczyłem się kombinować na biletach. Zdarzało się, że widz przenosił się z miejsca tańszego na droższe, wtedy musiał kupić dodatkowy bilet. Wtedy ja dawałem mu bilet wcześniej pozostawiony przez innego widza, inkasując przy tym należność dawałem w takich wypadkach widzowi, inkasując oczywiście różnicę. Robiłem to bez skrępowań, gdyż widzami byli głównie żołnierze niemieccy.

Raz wpuściłem nawet Irenę, oczywiście bez biletu. Przesiedzieliśmy cały seans jako normalni widzowie. Tygodnie mijają za tygodniami. Pracowałem mi się dobrze, ale najgorszy był ten czas pracy. Gdy ja szedłem do pracy, to wszyscy inni szli na randki. Z początku tego nie odczuwałem, ale z biegiem czasu stawało się to nieznośne, zwłaszcza w niedzielę i sobotę. W tych dniach zaczynałem pracę już od drugiej po południu, ponieważ w kinie w te dni były seanse dodatkowe. Zarabiałem natomiast grosze i gdyby nie utrzymanie u rodziców i ubranie po bracie, to trudno byłoby przeżyć.

Irena też miała dosyć. Gdy inni szli na spacer, ona do domu. Z początku imponowało jej, że oglądała filmy nie grające nigdzie w kinach dla ludności polskiej.

Od pewnego czasu w kinie zrobił się wielki ruch. Przy-

bywało coraz więcej wojska z Niemiec, Prus a nawet z Francji. Miejsca były zajęte do ostatniego. Ukraińcy w bufecie pokrzykiwali, że jak tylko wybuchnie wojna, to zaraz zrobią porządek z komunistami!

Wieczorami i nocami następowały przemarsze wojsk niemieckich przez Lublin. Nagle, już w okolicy 20 czerwca, zauważyliśmy, że poszczególne kolumny maszerowały z rozwiniętą obroną przeciwlotniczą, zamaskowane gałęziami. Na ćwiczenia to na pewno nie wyglądało.

W sobotę 22 czerwca cała paczka wybraliśmy się kapać do Zemborzyc. Był również Lutek i Jaska. Nad Dąbrową przelatywały coraz to nowe chmary samolotów na wschód. Od pewnego czasu oswojeni z nimi, nie zwracaliśmy już specjalnej uwagi. Ponadto w niedalekim Świdniku było lotnisko. Tylko, że dzisiaj szły bombowce, nisko nad ziemią, wyjąc ciężko pracującymi silnikami. Poprzez szybki w kabinach było nawet widać twarze lotników w hełmach.

Pod wieczór, gdy wracaliśmy do domu, koło cmentarza od strony dawnej ulicy Głębokiej, spotykaliśmy jakiegoś człowieka, który radził nam uciekać do domu i nie łazić tak kupa, bo Niemcy się wściekli, łapali ludzi na ulicach i wprowadzili godzinę policyjną już od siódmej wieczorem. Gdy zapytaliśmy, dlaczego, zdziwiony odpowiedział nam, że przecież Niemcy napadli na Związek Radziecki.

Gorączkowo wymieniliśmy poglądy i rozstaliśmy się. Wszyscy zobowiązali mnie, że jutro, w niedzielę przyjdę do "rondelka" /to nasze miejsce spotkań w Ogrodzie Saskim - polana mająca kształt rondelka/ i zdam relację z odczuć Niemców po tym wybuchu nowej wojny.

Zjadłem coś w domu i popędziłem do kina. Na ulicach

nie zauważyłem nic szczególnego. Powiedziałyby, że dla kontrastu widać było mniej mundurów wojskowych. W kinie jako pierwsze przywitano mnie rozpromienione oblicze bufetowej-Ukrainki i sztywna twarz mojego dyrektora. Stał w głównym wejściu, jak gdyby kontrolował wchodzących. Był jakoś nadzwyczajnie nadęty i specjalnie ważny. Sala była prawie pusta. Wszyscy główni bohaterowie byli już na froncie.

My, bileterzy, zawsze po rozpoczęciu seansu schodziliśmy się na plotki i papierosy. Tym razem nic z tego. Tylko przechodząc obok siebie, znacząco uśmiechaliśmy się, pokazując na dyrektora. Nie mogłem też wyskoczyć o szóstej przed kino, jak obiecywałem sobie i kolegom. Dopiero na drugim seansie, gdy szef poszedł do swojej żony na kawkę, można było wyskoczyć z sali kinowej do bufetowej na plotki.

Gdy spytałem ją, co słychać, jak tam wojna, rozgadała się jak najlepszy gramofon. Ta sojuszniczka Hitlera wierzyła w to śmiało, że Niemcy lada moment zajmą Lwów, Białystok, Wilno, a może i Kijów. I wielki wódz zapanuje nad całą Ukrainą i utworzy samodzielne państwo ukraińskie. Wtedy ona pojedzie do Lwowa i otworzy sobie tam największą z największych cukierni, bo Hitler dla nich, Ukraińców, zrobi wszystko.

Na moje pytanie, co z powstaniem ukraińskim, stwierdziła, że wprawdzie w komunikatach radiowych nic nie podawali, ale Ukraińcy z pewnością pomagają wojskom niemieckim. Nimo takiej pewności siebie, coraz częściej oglądała się za siebie, czy jej sojusznik - dyrektor nie wychodzi z kasy, aby ją obsztorcować za to trajkotanie.

Przykro było słuchać, jak ta wychowywana i wykarmiona polskim, lubelskim chlebem Ukrainka, teraz, za namową swoich prowodyrów, przerzuciła się na niemiecką stronę. Smutne by-

ło również to, że w tym pierwszym dniu wojny Niemcom udało się zaskoczyć Związek Radziecki, mimo że daliśmy mu, przez swoją ofiarę krwi w 1939 roku, półtora roku czasu na lepsze przygotowanie się do odparcia ataku.

W kinie nic się nie działo. Nie było żadnych komunikatów. W dodatku te same marsze i stukot butów żołnierskich o bruk na ekranie, jak co dzień, przyprawiały mnie o nerwy. Na drugi seans przyszło jeszcze mniej Niemców.

Jak zwykle, wracałem po godzinie dziesiątej wieczorem. Tym razem na ulicach było kompletnie pusto. Pojawiły się jedynie patrole wojskowe i żandarmeria. Zanim doszedłem do Ogrodu Saskiego, byłem trzykrotnie legitymowany. Niemieckie patrole składające się z pięciu i więcej żołnierzy nadawały ton ulicy. Słychać było tylko ich stukot podkutych butów.

Żołnierze nie trzymali karabinów, jak co dzień, na pasach, lecz w ruku, w każdej chwili gotowe do oddania strzału. To też był wynik nowej rozpoczętej wojny. Jednak się bali. Tu, o sto kilometrów od frontu, już się bali.

W niedzielę o dziesiątej zebraliśmy się w "rondelku" i teraz dopiero można było wymienić posiadane wiadomości. Niestety, nie były one dobre. Niemcy szli naprzód. Na podstawie swojej krótkiej kariery wojennej w 1939 roku porównywałem czołgi niemieckie i radzieckie. Na korzyść niemieckich przemawiała szybkość, na korzyść radzieckich - pancierz. To jednak za mało, aby można było wyrobić sobie sąd o zdolnościach tej i drugiej armii.

Postanowiliśmy iść pod "szczekacaki", które Niemcy postawiali w centrum miasta. Parami ze względu na bezpieczeństwo poszliśmy na plac Litewski. Tego jeszcze nie widzieliśmy podczas okupacji. Cały plac był pełen ludzi. Olbrzymi megafon

podawał komunikaty wojenne przeplatane marszami. Padają tak znajome nazwy jak Włodzimierz Wołyński, Ujściąg, Równe, Białystok i inne. Wszystko to, oczywiście, w języku polskim. Niestety. Wyglądało to tak, że hitlerowcy przez jeden dzień zajęli prawie resztę Polski w granicach z 1939 roku. Pocięszaliśmy się tylko, że to propaganda i kłgarstwo. Po stronie pomnika Unii Lubelskiej stawiano olbrzymią tablicę z mapą Polski i Związku Radzieckiego. Na niej codziennie miały być pokazywane postępy wojsk niemieckich. Euforia, pewność siebie i buta pruska, wychylały się z każdego kąta. Niemcy spotykani na ulicy byli jacyś inni, łaskawsi, nawet się uśmiechali.

Przypomnieli mi się Peterowie z Prus, którzy wybierali się na Ukrainę po wielkie posady. Czy to istotnie miało nastąpić? Co dalej?

Ludzie wbrew niech ci do tej propagandy, stali pod szczekaczką w milczeniu. Wielu nie patrzyło na siebie wzajemnie, tylko albo w niebo, albo w ziemię. Na wielu twarzach widać było powagę. Na pewno nie tego spodziewał się renegat plujący ~~się~~ przez szczekaczkę. Powoli z brzegu tłumów odrywały się pojedyncze postacie. Niejeden splunął tylko i szedł dalej zatroskany. Pociągaliśmy i my milczaco do Ogrodu Saskiego.

Następne dni przyniosły potwierdzenie sukcesów niemieckich w gazetach i na tej tablicy na placu Unii, która odtąd była aktualizowana w miarę postępów wojsk niemieckich na wschód.

W parę dni potem szedłem do mojej ciotki do Zemborzyc. Szedłem, jak zwykle, przez Ruty i Czuby, aby wyjść później do torów kolejowych na linię Lublin-Rozwadów. Nagle zobaczyłem bardzo długi pociąg złożony z węgla. Na początku i na

końcu składu na brzegach stały karabiny maszynowe z obsługą żołnierzy niemieckich. W wagonach nie widać było żadnego towaru, tylko gdy wagon mocniej padskakiwał na złączach szyn, pokazywały się gołe, strzyżone lub w furażerkach głowy, tysiące głów. Byli to jeńcy radzieccy wzięni jak by było w odkrytych wagonach.

Nagle odezwał się karabin maszynowy. Siedział krótkimi seriami po wagonach. Szybko skokami uciekłem w pole. Któryś z leńców wychylił się z wagonu i zaraz odezwał się karabin wartowniczy.

Od ciotki dowiedziałem się, że to nie pierwszy transport jeńców. Przy torach ludzie znajdowali trupy wyrzucone z wagonów. Każde zbliżenie się do takiego transportu groziło śmiercią, bo wachmani strzelali bezostrzeżenia. Mimo to ludzie i tak wrzucali do tych wagonów, co się dało.

Można więc było oglądać pierwszocowe zwycięstw niemieckich. Chodziliśmy z mieszanymi uczuciami, ale w dalszym ciągu wierzyliśmy jednak, że sprawiedliwość zwycięży. Tego ducha nikt nie mógł odebrać ogółowi Polaków, ani żadne szczekaczki, ani żadne szmatkawce, ani też tablice z wielką literą "V" - oznaczające zwycięstwo. Nasi Ukraińcy z bufetu i z miasta, bo i tam tacy teraz pokazali się, jakoś przycichli. Bunt na Ukrainie jakoś nie wyszedł i o tym samodzielnym państwie ukraińskim też na razie nic nie było słyhać.

Moja służba w kinie już mnie nie bawiła. Przepustka nocna była mi potrzebna tylko wtedy, gdy wracałem z kina po ostatnim seansie. Zarobek był nieduży. Do domu nic nie dawałem, bo z czego? Własne wydatki też trzeba było jakoś pokrywać, nie było tu żadnej przyszłości, z wyjątkiem wysługiwania się Niemcom. Mój dyrektor nie chciał słuchać o zwolnie-

niu, a argument zarobków wcale go nie obchodził. Ponadto okazało się, że był bardzo zadowolony z mojej pracy, czym mnie ostatecznie dobił. Po jakimś czasie ponowiłem ataki o zwolnienie i wreszcie w złości wykrztusił, że jeśli mu dam następcę o podobnych walorach jak moje, to ewentualnie mogę się do niego zgłosić.

Po naradzie z Polakiem ustaliliśmy, że on mnie zastąpi na parę dni, a później po prostu zwieje. Tak też zrobiliśmy. Traf chciał, że Polek ubrał się w buty z cholewami i bordową sweterkową koszulkę z małym golfem zamiast krawata. Niemca mało szlag nie trafił. Rozryczał się, że przyprowadziłem komunistę w czerwonej koszuli i jeszcze do tego w butach z cholewami. Oczywiście wygonił Polka i nic z tego nie wyszło.

Nie dałem za wygraną i drążyłem dalej. Zamówiłem jego żonie dużą osetkę masła i po kilku dniach dyrektor zapytał się, czy Polek zna niemiecki i jak się nazywa. Zgodnie z prawdą zachwalałem jego znajomość języka, a gdy usłyszał nazwisko Reps, wręcz się zaciekawił i pozwolił mu przyjść.

Chciałbym wyjaśnić, że do rodziny Polka przychodzili już wcześniej jacyś ludzie, którzy wmawiali im niemieckie pochodzenie i nakłaniali do wpisania się na listę Volksdeutchów, gdyż ich nazwisko miało brzmienie niemieckie. Podobno ojciec Polka miał im powiedzieć, że co trzeci pies w Polsce nazywa się Reps, to jak to może być, aby było to nazwisko niemieckie. Po takiej odpowiedzi, wysłannicy ci więcej się nie pokazali.

Po wielkich targach Polek został więc przyjęty do pracy, a ja byłem wolny.

Przez pierwszych kilka dni biegałem jak pies zwolniony z łańcucha. Ponieważ policja niemiecka więcej po mnie nie przychodziła, postanowiłem wrócić do domu. Znowu wynająłem

konia i furę i z powrotem byłem z kózkiem w domu.

Polek nie wytrzymał długo w kinie. Zresztą tak, jak wcześniej było ustalone, nigdzie się nie wyśledowywał, tylko zwyczajnie w niedzielę nie przyszedł. Musiało to mieć wpływ na dalszy bieg wypadków, gdyż dyrektor kina pozbawiony nagle siły roboczej, zareagował w swoisty dla Niemców sposób, to jest zemstą. Nistał mi zowąd dostaniem wezwanie do Arbeitsamtu. A tam skierowano mnie od razu do Baudienstu, niemieckiej organizacji budowlanej, pracującej na rzecz armii niemieckiej i niemieckiej administracji /roboty drogowe, niwelacyjne i budowlane/. Do organizacji tej Niemcy brali młodzież z Generalnej Guberni z roczników 1919 - 1924. Wcale mi się to nie podobało, dopiero uwolniłem się z jednego jarzma, a już miałem wpaść w drugie. Na szczęście, kolega z gimnazjum Zamojskiego pracował w Arbeitsamcie i tak zaszachował papierami, że dano mi spokój, nawet bez specjalnych wydatków.

Często na ulicy zaczepiali mnie różni moi koledzy gimnazjalni i zadawali pytanie wprost, czy należę do organizacji podziemnej. Teraz już czas było o tym pomyśleć.

Nieraz z Polkiem i Lutkiem rozmawialiśmy o wrześniu. Polek wówczas nie dostał się nigdzie mimo zaliczonych kursów lotniczych. Natomiast niektórzy jego koledzy poprzez aeroklub lubelski, bądź przez lubelskie lotnisko zaczepili się o wojsko, a niektórzy nawet odlecieli na sportowych samolotach do Rumunii. Niestety, jemu nie udało się. Ale za to już pod nosem Niemców, on i jemu podobni zbierali porzuconą broń i melinowali w różnych dziurach. U siebie koło stajni też miał schowane pistolety. Gdy postanowiliśmy zajrzeć do nich, okazało się, że pozostał tylko "Hiszpan" wielkie pistolecieko i do tego kompletnie zardzewiałe, reszta się ulotniła. Polek

tylko popatrzeć się po oknach kamienicy i łatwo domyślić się prawdy. Przecież nie on sam je tutaj zwoził i stajnia też nie była jego. Zabraliśmy się do czyszczenia ocalałego pistoletu. Trzeba też było starać się o amunicję.

Magazynek kompletnie zardzewiał, wszystko było słabo i niewprawnie zakonserwowane. Trzeba teraz oglądać się za kolegami z organizacji, za amunicją.

Teraz dopiero okazało się, że Polek już od samego początku należał do organizacji ZWZ i wypełniał różne polecenia organizacji. Dzięki temu "Hiszpan" był szybko sprawny. Wkrótce razem z Zygmuntem składaliśmy przysięgę w małym pokoiku przy mieszkaniu Polka na ulicy Narutowicza. Ja przyjąłem pseudonim "Piast", a Zygmunt jakiś taki śmieszny "Kaniuka". Tłumaczył, że ojciec jego tak go nazywał, gdy był mały. Polek już od dawna działał pod pseudonimem "Zegota".

Do naszej grupy wnieśliśmy pistolet, a to było już wiele. Oczywiście właścicielem i jego opiekunem był Polek. W najbliższych tygodniach mieliśmy być włączeni do kursu podchorążych.

Lato było w pełni takie jak w roku 1939 i 1940. Była to już reguła wojenna, zimy ostre, a lata gorące. Chodziliśmy do Zemborzyca i Starego Lasu, tylko Czuby i Wrothów jakoś omijaliśmy. Może dlatego, że woda koło młyna była mniejsza, a może, że to blisko miasta i Niemców.

Od czasu do czasu z Polkiem zarabialiśmy, głównie z jego inicjatywy, a to na landrynkach, a to na rani-ciu i rabaniu drzewa, a to na jakimś pośrednictwie przy mace. Było tego niedużo, ale na skromne kieszonkowe potrzeby wystarczało.

Od wybuchu wojny ze Związkiem Radzieckim Niemcy zastrzygli znacznie kurs. Legitymowali częściej. Często były łapanki i wywożenie na roboty do Niemiec, a my nie mieliśmy żadnych

zaświadczeń pracy. Zygmunt poszedł pracować do jakiejś firmy budowlanej, Lutek był rolnikiem na ziemi swego ojca, tylko ja i Polek nie mogliśmy znaleźć nic stażego. Wprawdzie miałem jeszcze zaświadczenie z Deutsche Spiele, ale było nieważne.

Ponieważ z handlu mąką nic nie wychodziło, ojciec Polka kupił dorożkę i konia. Stajnię mieli, woźnicę najeli i zajęli się dorożkarstwem. Wieczorem Polek lub Zygmunt siedzieli za kozłem i w ten sposób dorabiali, bo kursy wieczorem były lepsze zwłaszcza że szmugiel wieczorem był pewniejszy, a zapłata lepsza. Musiałem i ja rozglądać się za pracą i pewnym zaświadczeniem. Przedtem postanowiłem nauczyć się biurowości. Zapisalem się na kurs maszynopisania. Byłem jedynym mężczyzną. Maszyny do pisania mieli wprawdzie stare, ale kierownictwo kursu było bardzo przyjemne i rzeczowe. Pod koniec pisałem już wszystkimi palcami, ale, niestety, pisanie bez patrzenia na klawiaturę maszyny, nigdy nie nauczyłem się.

Przypadek zrzucił, że znów spotkałem tego kolegę z Arbeitsamtu i ten zgodził się wyszukać mi jakąś dobrą pracę. Pod koniec sierpnia dostałem oficjalne wezwanie, poszedłem wprost do niego. Dostałem skierowanie do Powiatowego Zarządu Drogowego, przy ulicy Wieniawskiej, a więc w mojej dzielnicy.

Powiatowy Zarząd Drogowy był jedynym z ostatnich zabytków samorządowej przeszłości. Podlegał on instytucji samorządowej zwanej popularnie "sejmikiem", która miała swoją siedzibę w tym samym budynku przy ulicy Wieniawskiej. Biuro było stosunkowo nieduże na trzecim piętrze olbrzymiej boğaj-że czteropiętrowej kamienicy. Naczelnikiem, czy też kierownikiem Zarządu był przezacny, chociaż małomówny, wysiedle-
niec z poznańskiego, jedyny człowiek w całym Zarządzie zna-

jacy język niemiecki. Zostałem przyjęty na pracownika biurowego, tak zwanego kanceliste. Instytucja była na wskroś polska i patriotyczna.

Mój kurs pisania na maszynie nie bardzo mi się przydawał, ale mimo wszystko zaimponowałem wszystkim posiadaniem tej umiejętności. Od czasu do czasu sam coś pisałem, a niejednokrotnie w czasie nieobecności maszynistki, pisałem też dla drogomistrzów. Byli to przedwojenni fachowcy wysokiej klasy, znający się nie tylko na pracach drogowo-budowlanych i konserwacji dróg, ale również, dzięki długiej praktyce, umiejący żyć z gminami.

Prędko odkryto moje talenty organizacyjne, połączone ze znajomością języka niemieckiego. Chodziłem i starałem się o wszelkie przydziały w różnych urzędach z niemieckimi włącznie. Przydziały kiełbasy, wódki, herbaty, butów, to wszystko było na mojej głowie. Znosiłem to, zwoziłem, a pan Gruszczyński /sekretarz/ pieczokowicie wszystko magazynował, a potem sprawiedliwie rozdzielał między personel.

Powoli zamieniałem się w urzędnika, a życie biegło swoim torem. Minęło lato i zaczynała się piękna jesień. Słychać było, że Zygmunt żeni się z Olgą, a Wacek z Zenką. Śmieliśmy się z Polkiem i Lutkiem z tego, ale już całkiem poważnie którejś soboty byliśmy na Dziesiątej na ślubie Zenki z Wackiem. Odbyło się też okupacyjne, domowe wesele na Wieniawie u rodziców Zenki. Śmieliśmy się z Ireną z tych ożeńków, śmiała się też i jej matka, ale potem przyszła refleksja, czy nie czas pomyśleć o sobie.

W pracy szło mi dobrze, ale to, co zarabiałem się tutaj, nie mogło absolutnie wystarczyć na życie. Dzięki moim staraniom, trafiały się wprawdzie przydziały dodatkowej żywności,

ale to też nie mogło wystarczyć, zwłaszcza na dwoje ludzi.

Dobrze chociaż, że dzięki ubraniom po Eolku, miałem w czym chodzić. Mimo to, zaczęliśmy poważnie rozmyślać z Ireną o małżeństwie. Ona rozmawiała z rodzicami. Matka z poparciem Krysi zgodziła się. Gorzej było z ojcem, ten był nieprzejednany. Wtedy przyszła wiadomość, że w październiku Zygmunt pobiera się z Olą. Zenka przeniosła się w międzyczasie z Wieniawy na Dziesiątą do Wacka. Ola miała przenieść się po ślubie na Narutowicza do Zygmunta.

W oparciu o zgodę matki Ireny ruszyłem w konkury do jej ojca. Ten, po wielkich trudnościach, wyraził zgodę. W gruncie rzeczy to był bardzo porządny człowiek, a przy rozmowie popłakał się z powodu tej biedy okupacyjnej. Zrozumiałem, że to był taki jego żal, że nie tak wyglądałoby wesele, gdyby nie ta paszardna okupacja. Baliśmy na zapowiedzi do naszej parafii, to jest do kościoła Bernardynów, a ja zacząłem przygotowywać się do wspólnego gospodarstwa. Poprzez nasz Zarząd dostałem przydział na drzewo. Dostałem również przydział na węgiel i ziemniaki. Wszystko gromadziliśmy na swoje przyszłe gospodarstwo. Piwnice na Snopkowskiej były olbrzymie, to i nasze zapasy też się tam zmieściły. Jak słyszałem, teściowie byli zadowoleni z tej mojej gospodarności.

Powoli zbliżają się październik i zapowiedzi wychodzą jedne za drugimi, aż przyszedł ślub Zygmunta i Oli u Bernardynów. Nasz miał być za tydzień 18 października 1941 roku, oczywiście w sobotę.

Rozpoczęły się przygotowania do ślubu i wesela. Mimo że z konieczności ograniczyliśmy liczbę gości, to i tak wypadło ich stosunkowo dużo.

Irena dostała od rodziców nowy kapelusz "taki już do-

roszy". Nie było mowy o welonie, bo za co, no i nie te czasy. Ja, na szczęście, miałem jeszcze w dobrym stanie mój szkolny mundur, który, po wypruciu karmazynowych wypustek, udawał garnitur ślubny, do tego miałem jeszcze, nie wiem nawet skąd, porządne białe rękawiczki. Irena miała przerobiony z matczy- nego granatowy kostium, no i ten kapelusz i byliśmy gotowi do ślubu.

Ostatni tydzień przeleciał nie wiadomo kiedy i trzeba było iść do ślubnej spowiedzi. Pracowaliśmy w biurze po dzie- sięć godzin dziennie, dzień pracy kończył się dopiero o szó- stej, tylko w sobotę o dwie godziny krócej.

Postanowiłem iść do spowiedzi w czasie godzin pracy w piątek 12 października. Rano zwiózłem do biura świeżo przy- dzieloną wódkę, o którą bardzo się starałem w ostatnich dniach, aby mieć ją na wesele. Pan Gruszczyński obiecał mi ją wydać wyjątkowo w sobotę.

Zwolniłem się u kierownika, obiecując przyjść jeszcze po spowiedzi do biura. Mieliśmy wtedy bardzo dużo roboty, wszyscy drogomistrze siedzieli przy biurkach bardzo zajęci. Przepracowywaliśmy odcinek planu nazwany kraptonimem "Plan Otto". Jak zorientowaliśmy się, był to kosztorys przebudowy dróg lokalnych dla celów frontowych, obszaru lubelszczyzny. Drogomistrze pluli na to, ale cóż, musieli robić, albo od razu iść do lasu. Ja, chociaż nie przepracowywałem tych pla- nów, miałem masę roboty kancelaryjnej, związanej z tą pracą.

W moim dużym pokoju stało osiem dużych biurka i sto- lik maszynistki. Pokój miał dwie pary drzwi. Jedne prowadziły do poczekalni. Z poczekalni wychodziło się od razu na klatkę schodową. Pamiętam, że było to trzecie piętro. Drugie drzwi z naszej salki prowadziły do pokoju kierownika i jego zastę- cy. Pokój ten miał niezależne od naszych drugie drzwi, prowa-

dzące prosto na klatkę schodową z ominięciem poczekalni.

Po spowiedzi wróciłem do pracy około godziny piątej. Na dworze było już ciemno, w pokojach paliły się lampy. Wyczułem od razu jakąś specjalną atmosferę. Dźwięczała niecodzienna i nadzwyczajna cisza. Może za długo grzebałem się w tym kościele, a tu tyle roboty - pomyślałem. Wyrzuciłem sobie, że za długo grzebałem się w kościele i odprowadzałem Irenę w kierunku domu. Trudno! Usiadłem spokojnie i wyjąłem z szuflady swoje papierki. Cisza panowała w dalszym ciągu. Dopiero po dobrej chwili najbliższej mnie siedzący drogomistrz powiedział niezbyt głośno, że o czwartej byli po mnie we dwóch. Jeden został w poczekalni, a drugi wszedł do pokoju. Pytali o studenta Kowalskiego. Koledzy powiedzieli, że dziś już mnie nie będzie.

Usiadłem i pogrzeżyłem się w myślach. Nikt nic nie mówił, w pokoju panowała powaga. Ciężko, ale beznadziejnie. Dosiedziałem ze wszystkimi do szóstej razem. Wychodząc, poprosiłem o dyskrecję. Byłem ciekaw, co przyniesie jutro. Poszedłem do domu Ireny na Snopkowską. Tam panował niecodzienny ruch, sprzątanie, gotowanie, ustawianie. Co robić? Co powiedzieć? Irena była rozpromieniona, coś przymierziała, coś próbowała, a mnie ta krzątania w ogóle nie zajmowała. W końcu Irena zauważyła to i czuła się obrażona. Naprawdę nie wiedziałem co zrobić z tą "wesołą" nowiną.

Chcąc nie chcąc Irena wciągnęła mnie w rozmowę i, gdy nikogo nie było w pokoju, opowiedziałem jej to całe zdarzenie. Nie zemdląca z wrażenia, ani nie zamilkła. Myślami była w dniu jutrzejszym i "drobne zdarzenie" nie mogło zakłócić tak ważnej uroczystości. Ta krótka rozmowa zdecydowała, że postanowiliśmy nic nikomu nie mówić, zdać się na los i szczęś-

cie. Z tym postanowieniem rozstaliśmy się. Po drodze cały czas zadawałem sobie pytanie, jak oni mnie znaleźli. Dlaczego przyszli do biura, a nie do domu i o co mnie teraz oskarżają? Co oznaczało to stwierdzenie "student"?

Wprawdzie obaj z Polkiem poprzez organizację zgłosiliśmy się na tajny uniwersytet z zamiarem studiowania ekonomii, ale czy mogli o tym wiedzieć?. Jak wiadomo, Uniwersytet Katolicki w Lublinie rozpadł się już w listopadzie 1939 roku. Część profesorów aresztowano, część młodzieży wyłapano, reszta uciekła przez mury i płoty i rozprzeczła się. W pomieszczeniach uniwersyteckich zorganizowali koszary, a potem szpital wojenny. Tak jak w całej Polsce, tak i w Lublinie istniało tajne nauczanie w zakresie szkoły średniej i szkół wyższych. Otwierano nowe kierunki. Studiowano tajnie medycynę, której przed wojną u nas nie było. Odbywały się praktyki po szpitalach i wykłady. Prowadzono też tajne szkoły podchorążych i szkoły podoficerskie. W takich okolicznościach zapisaaliśmy się z Polkiem na ekonomie i lada dzień mieliśmy być wezwani na otwarcie roku na tak zwanych kompletach.

Czyżby wsypa przyszła stąd? A może to przez meldunek? Dotychczas byłem zameldowany nawsi na Czechowie, a gdy wynikła sprawa małżeństwa, to postanowiliśmy, że zameldujemy się na Snopkowskiej, aby otrzymywać miejskie kartki żywnościowe, które były bardziej wartościowe od wiejskich.

Może poprzez ten meldunek odnalazło się moje nazwisko na liście poszukiwanych? Niemcy stale penetrowali kartoteki ewidencji ludności. Po takich poszukiwaniach następowały zwykle większe aresztowania w mieście. Organizacja istniejąca w Zarządzie Miejskim z niepokojem śledziła zawsze te poczynania Niemców i nieraz udawało się kogoś ostrzec. Nie wiem

do dzisiaj

Tak rozmysławając, doszedłem do Polka. Pracował właśnie ubranie na jutrzejsze wesele. Polek jak Polek, nigdy nie brał niczego tragicznie i uważał, że ze wszystkiego jest wyjście. On przecież też miał wpadki, raz z moka, a drugi raz za tę ucieczkę z roboty w kinie. Tak dodawał mi otuchy, która, co tu gadać, była mi potrzebna. Zdecydowałem, że jutro przyjdzie do mnie jako obstawa z tym "Hiszpanem" Umówiliśmy się rano u bernardynów, bo szliśmy z Ireną rano dokomunii. Ledwie zdążyłem do domu przed godziną policyjną, ale byłem już całkowicie spokojny.

U bernardynów około dziewiętej spotkaliśmy Polka. Na Wieniawskiej pożegnaliśmy Irenę i poszliśmy do biura po zamówioną wódkę. Polek dla bezpieczeństwa czekał w bramie na dole, a ja wszedłem na górę.

Wszyscy już pracowali. Ja z okazji ślubu dostałem od kierownika dzień wolny. Rozebrałem się, powiesiłem jesionkę, rozłożyłem, jak gdyby nigdy nic, papierki i czekałem na Gruszczyńskiego. W pewnej chwili, ni stąd ni zowąd, powiedziałem głośno do wszystkich, że gdyby ktoś przyszedł i zapytał o mnie, to ja sam dam odpowiedź. Minęło parę chwil. Nadszedł Gruszczyński i już otwierałem usta, aby przypomnieć mu o tej wódce, gdy ktoś zapukał do drzwi od poczekalni. Wiedziałem, że to pukanie było do mnie! Do pokoju wszedł facet, sądząc z opisu, ten sam, co wczoraj. Pochylił się przy pierwszym biurku od drzwi i cicho zapytał: "Czy jest pan Kowalski?" Na krótką chwilę zapanowała kompletna cisza. Zaszło mi w ustach ale po chwili usłyszałem swój własny głos: "Pan do pana Kowalskiego? Musi pan chwilę poczekać, bo wyszedł na pocztę" i pokazałem mu jedno z niezajętych biurek. Facet popatrzał

na biurko, na mnie i prawie tyłem wycofał się do poczekalni.

Wszyscy spojrzeli tylko na mnie, po czym zajęli się swoją pracą. Nikt nie odezwał się, tylko pani Irena przestała pisać na maszynie. Teraz już całkiem pewnie, poprosiłem Gruszczyńskiego o tę wódkę. Wziął klucze i poszliśmy do magazynu, który miał wejście od poczekalni. Tu siedziało dwóch typów-przebierańców. Jak gdyby nigdy nic, wzięłem należny mi jeden listr wódki. Gruszczyński dołożył mi jeszcze pół litra. Zamknęliśmy magazynek, popatrzyłem spokojnie na tajniaków i wróciliśmy do pokoju biurowego. Ciągle nic nie mówiąc, zapakowałem wódkę, ubrałem się i wyszedłem przez drzwi pokoju kierownika, niewidoczny dla siedzących w poczekalni tajniaków.

Ponieważ kierownik siedział przy biurku, dla usprawiedliwienia mojego wejścia do jego pokoju, poprosiłem go na ślub.

Zbiegłem na dół. Polek wiernie stał na dole z ręką w kieszeni na kolbie swojego "Hiszpana". Śmiejąc się, wyszliśmy na ulicę. On widział tych facetów, którzy krótko po mnie poszli na górę. Od razu domyślił się, o co chodzi, i czekał na nasze zejście na dół, aby wkroczyć do akcji. Zamierzał sterroryzować ich pistoletem na ostatnich stopniach, po czym mieliśmy ich rozbroić i uciec. Na szczęście, nie było potrzeby, Polek odprowadził mnie aż do Długosza i rozstaliśmy się aż do popołudnia.

Poszedłem do Ireny. Zostawiłem wódkę i już nic nie opowiadałem o tym, co zaszło w biurze. Zresztą nie było nawet okazji, każdy był zaferowany przygotowaniami do przyjęcia weselnego. Ślub jak ślub. Odbył się, jak potrzeba, każdy dawał rady, jak iść, jak trzymać pannę młodą pod rękę. Zygmunt, doświadczony, już od tygodnia żonkoś, doradził mi,

jak trzymać banknot dla kościelnego, który specjalnie na to podstawia tackę zaraz po ślubie. Wesele też prawie jak przed wojną. Była "gorzka wódka" i nikt nie zdawał sobie sprawy z tej pogoni za mną. Polek już dawno odłożył "Hiszpana" do kąta i zajął się zabawą. Ja też przy powszechnej wesołości zdawałem się zapomnieć o toczącej się wojnie. Wszyscy byli miejscowi, a godzina policyjna i tak nie pozwalała wychodzić nikomu na ulicę, bawiono się więc do rana, choć bez muzyki i tańców.

Rano w niedzielę większość gości rozeszła się, kobiety sprzątały, a potem była drzemka dla wszystkich.

Po południu odbyły się skromne poprawiny. Z całego majątku zostało mi 50 złotych i to tylko dlatego, że nie byliśmy od razu u zdjęcia "ślubnego". Mimo to, kupiłem butelkę bimbru, teść przyniósł z piwnicy doskonałe, jak zwykle, kiszzone ogórki i zabawa trwała dalej. Czas minął nie wiadomo, kiedy. Wieczorem goście się rozeszli. Domownicy udali się na zasłużony odpoczynek, a my, młodzi, poszliśmy "do naszego mieszkania", czyli do tego wspomnianego już kilkakrotnie pokoiku.

Mieszkanie teściów na ulicy Snopkowskiej mieściło się na pierwszym pięttrze jednopiętrowej kamieniczki.⁵ W domu obok mieszkał mój kolega Marian. Mieszkanie teściów składało się z trzech pokoi, kuchni i łazienki oraz spiżarni. Do wszystkich pomieszczeń prowadziły osobne drzwi z długiego przedpokoju. Po lewej stronie były drzwi do naszego małego pokoiku, który miał mały balkon od strony podwórza. W dużej sypialni, oprócz tradycyjnego podwójnego łoża małżeńskie, stało łożko dla Krychy i kozetka dla brata Ireny Leszka.

Dnie już były krótkie, pogoda nieszczególna, tak że do godziny siódmej było jeszcze ciemno. Spaliśmy wszyscy w

Poszowie

Gdy, jako chłopcy z podchorążówki, przechodziliśmy na Litwę, wydawało się nam, że wkraczamy na nową nieznaną, pełną przygód drogę życia. Gdy przekraczaliśmy granicę Prus Wschodnich, droga ta była znów nowa i nieznaną, ale na pewno już mniej przyjemna niż dotychczas. Kiedy po mrozie i śniegu uciekałem z Prus, to stała się bardzo ciężka i niebezpieczna, ale dopiero w Lublinie po tym skoku z balkonu, gdy z powrotem włożyłem swoje ubranie, byłem pewien, że czeka mnie coś nowego. Z pewnością nie było to nic dobrego.

Dopiero później, goniony z mieszkania do mieszkania, z kryjówki do kryjówki, zdałem sobie sprawę, że to nie były odrębne drogi. Litwa, Prusy, ucieczki, pogonie, maltretowanie, ukrywanie się - to wszystko było walką o przetrwanie, walką z okupantem i ciemną nocą okupacji.

Dalsze losy chłopców z podchorążówki były różne i nie zawsze do końca znane.

Z grupy czterestu strzelców z cenzusem, którzy wyjechali do Prus Wschodnich, wszyscy wrócili szczęśliwie do Lublina jeszcze chyba podczas okupacji.

Najlicniejsza grupa strzelców z cenzusem, bo około czterdziestu z Lublina i prawie wszyscy z Częstochowy, z chwilą likwidacji obozów internowanych żołnierzy polskich, w 1940 roku wyjechała do ZSRR. Nie przebywali tam zbyt długo. Po umowie Sikorski - Stalin, poprzez Murmańsk ewakuowano ich do Anglii. Wstąpili do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i doszli do stopni oficerskich. Oczywiście, staż w lidzkiej podchorążówce został im zaliczony. Znaleźli się we wszystkich broniach zorganizowanej na Zachodzie nowoczesnej armii polskiej. Po wojnie część z nich powróciła do

kraju, większość pozostała na Zachodzie, zdobywając tam chleb i zasilając starsze pokolenia polonijne.

Z chwilą likwidowania obozów na Litwie, niedużej grupie udało się tam pozostać /L. Niemierski, Bońkowski, Respond, Starnawski i inni/ i przy pierwszej nadarzającej się okazji też powrócili do Lublina.

Część z nas po powrocie zdążyła jeszcze wstąpić do Nowoodrodzonego Ludowego Wojska Polskiego /Falkiewicz, Kowalski, Polakowski/.

Chociaż nie mam dokładniejszych wiadomości o grupie czestochowskiej, to ich losy były podobne do losów grupy lubelskiej, poprzez zwykłą analogię zaistniałych na Litwie faktów, jednakowych dla całej podchorążówki. Nieduża więc grupa wyjechała do Prus Wschodnich, a reszta, poprzez ZSRR, dotarła do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Wielu nie doczekało się wolnej i niepodległej Polski, do nich należeli Krakowiński, Kopeć, Freiberg, Respond, Bońkowski, Zbroja, Czerniak, Modrany, Piwowarczyk, Lis i inni. Oddali oni w tej wojnie daninę życia, by następne pokolenia mogły żyć w wolnej Ojczyźnie.

Podpisy pod ilustracje:

1. Autor /Lublin 1938/
2. Autor w gronie kolegów /Lublin 1939/
3. Jerzy Nadarkiewicz w gronie kolegów /Lublin 1939/
4. ~~Czesław Misztal Aleksandrowicz /1937/~~
5. Jerzy Nadarkiewicz na patrolu PW /Lublin 1938/
6. Zaświadczenie Komisji Poborowej /Lublin 1939/
7. ~~Jerzy Nadarkiewicz w Prusach Wschodnich /1940/~~
8. Karta z pamiętnika autora z lat 1939-1941/
9. Karta pocztowa z Litwy /1939/
10. Grupa strzelców z cenzusem /Litwa 1940/
11. Karta pocztowa /Kriegsgefangenenpost/ z 1941 r.
12. Wyciąg z dokumentów PCK - 1977
13. Mieczysław Krakowiński w Prusach Wschodnich /1940/
14. Autor w Prusach Wschodnich /1940/
15. Autor w Prusach Wschodnich w gronie kolegów /1940/
16. Grupa byłych strzelców z cenzusem /Lublin 1979/

Dane informacyjne o Dywizyjnym Kursie Podchorążych Piechoty
Rezerwy przy 19 Dywizji Piechoty w Lidzie - rocznik 1939

/ostatni/

- Siedziba Kursu - koszary 77 pułku piechoty w Lidzie;
- Otwarcie Kursu - 9 września 1939 r.
- Komendant Kursu - kpt. sk. st. z 77 pułku piechoty
Kruczyński Alfred do 17. IX. 1939 r.
- por. sk. st. z 77 pułku piechoty
Jezierski od 17. IX. 1939 r.
- Dowódca 1 plutonu - por. sk. st. z 77 pułku piechoty
Jezierski do 17. IX. 1939 r.
- sierż. pchor. rez. Bajko od 17. IX. 1939 r.
- Dowódca 2 plutonu - por. rez. nazwisko nieznane /z zawodu
nauczyciel;
- Dowódca 3 plutonu - ppor. sl. stk. z 77 pułku piechoty -
Piasecki
- Dowódcy drużyn - podchorążowie rezerwy w stopniach sier-
żantów i plutonowych przyjęci w 1939 r.
do służby stałej z przyrzeczeniem a-
wansów na podporuczników oraz dwóch
plutonowych sk. st. z 77 pułku piechoty;
- Skład kursu - maturzyści z rocznika 1939/po maturach
zdanych w maju 1939 r./ około 1/3 z
Lublina, 1/3 z Częstochowy i Zawiercia,
rejonów Polski.
1/3 z Warszawy i innych ~~miast~~
- Stan Kursu - 150-160 strzelców z cenżusem, pełne
trzy plutony strzeleckie, wyposażone
w broń i umundurowanie etatowe piecho-
ty - bez broni ciężkiej piechoty.
- Przynależność operacyjna - Grupa Operacyjna "Brodno" pod dowódz-
twem gen. Olszyny-Wilczyńskiego zorga-

-
nizowana z różnych jednostek odwodowych
DOK III jak: Lida, Grodno, Wołkowysk,
Baranowicze.

Spis strzelców z cenzusem z Dywizyjnego Kursu Podchorążych Piechoty Rezerwy przy 19 Dywizji Piechoty w Lidzie - rocznik 1939 /ostatni/

Lista została sporządzona według podziału gimnazjalnego, z grupy częstochowsko-zawierciańskiej podane są tylko nieliczne nazwiska.

Gimnazjum im. St. Staszica w Lublinie

- ✓ 1. Barszczewski Władysław - wywieziony w 1940 r. z Litwy do ZSRR, PSZ na Zachodzie /lotnictwo/ przebywa w Anglii.
- ✓ 2. Bieńkowski Jerzy - wywieziony w 1940 r. z Litwy do ZSRR, PSZ na Zachodzie /lotnictwo/ przebywa w Anglii.
- ✓ 3. Kolasiński Grzegorz - wywieziony z Litwy w 1940 r. do ZSRR, PSZ na Zachodzie /lotnictwo/, przebywa w Stanach Zjednoczonych.
- ✓ 4. Modrany Stanisław - wywieziony w 1940 r. z Litwy do ZSRR, PSZ na Zachodzie zginął śmiercią lotnika.
- ✓ 5. Szydłowski Jerzy - wywieziony w 1940 r. z Litwy do ZSRR PSZ na Zachodzie, lotnictwo;
- ✓ 6. Księżycki Wojciech - wywieziony w 1940 r. z Litwy do ZSRR, PSZ na Zachodzie /Dywizja Pancerna/;
- ✓ 7. Budzyński Jerzy - wywieziony w 1940 r. z Litwy do ZSRR, PSZ na Zachodzie, przebywa w Anglii;
- ✓ 8. Miżkowski Stanisław - wywieziony w 1940 r. z Litwy do ZSRR, PSZ na Zachodzie przebywa w Stanach Zjednoczonych;
- ✓ 9. Jeruzalski Tadeusz - wywieziony w 1940 r. z Litwy do ZSRR, PSZ na Zachodzie, przebywa w Kanadzie

- ✓ 10. Mika Tadeusz - wywieziony w 1940 r. z Litwy do ZSRR, PSZ na Zachodzie, przebywa w Anglii;
- ✓ 11. Rutkowski Jerzy - wywieziony w 1940 r. z Litwy do ZSRR, PSZ na Zachodzie /Brygada Spadochronowa/, przebywa w Stanach Zjednoczonych;
- ✓ 12. Lasocki Zdzisław - wywieziony w 1940 r. z Litwy do Prus Wschodnich, Stalag IA
- ✓ 13. Kamiński Zbigniew - wywieziony w 1940 r. z Litwy do Prus Wschodnich, Stalag IA
- ✓ 14. Pinkiewicz Edward - Stalag IA
- ✓ 15. Lorenc Stanisław - powrócił do Lublina
- ✓ 16. Fuchs Tadeusz - przedarł się w 1939 r. z Litwy do Lublina;
- ✓ 17. Głuchowski Witold - przedarł się w 1939 r. z Litwy do Lublina;

Gimnazjum im. St. Batoro w Lublinie

- ✓ 1. Kowalski Tadeusz - wywieziony z Litwy w 1940 r. do Prus Wschodnich, Stalag IA;
- ✓ 2. Respond Tadeusz - po likwidacji obozów dla internowanych na Litwie w 1940 roku pozostał tam, przedarł się do Lublina, zamordowany przez Niemców na Zamku Lubelskim;
- ✓ 3. Bońkowski Zbigniew - po likwidacji obozów dla internowanych na Litwie w 1940 roku pozostał tam, przedarł się do Lublina, zamordowany przez Niemców na Zamku Lubelskim;
- ✓ 4. Starnawski Jerzy - po likwidacji obozów dla internowanych na Litwie w 1940 roku pozostał tam /Wilno/ powrócił do Lublina;

- ✓ 5. Piwowarczyk Andrzej - zmarł w obozie dla internowanych na Litwie w 1939 roku;
- ✓ 6. Patkowski Jerzy - PSZ na Zachodzie, przebywa w Stanach Zjednoczonych
- ✓ 7. Juszczakowski - przedarł się z Litwy w 1939 r. do Lublina;

Gimnazjum im. J. Zamojskiego w Lublinie

- ✓ 1. Paszkowski Jerzy - obóz internowanych na Litwie, wywieziony do Prus Wschodnich w 1940 r. Stalag IA
- ✓ 2. Feliks Drownowski - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony do Prus Wschodnich w 1940 roku, Stalag IA;
- ✓ 3. Zdzisław Polakowski - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony do Prus Wschodnich w 1940 roku, Stalag IA;
- ✓ 4. Mieczysław Krakowiński - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony do Prus Wschodnich w 1940 roku, Stalag IA, zamordowany przez Niemców w Lublinie;
- ✓ 5. Henryk Lutz-Niemierski - po likwidacji obózów w 1940 roku pozostał na Litwie;
- ✓ 6. Konstanty Rejnert - wywieziony w 1940 do ZSRR, PSZ na Zachodzie /marynarka/, przebywa w Irlandii;
- ✓ 7. Zygmunt Berej - wywieziony w 1940 do ZSRR, PSZ na Zachodzie, lotnictwo, przebywa w Anglii
- ✓ 8. Stanisław Zieliński - wywieziony w 1940 do ZSRR, PSZ na Zachodzie, przebywa w Stanach Zjednoczonych;
- ✓ 9. Stanisław Leśkow - wywieziony do Prus Wschodnich w 1940, Stalag IA

- ✓ 10. Jerzy Bankiewicz - wywieziony do Prus Wschodnich w 1940 roku, Stalag IA;
- ✓ 11. Henryk Kopeć - wywieziony do Prus Wschodnich w 1940 roku, Stalag IA, zamordowany przez Niemców w Lublinie w 1944 roku;
- ✓ 12. Jerzy Freiberg - ~~zamordowany~~ przedarł się w 1939 roku do Lublina, zamordowany przez Niemców w 1944 roku na Zanku Lubelskim;
- ✓ 13. Jasiński - obóz dla internowanych na Litwie, dalszych wiadomości brak.

Gimnazjum in Vetterów w Lublinie

- ✓ 1. Jerzy Nadarkiewicz - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony do Prus Wschodnich w 1940 roku, Stalag IA;
- ✓ 2. Czesław Misztal - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony do Prus Wschodnich w 1940 roku, Stalag IA;
- ✓ 3. Roman Szabczyński - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony do Prus Wschodnich w 1940 roku, Stalag IA;
- ✓ 4. Henryk Woldanowski - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony w 1940 r. do ZSRR, PSZ na Zachodzie, przebywa w Anglii;
- ✓ 5. Tomasz Zbroja - obóz dla internowanych na Litwie, przedarł się do Lublina, zamordowany przez Niemców na Zanku Lubelskim w 1944
- ✓ 6. Józef Czerniak - obóz dla internowanych na Litwie, przedarł się do Lublina, zginął w Oświęcimiu

Inne szkoły średnie w Lublinie

- ✓ 1. Leon Siekierzyński - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony w 1940 r. do Prus Wschodnich - Stalag IA
- ✓ 2. Tadeusz Lis - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony w 1940 r. do ZSRR PSZ na Zachodzie /II Korpus/ zginął we Włoszech
- ✓ 3. Zbigniew Zawisza - obóz dla internowanych na Litwie, ~~wywieziony~~ powrócił do Lublina;
- ✓ 4. Henryk Polwarczny - obóz dla internowanych na Litwie, powrócił do Lublina;
- ✓ 5. Jerzy Pieniążek - obóz dla internowanych na Litwie, powrócił do Lublina;
- ✓ 6. "Kulka" /nazwisko nieznane/- być może Witold Kulczyński z Gimnazjum Śt. Batorego.

Strzelcy z Cenzusem z Częstochowy i Zawiercia

- ✓ 1. Zdzisław Krzemiński - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony do Prus Wschodnich w 1940 roku, Stalag IA;
- ✓ 2. Karol Sufajda - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony do Prus Wschodnich w 1940 roku, Stalag IA;
- ✓ 3. Władysław Jędrzejewski - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony do Prus Wschodnich w 1940 roku, Stalag IA;
- ✓ 4. Dziędzic - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony w 1940 r. do ZSRR, PSZ na Zachodzie;
- ✓ 5. Kidawka - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony w 1940 r. do ZSRR, PSZ na Zachodzie

- ✓ 6. Wereszczyński - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony w 1940 r. do ESRR, PSZ na Zachodzie;
- ✓ 7. Jakubiec - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony w 1940 r. do ZSRR, PSZ na Zachodzie;
- ✓ 8. Krakowiński - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony w 1940 r. do ZSRR, PSZ na Zachodzie;
- ✓ 9. Wiedawski - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony w 1940 r. do ZSRR, PSZ na Zachodzie;
- ✓ 10. Laboda - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony w 1940 r. do ZSRR, PSZ na Zachodzie;
- ✓ 11. Adam Chojnowski - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony w 1940 r. do ZSRR, PSZ na Zachodzie;
- ✓ 12. Gryglewski - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony w 1940 r. do ZSRR, PSZ na Zachodzie;
- ✓ 13. Mirosław Flak - obóz dla internowanych na Litwie, wywieziony w 1940 r. do ZSRR, PSZ na Zachodzie;

Wymienieni powyżej strzelcy z cenzusem stanowili w 1939 r. trzon kompanii JHP w 12 bat JHP w Osowcu. Razem ze strzelcami z Częstochowy i z Zawiercia było ich około 60.

Inni strzelcy z cenzusem

- ✓ 1. Wojciech Winiarski - kadet, zmobilizowany w Lidzie w 1939
- 2. Nazwisko nieznane - przebywał w Chinach, znał biegle język chiński.

Listy te sporządziłem na podstawie pamiętnika /zachowanego do dzisiaj/ Pomagali mi też Henryk Lutz-Niemierski, Zdzisław

267
I/730

367

Polakowski, Jurek Nadarkiewicz "bohaterowie" tej książki
oraz Lucjan Ważny, organizator zjazdów koleżeńskich wycho-
wanków Gimnazjum im. Staszica w Lublinie. Lista ta nie jest
kompletna. Mogły w niej zajść pomyłki, które, mam nadzieję,
po ukazaniu się tej książki będzie można poprawić.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

